



---

TIM PARKS

DUCH MIMI

---

Tytuł oryginału *Mimi's Ghost*



TLR

Królestwa myśli, filozofii i ducha chwieją się i upadają w zetknięciu z tym, co nienazwane, ze mną samym.

Max Stimer, *Jedyny i jego własność*

---

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### 1

Morris delikatnie przebiegł czubkami palców po jedwabście gładkich kafelkach w kolorze kawy, zaprojektowanych przez Valentino. Łazienka była bodaj jedynym pomieszczeniem w całym mieszkaniu, co do którego nie miał żadnych zastrzeżeń. Wykończenia z polerowanego, orzechowego drewna prezentują się szczególnie atrakcyjnie, pomyślał, dotykając najpierw masywnej, kremowej mydelniczki, a potem grubych, białych ręczników, tak odmiennych od tych pospolitych i szorstkich, towarzyszących mu przez całe dzieciństwo. Ponadto łazienka stanowiła sanktuarium, do którego -dzięki jakiejś nowoczesnej sztuczce konstrukcyjnej - nie docierały ani dźwięki odbiorników radiowych i telewizyjnych, ani podniesione głosy z innych mieszkań. Co za ulga. Przynajmniej tu człowiek mógł golić się w spokoju, podziwiając przy tym zdecydowaną linię szczęki, nieskazitelne policzki, młode i dojrzałe zarazem, elegancko przycięte, nadal bujne włosy nad jasnobłękitnymi oczami... Podziwiając i marząc o życiu, w którym podjąłby inną decyzję.

Gdyż Paola była błędem, to nie ulegało wątpliwości.

Poprawiając krawat pod różowym, świeżo ogolonym podbródkiem, dumny właściciel posiadłości obszedł wpuszczaną w podłogę wannę i zbliżył się do okna z podwójną szybą wprawioną w elegancką ramę z jasnego, sosnowego drewna. Rozkoszując się każdą z tych prostych czynności, dotykiem przyjemnie gładkiej, stalowej klamki, zapachem żywicy i świeżej jeszcze farby, otworzył okno i podciągnął żaluzję. Na czarno lakierowanym metalu odznaczała się plamka rdzy. Trzeba będzie porozmawiać o tym z wykonawcą. Morris poskrobał rdzę wymankiowanymi paznokciami. Znowu ta sama historia. Człowiek nie zdążył się jeszcze dobrze nacieszyć detalami mieszkania, a już odkrywał jego wady, drobne

skazy, irytujące niedoróbki, psujące całą radość. Morris przyjrzał się uważniej rdzawej plamce. Najwyraźniej deweloper wykorzystał kiepskie materiały od niesolidnych dostawców, licząc na to, że nabywca, któremu pozwolono zaledwie dwa albo trzy razy pospieszenie obejrzeć mieszkanie, w dodatku informując go, iż jeśli nie zapłaci od razu (gotówką!), chętni już czekają w kolejce, nie zauważy tych usterek. Tak, stanowczo dał się wykiwać. I to wykiwać prowincjonalnemu hochsztaplerowi, oszukującemu na podatkach. Teraz pozostawało mu już tylko przyznać się do błędu i przyjąć porażkę z podniesionym czołem. Człowiek nigdy, przenigdy nie powinien wmawiać sobie, że wszystko jest w porządku, jeśli w rzeczywistości sprawy przedstawiają się inaczej.

Z Paolą z pewnością nie było w porządku.

Morris szeroko otworzył okiennice, wystawiając tors na przenikliwy chłód szarego, zimowego poranka i spoglądając w kierunku banalnej sylwetki kolejnego „luksusowego” kondominium, które ten sam deweloper budował obecnie na terenie, mającym - zgodnie z obietnicą sprzed sześciu miesięcy - na zawsze pozostać fragmentem dziwiczego pięknego, wiejskiego krajobrazu. Zadrżał pod wpływem zimna, jednak zmusił się do patrzenia, do smakowania swojej drobnej klęski, wymownego dowodu na to, że nie zdołał rozszyfrować Włocha. Nie wystarczy zdobyć fortunę, człowiek musi jeszcze nauczyć się jej bronić. Jakże tamten musi teraz triumfować, ilekroć ich samochody mijają się na ulicy. Ależ musi go cieszyć upokorzenie Morrisa.

Dzień był jakby zamówiony na Święto Zmarłych: zimny i mglisty. Wyśmienie. Teraz toaleta (ubieranie się zawsze sprawiało Morrisowi przyjemność), potem spotkanie z rodziną, sznur aut ciągnących ku cmentarzowi, kwiaty, wzruszenie na widok fotografii Massiminy na rodzinnym grobowcu. Morris nieodmiennie cenił tradycję, gdyż ujmowała doświadczenie człowieka w określone ramy i nadawała jego życiu pewien rytm. Ojciec nigdy nie odwiedzał różanego krzewu, pod którym spoczęły prochy Matki. Podczas kolejnych odwiedzin w domu koniecznie musi namówić starego na wspólną wizytę w tym miejscu, żeby pokazać mu, co znaczą cywilizacja i szacunek dla zmarłych.

Przymknął okno i ponownie stanął przed lustrem. Kardi-gan od Armaniego, od Gianfranco Ferre koszula, krawat od Versacego - stanowczo nie można mu było odmówić elegancji. Jednak wraz z nabyciem pewnych rzeczy człowiek zaczynał sobie uświadamiać, że samo ich posiadanie nie wystarcza. Od razu budziło się w nim pragnienie czegoś więcej: sztuki, kultury, dystynkcji, obcowania z ludźmi ceniącymi podobne wartości i kultywującymi je. Dlatego właśnie jego małżeństwo okazało się tak głupią, tak tragiczną pomyłką. Dziś po południu, jeśli wystarczy mu czasu, odwiedzi Forbesa...

- Paola! - Morris wyszedł na korytarz. - Paola, minęło wpół do dziewiątej!

Żadnej odpowiedzi. Zajrzał do sypialni. Jego żona leżała rozciągnięta rozkosznie pod puchową kołdrą. Kunsztownie ufryzowane, kasztanowe loki rozsypały się na różowej poduszce. Tak, Paoli z pewnością brakowało owej promiennej niewinności i prostoty, jakie cechowały jej siostrę, Massimi-nę. Co więcej - jak mógł się przekonać w czasie tamtego krótkiego, cudownego miesiąca ich wspólnej ucieczki -Massimina zawsze wstawiała o odpowiedniej porze.

Morris usiadł na skraju łóżka, przyglądając się kobiecie, z którą w takim pośpiechu połączył swoje życie. Stanowczo musi przywołać Paolę do porządku, bo inaczej przemieni się w zwykłego pantoflarza, którego jedynym zadaniem jest dostarczanie środków finansowych wiecznie mizdrzącej się i marnującej czas na głupie zachcianki żonie.

W końcu Paola odezwała się, nie otwierając nawet oczu.

- Mo, jak to się stało, że nie jesteś dzisiaj w pracy? Nie znosił być nazywany Mo.

- *Sono i morti* - zauważył. - Święto Zmarłych.

- *Giusto*\*<sup>1</sup>. Ale po co wstawiałeś w takim razie? Nie musimy być na cmentarzu wcześniej niż przed jedenastą. Wracaj do łóżka, zabawimy się.

---

<sup>1</sup> \* Rzeczywiście.

- Trzeba odebrać kwiaty dla Massiminy - powiedział Morris sucho. - Poza tym wydawało mi się, że jutro masz końcowy egzamin.

- Och, tamto nudziarstwo! Wracaj do łóżka, Mo, i powtórzmy ten numer z ostatniej nocy. Już się nie mogę doczekać - jęknęła Paola, czyniąc przy tym nieprzyzwoity gest.

Morris starał się nadać swojemu głosowi brzmienie życzliwej zachęty.

- W dniu przed egzaminem liczy się każda godzina. Jeśli nie wykorzystasz jej na naukę, będziesz później żałować.

Młoda kobieta poderwała się raptownie. Pod cieniutkim jedwabiem kremowej nocnej koszuli jej sutki wyglądały niczym czekoladki Cadbury'ego, którymi Matka zwykła napy-chać bożonarodzeniowe pończochy. Piersi miała mniejsze niż Massimina, choć jednocześnie bardziej sterczące i - teraz orientował się już w takich niuansach - modniejsze. Odymając wargi, wyciągnęła rękę w poprzek łóżka, namacała paczkę rothmansów i przypaliła jednego zapalniczką z polerowanego srebra. Oprócz upodobania do dyskotek, niedbałych, młodzieżowych strojów w najgorszym guście i otaczania się bandą głupawych, choć lokalnie dobrze notowanych przyjaciół, jej palenie - co obecnie dostrzegał coraz wyraźniej - było kolejnym elementem niemieszczącym się w jego wizji lepszego życia, którą zawsze inspirował się w działaniu.

Poza tym ojciec palił właśnie rothmansy.

- No więc?

- Wiesz, chyba nie pójdę zdawać.

Otworzył usta, żeby wyrazić swój sprzeciw. Chyba nie odrzuci ze strachu przed końcowym egzaminem perspektywy otwierającej się przed nią kariery.

- Widzisz, Mo, pomyślałam sobie, że po co mi właściwie tytuł architekta. - Paola przechyliła głowę. - Pieniądzy nam nie brakuje. Jeszcze parę miesięcy i Mamma dołączy do Mi-mi pod tym szkaradnym aniołem, ty przejmiesz firmę, a dalej to już będzie gładkie żeglowanie z wiatrem.

Anioł stanowił aluzję do nieco pompatycznej rzeźby wieńczącej rodzinny grobowiec.

Krzywiąc się na tę wulgarność, Morris zauważył, że oprócz pieniędzy, zawsze stanowiących jakiś plus, architektura mogłaby stać się dla niej drogą do samorealizacji.

- Och, Morris, jaki z ciebie nudziarz - Paola roześmiała się głośno. Jej ochryple, protekcyjnalny śmiech uświadomił Morrisowi, że przeszkadza mu nie tyle sam fakt jej palenia, ile owa demonstrowana z każdym zaciągnięciem się bezczelna pewność siebie, a właściwie arogancja, upodabniająca ją do masy młodych, młodych kobiet, jakie widywało się na filmach. Czy to może być powód, dla którego Paola tak się spodobała jego ojcu podczas ich wizyty w Anglii? Morris miał nadzieję, że jemu samemu nigdy nie zdarzyło się zgrzeszyć równie prowokującą bezczelnością.

- Tłumaczyłam ci już, że na studia zdecydowałam się wyłącznie po to, aby znaleźć się jak najdalej od naszego zatechłego domu, Mammy, kulek na mole i politurowanych mebli -ciągnęła Paola. - A architekturę wybrałam tylko dlatego, że tego wydziału nie ma w Weronie, więc cztery razy w tygodniu musiałam jeździć do Padwy, gdzie przynajmniej mogłam się rozerwać. No dalej, wyskakuj z łańców i zrób mi dymancko.

I znowu Morris poczuł, że cierpi, słysząc ordynarny język żony, choć nie był to jeszcze najgorszy z jej popisów. Kiedy się kochali - a seks nadal sprawiał mu przyjemność i nawet zdumiewało go, że jest w tym taki dobry (choć zawsze po stosunku odczuwał nieodpartą potrzebę popędzenia pod prysznic) - no więc, kiedy się kochali, z ust Paoli potrafił popłynąć strumień prawdziwych wulgaryzmów. Dla niego było nie do pojęcia, że ktoś mógł mówić drugiej osobie podobne rzeczy.

- Ależ Paola, kochanie - zaprotestował. Wciąż cieszyło go, kiedy słyszał siebie samego, wypowiadającego słowo „kochanie”. - Zawsze wydawało mi się, że jesteś w domu szczęśliwa. Pamiętam, że kiedy odwiedziłem was po raz pierwszy,

ty i Antonella byłyście bardzo zatroskane kiepskimi postępami Massiminy w szkole.

Paola zaniósła się śmiechem.

- To było przedstawienie - chichotała. - To dopiero było przedstawienie! Biedna Mimi była taka beznadziejna. Zawsze wiedziałam, że źle skończy.

Nie, to naprawdę stawało się zbyt bolesne.

- Tak więc rezygnujesz z kariery? - rzucił oschle w przytulny półmrok sypialni.

Paola westchnęła.

- Mój drogi, przecież nie miałam najmniejszych nawet szans na karierę. Zdawałam kolejne egzaminy, ściągając od innych. Wiesz, jak to się tutaj odbywa. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Mimi nie radzi sobie w podobny sposób.

Ku swojemu zaskoczeniu Morris powiedział z autentyczną żarliwością:

- Zgoda, ale w takim razie zdecydujemy się na dziecko. Zawsze pragnąłem mieć małego chłopca.

I znowu Paola dosłownie zatrzęsła się ze śmiechu.

- Morris, *nemmeno per sogno*<sup>\*2</sup> To musi poczekać z pięć albo sześć lat.

- A co zamierzasz robić w międzyczasie? Właściwie nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Dobrze się bawić. - Paola wydmuchała wielki kłęb dymu, przechyliła głowę na bok i uśmiechnęła się chytrze. Obecnie w niczym nie przypominała skromnej żałobniczki, na którą zwrócił uwagę w dniu pogrzebu Mimi i której widok pod-

---

<sup>2</sup> \* Ani mi się śni!



sunął mu pomysł małżeństwa. - Mam wrażenie, że dopiero teraz zaczynam żyć - dodała jeszcze.

- Podczas gdy ja haruję w firmie niczym niewolnik?

- Zawsze mi się wydawało, że tego właśnie pragniesz. Kiedy Mamma miała wylew, niemal skakałeś z radości.

Morris wlepił w nią wzrok.

- A teraz, skoro nie zamierzasz mnie uhonorować, wezmę lepiej prysznic.

Paola wstała, obeszła łóżko i uszczypnęła go w nos.

- Stary, głupi Mo - powiedziała swoim łamanym angielskim, zachichotała i ruszyła do łazienki, przesadnie kołysząc pośladkami, wciśniętymi w skąpe, białe majteczki.

Morris zamknął oczy.

W kilka minut później znalazł się na zewnątrz eleganckiego i z całą pewnością kosztownego kondominium. Zimne powietrze kąsało dotkliwie, pod welonem szarej mgły szron znaczył krawędź każdej powierzchni. Stateczny rząd cyprysów stał sztywny i biały, wawrzynowy żywopłot przy bramie wjazdowej udrapowany był lodową siecią pajęczyn. Morris należał do osób zauważających i ceniących sobie podobne widoki.

Ubrany w elegancki, szary, wełniany płaszcz i fioletowy, kaszmirowy szalik wsiadł do niewielkiego, białego mercedesa i ruszył w stronę miasta. Oczywiście, gdyby mógł działać po swojemu, kupiłby mieszkanie w starym centrum, żeby w ogóle nie zawracać sobie głowy samochodem. Jednak Paola chciała mieć całkowitą pewność, że jest chroniona przed niespodziewanymi wizytami, którymi Mamma ustawicznie nękała jej siostrę Antonellę i szwagra Bobo, więc uparła się na jedno z nowoczesnych, szykownych kondominiów na obrzeżach miasta, po przeciwnej stronie Werony niż dom Trevisanich. Morris, wciąż w stanie głupawej euforii, że wreszcie został przyjęty przez rodzinę, przynajmniej formalnie, przystał na to bez oporów.

Zważywszy nagłe pogorszenie stanu zdrowia Mammy w ciągu następnych kilku miesięcy, prawdopodobnie był to błąd, co uświadomił sobie dopiero teraz. Tym bardziej że nikt nie wiedział, w jaki sposób firma zostanie podzielona, kiedy stara Signora umrze. Gdyby on i Paola mieszkali bliżej, miałby więcej okazji, by wyrazić teściowej swój szacunek i współczucie, udowodnić dojrzałość i odpowiedzialność. Z pewnością Antonella i Bobo wykazali się większą zapobiegliwością. Morris czuł, że powinien był przewidzieć taki obrót sprawy i nie ulegać zbyt pochopnie Paoli. Ale kiedy kupowali mieszkanie, małżeństwo wciąż było dla niego nowością, wstępował w nie pełen najlepszych intencji. A zresztą łatwo być mądrym po szkodzie. Ostatnio coraz częściej dochodził do wniosku, że człowiek nie powinien traktować siebie zbyt surowo.

Jadąc z dużą prędkością, ujął słuchawkę telefonu samochodowego i wybrał numer Forbesa.

-*Pronto*<sup>\*3?</sup> - odezwał się tamten niskim, kulturalnym głosem, z akcentem stanowiącym zdecydowaną deklarację brytyjskiej supremacji.

Morris, dumny ze swoich osiągnięć w dążeniu do tego, by mówić jak rodowity Włoch, by stać się prawdziwie Włochem, jednocześnie był zafascynowany postawą starca, jego uporczywym odmawianiem choćby częściowej adaptacji i ostentacyjnym podkreśleniem, że podziwia Włochy i włoską kulturę, ale wyłącznie jako koneser, przybysz z zewnątrz. Forbes nie tylko nie podzielał, ale wręcz nie pojmował potrzeby kamuflażu Morrisa.

Ten dzwoniąc, przedstawił się i przeprosił, jeśli obudził swojego rozmówcę.

- Och, Morris, tobie wybaczyłbym nie tylko to. - W głosie staruszka słyhać było autentyczną serdeczność.

---

<sup>3</sup> \* Słucham?

- Pomyślałem, że podczas weekendu chętnie wpadłbym do Florencji. Może wybrałby się pan ze mną? Chciałbym przyjrzeć się pewnemu obrazowi w galerii Uffizi.

- Wyśmienity pomysł.

- Mam nadzieję, że nie poczyta mi pan tego za nadmierną zuchwałość, ale liczę na pański wykład o tym obrazie. Niezbyt dobrze orientuję się w sztuce wczesnego renesansu.

- Ależ z przyjemnością opowiem ci o niej.

- Moglibyśmy też przedyskutować dokładniej to przedsięwzięcie, o którym pan wspominał.

- Jeśli sądzisz, że istnieje możliwość zdobycia funduszy -powiedział Forbes skromnie. - Obawiam się, że moje środki są bardzo ograniczone...

- Możliwe, że uda mi się coś zaaranżować. - Morris wzenił się w bogatą rodzinę i wcale nie musiał ukrywać tego faktu. Przynajmniej nie przed Forbesem. Przeciwnie, przyjemnie było pomyśleć, że miał w ręku atut sprawiający, że ten dystyngowany Anglik poświęcał mu swój czas. Byle tylko nie przesadzić z demonstrowaniem zamożności.

- Wpadnę po pana w sobotę koło dziewiątej - powiedział Morris.

- Hm... a czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby to była dziewiąta trzydzieści? Raczej nie należę do rannych ptaszków.

- Ależ oczywiście.

Rozłączyli się. Rozmowa przez markowy telefon podczas jazdy szybkim samochodem stanowiła ogromną przyjemność, była idealnym symbolem zasłużonego sukcesu, więc przystojny, jasnowłosy Anglik kontynuował ją jeszcze wówczas, kiedy Forbes dawno już odłożył słuchawkę. Ostatnio stało się to dla niego niemal zwyczajem.

- *Prontol* - powiedział z uczuciem. - Słyszysz mnie, Massimina? Obawiam się, że połączenie nie jest najlepsze. Słyszysz mnie? Wiesz, dzisiaj jest Święto Zmarłych.

Wyobraził sobie, że słyszy ją mówiącą „tak” łagodnym, lekko zdyszonym, dziewczęcym głosem. Albo raczej „sl”.

- *Si, Morri, sl.*

Mgła na drodze do miasta robiła się coraz gęstsza. Wokół samochodu wirowały całe jej kłęby.

- Wyobraź sobie, że widziałem twój obraz. Naprawdę. No tak, wiedziałem, że mi nie uwierzysz.

Z całkowitym spokojem przemawiał do eleganckiej, białej słuchawki, jednocześnie prowadząc samochód przy niemal zerowej widoczności. Podejmowanie ryzyka wydawało mu się czymś istotnym. Za każdym razem, kiedy udało mu się wywinąć, czuł, że to szczęśliwy traf.

- Czytałem właśnie jedną z książek o sztuce i nagle patrzę, a tu ty. Na obrazie Fra Filippa Lippiego *La Vergine incoronata*<sup>\*4</sup>, Idealne podobieństwo. I wiesz, Mimi, kiedy zobaczyłem ten obraz, na którym zostałaś namalowana na pięćset lat przed swoim narodzeniem, przyszło mi do głowy, że może W takim razie żyjesz nadal, że może byłaś tamtą Madonną, podlegającą wiecznej reinkarnacji, od jednej *incoronazione* do drugiej...

Boże, co za brednie, pomyślał. Nawet nie przypuszczał, że stać go na wygłaszanie podobnych bzdur. Z drugiej strony jednak fakt, że nigdy nie przestawał zadziwiać samego siebie, stanowił najlepszy dowód na to, iż posiadał prawdziwie artystyczną naturę. Nie starzał się, nie ramolał. Przeciwnie, jego myśli były teraz bogatsze niż kiedykolwiek przedtem.

---

<sup>4</sup> \* Koronacja Marii.

Mgła wokół samochodu gęstniała, zdawała się czepiać karoserii, zamykać wokół niej.

- ...a skoro tak, to przecież nie mogłem cię zabić, prawda, Mimi?

Nagle zauważył różowy poblask tylnych świateł innego samochodu, zaledwie o centymetry przed maską. Przyhamował mocno i zredukował bieg. To jednak nie wystarczyło. Aby uniknąć kolizji, skręcił w lewo i zaczął w nieprzeniknionej szarości wyprzedzać. Natychmiast zobaczył światła zbliżające się z naprzeciwka. Wprost na niego jechał lokalny autobus. W ostatniej chwili prześliznął się obok fiata i26, przy głośnym akompaniamencie klaksonów.

Podniósł słuchawkę z siedzenia pasażera.

- ...pomyślałem więc, że gdybyś dała mi znak, że żyjesz i masz się dobrze, znaczyłoby to dla mnie bardzo wiele. Jakikolwiek, bylebym tylko miał pewność, że pochodzi od ciebie. I że mi wybaczyłaś.

Nachmurzył się. Kiedy rozpoznał Mimi jako Madonnę na obrazie renesansowego malarza, nie mógł przy tym nie pomyśleć o wynikach sekcji. Mimi była w ciąży. Straszne. Mimi była w ciąży, a on zabił swoje własne dziecko. Dziecko ich miłości, zbawiciela może. Uświadomienie sobie czasem tego faktu z potworną jasnością wywoływało mdłości i sprawiało, że czuł się bardzo niepewny. Jednak znowu, w pewien sposób było to satysfakcjonujące, gdyż w przeciwnym wypadku obawiałby się, że jest całkowicie pozbawiony wrażliwości, co - jak wiedział z doświadczenia - było nierzadką przypadłością u innych.

- Zrobisz to dla mnie, Mimi? Dasz mi znak? Nieważne w jakiej formie, byle wyraźny.

Ponownie wyobraził ją sobie mówiącą: „*Sì, Morri, sì*”, swoim najłagodniejszym głosem. Massimina z pewnością nigdy nie nazwałaby go „Mo” ani też nie kazałaby mu wyskakiwać z łańców i robić dymanka. Seks był dla niej czymś specjalnym, świętością niemal. Gdyby spotkało go to szczęście, że mógłby ją poślubić, nigdy nie okazałaby się na tyle samolubna, by nie chcieć mieć dzieci. Nagle ogarnęła go wesołość. Ale ze mnie głupi facet, pomyślał. Przecież nie musi

wcale zawracać sobie głowy fanaberiami Paoli. Zrobi jej dziecko i tyle. Da jej w życiu cel, bez którego do reszty przemieniłaby się w próżnego pasożyta. Przyjdzie czas, gdy jego żona mu jeszcze za to podziękuje. W końcu czyż celem małżeństwa nie jest posiadanie potomstwa, czyż nie to się deklaruje, składając słowa przysięgi?

Błądząc myślami wokół swoich małżeńskich problemów, Morris nagle zmienił pierwotny zamiar. Pod wpływem jednego z przelotnych impulsów, którym przez lata nauczył się ufać, postanowił nie jechać prosto do kwiaciarni po zamówiony wcześniej ogromny wieniec, tylko skręcił w prawo, ku Valpantenie, na drogę wiążącą się między wzgórzami, na których rozciągały się rodzinne winnice.

Powyżej Quinto wydostał się z mgły. W wolnym od pracy dniu ruch był niewielki, więc szybko pokonał drogę do Grezzany. W szarym blasku zimowego poranka dolina z zabudowaniami przemysłowymi, ciągnącymi się niczym wstążki, i podrzędnymi osiedlami mieszkalnymi, z których wiele miało niepokojąco angielski nalot, stanowiła dość szpetny widok. Z pewnością nie była to Italia, do jakiej tęsknił, kiedy zdecydował się wżenić w jedną z tutejszych bogatych rodzin. Niejednokrotnie już dyskutował na ten temat z Forbesem: Włosi jako rasa wyraźnie się degenerowali. Nadal kochali i wytwarzali piękne przedmioty (co dla Morrisa było niezmiernie ważne, gdyż niewiele wyobrażał sobie innych powodów, dla których warto byłoby żyć), natomiast zupełnie nie przywiązywali wagi do faktu, że czyniąc to, jednocześnie oszpecają swój kraj. Ponadto samo piękno traktowali nie jako wartość duchową, lecz jako kolejne dobro konsumpcyjne, sprowadzali je do kwestii posiadania krawata czy koszuli od uznanego projektanta oraz odpowiednio umeblowanego domu. Wielu mieszkańców tego kraju nie miało bladego pojęcia o rodzimej sztuce czy dziedzictwie kulturowym. To naprawdę hańba, pomyślał Morris, zjeżdżając z głównej drogi na wysypany żwirem kręty trakt, na którego końcu stały trzy długie, niskie budynki z pustaków, mieszczące wytwórnię, butelkownię i magazyn Trevisan Wines.

Przetrząsnął schowek w drzwiach w poszukiwaniu pilota, wydobył go i długa, niska brama zaczęła się przesuwac z skrzypieniem. Nowy pies zaczął gwałtownie ujadać. Zawsze tak reagował na widok Morrisa, zresztą wszystkie psy szcze-

kały na niego, odkąd tylko sięgał pamięcią. Będzie musiał porozmawiać o tym z Bobem, przekonać go, że trzymanie takiej bestii jest kompletnie pozbawione sensu. Przecież jeśli ktoś zechce się tu włamać, nie będzie miał najmniejszych kłopotów z zastrzeleniem zwierzaka. Na tym przemysłowym zadupiu po godzinach pracy nie było nikogo, kto usłyszałby strzał. Zawsze trzeba brać pod uwagę wszystkie okoliczności.

Chyba że Bobo zabezpieczał się przed wizytami zupełnie innego rodzaju. Wizytami samego Morrisa. Ale to już zakrawałoby na paranoję. W końcu Morris był teraz członkiem rodziny.

Zahamował i wyłączył silnik. Potężny doberman czy co to była za rasa (Morris w najmniejszym nawet stopniu nie interesował się zwierzętami), z ujadaniem doskoczył do samochodu, zupełnie jakby wiedział, że mężczyzna zaraz otworzy drzwi i wysiądzie. Och, na miłość boską! Tego problemu zupełnie nie przewidział. Nie pozwoli jednak, aby podobne głupstwo zmusiło go do zmiany planów. Ponownie uruchomił silnik i podjechał pod drzwi biura, ulokowanego w aneksie na końcu budynku mieszczącego butelkownię. Udało mu się ustawić samochód w odległości nie większej niż sześć cali od drzwi i podczas gdy zajadle szczekający pies usiłował wcisnąć się w wąską szparę, opuścił szybę, wsunął klucz do zamka i przekręcił go dwukrotnie. Następnie odjechał i wolno zaczął okrążyć budynek. Głupi zwierzak puścił się za samochodem, lawirując między zaparkowanymi ciężarówkami i stosami butelek. Na ostatnim zakręcie Morris przyspieszył zniecierpliwiony i przy drzwiach znalazł się z kilkusekundowym wyprzedzeniem, wystarczającym, by wyskoczyć z samochodu i wpaść do budynku. Mocno zatrzaskał za sobą drzwi. Pies szalał. Morris był równie wściekły. Otruje tę bestię, postanowił.

Wokół Werony rozciągały się trzy główne rejony uprawy winorośli: na północy i na zachodzie Valpolicella, dwadzieścia kilometrów na wschód od miasta - Soave, i wreszcie, na północ od wschodnich przedmieść, wciśnięta między tamte dwa, Valpantena. Pierwszych dwóch nie trzeba było reklamować. Morris doskonale pamiętał, że nawet jego ojciec od czasu do czasu kupował butelkę „Suave”, chcąc zaimponować którejś ze swoich dziwek, z którymi się zadawał po śmierci Matki. Pamiętał też, jak on sam podczas rozmaitych snobistycznych imprez w Cambridge wychylał niezliczone kieliszki „Valpolicelly”, nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie właściwie znajduje się ten rejon. Gdyby Trevisani mieli swoje winnice w jednym z tych dwóch okręgów, nie istniałyby żadne przeszkody w wielkim planie ekspansji firmy, jaki marzył się Morrisowi (naczelna zasada: jeśli ktoś już decyduje się na jakieś przedsięwzięcie, a przede wszystkim na przedsięwzięcie o charakterze handlowym, powinien zabrać się za to w wielkim stylu).

Ale Valpantena... Valpantena należała zdecydowanie do drugiej kategorii. Trudno jej było zdobyć certyfikat D.O.C\*<sup>5</sup>. Tamtejsze gleby była zbyt gliniaste, winorośl rosła kiepsko, przez co winom brakowało odpowiedniego bukietu i smaku. W powszechnej opinii uchodziły za zwykłe sikacze, więc ich sprzedaż nieustannie spadała. Odkąd część społeczeństwa, pod wpływem snobizmu rozbudzonego reklamą win markowych, sięgnęła ku wyższym półkom, Valpantene pili już tylko posepni, tego pociągający chłopci, uparcie trzymający się ziemi, skazani na marskość wątroby i coraz nędzniejsze (od czasów Thatcher) europejskie subsydia. W tysiącach zadymionych, wiejskich knajp zapijano Valpantena niekończące się partyjki *briscoli*\*<sup>6</sup>.

Morris często zastanawiał się, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby zamiast Massiminy Trevisan uciekła z nim jedna z córek rodziny Bolla. Pewnie byłby teraz poważanym dyrektorem do spraw eksportu w ogromnej firmie z szeroko rozwiniętą, międzynarodową siecią sprzedaży. Do jego zadań należałoby sponsorowanie niewielkich imprez kulturalnych, warsztatów teatralnych czy lokalnych

---

<sup>5</sup> \* Denominazione di Origine Controllata - kategoria win o zastrzeżonej nazwie miejsca pochodzenia.

<sup>6</sup> \*Briscola - rodzaj gry w karty.



wystaw sztuki etruskiej oraz reklamowanie wysmakowanych publikacji poświęconych fotografii artystycznej. Albo inaczej, gdyby tak uczył angielskiego w ekskluzywnych kręgach Mediolanu (do diabła, miał przecież odpowiednie przygotowanie akademickie)? Wówczas już tylko niebo ograniczałoby jego możliwości: rodziny Berlusconi, Agnelli, Rizzoli, niewyobrażalne bogactwo i *signorilità*\*<sup>7</sup>... Przypuśćmy, że uwolniłby się od podejrzliwych i zdecydowanie opornych Trevisanich. Czy udałoby mu się powtórzyć poprzednią operację, tym razem na hojniej szych i bardziej otwartych przedstawicielach wielkiego przemysłu? Prawdopodobnie tak, pod warunkiem, że przyłożyłby się do tego odpowiednio.

Jednak angażowanie się w sprawy praktyczne zawsze stanowiło jego słaby punkt. Poza stanami wyższej konieczności Morris nigdy nie zaprzętał sobie głowy trywialnymi stronami życia. Często nawet konieczność nie potrafiła go do tego zmusić. O wiele bardziej pociągały go rozważania natury estetycznej czy egzystencjalne dialogi. Jego umysł stanowił niewiarygodnie żyzne podłoże, jednak to, co na nim zasiewał, miało charakter raczej egzotyczny i ozdobny niż praktyczny. Potrafił - z czego był bardzo dumny - zrećcznie przeskakiwać z tematu na temat i czynić niezwykle wnikliwie spostrzeżenia, wielką trudność sprawiało mu natomiast zaplanowanie czegokolwiek dzień albo dwa wcześniej. (Czy kiedykolwiek zaangażowałby się w przedsięwzięcie z Massimi-ną, gdyby miał choćby cień przecucia, czym może się ono zakończyć? Z pewnością nie. Do takiego właśnie przerażającego wniosku doszedł w ciągu ostatniej godziny). Był niczym pisarz, wiecznie zapominający wymyślonego wątku, albo - bardziej trafnie - niczym żalosny oportunist, skrzętnie zbierający z ziemi każdy okruch.

Czyż nie tak przedstawiała się sprawa z jego małżeństwem? Okazja nasunęła się sama. To Paola pierwsza wystąpiła z propozycją, podobnie jak dwa lata wcześniej Massimi-na pierwsza zbliżyła się do niego, a nie on do niej. On tylko chwycił okazję, nie dostrzegając, że tak naprawdę stworzony jest do wyższych celów.

---

<sup>7</sup> \* Elegancja, wytworność.

Oczywiście w przypadku małżeństwa istniały pewne okoliczności łagodzące. Z pewnością niebagatelną rolę odegrała tu euforia wywołana ulgą, że udało mu się wywinąć z policyjnego śledztwa. Niespodziewana propozycja, by towarzyszy! siostrze Massiminy, Paoli, do Anglii, połączona z nastrojem całkowitej niefrasobliwości, miała w sobie posmak przeznaczenia. Płynąc na grzbiecie fali, zaakceptował sytuację bez wahania, a fakt pozostawiania tak blisko - społecznie i emocjonalnie - sceny przestępstwa nappełnił go dodatkowo lubieżnym, perwersyjnym wzruszeniem. Oficjalnie Paola wyjeżdżała na dłuższe wakacje, aby otrząsnąć się po tragedii, jaka dotknęła rodzinę. Morrisowi ów nasycony bogactwem szlachetnych uczuć patos wydał się szczególnie pociągający. Niestety, zbyt szybko okazało się, że prawdziwym powodem angielskiej wyprawy Paoli była jej chęć zejścia na jakiś czas z oczu przyjaciółom po afroncie w postaci kosza od narzeczonego - dentysty.

Kiedy wylądowali na lotnisku i później siedzieli w taksówce (nawiasem mówiąc, w pierwszej taksówce w życiu Morrisa), jej przymilna sugestia, aby zatrzymał się z nią w eleganckim mieszkaniu na Notting Hill, które oddali jej do dyspozycji przyjaciele, była już wyraźną propozycją. Nadal podniecony swoim nowo zdobytym bogactwem (w jego walizce spoczywały certyfikaty na osiemset milionów lirów w euroobligacjach), uśpiony doskonałym *barolo*, które popijali podczas lunchu w samolocie, i absolutnie nieprzeciwny kontynuowaniu doświadczeń seksualnych, które tak wzruszająco opromieniły porwanie Mimi, Morris nawet nie starał się szukać powodów, aby odmówić. Wciąż kontynuował jazdę na grzbiecie fali. Żadna jego decyzja nie mogła być błędna. A już największą zabawę miał pewnego popołudnia, kiedy zaprosił swojego głupiego, zręczliwego, proletariackiego ojca do eleganckiego apartamentu w Pembroke Villas, pełnego perskich kobierców i kotar od Mary Quant. Coś takiego nawet tępogłowy Mr Duckworth musiał uznać za zdecydowany krok w górę (choćby tylko w sensie finansowym).

Niepozabawioną sprytu Paolę szybko zauroczyły swego rodzaju bystrość Morrisa i jego osobliwa, grzeczna sztywność oraz rezerwa, które wydały jej się „straszliwie rajujące” (była przekonana, że są to wspaniale angielskie cechy, zupełnie

nie zdając sobie sprawy z tego, czego z kolei Morris był boleśnie świadom, mianowicie, że Anglosasi to nacja prostacka i brutalna). Mieszkali razem najpierw trzy, potem cztery i wreszcie pięć miesięcy, czerpiąc rozkosz z seksu całkowicie wolnego od jakichkolwiek sentymentalnych komplikacji. Paola nie opanowała ani słowa po angielsku i wydała mnóstwo pieniędzy. W przeciwieństwie do drogiej Mimi podzielała, ba, nawet więcej niż podzielała upodobanie Morrisa do wystawnych potraw oraz drinków i w rezultacie Morris popełnił błąd, po raz pierwszy i - miejmy nadzieję - po raz ostatni w swoim życiu doprowadzając się do stanu niemal ciągłego zamroczenia alkoholem, co bez wątplenia przytępiło jego wrażliwość na inne, mniej pociągające strony osobowości Paoli.

Kiedy wiosną następnego roku wrócili razem do Wioch, okazało się, że w wyniku nieplanowanej ciąży starsza siostra Paoli, Antonella, pośpiesznie szykuje się do ślubu ze szpetnym dziedzicem kurczakowego imperium, Bobem Posenatem albo Poilem (kurczakiem) Bobem, jak go złośliwie nazywała Paola (jedną z niewielu cech, jakie Morris autentycznie w niej lubił, była jej umiejętność czynienia złośliwych, szyderczych komentarzy). Wystawne przygotowania szły pełną parą. Mamma Trevisan była w siódmym niebie, zachwycona korzyściami płynącymi z tego mariażu, najwidoczniej aż nadto przysłaniającymi żalosne okoliczności, w jakich miał zostać zawarty. Pieniądzy najwyraźniej nie oszczędzano. Kupiony został piękny apartament, trwało szycie olśniewających ślubnych kreacji. *Due Toni*, najdroższy hotel w Weronie, został wynajęty na weselne przyjęcie.

Nic dziwnego, że widząc te wszystkie ekstrawagancje, Paola poczuła się zdystansowana przez swoją bezbarwną, głupią starszą siostrę. Z kolei Morris, który jeszcze w Londynie roił niesprecyzowane plany wkroczenia się jakoś do rodziny, poczuł, że jego dawna niechęć do Boba powraca, dwa albo i trzy razy silniejsza niż przedtem. Czyż to właśnie nie ów arogancki, wścibski chłopak był odpowiedzialny za odrzucenie Morrisa, który niczego więcej nie pragnął, tylko móc adorować Massiminę w sposób uświęcony tradycją? Czyż to nie on w rezultacie spowodował, że Morris został przestępcą? Z pewnością nie było też sprawiedliwe to, że ten posepny, naznaczony trądzikiem młodzieniec bez wyobraźni, bez odpowiednich manier, został tak szczerze wyposażony w dobra materialne i władzę. Tak jawna niesprawiedliwość tylko podsyciała apetyt Morrisa na odwet. Obecnie

on sam także posiadał pieniądze wystarczające, by kupić dwa albo nawet trzy apartamenty (dlaczego nie zażądał więcej, kiedy trzymał w ręku nóż?), były to jednak grosze w porównaniu z *miliar-di*, jakimi obracał Bobo i jemu podobni. Co gorsza, na początku Morris musiał być boleśnie ostrożny, tak by nikt nie zauważył, że wydaje pieniądze, których pochodzenia nie mógł przecież wytłumaczyć. Musiał odgrywać biedaka, którym tak naprawdę już nie był. To doprowadzało go do szału. Jednak prawdziwe bogactwo zaczynało się dopiero wówczas, kiedy człowiek zgromadził w swoim ręku środki służące jego wytwarzaniu - pod tym względem Marks miał całkowitą rację. Kilkaset milionów (lirów!) w euroobligacjach wystarczało zaledwie na zrekompensowanie inflacji. Tak więc gdy pewnego wieczoru Paola zauważyła chłodno, że rodzina z pewnością wpadłaby we wściekłość, gdyby ona i Morris włączyli się do zabawy i urządzili podwójny ślub, przytaknął natychmiast, że owszem, taki pomysł z pewnością nie zyskałby aprobaty Mammy. Ponadto, ciągnęła dalej Paola, istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli nie będą uważali, Polio, Bobo, trzymany z dala od rodzinnego interesu, prowadzonego przez ojca i starszego brata, wkreci się w Trevisan Wines, a nawet gorzej, w łaski Mammy, z niewątpliwym zamiarem położenia łapy na firmie i przyłączenia jej do imperium Po-senata. Gdyby natomiast ona i Morris pobrali się, Mamma musiałaby dać Morrisowi jakąś znaczącą pozycję w rodzinnym przedsiębiorstwie.

Oczywiście z perspektywy czasu Morris widział już, jak żalonym i upokarzającym aktem oportunistycznym była zgoda na ten plan. Oznaczała oddanie swojej prywatności komuś, kogo, poza łóżkiem czy rozmaitymi stadiami upojenia (Paola nie stroniła również od marihuany), prawie nie znał, zaangażowanie jego niepospolitego umysłu w promowanie winnic produkującej sikacza, a przede wszystkim (i tu nie było innego wyjścia, jeśli miał zamiar dołączyć do klanu Trevisanich) współpracę z niezaradnym, rozpuszczonym, mięczakowatym młodzieńcem, równie niewartym sprzeciwu Morrisa, jak i jego pomocy.

Ale w końcu człowiek był tylko tym, kim był. Czyż nie to właśnie usiłował wytłumaczyć swojemu ojcu przez ostatnie pięć lat, zużywając niezliczone zwoje

taśm do dyktafonu? Człowiek był tym, kim był. Charakter stanowił jego przeznaczenie. On, Morris, zawsze dokonywał wyborów zgodnych ze swoim charakterem (mimo posiadanych ośmiuset milionów wciąż pełen obaw, że któregoś dnia wyląduje na ulicy). A jeśli ostatnio przestał tłumaczyć się przed ojcem, przez sześć czy siedem lat zapełniwszy całą szufladę kasetami, to czyż nie dlatego, że wreszcie uświadomił sobie, iż dokładnie z tego samego powodu - charakteru, jaki został mu przeznaczony - ojciec i tak niczego nie pojmie z jego tłumaczeń. Głupi stary cap pozostanie głupim capem, i tyle. Nie można oczekiwać po nim, że się zmieni. Z kolei Morris pozostanie Morrisem, zamkniętym we własnej czaszce, we własnej nieodpowiedzialności, aż do gorzkiego końca niedowartościowany, zdesperowany i żaloszny. Mądrość polegała na zaakceptowaniu tego faktu.

Chociaż zdarzały się chwile, w których odbierał życie zupełnie inaczej. Czasami wydawało mu się, że nie istnieje nic, co mogłoby go powstrzymać, że jest zdolny czerpać z życia pełnymi garściami, doskonale się przy tym bawiąc.

Kolejne wydarzenia nastąpiły jedno po drugim, niczym w operze mydlanej. Kupili apartament (za pieniądze Morrisa i na jego nazwisko - pozbawiło go to ponad czterystu milionów, ale za to dało gwarancję, że nie będzie pozostawał na łasce żony). Morris odbył kurs katechizmu dla dorosłych I przeszedł na katolicyzm (co ciekawe, właśnie wtedy po raz pierwszy zetknął się z biedakami z Trzeciego Świata, których los ostatnio coraz bardziej go zajmował). Ustalono datę ślubu - latem - i wszystko szło gładko, kiedy nagle Paola, mimo wysiłków Morrisa zadośćuczynienia lokalnym zwyczajom, z typową dla siebie niefrasobliwością oświadczyła w ostatniej chwili, iż zmienia zdanie, że chce ślubu w magistracie, romantycznie i jednocześnie złowieszczo usytuowanym naprzeciwko grobu Julii. Był to absolutnie zamierzony cios, wycelowany w matkę, kara za jej otwarte podlizywanie się klanowi Posenato i oschłość wobec Morrisa.

W rezultacie pomysł okazał się doskonały. Mamma wpadła we wściekłość (wyobrażając sobie pogardę rodziny Posenato dla lichego „cywilnego” szwagra), a Morris wreszcie miał okazję zyskać nieco w oczach starszej pani, a nawet w oczach żarliwej dewotki (jakoś nie przeszkadzało jej to zająć w ciążę przed ślubem) Antonelli, prezentując się w roli rozsądnego, opanowanego Anglika, za

wszelką cenę starającego się przywołać do opamiętania kapryśną, młodą Włoszkę, Paolę. Plan powiódł się wyśmieniem. Kiedy nadszedł wielki dzień, frustracja Mammy z powodu tego, że tak ją spostonowano, okazała się ponad jej siły i stara dama padła rażona udarem, dokładnie w tym samym momencie, kiedy po podpisaniu dokumentów Morris odwracał się, aby obdarzyć uśmiechem niewielką grupkę przyjaciół Paoli (w tym także zgoła niepożądanego dentystę).

Mamma upadła i została odwieziona na *rianimazione*\*<sup>8</sup>. Usłyszawszy tę nowinę Antonella, pochłonięta ostatnią przymiarką sukni ślubnej przed własną ceremonią, która miała się odbyć dwie godziny później, zbiegając w pośpiechu po schodach, potknęła się o tren. Panika, wzywanie karetki, jazda do szpitala i w efekcie poronienie. Kiedy Morris usiłował wyrazić Bobowi swoje najszczerze kondolencje (na miłość boską, odwołał przecież lot na Azory, gdzie planowali z Paolą miesiąc miodowy), niemiły młody werończyk popatrzył na niego z tak chmurną miną, jakby obarczał go winą za całe nieszczęście. Ludzie doprawdy nie znają umiaru w szukaniu wszędzie kozła ofiarnego. Morris szlachetnie postanowił nie żywić do chłopaka urazy. Może z czasem, wbrew wszystkim okolicznościom, uda im się nawet zaprzyjaźnić.

Po trzech miesiącach intensywnej terapii Mamma wciąż nie odzyskiwała władzy w lewej połowie ciała. Bobo, bez żadnych instrukcji czy poleceń, po prostu przejął Trevisan Wines i dopiero po kilku gwałtownych kłótniach z Paolą zaproponował Morrisowi otworenie małego biura firmy w mieście. Oczywiście Morris powinien odmówić. Absolutnie nie był stworzony do handlu. Obdarzony delikatną osobowością estety, bynajmniej nie pragnął angażować się w harmider towarzyszący biznesowi. Powinien był raczej zostać fotografem, projektantem mody czy krytykiem teatralnym. Ale tkwiący w nim oportunistą nie pozwolił mu odmówić, być może dlatego, że gdzieś w zakątku swojego umysłu zawsze pragnął być kimś innym, niż był, zawsze chciał zadowolić zarówno grubiańskiego ojca, jak i delikatną matkę. Przed wszystkim jednak pragnął stać się Włochem,

---

<sup>8</sup>\* Pogotowie.

członkiem prawdziwej włoskiej rodziny, a ponadto coś go dziwnie przyciągało do skwaśniałego Boba. Albo uda mu się sprawić, że chłopak go polubi, albo ukarze go za brak sympatii. W rezultacie wylądował w niewielkim pokoiku w centrum miasta, dwa metry na dwa, z poleceniem znalezienia nowych klientów dla firmy, o której nie miał pojęcia. To było sześć miesięcy temu.

Morris zatrzasnął drzwi tuż przed nosem szalejącego psa. Znajdował się w małym, ponurym pomieszczeniu, którego nic nie było w stanie ożywić - z pewnością nie tanie, szare, metalowe biurko czy też dziesiątki szafek z kartotekami, komputer, zasmarowane okna z przygnębiającym widokiem na dwie wielkie ciężarówki zaparkowane między przykurzonymi drzewami, półki zastawione podręcznikami winiarstwa czy wreszcie stosy broszur reklamujących Trevisan Wines (wydane w 1973 roku, z wciąż niewyczerpanym nakładem). Jedną z pierwszych rzeczy, jakie uczynił po rozpoczęciu pracy w firmie, było przejrzanie angielskiej wersji broszury, która oznajmiała niczego niepodejrzewającym nabywcom, że „zrodzony na idiotycznej [!] glebie, słynny produkt wyśmienitej winiarni, prawdziwy nektar z przedalpejskich zboczy nie zadowolić wyrafinowanych gustów paletą smaku i nęcącego zapachu”. Propozycja Morrisa, aby przeredagować cały tekst, spotkała się ze sceptycyzmem. Firma miała tylko nielicznych zagranicznych odbiorców, w tym żadnych w Anglii, a skoro tak, szkoda nawet inwestować w koszty druku. Tak więc stosy broszur nadal zalegały wszędzie zakurzone, nieużywane i bezużyteczne. Jediną nową rzeczą w pomieszczeniu był lichy, pornograficzny kalendarz, prezent wytwarzającej butelki firmy Fratelli Ruffoli, opatrzony sloganem, że producent pragnie przedstawić swoje wyroby w bezpośredniej bliskości tego, co dla większości mężczyzn stanowi największe źródło przyjemności. Naprzeciw kalendarza, nad drzwiami wiodącymi do pomieszczeń, gdzie butelkowano wino, wisiał niewielki, plastikowy krucyfiks. Dla Morrisa obie te ozdoby były w równie złym guście.

Uznawszy, że ma jakieś pół godziny, włączył stojący na biurku dyrektora produkcji komputer i zaczął otwierać kolejne dyskietki, znalezione w górnej szufladzie. Niestety, nie miał żadnego doświadczenia w posługiwaniu się komputerami,

ani też nie czuł potrzeby zdobywania takowego, tak więc okazało się, że kiedy wreszcie natrafił na plik *Salari e stipendi*<sup>\*9</sup> 1990, nie potrafił go otworzyć. To było doprawdy irytujące. Akurat takie informacje powinny być dostępne każdemu członkowi rodziny. Plik na innej dyskietce obiecywał powiedzieć mu coś o *Fornitori - uva/vini*, ale znowu nie potrafił dostać się do jego zawartości. Już w samym tytule kryło się coś dziwnego: *Dostawcy - grona/wina*. Morris zapatrzył się w nieprzyjemnie migocące zielone litery i irytująco drgający kursor, zdający się raczej hipnotyzować niż zachęcać. Dostawcy?

- *Ciao* - odezwał się czyjś głos. Morris zakreślił się w obrotowym krześle.

- *Ciao* - powiedział serdecznie - *Benvenuto*. Jak się miewasz?

- Dziś jest święto - oznajmił Bobo. - A to nie jest twoje biuro.

- Odrabiam pracę domową - zażartował Morris. - Trudno jest promować firmę, o której nie wie się zbyt wiele. Na ten tydzień szykuje mi się spore zamówienie i chciałem się upewnić, czy damy radę je zrealizować.

- Pytaj więc. - Bobo przysiadł na skraju biurka, wyciągnął rękę i wyłączył komputer. Morris ze zdumieniem zauważył, że chłopak jest mocno spięty, niemal dygoce ze zdenerwowania. Nastawiło go to do niego bardziej przyjaźnie.

- Nie chciałem wyjść na głupca - powiedział. - Wiesz, ciągle biegać do ciebie z pytaniami. I bez tego masz dość roboty.

Powtórzył wszystko, co wielokrotnie mówił wcześniej, że bardzo mu imponuje sposób, w jaki Bobo prowadzi interesy, a dorastanie w rodzinie posiadającej rozległe przedsiębiorstwo z pewnością musiało mu w tym pomóc, podczas gdy on, Morris, zmuszony jest uczyć się wszystkiego praktycznie od podstaw. Bobo jakby trochę się odprężył.

- Jak duże jest to zamówienie?

---

<sup>9</sup>\* Pensje i pobory.



- Cztery tysiące skrzynek - powiedział Morris łagodnie. - Dla Doorways, angielskiej sieci supermarketów.

- Cztery tysiące? Nie damy rady.

- Wiem - zgodził się Morris. - A gdybyśmy tak dokupili?

- Polityką firmy jest nie dokupować.

Morris obdarzył swojego partnera promiennym, lekko tylko badawczym spojrzeniem, dając mu pełne trzydzieści sekund na zwrot i zmianę halsu.

- Ach - westchnął.

Ogarnięty nagłym pragnieniem okazania przyjaźni i zyskania zaufania w zamian za obdarzenie zaufaniem (dlaczego nie mieliby zostać przyjaciółmi - czy naprawdę byli aż tak do siebie niepodobni?) z całą prostodusznością (czasami lubił myśleć o sobie jako o kimś prostolinijnym i autentycznie szczodrym) zaczął objaśniać swój plan. Czy Bobo zdaje sobie sprawę z tego, że miasto pełne jest nielegalnych imigrantów? Siły roboczej najtańszej z możliwych? I nie są to bynajmniej ludzie niecywilizowani, skądże znowu, zwłaszcza Senegalczyki, u siebie w kraju zapewne przedstawiciele górnych warstw klasy średniej, grzeczni, uczciwi, pracowici, niepozbawieni inteligencji. Gdyby tak zatrudnić w Trevisan Wines paru takich ludzi, zupełnie nieformalnie, przy butelkowaniu i pakowaniu sikacza, który można kupić dosłownie wszędzie - mój Boże, przecież ten kraj dosłownie służył winem, którego nikt nie chciał pić - wówczas on, Morris, upchnąłby większość towaru na brytyjskim rynku, a klienci nawet nie poznaliby różnicy między tym, co pijali do tej pory, a tym, co teraz przyszłoby im pić, jeśli Bobo rozumie, co chciał przez to powiedzieć. A nawet jakby coś zaszwankowało, dla firmy nie byłby to żaden wielki kłopot; imigranci rozpląnęliby się równie szybko, jak się przedtem zmaterializowali. W połowie swojej przemowy uświadomił sobie, że Polio Bobo jest przekonany, że on żartuje. Albo kłamie. Na nieruchomej twarzy szwagra niedowierzanie i podejrzliwość występowały mniej więcej w równych proporcjach.

- Ale widziałeś ich na ulicach? - zakończył.

- *Certo*<sup>\*10</sup>. Nagabywali mnie o kupienie zapalniczek, pirackich kaset i tego typu rzeczy.

- Po prostu chciałbym im jakoś pomóc - powiedział Morris z prostotą, a potem, czyniąc celowo brutalną aluzję do ich pierwszego spotkania, kiedy pojawił się w domu Trevisanich jako ewentualny *fidanzato*<sup>\*11</sup> Mimi, dodał: - Sam byłem tu obcy i wiem, jak to jest, kiedy wszyscy traktują cię podejrzliwie.

Popatrzył prosto w rybie oczy Boba. W jego spojrzeniu było czyste wyzwanie, którego szwagier nie mógł nie rozpoznać.

---

### 3

---

Signora Trevisan siedziała w fotelu na kółkach, z kącikiem ust drgającym nieprzyjemnie w ciągłym tiku. Morris musiał teraz wybrać między popychaniem wózka a niesieniem odebranego wcześniej olbrzymiego wieńca. Czy rodzina nie wyobrazi sobie na przykład, że kwiaty kupiła Paola? Ludzka niedomyślność do prawdy nie znała granic. Czasami okazywało się to bardzo przydatne, ale czasami wręcz przeciwnie.

Mgła przemieniła się w deszcz, parking przed cmentarzem był zastawiony samochodami. Antonella bezskutecznie zmagiła się z blokadą przy kołach wózka, nie potrafiąc jej zwolnić. Bobo przetrząsał kieszenie szytego na miarę garnituru w poszukiwaniu pilota do audi 100. Nagle Morris znalazł rozwiązanie swojego problemu. Wystąpił kilka kroków do przodu.

---

<sup>10</sup> \* Jasne.

<sup>11</sup> \* Narzeczony.

- Mogę? - zapytał, kładąc wieniec na kolanach Signory Trevisan. - Pomyślałem, że może zechciałaby pani położyć go na grobie Mimi.

Nie próbując nawet rozstrzygnąć, czy skrzywienie warg to grymas uśmiechu, czy niezadowolenia, pochylił się i zwolnił blokadę hamulca. Przecież gdyby ta kobieta o sztywnym karku od samego początku przyjęła go do rodziny, Mimi nigdy nie spotkałby taki koniec, nie byłoby żadnego ślubu w magistracie, gdyż Mimi nie zgodziłaby się na nic skromniejszego niż *Il Duomo*\*<sup>12</sup>. Co za tym idzie, nie byłoby też udaru ani zmarłej do odwiedzania. Po prostu szliby teraz godnie, ramię przy ramieniu, aby położyć parę obowiązkowych chryzantem na grobie starego Signora Trevisan, nieżyjącego już od piętnastu lat albo i dłużej.

Przez bramę flankowaną ciężkimi, zakapturzonymi statuami i zwieńczoną łukiem z pocieszającym napisem *RESUR-RECTURiS* przelewały się tłumy. Nieskazitelnie ubrani ludzie kroczyli powoli pod ciemnymi parasolami, ścisząc głosy podczas witania się ze znajomymi i mamrotania odpowiednich komunałów. Sztywna symetria portyków i stonowane kolory stanowiły ucztę dla oka. Nisze grobowe w ścianach tonęły w kwiatach i wszędzie rozlegał się przyjemny odgłos drogich, skórzanych butów szurających po wyłożonych lokalnym kamieniem alejkach.

Morris poczuł, że ogarnia go uczucie wewnętrznego zadowolenia i spokoju. Uświęcony tradycją rytuał był taki wzniosły, taki stosowny. Gdzie w ponurej, pragmatycznej, starej Anglii człowiek mógłby napotkać równie wzruszającą wspólnotę żywych i umarłych, zmysłową mieszaninę wytwornych futer i gładkich marmurów, wszystkich mieszkańców zebranych w jednym miejscu, by oddać hołd przodkom, którzy zgromadzili fortuny, a potem odeszli z godnością? Angielski zięć, Morris, z całą delikatnością prowadził wózek Signory Trevisan w dół trawertynowymi stopniami, gdzie na pompatycznych grobowcach rodzinnych rywalizowały ze sobą alabastrowe Madonny, Anioły Stróże i kamienne krucyfiksy. W przypiływie zadowolenia z siebie odwrócił się i obdarzył czułym uśmie-

---

<sup>12</sup> \* Katedra.

chem Polla Boba. Wyraz nagłej konsternacji na woskowej twarzy chłopaka sprawił mu prawdziwą radość. Czyżby szwagier podejrzewał go o homoseksualizm?

Nabożna Antonella dostrzegła ten uśmiech i odpowiedziała mu uśmiechem, wyrażającym stosowny do okoliczności smutek, złagodzony pociechą czerpaną z religii. Czyżby znowu była w ciąży? Czyżby szykował się dziedzic fortuny Trevisanich? To byłoby doprawdy niekorzystne. Dzieląca z mężem parasol Paola gładziła lewą połę futra, sprawdzając, czy się nie zamoczyło. To prawda, że futro kosztowało dziesięć milionów, więc należało o nie dbać, bywały jednak momenty, kiedy odpowiednie zachowanie liczyło się o wiele bardziej. Skręcając wózkiem w wąską alejkę wysypaną białym żwirem, Morris dał żonie mocnego kuksańca w bok.

*NON FORTUNA, SED LABOR*<sup>\*13</sup>, głosiły złote, wysokie na sześć cali litery, osadzone w białym karraryjskim marmurze. Anioł nad nimi też z pewnością nie był tani. Vittorio Trevisan bez wątpienia ciężko „zapracował” sobie na zawał. Obecnie spoglądał na nich z wyblakłej, owalnej fotografii, wprawionej w marmur: szacowny mężczyzna z kwadratową szczęką i szyją opiętą kołnierzykiem, pod którym tkwił zbyt ciasno zawiązany krawat. Wybór czarno-białego zdjęcia prawdopodobnie został podyktowany tym, że lepiej niż kolorowa fotografia maskowało ono nabrzmiałe żyły. Morris uśmiechnął się do własnej domyślności. Z pewnością napis *NON CALAMITAS, SED VINUM*<sup>\*14</sup> trafniej charakteryzowałby zmarłego. Opuszczając hamulec wózka Signory Trevisan, wystąpił spod trzymanego przez Paolę parasola, wyjął z kieszeni płaszczą czerwoną chusteczkę i starannie wytarł krople deszczu, znaczące wizerunek jego przebywającego w zaświatach teścia. Jeśli ten gest także nie wywołał aprobowanego skinienia głowy starej wiedźmy, równie dobrze może odpuścić sobie dalsze starania. Ta rodzina doprawdy nie zasługiwała na nie.

---

<sup>13</sup> \* Nie majątek, lecz praca.

<sup>14</sup> \* Nie klęska, lecz wino.

Morris doskonale znał prawdziwy powód, dla którego jego serce uderzało teraz tak mocno. Po drugiej stronie grobu spoczywała Massimina. Jedyna kobieta, która go kiedykolwiek kochała, jedyna, którą on kochał. Tymczasem życie zmusiło go do... nie, nie wolno mu o tym myśleć. Nie wolno mu roz-grzebywać przeszłości ani płakać nad rozlanym mlekiem. Z drugiej strony jednak, kiedy mleko się rozleje, co innego pozostaje człowiekowi, jak nie zapłakać nad nim? Przez moment poczuł strach przed spojrzeniem na fotografię. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Konfrontacja. W obecności całej rodziny. Czy twarz nie zdradzi go w jakiś sposób? A może wybuchnie płaczem? Doprawdy powinien był przyjść tu już dawno temu, samotnie, zmierzyć się z problemem, zobaczyć, jakie zdjęcie wybrali. Niemal w tym samym momencie niepokój ustąpił. Jutro w galerii Uffizi będzie mógł kontemplować transformację Massiminy w sztuce. Dziś musi odcierpieć kontakt z bezpośredniością fotografii. Niech tak będzie.

Widok zmarłego męża wywołał gwałtowniejszy tik u Signory Trevisan. Kiedy usiłowała coś powiedzieć, kącik jej ust wykrzywił się obscenicznie. W usytuowanym nieco wyżej portyku dwie starszuszki głośno wyklinały konieczność wspinania się na drabinę, jeśli ktoś chciał złożyć kwiaty w którejś z nisz górnego rzędu. Najwyraźniej Paola nie była tu jedyną, której brakowało wyczucia sytuacji. Antonella wystąpiła do przodu, rozwijając bukiet przeznaczony do wazonu stojącego obok fotografii ojca. Pochyliła się, a jej drobne, blade dłonie poruszały się szybko, usuwając szpilki z celofanowego opakowania. Stając ponownie za Signorą Trevisan, Morris skupił wzrok na szwagierce, usiłując uspokoić rozszalałe serce. Zmuszał się, żeby nie odrywać oczu od tego obrazka idealnej pobożności i oddania: pochylone plecy młodej kobiety w białym futrze z fok na tle zmoczonego deszczem grobowca, szybkie ruchy dłoni układających kwiaty. Palce Antonelli były podobnie pulchne i delikatnie zaróżowione jak palce Massiminy. Być może on, Morris, oceniał swoją szwagierkę zbyt surowo? Może gest Antonelli nie był przejawem czystej hipokryzji, lecz stanowił autentyczny kulturowy rezonans, świadczył o godności przynależnej jej rasie? Jednostka obdarzona

inteligencją zawsze jest skłonna zrewidować swoją opinię, *n'est-ce-pas*\*<sup>15</sup>? Paola wyszeptała mu wprost do ucha:

- *Cristo santo*\*<sup>16</sup>, Mo, przepchnij wózek z Mammą na drugą stronę, kładź wieńiec i zbierajmy się stąd. To miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

Koła wózka zaskrzypiały na kamykach. Dreszcz przybrał na sile. Morris po raz pierwszy odwiedzał cmentarz z resztą rodziny. W ubiegłym roku podczas / *morti* on oraz Paola przebywali jeszcze w Londynie. Co ciekawe, o Mimi myślał teraz częściej niż dawniej. O wiele częściej. Zupełnie jakby jego żałoba zaledwie się rozpoczęła. Dopiero teraz zapragnął zobaczyć jej grób. Dopiero teraz był gotów spojrzeć w twarz prawdzie: kochał Massiminę i utracił ją, pozwolił, aby jej życie prześliznęło mu się między palcami czy też raczej - odrzucił je brutalnie. Czasami jakimś wewnętrznym zmysłem tak intensywnie odczuwał przy sobie obecność dziewczyny, że musiał przygryzać język i zaciskać dłonie w pięści. Był skłonny uznać, że ten nowy, osobliwy stan jego umysłu stanowi zapowiedź czegoś niepokojącego. W tej chwili był niewiarygodnie zdenerwowany i podniecony. Jaką fotografię wybrali? Jaki efekt wywrze ona na nim? Kątem oka zauważył, że Bobo zerka na zegarek.

Musieli przeczekać, aż minie ich staruszek o lasce, po czym Morris przejechał wózkiem na drugą stronę grobowca. Specjalnie nie patrzył w dół, na fotografię. Uniósł wzrok ku górze, ku posągowi anioła, banalnej, przesłodzonej postaci z ciała i piór, której twórca chyba nie do końca wiedział, jak połączyć jedno z drugim. Usłyszał, jak Antonella mówi:

- Może była za dobra dla tego świata. - Ciężkie westchnienie. - Zawsze taka niewinna.

Bobo wymamrotał w odpowiedzi jakiś stosowny komunał.

- *Povera Mimi*\*<sup>17</sup> - dorzuciła Paola mechanicznie.

---

<sup>15</sup> \* Czyż nie?

<sup>16</sup> \* Jezu święty.

Signora Trevisan, co trzeba przyznać jej na plus, szlochała bezgłośnie. Stali w deszczu, publicznie okazując zmarłej swój szacunek, podczas gdy inni ludzie wymijali ich powoli. Morris pozwolił wzrokowi powędrować nieco w dół, na inskrypcję. BÓG DAŁ, BÓG WZIAŁ. Wyjątkowo odpowiednie. Paola zarzucała mu często, że do wszystkiego ma krytyczny stosunek. Nie miała racji. Bóg dał, Bóg wziął.

Akceptując prostotę tego przesłania, człowiek przestawał czuć się winny. Pojawienie się, zniknięcie, naturalna kolej rzeczy.

Szelest zgniatanego celofanu przypomniał mu, że Signora Trevisan zмага się z leżącym na jej kolanach wieńcem, usiłując wychylić się do przodu w swoim wózku. Ciągłe nie patrząc na fotografię, Morris obszedł wózek dookoła, odebrał z rąk teściowej kwiaty, przekroczył nisko zawieszony łańcuch, trzymający przechodzących alejką w należytej odległości od grobowca, i pochylił się nad płytą.

I oto zobaczył Massiminę oddaloną od niego zaledwie o kilka cali, blisko, intymnie, podczas gdy jego twarz była bezpiecznie skryta przed wzrokiem innych. Po raz pierwszy od tamtego dnia, kiedy opuścił przycisk do papieru na jej drodze czaszkę, spoglądał w jej oczy. Rodzina wybrała tę samą fotografię, jaka pojawiała się w gazetach po jej zaginięciu: intensywna czerń włosów, świetlista, kremowa cera, poznaczona piegami, ogromne, orzechowe oczy, promienny uśmiech. Natychmiast powróciło dawne uczucie. Byli kochankami, a jej bliscy nie aprobowali go. Między nimi nadal istniała więź. Porwany gwałtowną falą emocji, zrozumiał nagle, ile tragizmu kryła jego postać. Musiał walczyć z napływającymi łzami. Gdyby tylko dała mu jakiś znak, że mu wybacza!

Usłyszał, jak za jego plecami Bobo odzywa się z powagą:

- Czasami obwiniam samego siebie o to, co się stało. Powinienem był przewidzieć, że coś takiego może się wydarzyć.

- *Caro*<sup>\*18</sup> - zareagowała natychmiast Antonella - przestań się już zadrećzać. Kto mógłby przypuszczać?

Morris ostrożnie położył wieniec, tak że płatki kwiatów niemal muskały policzek Massiminy. Już miał się wyprostować, kiedy martwa dziewczyna nagle puściła mu oczko. Zamarł. Nie, to nie mogło być złudzenie. Dokładnie tak samo mrugała do niego, kiedy jeszcze była jego uczennicą i kiedy w klasie ich spojrzenia się spotykały. Jedyna uczennica, która kiedykolwiek puściła mu oczko. Podobnie wabiła go na Sardynii, mrugnięciem, po którym nieodmiennie następowały słowa: „Chodź, Morree, *per favore*<sup>\*19</sup>, pokochamy się”.

Massimina mrugnęła ponownie. Z otoczonej owalną, żałobną ramką fotografii, osadzonej w marmurze, pod którym jej drogie ciało pewnie dawno już rozłożyło się w trumnie, dziewczyna puszczała mu oczko.

- *O Dio Santo*<sup>\*20!</sup> - zawołał chrypliwie kobiecy głos za nim.

A więc widzieli to także! Morris odwrócił się gwałtownie, czując w całym ciele nagły, zdradliwy przypływ gorąca. Krew napłynęła mu do twarzy, pośladki zacisnęły się. Teraz był gotów się bronić. Odwracając wzrok, napotkał pełne grozy spojrzenie Signory Trevisan. Głowę miała nienaturalnie przekrzywioną na jedną stronę, z gardła wydobywał się głośny świst.

- *Un dottore* - krzyczała Antonella. - Bobo, *un dottore*.

Ale ani wiecznie skwaszony dziedzic kurczakowego imperium, ani stojąca obok niego elegancka Paola nie poruszyli się nawet. To on, angielski zięć Morris Duckworth, popędził wzdłuż portyku, krzykiem wzywając pomocy, co do której każdy w głębi serca żywił nadzieję, że nadejdzie zbyt późno.

---

<sup>18</sup> \* Kochanie.

<sup>19</sup> \* Proszę.

<sup>20</sup> \* Boże święty!



---

Forbes siedział wtulony w białą skórę siedzenia dla pasażera, mrużąc oczy przed blaskiem bijącym od autostrady, podczas gdy Morris próbował wytłumaczyć mu problem imigrantów. Po raz pierwszy zetknął się z nimi na lekcjach katechezy dla dorosłych, gdzie przychodzili przymilać się do lokalnego proboszcza w nadziei, że uda im się zdobyć miejsce w którejś z prowadzonych przez kościół noclegowni. Widywał ich też w kolejkach w urzędzie zajmującym się ubezpieczeniami zdrowotnymi dla cudzoziemców. Za każdym razem był wstrząśnięty sposobem traktowania czarnych i parę razy ostro zwrócił uwagę urzędnikom. Zrodzona z samozadowolenia arogancja i manifestowanie osiągniętej pozycji oraz względnej zamożności niczym niemaskowanym poczuciem wyższości budziły w nim prawdziwe oburzenie. Podobnie reagował Polio Bobo, z którym przyszło mu współpracować -dla niego też liczyły się wyłącznie urodzenie i pozycja, a nie wspólnota celów czy zapatrywań. Ale problem imigrantów polegał na czymś więcej, tylko że to było niezmiernie trudne do wytłumaczenia. Patrząc na nich, człowiek odnosił czasami wrażenie, że w gruncie rzeczy oni nie cierpią, a nawet, że brak im dostatecznej wrażliwości, by odczuwać cierpienie. Czasami dochodził wręcz do wniosku, że imigranci nie zasłużyli sobie na to, aby istnieć. Gdyby nagle wszyscy zniknęli, świat bez wątpienia stałby się lepszym miejscem. Tymczasem w Senegalczykach i Ghańczykach, z którymi zdarzało mu się rozmawiać, było wiele cichej godności. Z tyloma przeszkodami musieli się borykać, a przecież nigdy się nie skarżyli. Cechowała ich ta wysublimowana rezygnacja, jaką widywało się u ludzi stojących w kolejkach po żywność w Etiopii albo na *Ukrzyżowaniach* Giotta. Było to niemal piękne.

---

- Chciałbym im w jakiś sposób pomóc - po prostu zakończył Morris.

Forbes nawet nie drgnął. Miał na sobie ten sam co zwykle szary garnitur, białą koszulę i kwiecisty krawat. Jego zwrócona w bok twarz sprawiała wrażenie powierzchni, którą należałoby raczej odkurzać niż golić. W głębokich zmarszczkach z pewnością zbierał się brud. Miękkie, siwe włosy prawdopodobnie były uperfumowane.

- Zawsze myślałem, że jeśli kiedykolwiek dorobię się pieniędzy, użyję ich, aby pomagać drugim.

Wypowiadając te słowa, Morris poczuł radość, gdyż słyszał w nich echo głosu Matki i jej ustawicznego zaangażowania w działalność charytatywną lokalnego kościoła, którą ojciec tak pogardzał, choć dzięki niej zyskiwał swobodę uganiania się za innymi kobietami, kiedy jego żona pomagała niepełnosprawnym albo zbierała datki na niewidomych. Także Massimina angażowała się w akcje *Giovanni cattolici*<sup>\*21</sup>, zanosila biednym używaną odzież i tak dalej. Tak, Massimina była pracowitą dziewczyną, pełną dobrych intencji, jedną z tych cichych-którzy-odziedziczka-ziemię. Massimina z pewnością nie wylegiwałaby się w łóżku, paląc rothmansy, kiedy miałyby się przygotowywać do końcowego egzaminu na uniwersytecie. Morris poczuł nagle, że ogarnia go gniew. Ale kiedy odezwał się ponownie, w głosie nie zabrzmiał nawet najmniejszy jego ślad.

- Kiedy zatrzymuję się na światłach, a oni doskakują, aby oczyścić mi szyby, zawsze dają im parę tysięcy lirów. Czuję jednak, że to za mało. Parę tysięcy lirów w żaden sposób nie rozwiąże problemu.

Nawet kilka milionów byłoby za mało, pomyślał. Tak naprawdę pomoc mogła tylko praca, stanowiąca stałe źródło dochodu. Tymczasem jego żona lekką ręką odrzucała karierę architekta i wszystkie związane z nią profity. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo był z tego powodu wściekły.

---

<sup>21</sup> \* Młodych katolików.

- Tak więc przyszło mi do głowy, że może udałoby się nam włączyć tamtych biedaków w pański mały projekt - zakończył z całkowitym spokojem. Forbes wreszcie otworzył oczy i poprawił się w siedzeniu.

- Cóż, Morris, przepraszam, ale...

Jednak Morris, powodowany nagłym impulsem, sięgnął po słuchawkę telefoniczną przy tablicy rozdzielczej. Nacisnął pojedynczy przycisk, a aparat sam wybrał z pamięci cały numer.

- Przepraszam, zaraz wrócimy do naszej rozmowy - powiedział do Forbesa i w tej chwili poczuł ukłucie lęku, że może poirytował starszego pana, którego kultury potrzebował jako środka uspokajającego rozszalały umysł. Przytrafiające mu się coraz częściej zaburzenia koncentracji były niezmiernie denerwujące.

Telefon zaczął dzwonić. Zbliżali się do rozjazdu na Florencję Rzym z prędkością 130 kilometrów na godzinę, czyli dokładnie taką, jaka była dozwolona. Jadący ściśle według przepisów Morris trzymał lewą rękę na kierownicy, podczas gdy w drugiej ścisnął słuchawkę zaprojektowaną przez Valentino. Usłyszał niewyraźne „*Pronto*”. Paola widocznie coś jadła.

- To ja - powiedział Morris i zaraz dodał formułę, którą nigdy dotąd się nie posłużył: - Twój mąż.

- Stało się coś?

Morris pozwolił sobie na króciutką pauzę, po czym rzekł pełnym zatroskania głosem:

- Chciałem się dowiedzieć, co z Mamma.

- Pojęcia nie mam. Nikt nie dzwonił dziś rano.

- Wybierasz się do szpitala?

- Nie, to i tak nie ma sensu, skoro jedyne, co człowiek może zrobić, to popatrzeć przez szybę.

- No tak.

Wymijał właśnie wolno poruszającego się na środkowym pasie fiata, kiedy za nim pojawił się pędzący z niedozwoloną prędkością saab, agresywnie błyskając światłami. Morris natychmiast zwolnił, przystosowując swoją prędkość do jadącego równolegle fiata.

- W takim razie, *cara*, możesz pojechać na egzamin. O której godzinie ma się odbyć? O drugiej?

Samochód za nim zaczął trąbić. Morris leciutko nacisnął na hamulec. Wspaniale było dysponować taką podzielnością uwagi, która pozwalała mu koncentrować się na dwóch rzeczach jednocześnie. A właściwie nawet na trzech, gdyż równolegle przez cały czas zastanawiał się, jak najlepiej zaprezentować swój wspaniały pomysł Forbesowi.

- Mo, *per l'amore di Dio*<sup>\*22</sup>, jak miałabym pójść zdawać egzamin, skoro moja matka może w każdej chwili umrzeć? Nie potrafiłabym się skoncentrować.

Sądząc po dźwiękach rozbrzmiewających w tle, jakoś potrafiła skoncentrować się na porannym programie telewizyjnym. Jednym z lokalnych kanałów reklamujących futra, biżuterię, bieliznę i rowery górskie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Klakson z tyłu brzmiał teraz nieprzerwanie. Morris na zmianę przyciska! to pedał gazu, to hamulec. Idiota za nim pewnie już mu wygrażał. Pierwszy ze znaków sygnalizujących skrzyżowania wybiegł im na spotkanie.

- Cóż, *cara*, zrobisz, jak zechcesz. - Dawno już nauczył się, że próby przekonania innych, by postępowali w najkorzystniejszy dla siebie sposób, nie przynoszą żadnego efektu.

---

<sup>22</sup> \*Na miłość boską.

Zupełnie nieoczekiwanie jego żona powiedziała jednak:

- Gniewasz się, Mo?

Głos miała tak słodki, że omal przestała zauważać to, co działo się na drodze.

Z pewnym wysiłkiem zmusił się do koncentracji.

- *Cara*, chciałem dla ciebie jak najlepiej, i to wszystko.

Kiedy pędzący saab niemal całkowicie wypełnił tylne lusterko, Morris mocno nacisnął pedał hamulca i energicznie skręcił w prawo, prześlizgując się między fiatem a jadącym za nim vanem na środkowym pasie, a potem między dwiema ciężarówkami wiozącymi żywy inwentarz na pasie skrajnym, by w końcu wpaść na ostro skręcający zjazd. Forbes skrzywił się boleśnie, ale Morris był pewien, że na twarzy starego człowieka maluje się jednocześnie podziw dla jego zręczności. W końcu nie naruszył żadnego z przepisów. Po prostu udzielił temu wieprzowi z tyłu lekcji jazdy. Jednocześnie przez cały czas nie przestał rejestrować słów sączących mu się wprost do ucha.

- Bo widzisz, Mo, wydaje mi się, że powinnam być w pobliżu. Nie chciałabym, aby coś dziwnego przydarzyło się testamentowi Mammy albo żeby odzyskała przytomność i sporządziła nowy. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Nie podobał mi się wczorajszy wyraz twarzy Boba.

O tym nie pomyślał. Natychmiast zwolnił i jechał, nie spuszczać wzroku ze znaków drogowych. Człowiek wyobraża sobie, że jest taki mądry, że wszystko przewidział, tymczasem okazuje się, że prosta dziewczyna wyprzedza go o całe lata świetlne, a on sam uświadamia sobie, że jest tylko żalonym, nieskończenie naiwnym amatorem. Ale przecież nie był w stanie przewidzieć wszystkich niegodziwości, do jakich zdolni byli inni. Nakłaniać starą kobietę na łożu śmierci do zmiany testamentu, do czego to dochodzi!

- Zadzwoń do ciebie później - powiedział krótko.

Ale Paola nie chciała jeszcze kończyć rozmowy. Jej głos zmienił się znowu, teraz był niski i kuszący.

- Jesteś sam, Mo?
- Oczywiście. Z kim niby miałbym być?
- Mmm.

Chwila ciszy. Forbes ponownie zapadł się w siedzenie, z cieniem uśmiechu na arystokratycznej twarzy.

- Zrobisz coś dla mnie? - Głos Paoli brzmiał uwodzicielsko, niemal wulgarnie. Zawstydzony Morris mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

- Co takiego?

- Czuję się taka... mmm - ciągnęła Paola. - I jestem sama. Wiesz, co mam na myśli?

Wiedział.

- Gdyby tak ktoś bardzo słodki kazał mi rozpiąć spodnie i zrobić to, na co on sam także miałby ochotę, myślę, że usłuchałabym.

Morris przymknął oczy, po czym otworzył je natychmiast, przypominając sobie, że przecież wjeżdżają na kolejną autostradę węzła florenckiego. Jego ciało ogarnęło pełne podniecenia gorąco. Jednocześnie jednak poczuł zdecydowany niesmak. Jeśli nie zachowa ostrożności, stanie się nikim więcej jak seksualną zabawką w rękach Paoli.

- Gdybyś zatrzymał się na chwilę, mały Mo mógłby także posłuchać. W końcu czemu mają służyć telefony w samochodach?

- O dziesiątej trzydzieści mam spotkanie z klientem. Już jestem spóźniony.

- Och, przestań, Mo, *sil dolce*\*<sup>23</sup>.

- Nie mogę, *veramente*\*<sup>24</sup>.

---

<sup>23</sup> \* Taki słodki.

<sup>24</sup> \* Naprawdę.

-*Antipatico*\*<sup>25</sup> - wysyczała Paola z pasją. - Psujesz całą zabawę. Jeszcze mi za to zapłacisz.

Nie był pewien, czy w jej głosie brzmi obietnica czy pogróżka.

- Paola? - powiedział niepewnie. Czyżby zaczynał bać się jej trochę?

- *Dio*, zobaczysz, że jeszcze mi zapłacisz! - Rzuciła słuchawką.

Morris także odłożył swoją i mocniej objął dłońmi kierownicę. Człowiek dzwoni do poślubionej sześć miesięcy wcześniej żony, usiłując ją przekonać, żeby z większą odpowiedzialnością traktowała swoje życie i karierę zawodową, tymczasem co ona robi? Najpierw chwyta się wymówek w postaci umierającej matki i drapieżnego szwagra, a potem usiłuje go zmusić do telefonicznej masturbacji. Doprawdy w takich chwilach konsternacja była jedyną stosowną reakcją. Przez dłuższą chwilę jechał w ponurym milczeniu.

Samochód wspinał się na pokryte brązem i przygaszoną zielenią wzniesienia Apeninów, wśród zmieniających się widoków gajów oliwnych, cyprysów oraz nagich winnic, zredukowanych do powykrzywionych pniaków, powbijanych niczym krucyfiksy w gołą, poznaczoną kamieniami glebę. Morris usiłował skoncentrować się na estetycznej przyjemności, jaką dawało mu pokonywanie każdego kolejnego zakrętu dokładnie z dozwoloną prędkością i w taki sposób, by koła zawsze trzymały się w tej samej odległości od białej linii. Forbes także zdawał się nie spieszyć do podjęcia rozmowy, mimo że przerwali ją w dość drażliwym punkcie. Morris doceniał to. Forbes przecież był inteligentny i z pewnością zdawał sobie sprawę z chwilowego zakłopotania swojego towarzysza. Tak, on, Morris, zdecydowanie słusznie zrobił, uciekając od nieodpowiedzialnej bandy młodych ekspatriantów, którzy tak go dręczyli i poniżali na początku pobytu w Weronie, od tych wszystkich ekshippisów i niedoszłych artystów z ich obowiązkową przyjaźnią i pustymi marzeniami (nie wspominając już o fakcie, że przywódca ich komuny, Amerykanin Stan, widział go tamtego dnia na rzymskiej Stazione

---

<sup>25</sup> \* Wredny.

Termini w towarzystwie Massiminy, co było naprawdę niebezpieczne!). Mądrość starszego pokolenia była o wiele bardziej satysfakcjonująca. Gdyby tak spotkał Forbesa wcześniej, na przykład zaraz po swoim przyjeździe do Włoch... Gdyby zamiast z którymś ze Stanów tego świata zawarł znajomość z kimś w rodzaju Forbesa, nie byłoby potrzeby tamtej aberracji, jaka zdarzyła się dwa lata temu. Albo jeszcze lepiej, gdyby Forbes był jego ojcem, wówczas...

- *Siste viator*\*<sup>26</sup>!

Mijali właśnie znak sygnalizujący stację benzynową. Głos starca, wypowiadający jedną z niezliczonych łacińskich sentencji i przerywający jakże obiecujący bieg myśli Morrisa, miał chropawe, mocne brzmienie, tak charakterystyczne dla klas wyższych.

- Co to znaczy? - zapytał Morris. Dawno już postanowił nie udawać, że coś rozumie, jeśli nie rozumiał. Tylko ludzie o zaniżonym poczuciu własnej wartości starali się ukryć swoją niewiedzę.

- Duch wprawdzie ochoczy, ale ciało mdłe - wyjaśnił Forbes z przepraszającym uśmiechem. - Zatrzymajmy się.

Drugi raz w przeciągu trwającej zaledwie godzinę jazdy.

Morris podjechał pod stację benzynową. Odprowadził wzrokiem wysoką, wrzecionowatą sylwetkę Forbesa w zbyt obszernym, szarym garniturze, powłóczącego nogami i kierującego się w stronę toalet. Na powrót poczuł się uspokojony i szczęśliwy. W końcu miał wypróbowanych przyjaciół i ekscytujące plany. Jego dusza nie została uszkodzona w sposób nieodwracalny. Wszystko jeszcze się ułoży.

Już podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić do Mimi i poprosić o potwierdzenie wczorajszego znaku czymś konkretniejszym, jakąś wskazówką pokazującą, że aprobeje jego plan, kiedy z tyłu samochodu coś się nagle poruszyło.

---

<sup>26</sup> \* Wędrowcze, zatrzymaj się!



- *Vu cumpra!*

Pochylony Marokańczyk, szczerząc zęby, zaglądał przez okno, które Morris tak nieopatrznie uchylił. Mimo zimnego podmuchu i oparów benzyny czuć było jego zepsuty oddech.

- *Vu cumpra? Pan chcieć kupić? Bardzo dobra kamera wideo. Molto economico*\*<sup>27</sup>.

Morris wlepił wzrok w Marokańczyka.

- *Economico, molto tanio, molto buono*\*<sup>28</sup>.

- *Dawero*\*<sup>29</sup>? - Umysł Morrisa pracował gorączkowo. Paola coś wspominała o nagrywaniu na wideo, a przecież nie było winą tego człowieka, że społeczeństwo skazało go na trudnienie się nielegalnym handlem i tak opłakany stan, jeśli chodzi o higienę osobistą. W przeszłości bywały chwile, kiedy on, Morris, obawiał się, że podąży dokładnie w tym samym kierunku.

Od przekrwionego lewego oka Marokańczyka biegła w dół policzka długa blizna.

- *Ci quanto*\*<sup>30</sup>? - zapytał Anglik.

- Dwieście tysięcy.

- Sto pięćdziesiąt - powiedział Morris, tak jak od niego oczekiwano. Ci ludzie bynajmniej nie domagali się jałmużny.

- Dwieście.

---

<sup>27</sup> \* Bardzo tanio.

<sup>28</sup> \* Bardzo dobre.

<sup>29</sup> \* Naprawdę?

<sup>30</sup> \* Ile?

- Powiedziałem, sto pięćdziesiąt. - Morris całkiem dobrze się bawił. Forbes właśnie się zbliżał, jeszcze chwila, a będzie mógł podziwiać, jak Morris świetnie sobie radzi.

- Sto osiemdziesiąt. - Uśmiech Marokańczyka był wymuszony, ale przecież Morris przywykł do wymuszonych uśmiechów.

- Sto pięćdziesiąt i ani grosza więcej - powiedział. Marokańczyk nachmurzył się. Tak przewidywał scenariusz.

Forbes sztywno gramolił się na siedzenie, unosząc w górę przykurzoną brew.

- *Caveat emptor*<sup>\*31</sup>, mój chłopcze - rzucił sucho. Morris jednak czuł, że jest bliski zwycięstwa.

- Powiedziałem sto pięćdziesiąt, i na tym koniec. Gdzieś w umyśle Morrisa już rodził się pomysł nagrania mrugającego oka Massiminy na fotografii na rodzinnym grobowcu. Czy jeśli będzie potrafił udowodnić cud, ogłoszą ją świętą albo coś w tym rodzaju?

Wreszcie Marokańczyk ustąpił niechętnie.

- Ok. Miej pieniądze gotowe. Staniesz przy tamtym białym vanie.

Wskazał stojącego za dystrybutorami zdezelowanego volkswagena, któremu mały chłopiec pompował sflaczałą oponę. Morris posłusznie podjechał na wyznaczone miejsce, trzymając w dłoni portfel. W kilka chwil później był już na autostradzie, a na tylnym siedzeniu spoczywała kamera wideo. Ogarnął go nastrój takiej radości, że bez ociągania przedstawił Forbesowi swój plan w krótkich, starannie dobranych zdaniach. Jego głównym celem jest pomóc przyjacielowi, Forbesowi, a ponadto nie dopuścić do tego, aby Polio Bobo wyzyskiwał tych biednych imigrantów, chcąc podnieść produkcję. Jeśli on, Morris, ma być prze-

---

<sup>31</sup> \* Niech kupiec strzeże się.

mysłowcem, to wolałby kontynuować tradycje dobroczynności Cob-dena, a nie linię Thomasa Gradgrinda.

Forbes był wyraźnie zdumiony. Może nawet kompletnie zaskoczony. Niezupełnie to miał na myśli, powiedział. Jego ręka zanurkowała w kieszeni w poszukiwaniu fajki i tytoniu, a na twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

- Jak wiesz, moim marzeniem było sprowadzenie tu angielskich dzieci, uczniów szkół prywatnych, których w pięknym otoczeniu uczyłbym włoskiego i historii sztuki, dając im możliwości bezpośredniego poznania tego wspaniałego kraju. No i oczywiście zarabiałbym w ten sposób na chleb. Nie myślałem o zakładaniu hostelu dla... mieszkańców Ghany czy Senegalu, pracujących w systemie zmianowym.

Morris nienawidził palenia w samochodzie, ale nie oponował. Był na tyle dojrzwały, by zaakceptować, że każdy ma jakąś słabość. Przez dwie albo trzy minuty jechał w milczeniu, pozwalając, aby jego pomysł zapadł w mózg Forbesa, i czekając na dalsze obiekcje starca. Następnie, z rzeczową szczerością, którą świadomie pielęgnował w sobie od pewnego czasu, przystąpił do pokazywania Forbesowi, z której strony kromka posmarowana jest masłem.

- Problem w tym, że aby uruchomić taką szkołę, potrzebny jest panu spory kapitał, prawda?

- *Res angusta domi*\*<sup>32</sup> - przyznał Forbes.

- To znaczy?

- To znaczy, że akceptuję twoją przesłankę.

Cóż, on, Morris, miał oczywiście dostęp do kapitału dzięki rodzinie Trevisan. Powiedzmy, czterysta albo pięćset tysięcy miesięcznie za wynajęcie jakiejś starej farmy plus jeszcze kilka milionów za doprowadzenie jej do stanu używalności.

---

<sup>32</sup> \* Bieda w domu.

Rzecz jednak w tym, że egoistycznie nastawieni Trevisani nigdy się nie zgodzą na podobną inwestycję dla samego Forbesa. Im także coś się musi dostać, i to najlepiej od razu. Stąd pomysł wykorzystania domu na hostel dla imigrantów zatrudnionych przy butelkowaniu i pakowaniu wina. Właściwie bardzo dobrze się stało, że Forbes zwrócił się do niego akurat teraz, kiedy Polio Bobo tak się gorączkuje w sprawie zwiększenia produkcji i uruchomienia nocnej zmiany. Gdyby Forbes zaczął uczyć tych imigrantów włoskiego i historii sztuki, byłby to z jego strony prawdziwe miłosierny uczynek. Oczywiście zostałby za to odpowiednio wynagrodzony, a imigranci w zamian za lekcje przystaliby pewnie na nieco niższe zarobki.

- Może nawet lokalne władze przyznałyby nam jakiś grant albo coś w tym rodzaju i wszyscy byliby zadowoleni.

A ponieważ chodziło o pracę sezonową, gdy tylko imigranci by zniknęli, Forbes miałby do swojej dyspozycji cały budynek i mógłby przyjmować takich uczniów, jakich by tylko chciał, choćby dzieci z angielskich szkół prywatnych. To jedyna droga. Po dwóch latach powstanie dokładnie taka instytucja, jaką sobie wymarzył: ekskluzywna szkoła z internatem, w której uczono by historii kultury.

- Mam nadzieję, że szkoła dysponująca także kilkoma stypendiami dla dzieci z mojego środowiska - zakończył Morris z prostotą. Czuł autentyczną potrzebę spłacenia swojego długu.

Forbes milczał. Zjeżdżali w dół ustępującymi zboczami Apeninów, podczas gdy przed nimi wyrastały pierwsze znaki drogowe zwiastujące bliskość Florencji.

- Ja osobiście widzę tu tylko jeden problem - przyznał Morris - mianowicie taki, że będą to sami mężczyźni. Nie wydaje mi się, aby któryś z nich miał kobietę.

- Ach - Forbes urwał, marszcząc brwi nad główką fajki.

Westchnął ciężko, po czym odezwał się z wielkodusznością, która dla Morissa zawsze stanowiła świadectwo prawdziwej klasy człowieka:

- Skoro rzeczywiście jest to jedyna droga, myślę, że dam się przekonać.

Matka interesowała się sztuką, ojciec nią pogardzał. Morris był doskonale świadom żalösnej banalności owej antytezy *a la* Lawrence. Ale przecież banał stawał się banałem właśnie przez swoją powtarzalność. Jako swoista karykatura zawsze zawierał w sobie niekwestionowany autentyzm. Przypadek jego, Morrisa, nie różnił się bynajmniej od tysięcy innych. Ale czego innego należało się spodziewać? To właśnie brak wyjątkowości, istnienie niezliczonej rzeszy jemu podobnych, połączonych wspólnym, kulturowym ubóstwem, naznaczyły jego dzieciństwo tak smutnym piętnem. Podobnie jak owa anonimowość na starcie uczyniła tym bardziej niezwykłym jego późniejsze wyróżnienie.

Matka interesowała się sztuką. Zachęcała go do czytania, rysowania i gry na skrzypcach. W rysowaniu nigdy nie był dobry (potrafił uchwycić następstwo wydarzeń w czasie, natomiast osadzenie przedmiotów w przestrzeni zdecydowanie nie należało do jego mocnych stron), a skrzypce pewnego dnia zniszczył mu ojciec, kiedy ćwiczenia Morrisa zbiegły się - i bynajmniej nie był to przypadek - z jego szczególnie dokuczliwym kacem. Natomiast od lektury nikt nie był w stanie Morrisa oderwać. Przeczytał chyba każdą pozycję, jaką oferowała lokalna biblioteka w Acton, od *Akwizgran; historia miasta* po Zweiga *Gwiazdy ludzkości* (żydowskość zawsze głęboko go fascynowała). Ojciec zwykł powtarzać, że tylko próżniacy i onaniści siedzą przez cały czas z nosem w książkach, ponieważ jest to jedyna „aktywność” pozwalająca im trzymać ręce w kieszeniach. Morris był świadom, że w spostrzeżeniach ojca kryje się sporo okrutnej prawdy. W tym cały szkopał.

Ale nie, nie będzie więcej rozmów z ojcem. Nie, nie, nie, i nie! Nie będzie długich godzin usprawiedliwiania się do dyktafonu. Koniec z tym. Dość wysyłania widokówek, pełnych chełpliwych aluzji. Po tamtym krótkim lecie z Massimi-ną nie musi po raz kolejny udowadniać swojej męskości.

Ponieważ w domu nie było warunków, Morris oddawał się lekturze w czytelnicy lokalnej biblioteki, wśród pilnie odrabiających lekcje sikhijskich uczniów i bezrobotnych, szeleszczących odwracanymi stronami *Sun* czy *Minor*. Szczęśliwe, szczęśliwe czasy. Z kolei kontakt ze sztukami plastycznymi ograniczał się do okazjonalnych wizyt w prowincjonalnych muzeach, kiedy warunki pogodowe panujące na wybrzeżu podczas kolejnych rodzinnych wakacji czyniły plażę perspektywą zbyt ponurą nawet dla przesiąkniętego traperskim duchem ojca. Albo inaczej, kiedy po zapowiedzi ojca, zwijającego ręczniki i wiecznie wilgotne stroje kąpielowe, że jednak idą się kąpać, pał diabli wicher, Matka zdobywała się na głośny protest, z płaczem niemal wskazując pochylone topole wokół domku kempingowego, nadciągające chmury i mżawkę zacierającą widok z okna wychodzącego na publiczne toalety. Najczęściej powoływała się wówczas na kaszel syna oraz jego słabe płuca. Bywało, że ojciec zgadzał się łaskawie spędzić samotnie kilka godzin, czekając na otwarcie któregoś z nadmorskich lokali rozrywkowych, i wówczas matka zabierała Morrisa do lokalnej galerii sztuki, albo - co było jeszcze lepsze - pakowała go do autobusu. Jechali zwiedzić najbliższą z okazałych rezydencji, których arystokratyczni właściciele właśnie zaczęli odkrywać, że wpuszczenie za próg rozmaitych Morrisów i jemu podobnych, żeby pooglądali sobie nagromadzone w środku przez wieki bogactwa, stanowi nieźle źródło dochodu, pomagające utrzymać rodzinną posiadłość.

Najlepiej zapamiętał nieruchome oczy w upudrowanych twarzach nad wysokimi, białymi kryzami na portretach i gotyckie, budzące grozę, romantyczne pejzaże, które tylko uprzywilejowani mogli kontemplować bez uczucia strachu. Dziesięcioletni Morris kochał te wyprawy. Kochał zapach lśniących parkietów, kwieciste obicia szeszlągów, wysokie okna, ozdobione kunsztownie upiętymi, ciężkimi, welweto-wymi storami, za którymi rozciągał się widok na starannie przycięte trawniki i eleganckie stawy rybne. Kochał ciszę i echo rozbrzmiewające w przestronnych pomieszczeniach, których dekoratorzy nieodmiennie przedkładali przepych nad to, co niezbędne. Czuł, że urodził się nie w tej klasie społecznej, co powinien.

Prawdopodobnie także nie w tej nacji. Po śmierci Matki West End nagle stał się całkiem obcy i Morris zaczął spędzać weekendy w Victoria and Albert Mu-

seum, National Gallery, British Museum czy Tate, dorastający i niecierpliwy, stopniowo odkrywający, że ten rodzaj piękna, który pociąga go najbardziej, bynajmniej nie wywodzi się z chwały militarnej i meteorologicznej przeszłości jego ojczystego kraju: scen batalistycznych ukazujących zwycięstwa Wellingtona, nieb Constable'a czy marin Turnera. Prawdziwe jego źródło było we Włoszech.

Niepozorny tryptyk Cespo di Garofano ostatecznie ugruntował go w tym przeświadczeniu. Malowidło przedstawiało Madonnę ze świętą Cecylią i świętym Walerianem. Ich pozy były majestatyczne, a jednocześnie swobodne i pełne radości. Wszyscy nosili wspaniałe szaty, w niczym nieprzypominające sztywnych angielskich konstrukcji składających się z gorsetów i kryz, zupełnie jakby odpowiednia prezencja była równoznaczna z torturą. Włoscy święci najwyraźniej czerpali radość ze swoich strojów, miękkich zwojów błękitu i purpury, migoczących brosz i eleganckich sandałów. A jak zmysłowe mieli usta i oczy! Nawet Madonna. Była to zmysłowość wyrażona poprzez ceremonialność. Ceremonialność zaś rodziła się ze zmysłowości. Po raz pierwszy Morris mógł się przekonać, że wulgarne przyjemności ojca i pobożność jego drogiej, zmarłej Matki niekoniecznie muszą stanowić przeciwieństwo.

Co więcej, mimo ciemnych włosów święty Walerian był wyraźnie podobny do Morrisa. Tak więc, kiedy wszystko sprzysięgło się - doprawdy nie można było nazwać tego inaczej - aby wyrzuceno go z Cambridge, wyjazd do Włoch wydał mu się czymś najnaturalniejszym w świecie.

- Czy kiedykolwiek szukał pan w obrazach znanych sobie ludzi? - zapytał Forbesa, kiedy po raz drugi okrążali Piazza della Libertà. Jak zwykle w tym bałaganiarskim kraju znalezienie miejsca parkingowego granoczyło z cudem. Samochody stały na chodnikach, na miejscach zarezerwowanych, nawet na przystankach autobusowych.

Jednak Morris nie miał ochoty łamać przepisów. Z pewnością w pobliżu jest jakiś parking. Zapłaci z przyjemnością.

- Co masz na myśli? - zainteresował się Forbes.

- Ludzi, których pan znał i byli panu bliscy. Czy kiedykolwiek szukał pan ich twarzy na obrazach?

- Mówisz o szukaniu portretów, które byłyby do nich podobne? - uściślił Forbes.

- Owszem. - Takie sformułowanie stanowiło pewne ograniczenie jego myśli, jednak zgodził się je zaakceptować.

- Nie, nigdy mnie to w sztuce nie pociągało.

- Rozumiem. Ale tak z czystej ciekawości. Nigdy nie natrafił pan na obrazie na twarz kogoś, kogo by pan znał? Pańskiej żony na przykład.

- Nie. - Głos Forbesa brzmiał teraz bardzo stanowczo. - Ani nie natrafiłem, ani też nie szukałem.

Morris milczał. Wędrował wzrokiem po zatłoczonych samochodami dwudziestowiecznych chodnikach, wzdłuż których wnosiły się monumentalne, eleganckie fasady renesansowych *palazzi*. Forbes obserwował go swoimi małymi, zielonymi oczkami. W tym momencie rozdzwonił się telefon.

Pochłonięty wartko biegnącymi myślami i kłopotami z zaparkowaniem samochodu, Morris omal nie podniósł słuchawki. Ale nie, powiedział jej przecież, że o dziesiątej trzydzieści jest umówiony z klientem, a teraz była dopiero za dziesięć jedenasta. Nie jest żółtodziobem, żeby dać się przyłapać w ten sposób.

Forbes czekał. Dokładnie po dziesięciu dzwonek, akurat kiedy ponownie okrążyli plac, telefon umilkł.

- Osobliwy z ciebie gość - zauważył Forbes.

Morris odwrócił się i obdarzył swojego towarzysza najbardziej promiennym z uśmiechów spod jasnowłosej czupryny. Nagle błękit jego własnych oczu stał się dla niego niemal namacalny i ogarnął go nastrój takiej euforii, że w odruchu anarchistycznej ekstrawagancji zaparkował na przejściu dla pieszych, dokładnie na wprost Palazzo dei Signori.



Galeria z całą pewnością przydawała szyku ulicy. A jednocześnie w osobliwy sposób stanowiła jej odbicie, uświadomił sobie Morris, czyniąc jedno z tych przenikliwych, błyskotliwych spostrzeżeń, które zawsze wprawiały go w zadowolenie. Miała te same kolory, tylko zredukowane do zgaszonych różów marmurów i żółci szorstkich trawertynów. Kryła w sobie tę samą zmysłowość, z jaką obnosili się mężczyźni i kobiety na *piazza*, w jej wnętrzu zastygła jednak w wiecznej kontemplacji, przemienioną w bezruch pędzlem i dłutem, wydestylowaną z intensywności i wulgarności, cechujących świat zewnętrzny, stanowiła chłodną podobiznę ulicy, tyle że wyzbytą pośpiechu i gorączki. Morris postanowił przeciągnąć wizytę w galerii tak długo, jak się tylko da. Massimina znajdowała się na trzecim piętrze, w Sali VIII, ale przecież poczeka tam na niego. Morris zawsze był zwolennikiem odwlekania przyjemności.

Po krótkich odwiedzinach w toalecie Forbes ujął swojego towarzysza za łokieć i poprowadził zaprojektowanym przez Vasariego korytarzem do Sali Hermafrodyty. Ten człowiek był taki inteligentny, dysponował taką wiedzą. Zachęcił Morrisa do dotknięcia gładkich ud Apollina, by poczuł dłonią siłę oddanych w marmurze mięśni. Tego właśnie chciałby nauczyć swoich uczniów, kiedy szkoła wreszcie otworzy podwoje, tłumaczył przy tym. Żeby nie traktowali sztuki z pełną szacunku obawą, żeby czerpali z niej przyjemność. Dzieci powinno się zachęcać do kopiowania, a następnie do tworzenia. To naprawdę jedyna droga poznania *gratia placendi*.

A to znaczy? Morris uwielbiał te łacińskie wstawki. Jego dłoń powędrowała w dół, do kamiennego kolana, które gdyby nie brak odruchów, śmiało mogłoby uchodzić za jego własne.

- Rozkosz przyjemności. - Głos Forbesa był teraz bardziej afektowany niż kiedykolwiek.

- *Attenzione, signore*<sup>\*33!</sup> - Strażnik wyrósł przed nimi niczym spod ziemi. Na łokciu Morrisa zacisnęła się zdecydowana dłoń. - *Non si tocca*, nie dotykać. Albo wyjść stąd. Dotykać bardzo źle, *capito*<sup>\*34!</sup>

Morris odwrócił się gwałtownie. Dlaczego przedstawiciele władzy zawsze wprawiali go w taką nerwowość? To nieznośne uczucie, że został przyłapany na czymś, czego nie powinien był robić. Od razu był gotów rzucić się do ucieczki. Dokładnie w tym samym momencie przypomniał sobie, że miał wysłać faks do Doorways z potwierdzeniem przyjęcia zamówienia. Wycieczka była zepsuta, tak starannie pielęgnowany dobry nastrój ulotnił się bezpowrotnie.

- Filisterska mentalność ukryta pod maską protektora dzieł sztuki - skomentował Forbes, ze smutkiem potrząsając głową, kiedy strażnik wrócił na swoje krzesło. - Przecież widział, że nie robimy nic złego. Jeden z powodów, dla których opuściłem Anglię - dodał w jednym z rzadkich momentów osobistego wyznania.

Jednak Morris był zbyt wstrząśnięty, by podjąć temat. Jedyne, czego pragnął, to zobaczyć Massiminę i wyrwać się stąd. Obwieszona tapiseriami ściany i ozdobione freskami sufity, całe to wnętrze wypełnione wspaniałościami sztuki renesansu nagle stało się niczym więcej jak tylko ciasnym, budzącym uczucie klaustrofobii pomieszczeniem. Odczekał, dopóki nie znaleźli się w połowie sal z malarstwem szkoły tokańskiej, po czym powiedział Forbesowi, że straszliwie rozboleł go żołądek i chciałby stąd wyjść. Gdyby przedtem jednak mogli rzucić okiem na Filippa Lippi...

W Sali VIII przyszło im odczekać kilka minut, gdyż hałaśliwa grupa kiepsko ubranych turystów z Europy Wschodniej zatrzymała się dokładnie naprzeciwko niej. Przewodnik opowiadał coś niezrozumiałym językiem. Ale nawet spoglądając ponad zbitą masą przetłuszczonych, źle ostrzyżonych głów, Morris widział, że to z całą pewnością Massimina, jej wydatny nos i mlecznobiałe policzki. Całe

---

<sup>33</sup> \* Proszę uważać!

<sup>34</sup> \* Rozumie Pan?

jego ciało ogarnęło niewiarygodne wręcz poczucie ekscytacji. „Oto człowiek powracający do swojej miłości”. Bezdźwięcznie wyszeptał te słowa i w tym samym momencie zauważył, że Forbes przygląda mu się z zafascynowaniem.

- Chłopcze, wyglądasz na straszliwie spiętego.

- Bo nie pojmuję, dlaczego ci cholerni Polacy muszą tłoczyć się akurat przed moim obrazem.

- Wszystko w swoim czasie - uśmiechnął się Forbes. - Nawet plebsowi coś się od życia należy. Czy to podobieństwo do kogoś, kogo znasz, czy też czysto estetyczne zainteresowanie? - zapytał uprzejmie.

Morris miał tak ściśnięte gardło, że nie potrafił odpowiedzieć.

-Aha - skomentował Forbes, a jego twarz przybrała filozoficzny wyraz.

Polacy, o ile to byli Polacy, oddalili się wreszcie i Morris błyskawicznie znalazł się na wprost płótna. Dwa rozkosznie pulchne cherubinki nakładały koronę na skronie odzianej w błękit i purpurę Madonny. Maria miała twarz skierowaną w dół. Pochylała głowę skromnym, uwodzicielskim (uwodzicielskim ponieważ skromnym) gestem, tak charakterystycznym dla Massiminy. Nie, nie mógł się mylić. Nie brakowało nawet niewielkiego znamienia pod lewym uchem (jeśli nie była to plamka na płótnie), które kiedyś całował z taką czułością. Nic bowiem nie wywoływało w nim większego wzruszenia niż kruchość i niedoskonałość.

Ale najważniejsze były oczy. Wielkie, brązowe i lśniące, skierowane wprost na niego. Wrażenie jej obecności było znacznie silniejsze, niż kiedy spoglądał na niewielką fotografię umieszczoną na grobowcu. To po prostu była Mimi.

- Lippi słynął z żywej kolorystyki i zmysłowej karnacji, jaką nadawał tworzonemu przez siebie postaciom - poinformował go Forbes - choć z pewnością brakowało mu rozmachu i ambicji, jeśli porównać go z jego nauczycielem Masaccio albo jego bezpośrednimi następcami, da Vincim czy Michałem Aniołem.

Morris nie mógł oderwać wzroku od pochylonego podbródka i włosów, okalających twarz dokładnie tak samo jak włosy Massiminy, przynajmniej do dnia, w którym namówił ją na zrobienie trwałej, aby uniknąć rozpoznania.

- Stara przyjaciółka? - dopytywał się Forbes z łagodnym rozbawieniem. - Matka, ciotka, kuzynka?

- Moja jedyna miłość - wychrypiał Morris, złamany bólem i jednocześnie w pełni świadom rozmiaru przeżytej tragedii. Inni ludzie nie daliby rady znieść takiego cierpienia jak on.

- *La donna e mobile*<sup>\*35</sup> - powiedział Forbes współczująco. - Piękniejsza płeć, ale słabsza i bardziej frywolna.

- Nie - wydobył z siebie Morris, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od malowidła. W każdej chwili mogła dać mu znać. Tego był pewien. - Umarła.

- Och, przykro mi.

Nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Morris odezwał się zbolalym tonem:

- Mieliśmy się pobrać.

- Niemal nikt nie łączy się ślubem z osobą, którą najbardziej kocha - powiedział Forbes łagodnie. - To już niemal prawo natury. Rzecz równie nieprawdopodobna co przemiana alchemiczna czy *perpetuum mobile*. - Stary mężczyzna wpadł teraz w nastrój elegijny. - Inaczej życie byłoby zbyt cudowne, prawda?

- Tak. - Morris był wdzięczny swojemu towarzyszowi za to stwierdzenie. Choć wokół nich wciąż przesuwali się ludzie, wydawało mu się, że oni obaj zostali odcięci od rzeczywistości, przeniesieni do innego wymiaru i postawieni przed tą młodą kobietą, z dwoma nagimi chłopcami fruwającymi nad jej głową. Na ustach Madonny igrał lekko cierpki uśmiech.

---

<sup>35</sup> \* Kobieta zmienną jest.

Każę mi czekać, pomyślał Morris. Drażni się ze mną.

- Wypadek samochodowy? - dopytywał się Forbes. - Choroba?

- Została porwana i zamordowana - wyrzucił z siebie Morris. - Jedyna osoba, którą naprawdę kochałem, zamordowana! Czy może pan to sobie wyobrazić?

Forbes był wyraźnie wstrząśnięty.

- Wielkie nieba - powiedział i znowu Morris, mimo targających nim emocji, był mu wdzięczny za ten staroświecki sposób wyrażania uczuć. Bezgłośnie wyszeptał w stronę malowidła:

- Mimi!

Kiedy wreszcie da mu znak? Czasami potrafiła być taka uparta! Na przykład wtedy, kiedy błagał ją, aby wspólnie z nim zatuszowała całą historię, tak by mogli potem żyć długo i szczęśliwie, żeby nie zmuszała go do zrobienia tego, co zrobił. On z pewnością nie chciał, aby ich ucieczka miała taki finał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyznać wszystkiego Forbesowi, usłyszeć z ust starca, że rozumie, że na jego miejscu każdy postąpiłby tak samo.

- Przykro mi - powiedział Forbes. - Nie miałem pojęcia. Stali nieruchomo. Podobieństwo na obrazie stawało się

wręcz irytujące. Morris pomyślał, że Forbes może zacząć się niecierpliwić. Zapytał więc:

- Jak pan myśli, czy ktoś mu pozował? To znaczy, czy naprawdę istniała taka dziewczyna?

- Lippi? Cóż, niektórzy z malarzy istotnie używali modelu, dążąc do osiągnięcia anatomicznej prawidłowości. Końcowy rezultat oczywiście był w znacznym stopniu idealizowany.

Oczywiście, że nie, sprzeciwił się Morris w duchu. Podobieństwo jest uderzające.

- Zabawna historia z tym Lippim - zauważył Forbes, najwyraźniej chcąc odebrać myśli swojego młodego przyjaciela od smutnych tematów. - Choć sam był zakonikiem i tworzył dzieła o treści religijnej, uwiódł mniszkę, a potem ożenił się z nią.

- Uwiódł mniszkę? - powtórzył Morris wstrząśnięty.

- Tak o nim pisano.

- Uwiódł, a ona została jego modelką?

- Och, tego akurat nie wiem. Ale przypuszczam, że mogło tak być.

- Mniszka?

- Tak.

Mimi także była żarliwą katoliczką! To aż dziwne, że Forbes, zwykle tak wrażliwy, jeszcze nie dostrzegł tej jakże oczywistej paraleli. To tak jakby sam Morris namalował portret Mimi jako dziewicy, a potem ożenił się z nią, co dla mniszki musiało stanowić coś w rodzaju śmierci. A może nie tak? Mózg Morrisa prawie się gotował. Ale kpiąco uśmiechnięte wargi ani drgnęły.

Czy ona naprawdę go kochała? A może ucieczka z nim była jedynie sposobem na wyrwanie się z domu? Z jej klasz' toru.

- Browning napisał raczej żartobliwy wiersz o Lippim, usprawiedliwiający jego lubieżne ciągotki - mówił dalej Forbes. - Przez Ruskina raczej przeceniony.

Nagle Morris poczuł, że ma wszystkiego dosyć. Sterczał tu już dobre dziesięć minut. Chyba oszalał, czekając na sygnał od niej. A jeśli nie oszalał, to został wystrychnięty na dudka. Ten znaczący uśmiech. A niech ją wszyscy diabli! W końcu była tylko zwyczajną dziewczyną, Madonna czy nie Madonna. Odwrócił się, ujął Forbesa pod ramię i skierował się ku drzwiom.

- Mój żołądek - poskarżył się. - To wręcz niewiarygodne. Głos zawołał dokładnie w tym samym momencie, gdy mieli przekroczyć próg Sali Botticellego. Morris zamarł. Forbes, najwyraźniej przestraszony, że jego młody przyjaciel mo-

że zemdleć albo zwymiotować, opiekuńczo otoczył go ramieniem. Morris odwrócił głowę. Grupka uczniów pokrzykiwała na siebie podniesionymi głosami. Bez wątpienia jednak usłyszał własne imię, wypowiedziane z tą jakże charakterystyczną intonacją: „Morri!”. Nikt inny tak się do niego nie zwracał. Wielkie, brązowe oczy spoglądały na niego przez salę. Morris podniósł dłoń do ust, przesłał jej pocałunek, odwrócił się i niemal nieświadom, że ramię Forbesa ciągle otacza jego plecy, ruszył po schodach, potykając się przy tym.

W samochodzie chciał natychmiast porozmawiać z nią przez telefon, jednak w obecności Forbesa było to oczywiście niemożliwe. Starzec zaproponował lunch, ostrzegł jednak, że zapomniał portfela. Morris poczuł przykrość, widząc swojego nobliwego przyjaciela zmuszonego do tak żałosnych wybiegów, więc z galanterią nalegał na zamówienie najdroższych dań z karty. Ból żołądka w cudowny sposób gdzieś się ulotnił. W drodze powrotnej, choć chciał już zostać sam, szlachetnie zaproponował Forbesowi, że gdyby ten kiedykolwiek potrzebował pożyczki, pozwalającej mu przetrwać do nadejścia emerytury, wystarczy, aby zwrócił się do niego. Forbes zgodził się przyjąć kilkaset tysięcy.

- Wiem, że to brzmi jak szaleństwo - powiedział jeszcze Morris - ale czy pana zdaniem byłoby możliwe kupienie obrazu z galerii takiej jak Uffizi? Przecież mają tam pewnie ze trzydzieści podobnych koronacji Madonny.

Forbes odparł, że nie sądzi, aby taka transakcja była możliwa. Zgodził się jednak, że sztuka jest czymś, co człowiek powinien posiadać, czym powinien się otaczać. Samo odwiedzanie muzeów to stanowczo za mało. Jeśli idzie o piękno, element posiadania jest bardzo ważny. On sam często odczuwał tęsknotę za swoim starym domem w Cambridge i wiszącymi w nim obrazami. Tylko za ludźmi nie tęsknił wcale. Tak naprawdę, to żałował, że nie opuścił kraju znacznie wcześniej, kiedy był jeszcze młody.

Morris był zbyt zaprzątnięty własnymi myślami, by przyjąć to zaproszenie do dowiedzenia się czegoś bliższego o prywatnym życiu starca. W końcu to kultura Forbesa go pociągała, a nie koleje jego losu. Kiedy rozdzwonił się telefon, zawałał się przez chwilę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek doświadczy tego cudu, że będzie to telefon od niej.

Ale dzwoniącą okazała się Paola.

- Mamma odzyskała przytomność - rzuciła zwięźle. -Na miłość boską, ona jeszcze gotowa jest całkiem wyzdrowieć. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

Morris także nie potrafił, jednak tak otwarte okazywanie rozczarowania wydało mu się w złym guście.

- Jedyna pociecha w tym - ciągnęła jego żona - że Bobo jest jeszcze bardziej wściekły niż my.

Odkładając słuchawkę, Morris pomyślał, jak bardzo wściekły okaże się jego szwagier, kiedy dowie się, że Morris potwierdził - a potwierdzi na pewno zaraz po powrocie do Werony - zamówienie na cztery tysiące skrzynek wina z możliwie jak najkrótszym terminem dostawy. Nagle poczuł wielką determinację, aby doprowadzić tę sprawę do końca.

Okolo północy, kiedy już poużalali się nad sobą przy sporej butelce *prosecco*, a Paola wykorzystwała słabość Morrisa do mrożonej czekolady, żeby zaaranżować wyszukaną grę wstępną, młody Anglik przypomniał sobie nagle o poczynionym rano zakupie. Paola wydeła usta, wypełnione rozplywającą się pralinką.

-Ależ kochana, to prezent - uparł się Morris. W domowych pantoflach i szlafroku zszedł po schodach i wyszedł na dwór, wprost w lodowatą mgłę listopadowej nocy. Jeden z budowlańców zaparkował koparkę tuż przed główną bramą, utrudniając dostęp do podjazdu i garaży. Ten to miał tupet. Nie szkodzi, Morris znajdzie sposób, żeby się z nim policzyć któregoś dnia. Ale powoli, bez pośpiechu. Wyciągnął paczkę z tylnego siedzenia mercedesa. Kiedy zatrzymał się na moment pod drzwiami sąsiadów z pierwszego piętra, żeby posłuchać grającego w



mieszkańcu telewizora, pomyślał, że pakunek jest dziwnie ciężki. *Channel 7*, muzyka towarzysząca wieczornym pokazom striptizu. Niespodzianka, niespodzianka! O tak, na schodach dźwięki słyhać było zupełnie wyraźnie. Nie zaszkodzi zapamiętać, taka wiedza może się jeszcze przydać. Morris potrząsnął lekko paczką i wówczas jego samozadowolenie zaczęło gdzieś odpływać, ustępując miejsca obezwładniającej obawie. Wewnątrz coś się przesunęło, z mało przekonującym, głuchym odgłosem.

- Zrobiłem z siebie głupca - zaanonsowałem, wkraczając z powrotem do mieszkania.

Rozciągnięta na sofie Paola leżała na brzuchu, w samej bieliźnie, którą zawsze odbierał jako podniecającą i jednocześnie w okropnie złym guście. Zachęcająco kiwała na niego palcem. Morris niemal wykrzyknął do niej:

- Na litość boską, okazałem się kompletnym, beznadziejnym dupkiem!

- Mmm - wymruczała jego żona.

- Nienawidzę się! - Morris zaczął zrywać taśmę oklejającą pudełko z fotografią Sony Videomaster. - Chciałem ci zrobić prezent, a zamiast tego straciłem sto pięćdziesiąt tysięcy lirów. Sto pięćdziesiąt tysięcy!

Nagle, choć nie całkiem nieoczekiwanie, poczuł łzy napływające mu do oczu i wzbierającą falę sprzecznych uczuć: poniżenia, gniewu, wybaczenia i upokorzenia. Jego palce w końcu rozerwały opakowanie. Wyśliznęła się z niego owinięta polietylenowym workiem cegła i z głośnym trzaskiem upadła na wykładaną kafelkami podłogę.

Paola wybuchnęła śmiechem.

- Och, Mo, ty głuptasie. Zachciało ci się kupowania od *marocchino*\*<sup>36</sup>? Przecież wszyscy wiedzą, że to oszuści.

---

<sup>36</sup> \* Marokańczyka.

Jej wibrujący śmiech w nieprzyjemny sposób nakładał się na bolesne pulsowanie za oczami. Morris miał wrażenie, że krew gotuje mu się w czaszce. Szlafrok i piżama napięły się mocno na spęczniałym nagle ciele. Gniew dosłownie go rozsadał. Niewiele brakowało, a złapałby leżącą na podłodze cegłę i walnął nią w szyderczą, wulgarną twarz żony. Massimina nigdy nie zachowałaby się w ten sposób.

- Kupiłem to dla ciebie! - krzyczał. - Żeby sfilmować nas oboje! Byłem dobry dla tamtego, a on tak mi się odpłacił.

Paola wstała, podeszła całkiem blisko i zamknęła go w ramionach. Odepchnął ją, przepełniony irytacją, ale ona zaraz wróciła i powtórzyła swój gest. Twarzą przylgnęła do jego szyi.

- Weź mnie, Mo - wyszeptała. - Weź mnie zaraz. Uwielbiam, kiedy się złościsz. Jesteś taki naiwny, słodki, silny i gwałtowny, wszystko naraz.

Jeszcze próbował się opierać, choć bez przekonania, świadomy intensywności zbliżającej się rozkoszy i wyuzdanej, lśniącej bielizny, okrywającej drobne, ciemne ciało.

- Uwielbiam, uwielbiam - napierała na niego Paola. Rozwiązała mu pasek szlafroka, chwyciła za rozchylające się poły i pociągnęła męża ku sobie.

Później, kiedy już spała, Morris długo leżał bezsennie, podczas gdy obrazy poniżenia, wciąż jaskrawe i żywe, masakrowały jego świadomość. Wreszcie wstał z łóżka i przeszedł do salonu. Zapalił światło, podniósł z podłogi owiniętą plastiką cegłę i ostrożnie położył ją na skraju dywanu, tuż obok sofy. Uważnie przyjrzał się podłodze. Jedną z płytek znaczyła głęboka szrama, wstrętne, chropawa, biała rysa, kalecząca zielonkawy, geometryczny ornament, zaprojektowany przez Bertellego. Jeszcze i to. Nie tylko okazał się głupcem, który dał pieniądze komuś, kto - ponieważ sam był źle traktowany przez społeczeństwo - nie mógł nie oszukiwać, to jeszcze uświadomiwszy sobie swój błąd, pozwolił, by gniew rozgorzał w nim do tego stopnia, że jak ostatni idiota zniszczył płytkę pod-

łogową kosztującą co najmniej czterdzieści tysięcy. Teraz za jej wymianę przyjdzie mu zapłacić co najmniej drugie tyle.

Wrócił do łóżka. Paola jak zwykle zaanektowała jego połowę. Leżała rozciągnięta pod ciężką kołdrą, z całkowitą beztroską. Tak, Paola była rozpuszczonym dzieckiem, przyzwyczajonym do tego, że wszystko ma i wszystko może sobie wziąć. Morris otulił się szlafrokiem i usiadł w fotelu. Przez ponad godzinę wpatrywał się w ciemność. Oczami wyobraźni jeszcze raz oglądał obrazy swojego poniżenia: wyuczony grymas Marokańczyka, schylającego się do okna jego samochodu, jego własny, idiotyczny triumf, że udało mu się zredukować cenę do stu pięćdziesięciu tysięcy, później w galerii namalowana cierpkość Massiminy, spoglądającej na biednego, biczowanego, unurzanego w upokorzeniu Morrisa z wysokości swojego odkupionego męczeństwem zbawienia, a na ostatek perlisty śmiech jego żony, jej zwierzęce pochrząkiwania i jej rozkosz, zupełnie jakby mąż stanowił wyłącznie źródło fizycznej przyjemności, a nie był kimś, kogo należy rozumieć i o kogo należy dbać. „Nie nazywaj człowieka szczęśliwym, dopóki nie umrze”, przypomniał sobie cytat z jednej ze swoich uniwersyteckich rozprawek i powtarzał go wielokrotnie w mroku nocy. „Nie nazywaj człowieka szczęśliwym, dopóki nie umrze”. Niemal zazdrościł swojej teściowej, że jest już tak blisko błogosławionego końca.

Niepewnie uczepiony zbocza wzgórza powyżej Marzany dom miał trzy kondygnacje i przeciekający dach, zwieńczony czterema rzeźbami, o których Forbes, przez dłuższą chwilę obserwujący je dyskretnie z rogu tarasu, zawyrokował z mocą, że są pozbawione jakiegokolwiek wartości artystycznej. Morris uznał jednak, że figury prezentują się niezwykle malowniczo. Byli to święty Zenon, świę-

ty Roch, święta Anna i święta Agata, pomniejsi lokalni święci, sprawcy rozlicznych i bynajmniej nieprzekonujących cudów. Dla Morrisa owa niewiarygodna wręcz obfitość stanowiła najlepszą część włoskiej kultury. Kto dałby wiarę, że Mimi puściła mu oczko ze zdjęcia albo zawołała do niego ze starego malowidła? Dopiero teraz uświadomił sobie, do jakiego stopnia jego umysł przesiąkł wioską tradycją religijną. Teraz już po prostu przynależał do tego kraju.

Forbes zauważył także, że zimą dom będzie albo straszliwie wyziębiony, albo jego ogrzanie pochłonie krocie. Postukał przy tym znacząco w obluzowaną szybę okienną. Raczej to pierwsze, wytłumaczył mu Morris, skoro nie ma centralnego ogrzewania i trzeba się będzie dobrze namęczyć, zanim rozpali się w kominkach.

- Za to w broszurach reklamowych będzie się prezentował wyśmienicie - powiedział z entuzjazmem. - Wzgórze, winnice, cyprysy i ta szlachetna fasada, ozdobiona rzeźbami.

- *Rudis indigestaque moles*<sup>\*37</sup> - skwitował Forbes.

- To znaczy?

- To znaczy, że liczyłem na coś lepszego, ale *quod bonum felix, faustumque sit*<sup>\*38</sup>, więc jeszcze dzisiaj się wprowadzę.

Najwyraźniej Forbes miał kłopoty z regulowaniem czynszu, skoro musiał utrzymywać dwa domy z mizernej emerytury, która w dodatku nie zawsze docierała na czas. Jego nadal mieszkająca w Cambridge żona zachowywała się bardzo nierozsądnie, wciąż zasypywała go listami pełnymi utyskiwań na rosnące ceny ogrzewania, komunikacji czy biletów do teatru, zupełnie jakby fakt ich separacji w ogóle do niej nie docierał.

---

<sup>37</sup> \* Nieokrzesa i nieuporządkowana masa.

<sup>38</sup> \* Co niechaj wypadnie dobrze, szczęśliwie i pomyślnie.

- Tak, jestem naprawdę wdzięczny - powtórzył Forbes, ujmując dłoń Morrisa i patrząc mu prosto w twarz wodnistymi oczami, w pół ukrytymi w fałdach szarawej, jakby przykurzonej skóry.

Biła od niego godność starego dyrektora szkoły. Morris uśmiechał się ciepło. Nie ma o czym mówić. Cieszył się, mogąc pomóc komuś, kto był tego wart. Zauważył, że starzec obrzuca go zaintrygowanym spojrzeniem, i sprawiło mu to przyjemność.

Zaczęli oglądać dom. Tynk odpadał ze ścian wielkimi płatami, a okiennice zdawały się trzymać w całości wyłącznie dzięki grubym warstwom zastarzałej farby. Od kamiennych schodów wiało chłodem. W sypialniach skrzypiały rozklekotane deski podłóg. Pokoje były niemal puste; między gotyckimi wezgłowiami łóżek leżały pozapadane materace, marmurowy blat jedynej komody był spękany, a obraz na ścianie przedstawiający ukrzyżowanie świętego Piotra miał zacieki od wilgoci. W mrocznym kącie u szczytu schodów wisiało drugie malowidło, na którym młoda, szlochająca kobieta klęczała przy potężnym grobowcu. W świetle namalowanych na płótnie świec jej oczy błyszczały dziko. Forbes tylko potrząsnął głową i wymamrotał coś po łacinie.

Natomiast Morris był zachwycony. Czyż nie takiego właśnie miejsca szukali? Przesyconego kulturą. Za rok w broszurach reklamowych, które roześlą po Eton, Harrow i innych szkołach, będzie się prezentowało wspaniale. Na razie przyjmą imigrantów, żeby zdobyć pieniądze na czynsz i renowację. Powiedzmy trzydzieści procent wynagrodzenia pójdzie na koszty mieszkania. To chyba całkiem szczodra propozycja. Morris odkręcił kran. W rurach coś zajęczało przeciągle, a z kurka pociekło parę kropel rdzawej wody.

- *Fiat experimentum in corpore vili*<sup>\*39</sup> - powiedział tylko Forbes, tym razem odmawiając przetłumaczenia.

---

<sup>39</sup> \* Niech doświadczenie odbędzie się na przedmiocie bez znaczenia.

Jadąc w stronę Valpanteny znacznie szybciej, niż pozwalały przepisy, Morris pomyślał, że ma prawo do euforycznego nastroju, jaki ogarnął go w tej chwili. Ilekroć coś mu się nie układało, był dla siebie bezlitosny, wobec tego w pełni zasłużył sobie na obecny wzlot, gdyż tym razem zaplanował wszystko idealnie, co do najdrobniejszego szczegółu. Skoro tak, trudno mu było nie czuć dumy i radości. W końcu życie było grą. Grą, w której obecnie wygrywał.

- Czyż nie mam racji, Mimi, cara? - sięgnął po słuchawkę telefonu, ale zaraz odłożył ją z powrotem. Były momenty, kiedy czuł, że powinien raczej trzymać się ziemi. Na kontakt z Mimi przyjdzie czas, kiedy będzie jej naprawdę potrzebował.

Kwamego znalazł na wielkim skrzyżowaniu z sygnalizacją świetlną zaraz przy cmentarzu, jak zwykle myjącego szyby samochodowe za drobną opłatą. Ten wielki, czarny chłopak wiedział, że Morris ma miękkie serce, więc od razu zbliżył się do mercedesa z wiadrzem w dłoni. Morris płonął z niecierpliwości, żeby natychmiast zacząć działać. Mimo to pozwolił chłopcu zwilżyć szybę i zaatakować ją gąbką. Światło zmieniło się na zielone i samochody przed nim oraz te stojące na lewym pasie wolno ruszyły do przodu. Kwame pracował w skupieniu, zdrapując przyklejone do szyby owady. Kierowca z tyłu zaczął trąbić. Morris nie drgnął nawet. Teraz trąbili już wszyscy. Ta słynna włoska niecierpliwość! Kwame uniósł głowę. Ich oczy spotkały się przez lśniącą jak lustro szybę. Podobnie jak przy dwóch poprzednich okazjach, kiedy wszystko odbyło się według tego samego schematu, na jego czarnej twarzy odmalował się wyraźny błysk porozumienia. Morris był tego całkowicie pewien. Opuścił szybę, ale zamiast wręczyć chłopcu zwyczajowe tysiąc lirów, gestem nakazał mu wsiadać. Odczekał jeszcze jakieś trzydzieści sekund, dopóki światło nie zmieniło się na żółte, po czym zwolnił sprzęgło i ruszył z miejsca. Doprawdy nie było żadnego powodu, żeby kierowcy reagowali tak agresywnie.

Jak brzmi nazwisko czy też może imię Afrykanina, Morris dowiedział się na posterunku policji, kiedy pomagał mu wypełniać formularz *permesso di soggiorno*.

*no*\*<sup>40</sup>. Potem kilkakrotnie spotkali się na ruchliwym skrzyżowaniu w pobliżu cmentarza. Zdaje się, że Kwame i kilku jemu podobnych wykorzystywało puste nisze grobowe w cmentarnych portykach jako miejsca noclegowe. Teraz, kiedy Morris uczynił zapraszający gest, chłopak po prostu postawił wiadro na chodniku i wsiadł do samochodu z szerokim uśmiechem na czarnej twarzy, bez jednego pytania, bez jednego słowa. Zupełnie jak Piotr, który porzucił swoje sieci, kiedy skinął na niego Jezus, pomyślał Morris, mocno poruszony tym aktem wiary i zaufania, a jednocześnie zaintrygowany prostotą życia tamtego. Bo Morris, przy całej swojej miłości do piękna i elegancji, z całą pewnością nie był snobem. Co więcej, jego geniusz pozwolił mu dostrzec klasę w takim chłopaku jak Kwame, tak samo jak przedtem pozwolił mu rozpoznać prawdziwą kulturę w emerycie Forbesie i wyzwolić silny koktajl cnoty, piękna i zmysłowości w kimś tak niepozornym jak Massimina.

W milczeniu dotarli do centrum. Na Piazza Bra znaleźli ostatnie wolne miejsce do zaparkowania. Morris przeczuwał, że tak właśnie będzie, i po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy aby jego krokami nie kierowało przeznaczenie. Ilekroć coś przedsięwziął, wszystko zaczynało składać się dokładnie po jego myśli, zupełnie jakby tak właśnie musiało być. Trafił się Forbes, który poprowadzi pensjonat. Trafił się stary, zdewastowany dom, który można było tanio wynająć. Trafił się Kwame i jego koledzy mieszkający na cmentarzu. Trafiło się wreszcie gigantyczne zamówienie od Doorways. Jakże często Morris odnosił wrażenie, że jest po prostu kimś, komu pozostaje tylko splatanie odpowiednich nici. Może powinien poruszyć ten temat w rozmowie z Massimi-ną? Niewykluczone, że ona z za grobu wyraźniej dostrzega cały wzór. Może nawet będzie potrafiła wytłumaczyć coś, co w tej chwili wydawało mu się skazą na deseni - największą pomyłką jego życia, czyli poniżające małżeństwo z Paolą. Miałoby stanowić rodzaj kariery dla niego? Być nieustannym, urągliwym przypomnieniem zła, które popełnił? Morris zabrał Kwamego do sklepu z odzieżą i kupił mu nowe buty, dzinsy, sweter i kurtkę.

---

<sup>40</sup> \* Pozwolenia na pobyt.

Kwame nie okazywał ani przesadnej wdzięczności, ani niewdzięczności. Wysocki i zdumiewająco zdrowy, mimo wystawiania godzinami na zimnie wśród trujących wyziewów i sypania w kamiennej niszy na cmentarzu, stał swobodnie przy błyszczącym, granitowym barze w jednej z elegantszych kafejek na *piazza* i sącył piwo.

- Ilu was tam jest? - zapytał Morris po angielsku. Wrogie spojrzenia gości, nie-nawykłych, by w ich barze pojawiał się ktoś o czarnym kolorze skóry, cieszyły go niepomierne.

- Dziesięć, jedenaście, dwanaście - wciąż szeroko uśmiechnięty Kwame wzruszył ramionami. - *Zależy od dnia, od polizia.*

- Wszystko porządni chłopcy?

Wydatna dolna warga wydeła się w aż nazbyt czytelnym grymasie: „skąd niby mam to wiedzieć?”.

- Ale czy można na nich polegać? - naciskał Morris, biorąc pełną garść orzeszków.

Znowu odęcie warg i zaraz po nim szeroki uśmiech, a w oczach ten fascynujący, porozumiewawczy błąk, połączony z powściągliwością. Chłopak był co najmniej dwadzieścia centymetrów wyższy od Morrisa. I bardzo, ale to bardzo czarny.

- Ponieważ chcę dać wam wszystkim pracę - powiedział Morris. - Pracę i mieszkanie.

To było znacznie więcej, niż ktokolwiek zaproponował jemu, kiedy przyjechał do Włoch. Jadąc z Kwamem przez miasto w kilka minut później, Morris sięgnął po słuchawkę, udał, że wybiera numer, i zaczął opowiadać Mimi o swojej zdumiewającej przemianie. Rozmowa z nią w obecności drugiej osoby wprawiła go w dziwne podniecenie. Czuł się tak, jakby pozwolił komuś podsłuchiwać swój flirt, nie zdradzając jednocześnie tożsamości partnerki. Oczywiście oszukiwał trochę, na świadka rozmowy wybierając kogoś tak nieznaczącego jak Kwame. Aby powstał dobry rysunek, tłumaczył jej, potrzeba różnych barw, połączonych



ze sobą w sposób jednocześnie harmonijny i zaskakujący. Potrzeba artysty. Tylko artysta dostrzeże harmonię w pozornie nieprzystających do reszty elementach, jak wrogość Polio Boba i jego odmowa przyłączenia się do przedsięwzięcia, uczyni je częściami wzoru, przydającymi mu napięcia i czyniącymi go bardziej intrygującym, słowem przekształcającymi prosty szablon w prawdziwy majstersztyk. Do tej pory zawsze uważał, że brak mu talentu, by zostać malarzem albo napisać książkę. Może jednak prawda wyglądała inaczej? Może mimo wszystko był artystą? Artystą życia. Potrafił sprawić, by coś działo się między ludźmi.

- Tak jak się działo pomiędzy nami, Mimi - zakończył nabrzmiałym ze wzruszenia głosem. - Tak jak się działo między nami. Och Mimi, jak bardzo mi ciebie brakuje.

Znowu musiał walczyć z dławiącym go wzruszeniem, jak zawsze po rozmowie z nią.

Odkładając słuchawkę, odwrócił się do Kwamego. Chłopak uśmiechał się ciepło, wybijając dłonią wolny, monotony rytm na kolanie. Miły kompan, pomyślał Morris. Tępawy, nie ma dwóch zdań, ale jednocześnie pełen zrozumienia

i z pewnością zasługujący na pomoc, którą zamierzał mu ofiarować.

Było to typowe osiedle dla bogaczy. Dwie stare, ale całkowicie odnowione wille, podzielone na mieszkania, obok cztery nowo wzniesione *palazzine* z ekstrawaganckimi tarasami na balkonach, kunsztowną stolarką okienną i miedzianymi rynnami. Do tego basen i kort tenisowy. A wszystko to - co Morris po dłuższym namyśle uznał za raczej przygnębiające - otoczone wysokim murem, po którego szczycie biegły przewody. Wchodziło się przez elektroniczną bramę,

strzeżoną przez dwie kamery wideo. Zupełnie jakby zamożność dawała człowiekowi prawo, aby odgrodził się od reszty świata i tarzał w nagromadzonych przez siebie dobrach. Morris czuł, że mieszkańcy osiedla zasługują na to, by w swoim gronie ujrzeć teraz Kwamego, który był niczym wizualny symbol jego własnego duchowego wyalienowania. Nacisnął jeden z czterech przycisków dzwonka.

- *Sono io*<sup>\*41</sup>, Morris - powiedział, spoglądając wprost w oko kamery na prawo od bramy. Nie dodał, że chciałby zobaczyć się z Bobem.

Pokojówka oznajmiła, że musi pójść zapytać, dając mu odczuć to, że nie należy do tych uprzywilejowanych, których wpuszcza się bez pytania o każdej porze dnia czy nocy. Po krótkiej, ale znaczącej chwili oczekiwania brzęczyk odezwał się nareszcie. Morris odwrócił się i skinął na Kwamego, żeby wysiadł z samochodu.

Podłogi były z sardyńskiego granitu, a ściany wykończone specjalnie polerowanym tynkiem, stanowiącym ostatni krzyk mody. Meble, choć w większości antyki, prezentowały się dziwnie nowo. Perfekcyjnie odrestaurowane szafy i komody, ustawione w lśniących nowością pomieszczeniach, nie wyglądały na świadków historii, nic nie mówiły o bogactwie upływającego czasu. Wręcz przeciwnie, sprawiały wrażenie, jakby wycięto je zupełnie niedawno z błyszczących stron *Casa Bella*.

Mimo to Morris z podziwem przyglądał się otoczeniu. W tym mieszkaniu nie było nic wulgarnego, nic z żalosnych gustów Paoli, której wizja eleganckiego mieszkania, obfitującego w pastelowe jedwabie i niskie kanapy, kojarzyła mu się z nieco lepszym burdelem. Nie było tu też przypadkowej zbieraniny przedmiotów, tak charakterystycznej dla domostw angielskich. Ale jednocześnie temu wyśmakowanemu wnętrzu wyraźnie czegoś brakowało. Stary dom rodzinny na obrzeżach Quinzano, do którego zaprosiła go Massimina, żeby poznał jej matkę i siostry, miał w sobie magię, promieniował czarem przemieniającym prowincjo-

---

<sup>41</sup> \* To ja, Morris.

nalny konserwatyzm w symbol zamożności i kultury, stanowił miejsce, w którym wiodło się naprawdę wysmakowane życie. Dokładnie takiego samego pragnął dla siebie. Cóż, ledwo przekroczył trzydziestkę. Ciągle jeszcze miał czas.

Kwame zawahał się przy drzwiach. Morris dał mu znak, żeby wszedł do środka. Drobną, południową pokojówką nawet nie starała się ukryć swojego przerażenia, które Morris ostentacyjnie zignorował. Na tle granitów i stiuków Kwame prezentował się wspaniale, niczym ogromna mauretańska statua, także wycięta ze strony jakiegoś czasopisma. Człowiek od razu czuł się pewniej, mając go przy boku.

- Chciałbym zobaczyć się z Bobem - rzucił Morris swobodnie.

Zanim pokojówka zdążyła go poinformować, że pan domu jest nieobecny, ukazała się Antonella, schodząca po krętych schodach w odległym kącie holu. Trawertynowe stopnie spoczywały na eleganckich wspornikach z toczonej, polerowanej stali. Za Antonella kroczyły dwie nogi ubrane w ciemne spodnie, które po zejściu niżej okazały się należeć do niskiego, starszego księdza w okularach, dźwigającego dwie wypchane, plastikowe torby.

- Don Carlo, mój szwagier Morris Duckworth - dokonała prezentacji Antonella.

- *Piacere*<sup>\*42</sup>.- Uścisnęli sobie dłonie. Ksiądz z uśmiechem ruszył w stronę drzwi. - Nie będę zabierał dłużej czasu - powiedział tonem osoby, która okazywanie skromności i pokory ma wpisane w zawód.

- Sortowaliśmy ubrania dla biednych - wyjaśniła niepotrzebnie Antonella.

Ale Morris już obejmował prowadzenie.

- Pozwolę sobie przedstawić Kwame - zwrócił się do księdza.

Ten, choć zaskoczony, odwrócił się żwawo, jakby fakt, iż został zmuszony do spełnienia obowiązku, przyniósł mu raczej ulgę.

---

<sup>42</sup> \* Miło mi.

Kwame wymamrotał coś niezrozumiałego, a jego wielka, czarna twarz rozjaśniła się uśmiechem. Jednocześnie spod oka rzucił Morrisowi spojrzenie, w którym zaufanie walczyło z ciekawością i obawą.

- Kwame nie mówi jeszcze zbyt dobrze po włosku - wyjaśnił Morris. - Zna angielski. - Po wyjściu księdza dodał jeszcze: - Jest jednym z naszych nowych pracowników bu-telkowni. Miałem nadzieję zastać tu Boba. Dzwoniłem do niego do biura, ale nikt nie odbierał.

Oczywiście było to kłamstwo.

Antonella stała w niezręcznej pozie wśród swoich kosztownych mebli, ubrana w prostą, tradycyjną sukienkę. W przeciwieństwie do większości znanych Morrisowi Włoszek zdecydowanie nie potrafiła się odpowiednio ubrać. W jednym z przeblysków intuicji, z których zawsze był taki dumny, uświadomił sobie, że to stylowe, wyszukane urządzenie domu stanowi efekt gustów Boba. Antonellę interesowały raczej publikacje w stylu *I miracoli di Sant'Antonio*<sup>\*43</sup> niż barwne stronicie *Casa Bella*.

- Ależ o tej porze Bobo zawsze jest w swoim biurze - odezwała się teraz, wyraźnie zakłopotana.

- Widocznie wyskoczył gdzieś na chwilę. - Morris zawahał się, jakby rozważając, jak w tej sytuacji najlepiej rozplanować swój cenny czas. - Cóż, w takim razie chyba będę musiał pojechać z chłopakiem do biura - zdecydował w końcu. - Kwame - dodał po angielsku - to jest żona twojego szefa, Signora Posenato.

Kwame, potężny i czarny, pochylił się i ujął dłoń Antoneł-li. Jej strach był aż nadto wyraźny, podobnie jak jej obrzydzenie do silnego zapachu, jaki Afrykanin wydzielał. Ale jednocześnie widać było, że Antonella walczy, aby pokonać te negatywne uczucia. Kącik ust drżał, ale oporne wargi zostały zmuszone do

---

<sup>43</sup> \* Cuda świętego Antoniego.

uśmiechu. Wymieniwszy z Kwamem uścisk ręki, szwagierka Morrisa odruchowo spłotła razem dłonie. Kwame nie przestawał kłaniać się idiotycznie.

- *Bene* - rzucił Morris, spoglądając na niego surowo. Wreszcie Antonella powiedziała to, co chciał od niej usłyszeć.

- Bobo nic mi nie wspominał o zatrudnieniu nowych pracowników. Skąd ten pomysł?

-*Dawero*. Naprawdę nic ci nie mówił?

Antonella potrząsnęła głową. Włosy miała splecione w ciasny węzeł nad masywnym karkiem. Morris zauważył krucyfiks, spoczywający między bujnymi piersiami, raczej w typie Massiminy niż Paoli. Tradycyjny, macierzyński biust, prezentujący ten rodzaj obfitości, który skłaniał do myśli o złożeniu na nim głowy, kojarzył się bardziej ze źródłem pokarmu niż z poletkiem perwersyjnych igraszek. Na dłuższą metę coś znacznie bardziej wartego pożądanego.

Czemu, na Boga, ożenił się z Paolą? Czy życie każdego człowieka było niczym więcej, jak tylko powolnym i stopniowym odkrywaniem błędów, do których popełnienia został zrodzony?

- Posłuchaj, załatwiłem ogromne zamówienie od brytyjskiej sieci supermarketów, żeby je zrealizować w całości, musimy dokupić wina i zatrudnić dodatkowych ludzi do pakowania. Uruchamiamy nocną zmianę.

Antonella była teraz autentycznie zainteresowana i zaniepokojona jednocześnie. Obecność Kwamego przestała się liczyć.

- Ależ my nigdy nie dokupowaliśmy - zaprotestowała. -Taka zawsze była polityka ojca. Mammy także. Wina Trevi-sanich z winnic Trevisanich. Nic więcej.

Udawanie zaskoczenia przyszło Morrisowi bez trudu. Z głową pochyloną na bok i wyrazem zakłopotania na przystojnej, jasnej twarzy, sięgnął po proste krzesło, stojące obok stołu ze szklanym blatem, i usiadł. Byle teraz tylko nie przedobrzyć. Bawił się wyśmienicie.

- No tak - powiedział - mam nadzieję, że nie wyrwało mi się nic niewłaściwego.

Zauważył, że Kwame uśmiecha się chytrze, zupełnie jakby rozumiał znaczenie więcej, niż chciał przyznać. Zgromi! go surowym spojrzeniem. Antonella usiadła także. Dokładnie naprzeciwko niego.

Morris wyglądał jak uosobienie szczerości.

- Przepraszam. Po prostu nie potrafię się przyzwyczaić do sposobu, w jaki we Włoszech prowadzi się interesy. Mam na myśli, że o niektórych sprawach można mówić głośno, a o innych absolutnie nie wolno, jeden sejf w biurze, widoczny dla wszystkich, i drugi, ukryty gdzieś za skrzynką z bezpiecznikami, inna rachunkowość w księgach, inna w komputerze z zastrzeżonym kodem dostępu. Niby wszyscy wiedzą o wszystkim, ale tylko z niektórymi możesz na ten temat rozmawiać. Dla mnie jest to zbyt skomplikowane.

Antonella miała teraz oczy jak spodki. W końcu firma była własnością jej rodziny, nie Boba.

- Nie, mnie się wydaje, że skoro już się zaakceptowało dokupowanie, co nawiasem mówiąc, robi większość firm winiarskich, ma się nawet listę dostawców w komputerze, to równie dobrze można uruchomić nocną zmianę i w pełni wykorzystać maszyny, a skoro nikt z Włochów nie chce pracować w nocy, możemy zaproponować pracę tym biednym ludziom, którzy aż się rwą, żeby ją otrzymać.

Zanim jego szwagierka zdążyła coś wtrącić, Morris już opowiadał, że wynajął dom na hostel dla robotników.

- Może mogłabyś porozmawiać o tym z Don Carlem. Wiem, że niektórzy z nich chcieliby przejść kurs katechizmu. Są tak spragnieni społecznej akceptacji.

Antonella spoglądała na niego niczym ktoś, kto nagle ujrzał rozrzucone na podłodze najdziwniejsze przedmioty i teraz nie wie, czy ma je skrzętnie pozbiierać i pochować, czy też lepiej wyrzucić od razu. Morris obdarzył ją swoim najbardziej ujmującym i zarazem przeproszającym uśmiechem.

- Właściwie Paola i ja też mamy sporo ubrań, które mogłyby pójść do biednych. Powiem jej, żeby ci je przyniosła, skoro zajmujesz się zbiórką.

- Czy Bobo akceptuje to... to posunięcie? - zapytała Antonella, usiłując ukryć swoje niedowierzenie.

- Posłuchaj - Morris zaczął otwierać teczkę - nie wydaje mi się, abym zdążył do winiarni przed lunchem. Gdzieś tu powinienem mieć kopię kontraktu z Doorways. Pokaż ją Bobowi, kiedy wróci. Kiedy zobaczysz, na jakie ilości wina opiewa zamówienie, od razu zrozumiesz, dlaczego Bobo będzie szczęśliwy, widząc możliwość takiego rozwiązania. A przy okazji pomożemy Kwamemu i jemu podobnym. Kapitalizm jest dobry tylko wówczas, kiedy możemy wciągnąć innych w orbitę naszego bogactwa, nie uważasz?

- *Sì, sì, sono d'accordo*<sup>\*44</sup>.

Widział jednak, że nie spodziewała się po nim takiej filantropii. W tej rodzinie nadal panowały identyczne uprzedzenia jak wówczas, kiedy ubiegał się o rękę Massiminy. Wciąż traktowali go jako zwykłego łowcę posagów, odmawiali mu wszelkich walorów duchowych czy choćby szczypty altruizmu. Nagle ogarnęła go determinacja. Antonella musi zrozumieć, że szwagier jest wart znacznie więcej, niż się jej wydaje. On, Morris, zadośćuczyni za śmierć Massiminy. Z całą pewnością. Znowu uśmiechnął się ciepło.

- Lepiej dać im pracę niż ubrania, nie sądzisz?

Antonella przytaknęła.

- Myślę, że zostawię notatkę dla Boba.

Morris sięgnął po długopis Cartiera i napisał na wydartej z notatnika kartce: „Bobo, znalazłem dla nas robotników. Żeby dotrzymać terminu, musimy w naj-

---

<sup>44</sup> \* Tak, tak, zgadzam się.

bliższym tygodniu uruchomić nocną zmianę. Jak najszybciej zawiadom dostawców. Skontaktuję się z tobą po południu. *Ciao, Morris*".

Od drzwi odwrócił się jeszcze raz i zapytał:

- A właśnie, jak się czuje Mamma? Nigdy nie jestem pewien, czy powinienem ją odwiedzić, czy nie. Wiem, że Bobo bywa w szpitalu dosyć często.

- Poprawiło jej się odrobinę - powiedziała Antonella. - Ale lekarze twierdzą, że nigdy już nie odzyska mowy. Bobo uważa, że byłoby lepiej, gdyby umarła, ja jednak wciąż się modlę o polepszenie dla niej, chociażby częściowe.

Morris ze smutkiem potrząsnął głową.

- Obawiam się, że Paola nie odwiedza jej tak często, jak powinna, a ja czułbym się głupio, idąc do szpitala bez niej. Ktoś mógłby to niewłaściwie odebrać.

Antonella odważyła się na wybaczący uśmiech.

- To cała Paola. Nie byłaby sobą, gdyby bez przerwy biegała do szpitala, nie uważasz?

Była to znacznie inteligentniejsza odpowiedź, niż mógłby się spodziewać. Charakter był przeznaczeniem człowieka. Opuszczając mieszkanie, Morris zauważył nad drzwiami subtelny, naprawdę gustowny krucyfiks. Żegnając się z Antonella miał o niej znacznie lepsze mniemanie, niż kiedy się witali. Mogła być pobożna, niezdarna i nieelegancka, ale serce miała po właściwej stronie.

- I w dodatku te piersi - powiedział na głos do Kwamego, kiedy wsiadali do samochodu.

Kwame wybuchnął głośnym śmiechem. Dłońmi zaczął wybijać skoczny rytm na udzie obciągniętymi nowymi dżinsami. Morris poczuł złość na siebie. Była to tego typu prostacka uwaga, w jakich celował jego ojciec. Wypadając z wizgiem z niewielkiego parkingu na główną drogę, omal nie potracił przypominającego stracha na wróble rowerzysty, z wysiłkiem pedałuującego pod górę na zdezelowanym rowerze. Cyklista skręcił gwałtownie i upadł, pociągnięty ciężarem teczki, którą trzymał podczas jazdy w jednej ręce.



Morris natychmiast otworzył drzwi mercedesa i już miał wysiąść i pokajać się szczerze, kiedy po rozczochranych kosmykach okalających placek łysiny rozpoznał dobrze sobie znanego, groteskowego Staną Albertiniego.

- Ty pieprzony skurwysynu - przeldinał tamten z akcentem z Zachodniego Wybrzeża.

Zanim jeszcze zdążył dokończyć, Morris siedział już bezpiecznie w samochodzie i ostro atakował pierwszy z zakrętów na drodze wiodącej do centrum, z błogą pewnością, że Stan go nie rozpoznał.

## 9

---

I znowu otulony szlafrokiem siedział w fotelu, w całkowitej ciemności, która zdawała się napierać na jego otwarte oczy. Ostatnio coraz częściej tak właśnie reagował na seks. Im bardziej zuchwała i wymagająca stawała się Paola, tym większe odczuwał później wyobcowanie. Owszem, bardzo sprawnie radził sobie z każdym jej wyzwaniem, ale wrażenie przygody i podboju gdzieś się ulotniły. Jej zapach zaczynał go irytować. Po każdym seksualnym zbliżeniu czuł się zredukowany do stanu czystej świadomości, ostrej niczym brzytwa. Jego umysł przypominał zwinną panterę, bez końca wędrującą z jednego końca klatki do drugiego i marzącą o nieistniejącej ofierze.

Morris siedział z uniesioną głową, w całkowitej ciemności, niemal bez ruchu. Gdyby tylko Paola zgodziła się na dziecko! Coś, co dałoby mu poczucie, że to wszystko prowadzi w stronę pewnej społecznej konsolidacji, ku wspaniałej wizji jego, Morrisa, zajmującego należne mu miejsce w tradycyjnej sieci rodzinnych powiązań. Czasami na wijące się pod nim ciało żony nakładało się wyobrażenie Mimi. Macierzyńska Mimi. Jej wielkie piersi. Łagodny uśmiech, kiedy oznajmiła mu, że jest w ciąży. Po jej śmierci stłumił w sobie te wspomnienia, jednak teraz

zaczynały do niego powracać. Przygoda z Paolą przestała spełniać swoje zadanie, jakim było tłamszenie tamtych szlachetnych uczuć. Prędzej czy później przyjdzie mu zmierzyć się z bólem wywołanym utratą Mimi, jego jedynej prawdziwej miłości.

Mocno przycisnął kciuk prawej dłoni do miękkiego zagłębienia w zgięciu lewego łokcia. Na jedną chwilę mroczny pokój wypełnił się barwami.

Czy przypadkiem nie ze strachu przed konfrontacją angażował się w farsę z winem, Bobem i imigrantami? Przecież dla osoby z jego możliwościami nawet tak złożony plan był w gruncie rzeczy drobnostką. Prowincjonalny sitcom. Ale przynajmniej zmusi ich, aby go wreszcie zaczęli dostrzegać. Dlaczego, pomyślał z umysłem nagle chłodnym i dociekliwym, dlaczego po prostu nie przyjęli go do rodziny, tak jak uczyniliby w przypadku każdego innego kandydata, dlaczego nie dopuścili go do współudziału we wszystkim, co mu się należało, nie podzielili się z nim wiedzą na temat funkcjonowania firmy? Czy naprawdę spodziewali się, że po tym, jak odmówią mu swojej akceptacji, będzie siedział cicho, grając podrzędną rolę, zupełnie jakby był zwykłym podwładnym, a nie pełnoprawnym członkiem klanu? Dlaczego nie tylko odrzucili go na początku, ale nawet i teraz nie chcieli uznać, że stał się jednym z nich?

Wciąż przyciskając kciuk do zagłębienia łokcia, Morris najpierw wybuchnął śmiechem, a potem zalał się łzami. Tylko Mimi wierzyła mu naprawdę. Wszyscy inni zmuszali go, by ich karał za brak zaufania. On sam potrafił zaakceptować czarnych, uznać ich za braci krwi. Nawet tego *marocehino*, który go oszukał. Nawet Staną, pod warunkiem, że tamten nie widziałby go tamtego fatalnego popołudnia. Boże, ileż strachu napędziło mu teraz ich ponowne spotkanie.

Opadł na kolana i zaczął się modlić:

„Mimi, pomóż mi czynić to, co dobre i słuszne. Wskaż drogę do akceptacji i sprawiedliwości. Pozwól mi na koniec osiągnąć szczęście”.

Jego wargi poruszały się bezgłośnie, dokładnie tak, jak powinny się poruszać wargi modlącego się. Okiennice były szczelnie pozamykane, więc otaczała go niemal idealna ciemność. W tej ciemności, z dala od fotela, doświadczył nagle

momentu całkowitej fizycznej dezorientacji, zupełnie jakby znalazł się w niebycie i unosił w przestrzeni. Uświadomił sobie, że mocno przyciska dłonie do twarzy, niczym dziecko wzywające matki. Czuł się natchniony, podniesiony na duchu, oczyszczony. Modlił się do Massiminy. Do swojej świętej! On, Morris modlił się! To dowód, że cechowała go prawdziwa głębia ducha. Po dwóch, może trzech minutach podniósł się niepewnie, wymacał drogę przez pograżony w ciemnościach pokój i ciężko opadł na łóżko.

Godzinę później jego szeroko otwarte oczy nadal stawiały wyzwanie ciemności. Cierpiał, inaczej nie można było tego określić. Tak, cierpiał, ponieważ posiadał ten cudowny dar intensywnego przeżywania uczuć. Tak bardzo różnił się od nieskomplikowanej Paoli, która najpierw brała od niego rozkosz, a potem zasypiała niczym dziecko. Kiedy pomyślał o Paoli, o jej ciele, o seksie z nią, nagle przyszło mu do głowy słowo „jama”. Właśnie jama, otchłań, nabrzmiała czerwoność, delikatna i nienasycona zarazem, skryta pod kępą faszystowsko czarnych włosów łonowych. A gdyby tak pomóc sobie dłonią i potem wśliznąć się w nią? Właściwie dlaczego nie? Już zaczynał czuć nabrzmiewającą męskość i uśmiech rozlewający się na twarzy. Ileż interesujących myśli potrafiło towarzyszyć człowiekowi w ciągu jednej tylko nocy. Sunąc dłonią w dół po gładkiej skórze brzucha, Morris objął swoją bezsenność niczym narzeczoną.

Bynajmniej nie wszyscy okazali się czarni. Był Chorwat Ante i Egipcjanin Farouk, był Albańczyk Ramiz, najwyżej czternasto- czy piętnastoletni, i mocno starszy Marokańczyk Azedine, dobrze już po pięćdziesiątce. Obecnością tego ostatniego Forbes nie był specjalnie zachwycony. Był Kwame oraz trzech innych Ghańczyków i wreszcie kilku Senegalczyków, którzy przychodzili i odchodzili. Spali w trzech pokojach na piętrze, na twardych deskach podłogi pustego domu,

pod wyobrażeniami ukrzyżowanego głową w dół świętego Piotra i szlochającej przy grobie kobiety. Myli się w łazience, w zimnej wodzie, dzieląc jeden ręcznik. Zakupy robili osobno i każdy trzymał żywność na innym z okiennych parapetów, doskonale sprawdzających się jako lodówki, jedli w dwójkę albo w większych grupach przy ogromnym stole z kamiennym blatem, stojącym w kuchni. Dla Ramiza i odrobinę żalosego Farouka Forbes gotował czasami proste pasty. Morris uznał to za prawdziwe szczodry gest. Po tym właśnie poznawało się kulturę człowieka, po jego gotowości poświęcenia swojego czasu młodszymi i prymitywniejszym od siebie.

W dzień imigranci spali do pierwszej albo do drugiej. Farouk i Azedine odmawiali swoje modlitwy przy wychodzącym na wschód oknie na pierwszym piętrze. W pozostałych pomieszczeniach piętra Forbes urządził sobie sypialnię, gabinet i łazienkę. Popołudniami w sali na parterze udzielał lekcji włoskiego i dawał wykłady o kulturze Włoch. Chodzili na nie tylko Ante, Farouk, Kwame i Ramiz. Siedzieli na porzewiałych krzesłach, ściągniętych z altanki w ogrodzie, podczas gdy Forbes objaśniał im zawilosci odmiany czasownika w różnych czasach albo opowiadał o smutnym upadku sztuki wraz z końcem renesansu. Za to wszystko co tydzień Morris płacił mu z własnej kieszeni pewną sumkę w gotówce, tak by starszek mógł jakoś przetrwać do czasu, kiedy willa - już wyremontowana i odpowiednio umeblowana - zacznie służyć jako szkoła dla bogatych uczniów z dobrych rodzin, do nauczania których czuł się powołany.

Wieczorem pojawił się samochód dostawczy Trevisanich i zabierał imigrantów do pracy w przylegającej do budynku biura długiej szopie, w której mieściła się prymitywna rozlewnia. Widząc ilości wymieniane w kontrakcie i zdając sobie sprawę z tego, ile Morris wie i ile jest gotów powiedzieć Antonelli albo nawet Signorze Trevisan o jego poczynaniach w firmie, Bobo, acz niechętnie, przystał na zakupienie tysiąca hektolitrów sikacza z południa, z Algierii, a nawet z samej Valpanteny (w końcu miał tu swoje kontakty), zmieszanie go z ich własnymi niewielkimi zapasami, odpowiednie doprawienie cukrem i sprzedanie biednym Anglikom.

„Doorways Trevisan Superiore. Dojrzałe wino stołowe, wyprodukowane na skąpanych w słońcu zboczach północnych Włoch”, głosiła etykieta. Kosztowało dobre czterdzieści pensów mniej niż jakiegokolwiek inne dostępne w tym samym supermarkecie, więc sprzedaż szła znakomicie. Imigranci co piątek dostawali i50tysięcy na rękę. Samochód, który ich przywoził i odwoził, nie miał okien, zresztą na dworze przeważnie było mgliście, więc i tak nikt by ich nie zauważył. Wszystko układało się świetnie i Morris nie mógł pojąć, dlaczego Bobo nie objawia większego entuzjazmu. Cały plan był przecież pociągnięciem naprawdę genialnym.

- Klienci są szczęśliwi - obwieścił dzisiejszego ranka, pokazując Bobowi faks zapowiadający kolejne zamówienie.

Bobo przez chwilę posażał policzek, a potem potrząsnął głową. Nie, tej sytuacji nie można przeciągać zbyt długo, powiedział kwaśno. Byłoby to szkodliwe dla firmy.

Znajdowali się w głównym biurze, z plastikowym ukrzyżowaniem i sobowtórem Marilyn Monroe dosiadającym butelki Fratelli Ruffoli i mknącym przez śnieżną zadymkę, zwiastując Boże Narodzenie. Sztywno wyprostowany Bobo tkwił w skórzanym fotelu, trzymając między mocno pożółkłymi zębami końcówkę również żółtego ołówka. Włosy na czole miał wilgotne od potu i niebezpiecznie przerzedzone. Ileż on mógł mieć lat? Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem? Morris, sprężysty i pełen energii, choć płacił za to każdej nocy, czuł się od niego znacznie młodszy. Pogoda ducha także dawała mu moralną przewagę. Tacy jak Bobo rodzili się ze srebrną łyżeczką w ustach wyłącznie po to, by później oberwać nią po głowie. Morris przysiadł na skraju biurka, tuż obok komputera, i zaczął wymachiwać nogą.

Bobo wyjął mu z ręki faks i skrzywił się. W sposobie, w jaki potrząsał głową, było coś teatralnego, zupełnie jakby wcześniej przygotował sobie cały scenariusz i teraz szykował się do wielkiej rozgrywki, zgodnie z tym, co miał napisane.

Morris po prostu czekał, skupiony na miłym odczuciu płynącym z prężnych mięśni pod nogawką eleganckich, wełnianych spodni, napinających się i rozluź-

nających, w miarę jak jego noga wędrowała w przód i w tył. W niektórych sytuacjach bycie przystojnym stanowiło naprawdę ogromny plus. Poza tym gdyby to jemu przytrafił się trądzik, z pewnością już by się z nim uporał. Z grzybicą, która zaatakowała mu wierzch prawej stopy, znacząc ją szpetną i swędzącą plamą, walczył przecież. Pieniądze nakładały na człowieka obowiązek dbania o atrakcyjny wygląd. Pewnego dnia napisze esej na temat związku między estetyką i moralnością. Coś arysto-telejskiego.

- Mam przetłumaczyć? - zapytał Boba, ciągle studiującego faks.

- Masz im wysłać grzeczną odpowiedź, że tegoroczne zapasy zostały wyczerpane i dalsze zamówienia muszą poczekać do przyszłorocznych zbiorów - odpowiedział Bobo.

Morris nie miał żadnych kłopotów z utrzymaniem przyjacielskiego tonu.

- Bobo, posłuchaj tylko. Przez ostatnie sześć tygodni zarobiliśmy więcej niż w ciągu całego roku. Wyluzuj. *Non fare il gufo* - posłużył się jednym ze swoich ulubionych włoskich powiedzonek, oznaczającym „nie bądź taki ponury”.

Od razu przypomniała mu się Massimina i tamta noc w Rzymie, kiedy odmówił pójścia na tańce. „*Non fare il gufo, Mo, balliamo*”. Jej ujmujący uśmiech, jej oczy pełne blasku. „Nie bądź takim puszczykiem, Mo”. Sposobiąc się do nieuchronnego sporu ze szwagrem, jednocześnie potrafił zdobyć się na refleksję, w jaki sposób dla kogoś tak wrażliwego jak on, każde pojedyncze słowo - *gufo, genio, artista, vittima* - obrasta własną historią, nabiera osobistych znaczeń i skojarzeń. Jego rozmówcy nawet się nie domyślali, dlaczego dobierał te, a nie inne wyrażenia czy zwroty. A Massimina wcale nie była martwa. Powiedział mu to nagły, wyraźny przebłysk intuicji. Stała się częścią jego samego; po prostu wchłonął w siebie jej głos i całe jej istnienie. Podobnie jak wcześniej wchłonął w siebie Matkę. Z ojcem nigdy się tak nie stanie.

Jego szwagier coś powiedział.

- *Scusami*. Przepraszam, ale zamyśliłem się. - Znowu szeroki uśmiech. Fakt, że był tak odprężony, by pozwolić sobie na błędzenie myślami, z pewnością musiał działać Bobowi na nerwy.

- Mówiłem - w głosie Boba słyhać było rozdrażnienie, osobliwie komponujące się z jego trądzikiem - mówiłem, że jeśli urzędnicy z ubezpieczeń społecznych, nie wspominając już o *Guardia di Finanza*, przyłapią nas na machlojkach, będzie to koniec firmy.

- Dlaczego niby mieliby nas przyłapać? - zapytał Morris, nie przestając wymachiwać nogą.

- Niektórzy z pracowników z dziennej zmiany też nie są zachwyceni. Uważają, że wykorzystujemy imigrantów, że im samym przydałoby się więcej nadgodzin. Wystarczy jeden anonim... Naprawdę mieliby nas na czym przyłapać.

Kilka ostatnich lat nauczyło Morrisa, jak się zachować w podobnych sytuacjach. Siedź spokojnie, nigdy się z niczym nie wrywaj. Uśmiechaj się. Poczekaj, aż przeciwnik się odłoni. Nie mógł jednak nie sprzeciwić się określeniu „wykorzystywać”.

- A niektórzy po prostu nie lubią czarnych i chcą się ich pozbyć.

Morris podejrzewał, że tak naprawdę Bobo ma tu na myśli siebie.

- Ależ to nie po chrześcijańsku - zauważył. - A jeśli odwiedzą nas urzędnicy z INPS\*<sup>45</sup> albo z *Finanza*, zawsze możesz potraktować ich tak, jak potraktowałeś w czerwcu tych od podatków - dodał, nie zmieniając tonu.

Mówiąc to, specjalnie popatrzył w bok, żeby nie być świadkiem gniewu czy zaskoczenia na twarzy Boba, czy też raczej - na wypadek, gdyby Bobo nie okazał zaskoczenia czy gniewu - żeby nie dać szwagrowi szansy zarobienia punktu dzięki opanowaniu. To wszystko jednak uświadomił sobie w chwilę potem, kiedy

---

<sup>45</sup> \* Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

już odwrócił wzrok. Interesujące, z jaką łatwością przychodziły mu teraz naturalność i swoboda. Instynkt i odgrywana rola niemal idealnie nakładały się na siebie. Nie ma mowy, żeby popełnił błąd.

Bobo wybrał udawanie spokoju. Nie wyszło mu to nadzwyczajnie.

- A w jakież to niby sposób potraktowałem w czerwcu tych od podatków?

Morris roześmiał się.

- Nie próbuj mi wmawiać, że twój komputer ma lepszą pamięć od ciebie. - Po-tem jednak zmienił ton, ponieważ postanowił być przyjacielski aż do gorzkiego końca; w końcu Bobo stanowił jakby odległe echo jego samego z przeszłości - wiecznego winowajcy, skrzywdzonego dzieciaka, przewrażliwionego na swoim punkcie i nade wszystko spragnionego przyjaźni. - Bobo, o co chodzi? Nie podobają ci się mój plan? Wymyśl lepszy, a z pewnością na niego przystanę, obiecuję ci to. Ale musisz przyznać, że to naprawdę jest maszynka do robienia pieniędzy. Dzięki niej zbierzemy kapitał, który pozwoli nam rozbudować firmę, rozwinąć produkcję i tak dalej.

Ale twarz Boba pozostała nieprzejeđnana. W szklistych, brązowych, przypominających paciorki oczach tlił się gniew. Nienawiść niemal. Morris uświadomił sobie, że ze strony szwagra nie jest to niechęć do kolorowych czy strach przed narażaniem się na śmieszność, bo przecież w tym kraju płacenie podatków traktowane było jak szczyt głupoty. Sprawa była o wiele prostsza, Bobo po prostu nie lubił Morrisa Duckwortha, swojego szwagra. Nie znosił go wręcz.

Ale dlaczego właściwie? Dlaczego? Co on, Morris, takiego uczynił, żeby nie lubić go? Był przecież przystojny, szczodry, przyjacielski, inteligentny. Czegóż jeszcze mógł chcieć od niego ten prowincjonalny plutokrata? Czyż nie stawał teraz na głowie, żeby mu dogodzić? Zmieniając ton na bardziej obojętny, gdyż nadszedł czas pokazać, jak bardzo czuł się zraniony, powiedział:

- A poza tym, Bobo, pomagamy tamtym. Ci wszyscy młodzi mężczyźni marz-liby nocami na cmentarzu, gdybyśmy się nimi nie zajęli. Traktowani są jak wyrzutki, a dzięki nam zyskują swoje miejsce, choćby skromne, w społeczeństwie.



Kwame mówił mi, że część zarobionych pieniędzy wysyła do domu. Nie tylko my bogacimy się dzięki nim. Także ich rodziny w Trzecim Świecie, którym naprawdę potrzebne jest wsparcie. Dlatego też wydaje mi się, że nie możemy tego przerwać. - Uśmiechnął się, widząc niedowierzanie na twarzy Boba. - A właśnie, przypomniałem sobie. Podziękuj, proszę, Antonelli za te ubrania, które przysłała.

Bobo zerwał się, jakby nagle podjął decyzję.

- *Va bene* - powiedział. - Niech będzie. Jeszcze dwa tysiące skrzynek i na tym koniec.

Odgarnął z czoła kosmyk włosów i zaproponował, żeby poszli razem na kawę. Przez chwilę Morris poczuł się zdezorientowany, jak zwykle, kiedy otrzymywał to, czego pragnął. Może jednak ten chłopak wcale nie darzył go nienawiścią?

Nałożyli płaszcze, wyszli z biura, przeszli obok psa - na szczęście tym razem na łańcuchu - i pojechali do niedużego baru w Quinto. Zrezygnowany Bobo starał się prowadzić uprzejmą konwersację o wszystkim i o niczym, zdejmując łyżeczką piankę ze swojego cappuccino. Morris, bardziej dobroduszny niż triumfujący, rozpływał się w pochwałach zamówionej przez siebie briozki z kremem. We Włoszech nawet w najpodlejszych barach gdzieś poza miastem potrafią podać dobrą kawę i ciastka, jakich w Wielkiej Brytanii człowiek nie dostałby prawie nigdzie, zauważył. Nie mówiąc już o jakości obsługi, o tym wewnętrznym poczuciu *signorile*<sup>\*46</sup>, które składało się na prawdziwą *civiltà*<sup>\*47</sup>, dodał ciepło.

- Czasami naprawdę zazdroścę kultury wam, Włochom -dokończył z lekką przesadą. - Anglicy są tak mało wytworni.

Nastała krótka chwila ciszy, podczas której Morris napawał się swoją pokorą, kiedy Bobo odezwał się nagle:

---

<sup>46</sup> \* Klasy wyższej.

<sup>47</sup> \* Kulturę.

- Skoro już mówimy o Anglii, czy wiesz, że Antonella chce się uczyć angielskiego?

- Och, z przyjemnością udzielenie jej lekcji - zapewnił Morris z pośpiechem. - Z prawdziwą przyjemnością.

Byłoby grubiaństwem z jego strony nie okazać, jak bardzo pragnie być użytecznym. Pod warunkiem, oczywiście, że potraktują go odpowiednio. Dawaj i bierz.

Bobo uśmiechnął się, ale potem jego blade wargi zacisnęły się w wąską linię.

- Och, już znalazła sobie nauczyciela.

- Świetnie. - Morris wzruszył ramionami. W końcu ostatnia rzecz, o jakiej marzył, to nudzić się śmiertelnie, nauczając swojego ojczystego języka. Angielski miał w sobie coś ograniczającego - posługując się nim, nie potrafił czuć się naprawdę sobą. A tępa Antonella z pewnością nie okaże się jakąś superuczennicą. Niech więc męczy się z nią ktoś, komu zależy na pieniądzech.

- Zabawny typ - mówił Bobo z namysłem.

- Tak? To dobrze. - Naprawdę nie mógł już być bardziej przyjacielski. - Zawsze powtarzałem, że odrobina humoru jest niezwykle pomocna, kiedy człowiek uczy.

Jedyna rzecz, jaka go ratowała od śmierci z nudów.

- W dodatku dobrze cię zna - ciągnął Bobo. - Zdaje się, że to ten sam, o którym opowiadałeś, kiedy przyszedłeś po raz pierwszy z Massiminą.

- Naprawdę? - Umysł Morrisa galopował teraz jak szalony. Kto to mógł być? Jakiż nieszczęśliwy przypadek sprzysiągł się teraz przeciwko niemu? Gwiazdy, planety, zawsze wszystko przeciwko niemu.

- Ma na imię Stan - dodał Bobo.

- Och, Stan - Morris wybuchnął śmiechem, omal nie dławiąc się przy tym. - Stan Albertini.

Boże wszechmogący, wszystko jasne. To dlatego ten głupi Amerykanin pedałował na swoim idiotycznym rowerze aż na wzgórze. Jechał zobaczyć się z Antonella, która z pewnością miała wszędzie w salonie porozstawiane fotografie Massiminy. Morris zmusił umysł do wysiłku. Tę samą Massiminę Stan widział na dworcu Roma Termini, wołającą do Morrisa z drugiego peronu, tamtego dnia, kiedy odbierał okup. Przez moment wydawało mu się, że jeszcze trochę, a zwyymiotuje tak chwaloną brioszkę i cappuccino wprost na marmur stolika. Jednocześnie automatyczny pilot sprawił, że odezwał się zupełnie swobodnie:

- Ciągłe nosi ten swój kaftan i paciorki? Obawiam się, że jako nauczyciel Stan nie jest zbyt dobry.

Bobo podniósł się, żeby uregulować rachunek.

- Może, ale za to ma niejedną dobrą historię do opowiedzenia.

Ale Morris już odzyskiwał panowanie nad sobą. Nic się przecież nie stało. Gdyby ktoś naprawdę znał jakąś historię na jego temat, już odsiadywałby dożywocie.

Byłby za kratkami, a nie na wolności.

Jak każdy filantrop Morris lubił odwiedzać beneficjentów swojej dobroczynności, wpadać do nich od czasu do czasu, zjeść z nimi lunch, wypytać, czy wszystko jest w porządku z mieszkaniem, z warunkami pracy, pieniędzmi i jedzeniem. Najchętniej przysiadł na jednym z parapetów okiennych willi w pobliżu Marzana, popijając *brodo di verdura*<sup>\*48</sup>, który pośrednio sam im zapewniał. Przysłu-

---

<sup>48</sup> \* Wywar jarzynowy.

chiwał się, jak Farouk swoją kulawą angielszczyzną pociesza młodego, dzielnego Ramiza, który stracił oboje rodziców i siostrę, kiedy ich łódź zatonięła w pobliżu Bari, czy dyskutował z Chorwatem An-tem haniebne poczynania Serbów.

Jeśli czas mu na to pozwalał, zostawał dłużej, żeby posłuchać wykładu Forbesa na temat perfekcji Rafaela i dekadencji Tinto-retta. Rafael zmarł, mając trzydzieści siedem lat. *Ars longa, vita brevis*<sup>\*49</sup>. Tintoretto dożył siedemdziesięciu sześciu. Najwięksi często umierali młodo, podczas gdy twórcy nie do końca wielcy osiąkali wiek sędziwy. Na przykład Shelley i Browning. Forbes, sam mocno po sześćdziesiątce, zawsze z kwiecistym krawatem pod szyją, rzucał przezrocza na pokrytą łuszczącym się tynkiem ścianę w salonie, w którym imigranci rozpalali ogień ze zbieranych na zboczach wzgórza drewniek. Ciągłe niezreperowany kominek ciągnął kiepsko, z paleniska dymiło. Farouk podrzemywał z głową wspartą na ramieniu Azedina, jeden z Ghańczyków wycinał coś w drewnie. Słuchając głębokiego, uczonego głosu Forbesa i przypatrując się grze świateł na barwnym świętym Jerzym zabijającym smoka albo na Sądzie Ostatecznym, Morris w cudowny sposób czuł się częścią tego wszystkiego, owego osobliwego świata, który sam stworzył: upośledzeni ekonomicznie i społecznie, sztuka, Włochy. Jego rodzina niemal.

Tego ranka, jadąc mercedesem w stronę willi, opowiadał Mimi, że choć w przeszłości popełnił wiele błędów, teraz bezsprzecznie pokutuje za nie. Więcej już nie można od niego wymagać. Stała pokuta za ciągle popełniane zło. Czyż nie stanowiło to istoty katolicyzmu?

- Dopóki błędy nie staną się pokutą, a pokuta błędem. Sam siebie zaskoczył trafnością tego sformułowania. Tak właśnie było w przypadku Paoli. Zniżył głos i ciągnął ze smutkiem.

- Ile razy się z nią kocham, przypominam sobie ciebie. To prawdziwe *fioretto*, ciągle umartwianie się. Zdradzam cię i jednocześnie pokutuję za to.

---

<sup>49</sup> \* Sztuka długa, życie krótkie.

Widoczny za szybą samochodu rząd palm i cyprysów, wynurzających się z mlecznej bieli, stanowił idealną oprawę dla jego niezwykle wewnętrznego świata, wspaniałe tło dla pokrętej linii myśli. Morris odłożył słuchawkę i zahamował na podjeździe. Z mgły wyłoniła się czyjaś sylwetka i pochyliła się, żeby otworzyć mu drzwi. Kwame, jego faworyt. Może powinien wziąć go ze sobą, kiedy jechał porozmawiać z Bobem?

- Kwame, witaj, wszystko w porządku? - Morris ujął potężne, muskularne ramię i uściśnął je lekko. Już sama obecność tego chłopaka miała w sobie coś cudownie łagodzącego.

Zachowanie Kwamego wyraźnie jednak wskazywało, że nic nie jest w porządku. Zza drzwi wyłonił się Forbes i pospiesznie zbiegł po schodach.

- *Res ipsa loquitur* - rzucił zagadkowo. - Rzecz mówi sama za siebie.

Kiedy Morris popatrzył osłupiały na spowity mgłą budynek, licząc niewyraźne rzeźby na dachu (czy aby żadnej nie brakuje?), odezwał się Kwame:

- Człowieku, to nie mówi, to śmierdzi.

Morris dał się zaprowadzić w odległy kąt tarasu. Teraz on także poczuł przenikliwy odór kanalizacji, unoszący się w powietrzu. Kwame ujął go pod ramię i pociągnął ku ciemnej plamie, znaczącej kamienną płytę. Morris przyjrzał się mrowi, podtrzymującemu tarasowy ogród powyżej drogi. Kwame wskazał dwie ciemne, obrzydliwie wyglądające strużki, spływające w dół po zasłonie bluszczu.

Morris poczuł, że wzbiera w nim gniew. Z jego mieszkaniem było dokładnie tak samo. Ledwo człowiek wszedł w posiadanie czegoś, czego zawsze pragnął, a już zaczynał odkrywać usterki. Od razu przypomniał mu się tamten deweloper. Nie policzył się z nim jeszcze.

- Toalety są nie do użytku - powiedział Forbes sztywno, tonem osoby, która jasno daje do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby i to zostało zaliczone do jej obowiązków.

- Przelewa się z nich - dodał Kwame. - Nie mamy gdzie srać. -I tak się niefortunnie składa, że jesteśmy tu... hm... pozbawieni telefonu.

Morris okrążył plamę. W tym miejscu pod spodem prawdopodobnie znajdowało się szambo. Z domu wyszli Azedine i Farouk. Egipski chłopak, z papierosem w ustach, wykrzywił się zabawnie i chichotał. Smród był paskudny. Ale Morris poczuł, że jego gniew ustępuje. Oto dziesięć czy dwanaście osób otacza go kołem, czekając, aż on, Morris Duckworth, zacznie działać. Polegali na nim, na jego hojności i umiejętności rozwiązywania małych, przyziemnych problemów, które nieuchronnie pojawiają się w życiu. Tak samo jak wówczas, kiedy siedział z nimi wszystkimi przy ogniu, słuchając opowieści Forbesa o Palladiu i jego nowej interpretacji architektury klasycznej, tak i teraz, mierząc się z kryzysem w postaci zapchanego szamba, poczuł się niczym w domu, co więcej, poczuł się panem tego domu i ta rola niezwykle mu odpowiadała. Postukał na próbę w kamienne płyty, zupełnie jakby radzenie sobie z przelewającym się szambem stanowiło jeden z jego talentów. Jakże daleką drogę przebył od żalosego dziecka i mizantropicznego młodzieńca. A może, pomyślał nagle, w końcu zdecyduje się nawet na odejście od Paoli i zamieszkanie tutaj. Przynajmniej miałyby nauczkę. Żeby nic nie robić, tylko całymi dniami oglądać MTV, a od niego domagać się zlizywania jogurtu z cipki.

Morris patriarcha (choć wciąż bezdzietny) wrócił do mercedesa, wyciągnął z eleganckiej teczki od Gucciego notatnik z adresami, znalazł numer właściciela willi i zatelefonował do niego. Tamten podał mu numer lokalnego fachowca, który zakładał w willi kanalizację jakieś piętnaście lat temu.

Jego adoptowana rodzina i nieco dwuznaczny w roli ojca Forbes zbili się w barwną kupkę wokół samochodu, z szacunkiem przysłuchując się obu rozmowom. To było naprawdę satysfakcjonujące.

- *Si, subito* - mówił Morris z naciskiem - tak, jak najprędzej.

Wrócili do środka, żeby zjeść lunch. Na piecu grzał się potężny gar wody na makaron, na stole leżała pękata, brązowa torba, wypełniona chlebem. Morris po-

stawił obok swój wkład w przygotowywany posiłek - kilogram parmeza-nu i dwa litry Valpolicelli.

- Żadnego Trevisan Superiore - powiedział ze śmiechem.

Na szybie okiennej osiadała para. Forbes obwiązał fartuszkami chichoczącego, młodego Ramiza i skupionego Farouka, robiąc im przy tym wykład na temat przypraw. Drobny, żylasty Senegalczyk w pękniętych okularach na wydatnym nosie szorował stół do czysta. Z przyległego pokoju napływał dym z marokańskiej fajki Azedina i dźwięk arabskiej muzyki, która zdawała się nie mieć ani początku, ani końca, lecz stanowić wyłącznie nagłą, meandrującą bez określonego celu witalność, tak zdrową w porównaniu z zachodnią obsesją docierania od punktu A do punktu B i potem dalej, pomyślał Morris, dumny ze swojego spostrzeżenia. Kiedy Kwame przyciągnął dla niego największe krzesło i ustawił je u szczytu stołu, uśmiechnął się prosto w ogromne, łagodne oczy Afrykanina. Był gotów obmyć jego wielkie, czarne stopy. Atmosfera tego miejsca była tak cudownie biblijna, a jednocześnie modernistyczna, postimperialna i zarazem utopijna. Gdyby był współczesnym zbawicielem, wybrałby tych właśnie ludzi na swoich uczniów. Sól ziemi. Nie zaprotestował nawet, kiedy w kuchni pojawił się Azedine i zapalił wielkie cygaro. Przeciwnie, niemal pokochał go za to.

- Wyśmienite! - wykrzyknął, kiedy Ante nałożył wszystkim makaron. Wymienił z Forbesem ciepłe spojrzenie. Starzec poruszał się dziwnie sztywno, a na jego twarzy chwilami pojawił się wyraz tłumionej odrazy. Mimo to Morris pomyślał, że nigdy przedtem nie widział go tak szczęśliwego. Najwidoczniej opieka nad tymi młodymi ludźmi stanowiła dla niego rodzaj objawienia. Nawet jego zwykle zszarzałe policzki teraz zabarwiły się lekkim rumieńcem, w zadymionej, wypełnionej gwarem kuchni. Może w końcu uda się go przekonać, aby zrezygnował ze swojego pomysłu edukowania uczniów z bogatych rodzin. Młodzi przedstawiciele klas posiadających nigdy nie będą mieli tej prostej witalności, nie będą tacy wdzięczni, co zebrani tu imigranci. Przez moment chciał poprosić Forbesa o odmówienie modlitwy dziękczynnej, może nawet po łacinie, ale zmienił zamiar.

- Uwaga, uwaga - zawołał nagle, przekrzykując ogólną wrzawę. Pięciu czy sześciu mężczyzn z pochylonymi głowami właśnie zabierało się do makaronu. Morris uniósł w górę obie ręce.

- Chciałbym złożyć pewne oświadczenie. - Wszyscy wlepili w niego wzrok; nieogolone szczęki nie przestały się poruszać, pod rozczochranymi czuprynami, skręconymi albo gładkimi, błyszczały żywe oczy. - Chciałbym wyrazić wam wszystkim swoją wdzięczność - mówił wolno Morris, świadomy problemów językowych. - Tak, właśnie wdzięczność. Cały ten pomysł, to, że mieszkacie tutaj i pracujecie dla Tre-visan Wines, okazał się wielkim sukcesem. - Urwał na chwilę. - Mówiąc krótko, podpisaliśmy dziś kontrakt, który zapewni wam pracę przez trzy kolejne miesiące. Uważam, że powinniśmy to uczcić.

Senegalczyk przetłumaczył jego przemowę koledze. Kwame uśmiechał się promiennie, prezentując idealnie białe, choć splamione pomidorowym sosem zęby.

- Nie, to my wdzięczni tobie, szefie - powiedział. - My wszyscy bardzo wdzięczni.

Forbes pochylił się i wyszeptał coś Ramizowi wprost do ucha. Chłopak aż pokrzął.

- A teraz w sprawie ubikacji - ciągnął Morris, przerywając chór podziękowań - fachowiec od szamba przyjedzie koło trzeciej. Do tego czasu proponuję wykopać dół w krzakach z dala od podjazdu. Jeśli ktoś chce skorzystać z prawdziwej toalety, musi poczekać, aż znajdzie się w pracy.

Powiedział to wszystkim żartobliwym tonem i był zaskoczony ciszą, jaka zapadła po jego słowach.

- Jakiej toalety? - zapytał Ante chmurnie.

- W pracy, oczywiście. Jest przecież toaleta w butelkowni. Kwame potrząsnął głową.



- Dla nas ona jest zamknięta, szefie. Pan Bobo mówi, że brudzimy. Ze chowamy się tam, żeby nie pracować, że sprzątaczkę nie chcą zmywać gówna po czarnych.

Znowu zapanowała cisza, przerywana jedynie irytującym klikaniem, kiedy Azedine zaczął stukać paznokciami po zębach. Morris był autentycznie wstrząśnięty. Jednocześnie bolało go, że nie powiedzieli mu o tym wcześniej, zupełnie jakby sądzili, że on również odpowiada za tę decyzję.

- To znaczy, że musicie chodzić na dwór, na to zimno? -zapytał.

- Ależ nie, tam jest *chien* - zawołał żywo Senegalczyk. -*Le chien, on ne peut pas*<sup>\*50</sup>.

- Pies - poprawił go Ante. - Nie możemy wychodzić na dwór, bo pies rozszarpałby nas, zanim jeszcze zdążylibyśmy ściągnąć spodnie.

- Ten pies to demon - odezwał się jeden z Ghańczyków. - To szatan wcielony.

- W takim razie co robicie?

- Sikamy do butelek, szefie - wytłumaczył mu Kwame. -I żadnego srania.

-Ależ to barbarzyństwo! Na miłość boską, czy wiedziałeś o tym? - Morris zwrócił się teraz wprost do Forbesa.

- Podejrzewałem - odparł tamten niepewnie. Z jedwabnym krawatem w bzy, obficie splamionym sosem, wyglądał bardziej groteskowo niż kiedykolwiek. - *Volenti non fit injura*<sup>\*51</sup>, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Morris nie rozumiał. Nie miał też czasu dopytywać się o cokolwiek. Rozsadzała go furia, żar oblewał ciało. Jego chłopców spotkała zniewaga, a on nie miał o niczym pojęcia. Czuł krew pulsującą w skroniach. Zerwał się od stołu, wypadł z

---

<sup>50</sup> \* Pies, nie można.

<sup>51</sup> \* Chcącemu nie dzieje się krzywda.

domu, wsiadł do samochodu i popędził na złamanie karku na spotkanie z Bobem, żeby oznajmić mu, że on, Morris, może sam czyścić łazienkę, jeśli zajdzie taka konieczność, ale z rasizmem trzeba skończyć, i to natychmiast. Jest to kwestia zwykłej solidarności, absolutna podstawa tego, co nazywamy *civiltà*. Usłyszawszy od szwagra, że niektórzy z pracowników z dziennej zmiany zaprotestowali przeciwko korzystaniu z tej samej toalety co banda brudnych imigrantów, skierował się prosto do butelkowni i przekrzykując huk maszyn, zwrócił się bezpośrednio do robotników, siedzących przy swoich stanowiskach pracy: czterech kobiet w średnim wieku, chłopaka z mongolizmem, młodego, utykającego mężczyzny, który zajmował się drobnymi naprawami, kiedy coś zaszwankowało, chłopca na wózku inwalidzkim i pięciu rozchichotanych dziewcząt, z których żadna nie miała więcej niż szesnaście lat.

W dusznych oparach wina butelki podskakiwały na przenośniku taśmowym, plastikowe korki opadały rytmicznie w dół. Morris musiał krzyczeć. Powiedział im, że powinni się wstydzić. Czy jeden z trzech króli nie był czarny? A jednak Jezus przyjął jego dar. Czy nasz Pan nie nakazał Pawłowi spożywania niekoszernego jedzenia? Każdy zasługuje na akceptację: czerwony i żółty, czarny i biały. Niemal słyszał głos Matki, pomagającej mu odrobić lekcje do szkółki niedzielnej. Mózg dosłownie mu rozsadało. Ojciec był takim nieprzejednanym rasistą. Oczywiście, że imigranci wiedzą, że trzeba załatwiać się do muszli i zostawiać po sobie czystą deskę. Nie są przecież zwierzętami.

- Wasze dalsze zatrudnienie - zakończył, zdecydowany przejść do groźby - w dużym stopniu zależy od pieniędzy, które zarabiamy dzięki uruchomieniu nocnej zmiany. Czasy są ciężkie i nie zapominajcie o tym. Wszystkie firmy dookoła padają.

Chcąc jak najszybciej usłyszeć aprobatę Massiminy, wrócił pospiesznie do samochodu, żeby z nią porozmawiać. Ona na pewno udzieli mu poparcia. Mógł być potworem, zgoda, gardził złym smakiem i wulgarnością, bywało, że grzeszył niemiłym zachowaniem, bardzo często popędliwością, ale nigdy, przenigdy nie zdarzyło mu się pogрузić w bagno moralnym rasizmu.

Sięgnął po słuchawkę telefoniczną i wylał do niej wszystkie swoje żale. Masimina jak zwykle milczała, jednak nie zniechęcało go to. Czuł, że kiedy nadejdzie odpowiedni czas, udzieli mu swojego błogosławieństwa. Nie należał do ludzi, których uczucia tracą na intensywności wyłącznie dlatego, że nie spotykają się z natychmiastowym odzewem.

Kiedy ponownie podjechał pod Villa Caritas - oczywiście to Forbes tak ochrzcił dom - zobaczył przysadzistego mężczyznę dobrze po pięćdziesiątce w podniszczonej, myśliwskiej kurtce i legginsach, podważającego oskardem płyty tarasu. Na jego widok mężczyzna podrapał się po głowie. Pamięta przecież, że szambo było zakładane rok, góra dwa lata temu, powiedział. Pojęcia nie ma, dlaczego miałyby się teraz zatkać. Cały system obliczany był na wieloosobową rodzinę. To ogromny dom.

Imigranci stanęli kołem, patrząc, jak mężczyzna, sapiąc i postępując, odsuwa kolejne płyty. Robaki rozpierzchały się na wszystkie strony, niczym uchodźcy, widoczni na zdjęciach z lotu ptaka. Wreszcie ukazała się cementowa pokrywa szamba. Kwame i jeden z Ghańczyków pomogli hydraulikowi ją odsunąć. Pod spodem znajdowały się deski. Mężczyzna usunął je, jedną po drugiej, odsłaniając okrągły otwór, z którego buchnął nieznośny odór. Na powierzchni ohydnych brązowych szumowin pływały lśniące, napęczniałe, różowe balony. Wszyscy wlepili w nie wzrok. Azedine i Farouk popatrzyli po sobie. Młodziutki Ramiz wybuchnął gromkim śmiechem. Hydraulik z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Macie nie wrzucać tych gumowych rzeczy do toalety. *Va bene*<sup>\*52!</sup> - Kiedy uniósł głowę, jego spojrzenie od razu powędrowało ku dwójce czarnych, jakby to tylko oni mogli być tak lubieżni i jednocześnie tak bezmyślni. - Nie do toalety - powtórzył hydraulik głośniejszym, najwidoczniej wierząc, że jeśli natęży głos, zostanie lepiej zrozumiany. - Żadnej z tych gumowych rzeczy do toalety!

- Chyba żartujesz - powiedziała Paola, kiedy wieczorem Morris zrelacjonował jej całe wydarzenie. Roześmiała się głośno. - Ci starzy wieśniacy są tacy katolic-

---

52 \* Dobrze!

cy! Założę się, że hydraulik żegna się teraz co chwila na wspomnienie tego grzechu.

Najwyraźniej podnieciła ją ta historia, pomyślał Morris. Przypomniawszy sobie, że kiedy pewnego dnia Kwame pomagał mu wnieść po schodach elegancką, osiemnastowieczną ko-módkę, którą udało mu się kupić okazji, zauważył na twarzy żony coś w rodzaju podziwu. „*Bel ragazzo*<sup>\*53</sup>” - powiedziała wtedy - „*bello grande*<sup>\*54</sup>”.

Oglądali razem telewizję. Lir spadał na łeb, na szyję, deficyt budżetowy nie przestawał rosnać, gdzieś na południu pewien pomniejszy polityk został pozabawiony głowy w sklepie rzeźniczym, na północy ważniejszy polityk został pozbawiony wolności. Następnie prezenter przeszedł do odczytywania nazwisk sędziów na rozgrywki pierwszoligowe w najbliższą niedzielę. Niektóre z nich były wyraźnie kontrowersyjne. Ale Morris wciąż był myślami przy dewaluacji lira i deficycie budżetowym. Może należało jak najszybciej zmienić osobiste aktywa na niemieckie marki?

- I co? - zapytała Paola. - Czy ktoś się przyznał?
- Do czego?
- Do tych kondomów?
- Och, nie mogłem przecież ich wypytywać o prywatne sprawy.

Paola otoczyła męża ramieniem i cmoknęła w jasną skroń.

- Kocham twój sposób wysławiania się,

Morris uznał to za bardzo irytujące. Wpatrzony jednym okiem w reklamę sklepu z talizmanami (jak to możliwe, aby ludzie byli aż tak łatwowierni?), wytłuma- czył jej, że niezmiernie go cieszy, iż w tak krótkim czasie tym młodym ludziom

---

<sup>53</sup> \* Ładny chłopak.

<sup>54</sup> \* Bardzo ładny.

udało się znaleźć lokalne dziewczęta, które się w nich zakochały i nie pogardziły nimi jak banda kalek i idiotów w wytwórni win. Młodsza generacja najwyraźniej jest bardziej skłonna akceptować odmienność, wręcz fascynować się nią, zakończył.

-Mo!

- Co takiego?

- Mo, ty chyba żartujesz. No nie, ty jesteś naprawdę niesamowity.

Zupełnie nie mógł pojąć, o co jej chodzi.

- Mo, oni w życiu nie znajdą dziewczyny w miejscu takim jak Quinto. Tutejsze wiejskie dziewczyny nie tknęłyby nawet Włocha z Południa, a co dopiero mówić o czarnym.

Morris wlepił w nią wzrok. W migocącym świetle bijącym od ekranu nagle wydała mu się przerażająca. A jednocześnie bardzo seksowna.

- Oni to robią ze sobą nawzajem. Myślałam, że wiesz. Jedyne, co mnie zdumiewa, to fakt, że mają na tyle zdrowego rozsądku, żeby użyć prezerwatywy.

Na widok jego zdumienia Paola zaczęła histerycznie chichotać. Oczywiście śmiała się z niego. Na dodatek w tym samym momencie w telewizji rozpoczęło się *Colpo Grosso* -program pornograficzny ze striptizem. Leżąca na czerwonej sofie dziewczyna wcierała sobie ślinę w sutki. Morris zerwał się gwałtownie.

- Mo, chodź, pooglądamy. Będziemy mieli materiał porównawczy.

Nie tak planował spędzić ten wieczór, odparł z gniewem. Woli książkę. Wycofał się do łóżka z *Boską Komedią*, którą Forbes koniecznie radził mu przeczytać. Wolno mu to szło, ale wiedział, że nie obejdzie się bez tej lektury, jeśli miał uchodzić we Włoszech za człowieka kulturalnego. Kiedy w pół godziny później zamykał oczy, przy akompaniamencie krzykliwej muzyki *Colpo Grosso*, docierającej do sypialni przez kiepsko izolowane ściany, zaczął się zastanawiać, jaką odpowiednio srogą karę wielki poeta wymyśliłby dla Paoli, Boba i... i... ale w

tym momencie zaczął się unosić ku rajowi snu. Mimi oczywiście była Beatrycze.  
Wyciągnięte ramiona, łagodny uśmiech.

To jasne, że jego chłopcy nie robili tego ze sobą nawzajem.

TLR

---

## CZĘŚĆ DRUGA

### 12

Zwykle koło południa albo trochę później, do Morrisa docierało nagle, że tak naprawdę jest w zupełnie innym nastroju, niż mu się wydawało, a już z pewnością w innym niż ten, w jakim zaczynał dzień. Za każdym razem musiał potem wkładać wiele wysiłku umysłowego w uświadomienie sobie, co właściwie sprawiło, że czuje się tak bardzo szczęśliwy albo -przeciwnie - niemal bliski samobójstwa. Tego dnia rozpoznanie stanu ducha nastąpiło podczas porządkowania niewielkiego księgozbioru, trzymanego w biurze w centrum miasta (coraz rzadziej myślał o tym miejscu jako o biurze, traktując je raczej jako swój gabinet). Najpierw posegregował publikacje poświęcone sztuce i fotografii według epok oraz stylów. Właśnie zabierał się do ułożenia powieści i poezji według nazwisk autorów, kiedy nagle przyłapał się na tym, że jest w wyśmienitym nastroju, mimo bałaganu, jakim było jego małżeństwo, i wymagającej od niego sporej gimnastyki umysłowej rozmowy telefonicznej z przedstawicielem Doorways na temat eksplodujących butelek Trevisan Superiore, jaką odbył z samego rana. Anglików niepokoiła podejrzenie wysoka zawartość alkoholu w winie, jednak Morrisowi udało się ich przekonać, że to tylko kwestia drobnego defektu maszyny; po prostu w szybkach butelek zostało przy rozlewaniu zbyt mało powietrza. Tak, mimo głębokich problemów egzystencjalnych i drobnych niedogodności dnia codziennego promieniował optymizmem i za nic w świecie nie potrafił wyjaśnić, skąd mu się to bierze. Może przyczyniła się do tego poranna rozmowa z Antonellą o tym, czy imigranci powinni przejść badania lekarskie. Już dawno zauważył, że głos szwagierki działa na niego łagodząco. Ale przecież nie do tego stopnia, by teraz skakał z radości. A może miał znaczenie ten incydent z mandatem za niewłaściwe parkowanie, od którego udało mu się wykręcić, kiedy zapewnił *vigiles-*

se<sup>\*55</sup>, że stanowczo woli Włochy od Anglii i że podziwia ludzi takich jak ona, sumiennie wypełniających niełatwe przecież obowiązki. Tak, to było zabawne wydarzenie, drobne ćwiczenie tych cech, które lubił w sobie najbardziej - uroku osobistego i siły przekonywania.

Nie sądził jednak, by takie drobiazgi, choć miłe, mogły stanowić przyczynę obecnego nastroju, który po bliższym zbadaniu określiliby jako niemal euforyczny. Przynajmniej nie powinny. Bo gdyby stanowiły, oznaczałoby to, że coś jest z nim nie w porządku. Z uśmiechem sięgnął po tom Leopardiego (z pewnością nadejdzie kiedyś dzień, w którym przeczyta tych wszystkich klasyków). Miał nadzieję, że dotarłszy wreszcie do prawdy, nie dozna zawodu, jak tamtego dnia, kiedy uświadomił sobie, że powodem jego radości była kartka urodzinowa od ojca.

Dopiero późnym popołudniem, w trakcie zastanawiania się nad kupieniem butelki jakiegoś dobrego wina na dzisiejszy obiad, żeby dusigrosz Bobo nie uraczył ich rodzinnym sikaczem, bo tego Morris przysiągł sobie nigdy nie brać do ust (a już zwłaszcza po wypadku z eksplodującymi butelkami), no więc dopiero późnym popołudniem uświadomił sobie, skąd się wzięło jego wyśmienite samopoczucie. Niespodziewane zaproszenie na obiad do szwagrostwa. No jasne! Choć podczas rozmowy z Antonella ledwo zarejestrował je w świadomości, prawda była taka, że stanowiło ono bardzo istotny punkt zwrotny. On, Morris, został zaproszony na rodzinne przyjęcie. Nie na jakąś wielką uroczystość, którą planuje się wiele tygodni naprzód i z której trudno byłoby im go wykluczyć, lecz na zwykły, nieformalny obiad w gronie rodzinnym. Zaproszony w swobodnej rozmowie, niemal w ostatniej chwili, bez specjalnych ceregieli. Jednym słowem, został zaakceptowany jako przyjaciel i członek rodziny. Ziściło się jedno z jego najdawniejszych pragnień, które przede wszystkim kazało mu zwrócić uwagę na Massiminę.

---

<sup>55</sup> \* Parkingowa.



Z początkiem lutego mgły ustąpiły. Powietrze miało niezwykłą wręcz przejrzystość. Każdy kontur rysował się ostro i wyraziście - od południa wysmukłe cyprysy, dzwonnice kościołów i wieże wodne, a od północy poszarpane pasmo górskie na tle niższych wzgórz. Z nadejściem nocy jasne światła neonów odcinały się od lodowatych sylwetek, niczym białe i żółte otwory wyszarpane tu i ówdzie w grubym, czarnym papierze zimowej ciemności. Po drodze do osiedla *La Speranza* Morris zatrzymał się przy najdroższej kwiaciarni w mieście.

Kiedy w kwadrans później stanął przed strzeżoną przez kamery bramą, dzierżył w ręku wspaniałą bukiet. To im pokaże, kto się zna na formach towarzyskich. Do tego butelka Grigolino i druga, Trebbiano, oraz twarz przyobleczone w najmiłszy uśmiech, zwiastujący: koniec -dnia-pracy-czas- na-miłą- spokojną- pogawędkę.

Wspinając się po schodach, pomyślał, że kiedy pokojówka otworzy mu drzwi, poprosi ją, aby wstawiła kwiaty do wody, nie mówiąc nic Antonelli. Zaskoczy ich swoją nieśmiałością. Oczywiście pokojówka i tak od razu pobiegnie do swojej pani.

Zastukał do drzwi.

*Può metter' questi in acqua*<sup>\*56?</sup> - jego wargi już formułowały prośbę, a szeroko otwarte oczy spoglądały niewinnie i szczerze, kiedy nagle uświadomił sobie, że twarz, którą widzi w uchylonych drzwiach, bynajmniej nie należy do pokojówki, lecz stanowi absurdalną kombinację koziej bródki, haczykowatego nosa i łysiny na czubku głowy, otoczonej skręconymi loczkami. Pęknięty balon nie oklapłby z taką prędkością jak jego dobry nastrój w tej chwili.

- Cześć, facet, jak leci? Lata całe się nie widzieliśmy, co?

To był Stan. Stan Albertini. Antonella najwidoczniej doszła do wniosku, że sprawi mu przyjemność, zapraszając kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać po

---

<sup>56</sup> \* Czy może pani wstawić je do wody?

angielsku. Zupełnie jakby włoski Morrisa nie był wystarczająco dobry. Albo jakby ten włosko-amerykański Żyd mógł w jakikolwiek sposób skojarzyć mu się z domem. Chyba że było odwrotnie i to on, Morris, został zaproszony wyłącznie po to, żeby dotrzymać towarzystwa Stanowi.

- Czasami musisz odczuwać tęsknotę za krajem. - Anto-nella uśmiechała się do obu swoich gości, ani jednym słowem nie komentując wspaniałego bukietu.

Nie mógł przecież odpowiedzieć, że jedyna tęsknota, jaką teraz odczuwał, to za tamtą chwilą z przeszłości, kiedy miał możliwość skrócić głupi, kalifornijski kark Staną.

Podczas obiadu, przy szklanym stole lśniącym w świetle świec, wśród polerowanych stiukowych ścian, z ich błyszczącą różowością kontrastującą z bielą zastawy, Paola posunęła się nawet do flirtu z tym idiotą. Ze Stanem! Nachylała się ku niemu w taki sposób, że bez trudu mógł zajrzeć jej za dekolt. A Bobo wdał się z nim w dyskusję na tematy polityczne i gospodarcze, przytakiwał albo potrzasał głową, biorąc Amerykanina całkiem serio, mimo jego fatalnej wymowy oraz całkowitego braku manier - łapczywego pochłaniania jedzenia i ciągłych próśb o dokładkę, wygłaszanych akcentem krzyczącym wręcz: oto wyrzutek przedmieść San Diego!

Mimo to Bobo nie przestawał zasypywać go pytaniami. Co Stan sądzi o Bus-hu? A o sytuacji w Zatoce? Czy wojna może mieć reperkusje gospodarcze? Jego, Morrisa, nigdy nie pytał o podobne sprawy. Stan mówił z pełnymi ustami, co chwila drapiąc się po bujnie owłosionej piersi, okrytej wzorzystą koszulą. Jego dzinsy były łatane, a rozwichrzone włosy okalające łysinę chwiały się niczym poruszane falą wodorosty. Mimo to Antonella poprosiła pokojówkę o podanie dodatkowej porcji lasagne, skoro gość ma taki apetyt, a Bobo nalewał mu kolejne kieliszki drogiego wina, które kupił Morris i za które, jak dotąd, nie usłyszał ani jednego słowa podziękowania. Paola oczywiście też musiała wziąć udział w rozmowie. Tak bardzo chciałyby zobaczyć kiedyś Stany Zjednoczone. Nigdy tam nie była,

ale wyobraża sobie, że to o wiele zabawniejszy kraj niż Anglia. Stan omal nie zadławił się lasagne, piejąc hymn pochwalny na temat Kalifornii. Wymachując widelcem, zaczął się rozwodzić na temat plażowych rozrywek, oczywiście dostępnych człowiekowi wyłącznie w San Francisco. Paola zachichotała.

To tyle, jeśli idzie o przyjęcie do ścisłego rodzinnego grona, pomyślał Morris z goryczą. Tyle jego triumfu, jego inicjacji. Ledwo zdołał przekroczyć próg świątyni, pełnej kosztownych antyków, wspaniale prezentujących się na tle ostrych, geometrycznych, współczesnych płaszczyzn, ledwo znalazł się w miejscu poświęconym kultowi intymności rodzinnego życia, rozmachu handlowego przedsięwzięcia i tradycyjnych wartości społeczno-kulturalnych, kiedy tamci z bezmyślnością równą okrucieństwu pozwolili, aby owo *sanctum* zostało sprofanowane przez osobnika w typie Stana, biseksualnego, kretyńskiego hippisa, płytkiego niczym kałuża. Tego samego, który dwukrotnie widział go z Mimi, raz na przystanku autobusowym w Weronie i drugi raz na dworcu Roma Termini, tego dnia, gdy Morris odbierał pieniądze.

Mimi! Nagle zapragnął znaleźć się daleko stąd, najlepiej we własnym domu - może w łazience, sam na sam ze wspomnieniami. Jego ciało nappełniło się gorącym, niepotrafiącym znaleźć ujścia, przeguby napięły się niczym liny, opasujące chwiejący się budynek. Widelec i łyżeczka zadźwięzwały gwałtownie, kiedy odsunął od siebie obowiązkowe tiramisu. Wszystkie twarze, reagujące uprzejmym ożywieniem na opowieści Stana o piknikach o zachodzie słońca na plażach Pacyfiku, nagle zwróciły się ku niemu. Morris zawahał się. Z płonącymi gniewem policzkami (miejmy nadzieję, że nikt z siedzących przy stole nie uzna jego rumieńca za oznakę zakłopotania), oświadczył, że nie czuje się najlepiej.

- Człowieku - zawołał Stan, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jego obecności - człowieku, wyglądasz naprawdę marnie!

Paola uniosła w górę wyskubane brwi, jasno dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru wychodzić wcześniej. Bobo siedział sztywno, nie odzywając się wcale; w świetle świec jego kiepska cera wyglądała niemal idealnie gładko. Jedyne Antonella okazała autentyczne zatroskanie. Zaczęła się zastanawiać, czy aby nie zaszkodziły mu pieczone gołąbki, które jedli, i zaproponowała, aby położył się na

chwilę na sofie. Morris odmówił. Szeptem poprosił tylko o szklanę wody. Pomyślał, że zna lepszy sposób na wydostanie się stąd. Spróbował złowić wzrok żony.

Ale tamci byli już przy wakacjach. Bobo powiedział, że Antonella chciała pojechać do Turcji, jednak może Kalifornia byłaby ciekawsza, choć droższa, oczywiście.

Nie potrafiąc ściągnąć na siebie uwagi Paoli, Morris uniósł nogę, tak że jego kostka dotykała teraz wewnętrznej strony jej łydki. Było to trochę ryzykowne, gdyż blatu stołu nie nakrywał żaden obrus. Na szczęście padające z góry światło przemieniło szklaną powierzchnię w lustro, odbijające trajkoczące głowy. Morris poruszył nogą w górę i w dół. Na twarzy Paoli pojawił się najpierw wyraz zaskoczenia, potem zakłopotania, wreszcie pobłażliwości.

- *Povero piccolo*<sup>\*57</sup> - zareagowała natychmiast - jeśli faktycznie nie czujesz się dobrze, może chodźmy jednak do domu. Nie chciałabym okazać się samolubna.

W tym samym momencie Antonella oderwała się od rozmowy ze Stanem i zwróciła wprost do szwagra:

- Morris, ty przecież byłeś w Turcji tamtego lata, prawda? Jej obfite, macierzyńskie piersi, ukryte pod niemodną,

zieloną sukienką znowu kazały mu myśleć o Mimi.

- *Scusa*<sup>\*58</sup> - powiedział głośno. - Przez moment nie śledziłem waszej rozmowy. Zastanawiałem się, czy jednak nie pójść do domu.

- Właśnie przypomniałam sobie, że byłeś w Turcji tamtego lata, kiedy biedna...

Głos Antonelli zadrżał. Dalej nie była w stanie mówić, jednak Morris i

---

\*57 Mój mały biedaku.

\*58 Przepraszam.

tak siedział jak skamieniały. Już powiedziała za dużo.

- W Turcji? - powtórzył nagłaco, nie potrafiąc się otrząsnąć z szoku. - Którego lata?

Stan roześmiał się.

- Nie, nie był. Wybierałeś się ze mną, ale wycofałeś się w ostatniej chwili, pamiętasz? - Z głupawym uśmiechem z głębi rozwichrzonej brody Amerykanin dodał: - Zdaje się, że Morris to prawdziwie angielski arystokrata, którego nie bawi podróżowanie mikrobusem.

- Ale czy... - wtrącił Bobo.

Morris błyskawicznie rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie zwięzonych oczu, oznaczające: wytłumaczę ci wszystko, tylko nie przy tym facecie. Jednocześnie uświadomił sobie, że z trudem potrafi zaczerpnąć powietrza.

- Miałeś szczęście, że wtedy nie pojechałeś - śmiał się Stan - ponieważ udało nam się skasować cholerny mikrobus. Pamiętasz nasze spotkanie na Roma Termini, na którym wystąpiłem z nogą w gipsie aż po biodro?

- Chodź, Mo, zbierajmy się. - Paola podniosła się z miejsca. - Jesteś blady jak płótno.

Na jej twarzy malowało się zdumienie przemieszane z podziwem dla jego aktorskich zdolności. Pewnie wyobrażała sobie, że Morris tylko udaje, nie mogąc się doczekać wspólnej przyjemności, i gdy tylko znajdą się za drzwiami, natychmiast odzyska kolory i zanurzy dłoń w jej majtkach.

Otworzył usta, ale nie potrafił wydobyć z nich ani słowa. Stan łapczywie pochłaniał kolejną porcję tiramisu. Bobo bacznie śledził każde poruszenie szwagra. Antonella powiedziała lekko:

- Och, byłam przekonana, że spędzałeś wakacje w Turcji. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że to miłe z twojej strony, dzwonić z Ankary, żeby dowiedzieć się o...

Znowu nie zdobyła się na to, żeby dokończyć.

- Właśnie - dorzucił Bobo - ja też pamiętam dokładnie, że po zaginięciu Mimi dzwoniłeś z Ankary.

Morris przeżywał teraz na jawie męki paraliżu krtani, który tak często nawiedzał go w sennych koszmarach. Nastąpiła pełna napięcia cisza, przerywana jedynie energicznym skrobaniem Stana po talerzu. Paola stała zniecierpliwiona, wyraźnie nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego Morris angażuje się w bezsensowne spory na temat, czy był w Turcji czy nie, zamiast śpieszyć do domu i do łóżka. Tyle jej troski o Mimi, pomyślał Morris z goryczą. Zamiast dodać dwa do dwóch, jego żona cały wysiłek swojego nędznego mózdzku koncentrowała wyłącznie na własnej cipie. Ta smutna refleksja sprawiła, że odnalazł w sobie dość siły, by się pozbierać. W jednym z przeblysków chłodnej inteligencji, połączonym z cudownie odzyskanym opanowaniem, zupełnie jak łódź prostująca się dosłownie na moment przed przechyłem, od którego nie byłoby już odwrotu, odezwał się.

- Oczywiście, że byłem w Ankarze. Nie chciałem ci tego mówić - zwrócił się bezpośrednio do Stana - żebyś nie poczuł się urażony, że jadę sam, a nie z całą paczką. Nie trawiłem kilku osób z waszego grona.

- No nie, pojechałeś *davvero*? - zaczął Stan, mieszając włoskie i angielskie wyrazy. - A niech cię, człowieku. Ale naprawdę nie powinieneś czuć się *preoccupato*<sup>59</sup>, no co ty.

Morris zobaczył, że Bobo najwyraźniej traci zainteresowanie rozmową.

- Jednak nie polecałbym Turcji jako miejsca na spędzenie wakacji - Morris zwrócił się do Antonelli. - Brudno, piekielnie gorąco i jeszcze ukradli mi walizkę. Nie mówiąc już o trudnościach w uzyskaniu połączenia telefonicznego z Włochami.

---

<sup>59</sup> \* Winny.

To chyba brzmiało przekonująco. Dokładnie w tym samym momencie rozdzwonił się telefon. Bobo wyjął słuchawkę z kieszeni. Zmarszczył brwi.

- Odbiorę u siebie w gabinecie - powiedział. - *Arrivederci*. Pożegnali się pośpiesznie. Morris i Paola byli już niemal w drzwiach, ściągając okrycia z pretensjonalnego, dziewiętnastowiecznego, intarsjowanego wieszaka tuż przy wejściu, kiedy Stan, ciągle opychający się przy stole, zawołał ze śmiechem:

- To z powodu laski, co? - rzucił z pełnymi ustami. -Chciałeś być sam z tą laską, z którą widziałem cię na stacji. Człowieku, przecież bym zrozumiał. Za kogo ty mnie masz, że mi nie powiedziałeś?

Morris już był gotów wbiec z powrotem do pokoju i udusić głupca albo rozebrać go na strzępy - w końcu jeśli miał odsiadywać dożywocie, równie dobrze może siedzieć za dwa morderstwa albo nawet i dwa tysiące; przynajmniej satysfakcja będzie większa - kiedy uświadomił sobie, że Stan mówi po angielsku. Tak, po angielsku, czy też raczej w języku, który uważał za angielski. A jedyną osobą w tym towarzystwie, która byłaby w stanie zrozumieć te brednie, wypowiedane nosowym akcentem Zachodniego Wybrzeża, obsceniczne słowa typu „laska”, wykrzykiwane ustami pełnymi mascarpone w przestrzeń, w której szczerkały sztucce i szeleściły nakładane płaszcze, była Paola, ale ona już mocno obejmowała go ramieniem i popychała w stronę drzwi. Bobo zamknął się w swoim gabinecie, żeby odebrać telefon.

Żartobliwym tonem, choć to wcale nie był żart, zawołał w kierunku Stana:

- Uważaj, co mówisz w obecności mojego szwagra i szwagierki, bracie.

Stan roześmiał się tylko. Wyszli.

- *Caro, caro* - ledwo znaleźli się na schodach, Paola przyłgnęła do niego całym ciałem - ty seksowny potworze, jesteś prawdziwym mistrzem. Chcesz, żebym ci zrobiła loda w samochodzie? - Już rozpiną mu koszulę.

Czując obezwładniającą falę ulgi, Morris pomyślał, że mogło się to skończyć czymś znacznie gorszym niż tą przyjemnością.

Następnego dnia koło ósmej rano w ekskluzywnym samochodzie znajdującym się gdzieś między Ponte Florio a Werona rozdzwonił się telefon. Kierowca ujął słuchawkę dłonią w rękawiczce, ale przez dłuższą chwilę nie odbierał. Dzisiaj jechał powoli, rozkoszując się krystaliczną czystością poranka, dotykiem mocno opinającej dłoń rękawiczki i tym wspaniałym uczuciem ulgi, które towarzyszyło mu od chwili, kiedy opuścił wczorajsze przyjęcie; świadomością, że udało mi się rozbroić ładunek nuklearny dosłownie na kilka sekund przed wybuchem. Pomyślał, że to nawet zabawne żyć na takim wulkanie przeszłości, że dzięki temu jego egzystencja nabrała teraz prawdziwie dramatycznego wyrazu. Człowiek przez cały czas musiał mieć się na baczności. Ale w końcu istniał jakiś powód, dla którego ludzie mieszkali na zboczach Etny, prawda? Dzięki niebezpieczeństwu życie nabierało smaku i intensywności. Tak samo od czasu do czasu dobrze było mieć za żonę perwersyjną, małą ladacznicę jak Paola, która najpierw robiła człowiekowi loda w samochodzie, a następnie zaspokajała się sama na obciążonym skórą drążku zmiany biegów. A właśnie, będzie musiał sprawdzić, czy gałka aby nie śmierdzi.

- *Pronto!* - Zanim wreszcie odebrał, pozwolił, aby sygnał przebrzmiał parę razy. To pewnie Forbes, pomyślał. Od niedawna w Villa Caritas był zainstalowany telefon. Albo Bobo w kwestii jakichś drobiazgów technicznych. Ostatnio zaszwankowała maszyna do naklejania etykiet na butelki, co mogło opóźnić kolejną dostawę dla Doorways. Bobo bardzo przestrzegał, aby w takich przypadkach klienci byli odpowiednio wcześniej uprzedzani.

- Mo! - rzuciła Paola bez tchu.

- Paola! - Był przekonany, że po ostatniej nocy jego żona nie wstanie wcześniej niż w południe.



- Mo, posłuchaj tylko. Przed chwilą dzwoniła Antonella. Telefonowała do niej pielęgniarka. Mo, Mamma nie żyje.

- Co takiego? - Morris natychmiast przyhamował. Skreślił na pobocze i zatrzymał się, zapalając światła awaryjne. - Pielęgniarka dzwoniła do Antonelli? Dlaczego akurat do niej? Dlaczego nie do ciebie?

- *Criste!* - jęknęła Paola rozdrażniona. - To naprawdę nie pora na zawracanie sobie głowy takimi drobiazgami.

Czyli nie chciała się przyznać, że nie poświęciła stosownej ilości czasu na kontakt z Signora. A to z pewnością należało do obowiązków żony, zwłaszcza takiej, która odmawiała studiowania czy pójścia do pracy.

- Mo, musisz natychmiast pojechać do Quinzano, pożegnać zmarłą i znaleźć testament.

- Wrócę po ciebie i pojedziemy razem.

- Nie, musisz tam dotrzeć wcześniej niż Bobo, więc jedź od razu. Nie pozwól mu położyć łapy na testamencie, dopóki go najpierw nie zobaczysz.

- Zaczekaj! - Rzucił okiem w lusterko. Lokalny autobus nadjeżdżał ze znacznie większą prędkością, niż stanowiły przepisy, jednak Morrisowi udało się wstrzelić tuż przed niego. To doprawdy nie jego wina, jeśli przy tej okazji pasażerowie pospadali z siedzeń. Mercedes nabrał prędkości i pędził do przodu, wymijając inne pojazdy.

- Wiesz, gdzie jest testament?

- Spróbuj poszukać w biurku w jej gabinecie. Ale jeszcze ważniejszy jest klucz od skrytki depozytowej w *Cassa di risparmio*<sup>\*60</sup>. Zawsze chowała go w medalionie, który trzymała w koszyku do szycia stojącym w jadalni. Testament

---

<sup>60</sup> \* Kasa oszczędnościowa.

może być w skrytce, tak więc zabierz kluczyk i później pojedziemy do banku, aby się przyjrzeć dokumentowi. Żeby potem nie było żadnych niespodzianek.

Kierowca ciężarówki przed nim spóźnił się o ułamek sekundy, kiedy zapaliło się zielone światło. Morris momentalnie uruchomił klakson.

- *Va bene?*

- Zaczekaj chwilę.

Kiedy usiłował wyprzedzić ciężarówkę, idiota za kierownicą umyślnie przyspieszył, a z naprzeciwka nadjeżdżał właśnie zdezelowany fiat. Morris nie wahał się ani chwili. Zobaczył jak na sennej, ocienionej kapeluszem twarzy kierującego fiatem wieśniaka pojawia się wyraz zaskoczenia i zaraz potem samochód gwałtownie skręcił na pobocze. Morris zerknął w lusterko. Kierowca ciężarówki wygrażał mu pięścią. Ileż agresji było na tym świecie! I jak łatwo było ją wzbudzić.

Następne skrzyżowanie przejechał na czerwonym świetle. Po chwili był już na bocznej drodze, wijącej się zygzakowato zбочami wzgórz na północ od miasta.

-Mo?

- Drobnny problem na drodze - wyjaśnił. -*Allora, ciao.*

- Nie, zaczekaj jeszcze. A jeśli Bobo zdąży przede mną?

- Nie powinien. Zwykle o tej porze jest w pracy, ale kiedy Antonella dzwoniła, nie zastała go w biurze. Masz fory.

- Ale jeśli zdąży?

- Wtedy upieraj się przy wspólnym obejrzeniu testamentu.

- Gdybyś była ze mną, byłoby to znacznie prostsze.

- Ale nie jestem.

Odłożyła słuchawkę. Nagle Morris poczuł się bardzo szczęśliwy. Czeka ją go przygoda i nieznane do tej pory poczucie wspólnoty z żoną dodały mu energii. Może w końcu okażą się idealnymi partnerami? Po raz kolejny zdumiało go, jak

błyskawicznie zmieniały się jego nastroje, a przez to i kształt mentalnego krajobrazu, jakim było jego życie - od pustyni po ogród, od gór po równinę. Naprawdę był z niego niezrównany kameleon: nieszablonowy, wielobarwny, lawirujący między jedną skrajnością a drugą.

Teraz włókł się na końcu długiego sznura samochodów, wspinając się na wzgórze tuż za murami miejskimi. Wyprzedzał umiejętnie, bez wymuszania, bez pośpiechu. Miał nawet tyle przytomności umysłu, by zwolnić na widok wozu *cabinieri* kilka samochodów przed nim. Telefon rozdzwonił się znowu. Tym razem był to Forbes.

- Obawiam się, że nie w porę - powiedział Morris. - Bardzo się spieszę.

- Ach... - Forbes zawahał się.

Na kolejnym zjeździe w dół Morris wyprzedził ciągnącą przed nim kawalkadę i zaraz musiał ostro przyhamować na przewężeniu, gdzie droga niemal dotykała średniowiecznych obwarowań. Zapiszczały opony i mercedesem lekko zarzuciło. Za chwilę był z powrotem na przedmieściu, tyle że po przeciwnej stronie Weroni.

- Stara Trevisan umarła - powiedział do słuchawki i zaraz uświadomił sobie, że była to uwaga całkowicie w stylu ojca. Bardzo ordynarna.

- Ach.

- Właśnie. Jadę sprawdzić, co ze zwłokami, i obejrzeć testament, zanim pojawi się Bobo.

Kolejne skrzyżowanie przejechał na czerwonym świetle.

- Rozumiem. - Forbes był najwyraźniej zaszokowany. - Przykro mi. - Na linii coś zatrzeszczało. A może to Forbes odchrząkiwał, przygotowując się do dalszej przemowy? - Problem jednak w tym, że tu wydarzyło się coś raczej dramatycznego.

- Jeśli znowu zatkało się szambo - przerwał mu Morris - to tamten gość nazywa się Checchinato. Numer jest w książce telefonicznej.

- Obawiam się, że to coś znacznie poważniejszego.
- Do rzeczy. Jestem już prawie na miejscu.
- Cóż, twój szwagier, Bobo, pozwałniał wszystkich ostatniej nocy.
- Co takiego?

Morris był zbyt zdumiony takim obrotem wypadków, by zareagować gniewem.

- Pojawił się bardzo wcześnie, jeszcze podczas nocnej zmiany, i wszystkich odprawił. Zapłacił, ile się należało. Senegalczycy już się spakowali i wyprowadzili.

- Ale dlaczego, na litość boską?

- Wiem tylko, że doszło do sporu na temat czegoś, co... co ciągnęło się już od dłuższego czasu. Nikt jednak nie kwapił się z bliższymi wyjaśnieniami.

- Chryste... ja... ja... zaraz... - Morris urwał. Przez dobre trzydzieści sekund nic nie mówił, płosząc pieszych na skrzyżowaniu przed szpitalem.

Forbes odezwał się ponownie. -*Aequam memento rebus in arduis...*<sup>\*61</sup> Jednak Morris nie był w nastroju do wysłuchiwanie głupich, łacińskich porzekadeł.

- Niech pomyślę - rzucił krótko.

- Przykro mi, stary druhu. Ja...

- Powiedz im, żeby się nigdzie nie wyprowadzali, dopóki nie przyjadę - zdecydował Morris. - Bobo nie ma prawa, ot, tak sobie wyrzucać ludzi bez porozumienia ze mną. W końcu należę do rodziny.

Odłożył słuchawkę.

---

<sup>61</sup> \* I w nieszczęściu zachowaj spokój umysłu.

Za miastem droga pięła się slalodem pod górę, aż do niewielkiej wioski Ouinzano, z domkami o łuszczących się tynkach, rysującymi się wyraźnie w lodowatym świetle poranka. Morris minął centralnie położony placyk, oszpecony wzniesionym w latach pięćdziesiątych pomnikiem ofiar wojny, w formie pionowej płyty ze stylizowaną, obecnie mocno już podniszczoną mozaiką, przedstawiającą umierającego żołnierza; dziełem, które każdy dobroczynny, obdarzony zmysłem estetyki dyktator (na przykład on sam) natychmiast kazałby usunąć w trosce o nieoszczędanie niemal idealnego włoskiego pejzażu.

Miał zaledwie ułamek sekundy na podziw dla samego siebie za umiejętność zdobywania się na refleksje natury ogólnej w najbardziej dramatycznych momentach swojego życia, gdyż okazało się, że wąska droga prowadząca do Casa Trevisan jest zablokowana przez *furgonzino* z drewnem opałowym, ładowanym teraz prosto do piwnicznego okienka. Morris nacisnął klakson i natychmiast tego pożałował. Może nie było rozsądnie zwracać na siebie uwagę. Co prawda nie robił nic złego, a jednak czuł się niczym winowajca albo przynajmniej potencjalny winowajca. Potrząsnął głową.

Tego rodzaju nerwowość nigdzie go nie zaprowadzi. Nacisnął klakson ponownie, tym razem już celowo. W okienku ukazała się siwowłosa głowa wieśniaka, osadzona na potężnych ramionach, które podniosły się i opadły w geście oznaczającym całkowitą niefrasobliwość. - *Porti pazienza, Signore!*\*<sup>62</sup>

Pięć rozczapierzonych, serdelkowatych palców sygnalizowało konieczność zaczekania pięć minut. Morris ostro zawrócił, zaparkował na *piazza* i ruszył dalej pieszo.

Do pokonania miał może dwieście, może trzysta metrów, ostro pod górę. Kiedy szedł, jego oddechowi towarzyszyły gęste obłoczki pary, skraplającej się w lodowatym powietrzu. Mimo to kroczył rażno, naładowany energią. Może spacer dobrze mu zrobi, pozwoli uporządkować myśli. To była prawdziwa przyjemność

---

<sup>62</sup> \* Cierpliwości, proszę pana!

czuć ukłucia zimna głęboko w płucach i pulsowanie krwi w owiewanych chłodem policzkach. W podobnych chwilach (trzeba tylko zignorować ujadanie psa szarpiącego się na łańcuchu) człowiek gratulował sobie, że nigdy nie palił ani nie pił ponad miarę. Morris rzucił wesołe *buon di* kobiecie coś szorującej w umieszczonym na dworze zlewie. Gdyby teraz towarzyszyła mu Paola, z pewnością zostałyby parę metrów w tyle, z trudem łapiąc oddech, pomyślał. Ojciec też by się zmęczył, mimo wiecznego gładzenia o tężyznie fizycznej, którego Morris tyle razy musiał wysłuchiwać podczas wakacji nad morzem.

Nie po raz pierwszy zadumał się (z poczuciem zadowolenia pokonując coraz bardziej stromą drogę) nad tym osobliwym faktem, że ojciec i Paola mieli wiele cech wspólnych oraz że ich przeznaczeniem było dręczyć i prowokować Morrisa. Z kolei Massiminę łączyło wiele z matką, która - przeciwnie - zawsze działała na niego łagodząco. Ale może najbardziej istotnym wyróżnieniem było to, że podczas gdy tamtych dwoje nadal żyło, Mimi i jego droga Matka były martwe. Całkiem martwe.

A teraz Signora Trevisan...

Potężna brama z kutego żelaza znajdowała się niemal przy samym zakręcie drogi. Zbliżając się do niej, Morris przypomniał sobie swoją pierwszą wizytę w Casa Trevisan, kiedy przepełniony radością i nadzieją szedł prosić o pozwolenie widywania Massiminy. Skłamał wówczas, że zostawił samochód na *piazza*, podczas gdy tak naprawdę niemal przez pół godziny czekał na autobus. Cóż, czasy się zmieniły, teraz nie potrzebował już kłamać, teraz mógł sobie nawet pozwolić na odrobinę patriarchalnej tęsknoty za tamtymi dniami, kiedy musiał uciekać się do łgarstwa i ścisnąć każdy grosz. Uśmiechnął się uśmiechem dojrzałego, utalentowanego mężczyzny, którego ostatnio widywał w lustrze.

- *Chi e?*<sup>\*63</sup> - zapytała pielęgniarka przez interkom. Człowiek spodziewałby się raczej, że skoro stara umarła i wiadomo, że w domu lada chwila pojawi się rodzi-

---

<sup>63</sup> \* Kto tam?

na, dziewczyna, słysząc domofon, otworzy po prostu bramę. Instynktowna ostrożność Włochów zawsze go zdumiewała i irytowała jednocześnie. Teraz też przyszła irytacja, a wraz z nią przypomnienie tego, co przedtem udało mu się wyrzucić z pamięci, mianowicie informacji, którą Forbes przekazał mu przez telefon. W okamgnieniu znalazł się o tysiąc mil od chłodnego, opanowanego Morrisa, jakiego zawsze w sobie cenił i podziwiał. Teraz owładnął nim niepokój, przeżenie niemal. A jeśli testament zapisywał wszystko Antonelli? Jeśli okaże się, że Signora Trevisan nigdy nie zaakceptowała go jako członka rodziny? Jeśli Bobo, jakimś cudem uprzedzony o śmierci teściowej, poczuł się na tyle swobodny, by zwolnić jego chłopców? Czy on, Morris, nagle zostanie pozbawiony źródła dochodów, stanie się praktycznie golcem, posiadającym jedynie nieokrzesaną, wartą tyle co nic żonę?

- *Sono* Morris, zięć zmarłej. - Miał świadomość, że wielu ludzi nigdy nie uważało za stosowne się przedstawiać.

Osiemnastowieczne, żelazne wrota, poruszane siłą dwóch hydraulicznych cylindrów, sterowanych przy pomocy pilota, rozwarły się, skrzypiąc i pobrzękując. Nadal potrafił notować podobne szczegóły; to bardzo dobrze. Przekroczył bramę. Teraz skoncentrował się na prostej przyjemności wsłuchiwania się w odgłos własnych kroków, chrzęszczących rytmicznie na starannie zagrabionym białym żwirze.

Pielęgniarka była drobna i ciemnowłosa. Gdyby rozjaśniła sobie meszek nad górną wargą, z pewnością dodałoby jej to urody. Sądząc po wyglądzie, pochodziła z Sardynii. Drobnyimi, szybkimi dłońmi znów założyła łańcuch na drzwi, zupełnie przecież niepotrzebnie. W pogniecionym, zielonym uniformie sprawiała wrażenie kruchej i wyczerpanej, choć nie przysłoniło to nieprawdopodobnie wielkich piersi.

- ...koło siódmej - mówiła. - To znaczy wtedy ją znalazłam. Zdrzemnęłam się na godzinę albo coś koło tego. To była ciężka noc.

- Jestem tego pewien - odparł Morris. Zawsze podziwiał pielęgniarki za ich praktyczność i skromność. - Mogła pani zadzwonić wcześniej.

- Nie chciałam przeszkadzać.

Idąc przez hol ku schodom, Morris upajał się zatechłym zapachem polituowanego drewna i kamienia, zanurzał w sztywnym, prowincjonalnym konserwatyzmie, który tak go zauroczył dwa lata temu podczas pierwszej wizyty w tym domu! Koronkowe serwetki, podobne trumnom masywne meble, fotografie w srebrnych ramkach, wspaniały, kamienny kominek, a między kunsztownie udrapowanymi storami widok na oplecioną bluszczem balustradę z trawertynu. To właśnie owa staroświeckość przemawiała do niego najbardziej, wyszukany teatralizm, sprawiający wrażenie, że dom stanowi jedynie scenę dla uczestników melodramatu, odgrywających swoje role w konwencjonalny, całkowicie przewidywalny sposób i nieponoszących większej odpowiedzialności za swoje postęпки niż aktorzy w teatrze. Morris przesunął dłonią po mahoniowej poręczy. Na takich właśnie rzeźbionych poręczach lekko kładły swe białe palce duchy sunące w dół schodów, na takich wieszali się nieszczęśliwi kochankowie. Ogrodowa altana, widoczna przez chwilę w małym okienku na zakręcie schodów, stanowiła idealne miejsce na schadzki zakochanych, a nieduże biureczko w dawnej sypialni Paoli z pewnością skrywało tajemną szufladkę, w której jakaś Signora albo Signorina trzymała elegancki rewolwer. Albo testament. Nagle przyszło mu do głowy, że skoro Bobo, z jego smakiem i umysłem yuppie, tak dobrze czuł się w apartamencie żywcem wyciętym ze stron *Casa Bella*, w takim razie on i Paola mogliby się tutaj wprowadzić. Może nawet z Kwamem jako kamerdynerem. Doskonały pomysł! Tak właśnie wyobrażał sobie dom, w którym będą dorastały jego dzieci.

Drobna pielęgniarzka otworzyła drzwi. Na widok zwłok Morris gwałtownie wciągnął powietrze, co z pewnością musiało zrobić wrażenie na postępującej tuż za nim dziewczynie. I znowu ta wspaniała teatralność, która tak go zachwycała! Nieruchoma, woskowa twarz z otwartymi ustami na tle wielkiego łoża z baldachimem, kościste, upierścienione palce, wyłaniające się z białych mankietów i spokojnie spoczywające na prześcieradle.

- Z podwiązaniem szczęki muszę poczekać na przybycie lekarza - wyjaśniła pielęgniarzka tonem usprawiedliwienia.



Myśli Morrisa były jednak teraz zupełnie gdzie indziej, przy łóżku, w którym razem z Signorą Trevisan Mimi musiała sypiać przez całe swoje życie, aż do dnia, kiedy zdecydowała się na ucieczkę z domu. Oprócz niego martwa kobieta z wydatnym nosem, zapadniętymi oczami i ciężkim, mięsistym tułowiem, była jedyną osobą, z którą Massimina kiedykolwiek spała.

- Mimi - szepnął bezgłośnie.

Przez moment wyobraził ją sobie martwą, rozciągniętą na łóżku obok zmarłej matki, odzianą we wspianiałą szatę w intensywnych czerwieniach i błękitach, w jakiej namalował ją Filippo Lippi, w niczym niepodobną do Madonny z *Zaśnięcia* stworzonej pędzlem Giotto.

- Mimi, nigdy cię nie zapomnę - powiedział.

- *Mi scusi*\*<sup>64</sup>? - zapytała pielęgniarzka.

- Tak... zaraz... muszę zjeść na dół i zatelefonować. Czy byłaby pani uprzejma poczekać tutaj, dopóki nie wrócę? Nie chciałbym, aby została sama... - zawahał się - tak od razu.

- *Sì, Signore, anche se...*\*<sup>65</sup>

- Co takiego?

- Mój dyżur skończył się godzinę temu.

- A gdzie jest druga pielęgniarzka? Ta z dziennej zmiany? Ciemnowłosa dziewczyna wzruszyła tylko ramionami. Jej zmienniczka nie pojawiła się. Z uczuciem lekkiego znużenia pomyślał, że usłyszawszy o śmierci Signory Trevisan, jego bogaci szwagrowie z miejsca postanowili zaoszczędzić. Bardziej od nich szczo-

---

<sup>64</sup> \* Słucham.

<sup>65</sup> \* Tak, proszę pana, tylko że...

dry, sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel, wydobył z niego banknot o wartości stu tysięcy lirów i włożył dziewczynie do ręki.

- To ode mnie za wszystko, co pani zrobiła dla rodziny - powiedział i pospieszył na dół, wyobrażając sobie Kwamego w białym żakiecie, sunącego przez pokój z butelką szampana na srebrnej tacy.

Koszyk z przyborami do szycia okazał się potężnym, wiklinowym, lakierowanym koszem, stojącym w *soggiorno* wśród roślin doniczkowych i antycznych mebli. W środku, wśród motków bawełny i całej kolekcji igieł - niektórych długich i sugestywnie powykrzywianych, innych krótkich, wytartych od częstego używania albo połamanych - znajdował się zwitek znoszonej bielizny, wymagającej pocerowania czy zeszywania. Morris nie mógł wyjść ze zdumienia. Ta nieznająca miary oszczędność prowincjonalnych bogaczy! Nigdy tego nie pojmie. Szukając medalionu, wyciągnął najpierw porozciągany pas do pończoch z elastycznymi podwiązkami naderwanymi i pozszywanymi bawełnianą przędzą. Potem natrafił na parę wyblakłych różowych majtek, zniszczonych przez długie lata służby, nieodwracalnie splamionych w kroku, z na wpół zaszytą dziurą. W miejscu, gdzie materiał był podwójny, aby lepiej wchłaniać to, co musiał wchłaniać, tkwiła jeszcze igła, zupełnie jakby pierwszy udar dotknął Signore w chwili, kiedy była zajęta reperacją.

*Non fortuna, sed labor, rzeczywiście.* Ale po co to wszystko? Pokiwał głową nad ogromnym biustonoszem z niemal zupełnie porwanymi ramiączkami, świadom ogarniającego go dziwnego podniecenia. Jego dłonie zatrzymały się na chwilę na tym pozbawionym życia kawałku materiału. Doprawdy nic nie mogłoby być mniej seksowne. Ale znowu, to wszystko kręciło się wokół Mimi, wokół faktu, że ze swoją młodością i gładkością musiała sypiać obok obwisłego, starczego ciała matki. Morris wepchnął pięść w jedną z miseczek biustonosza (kostka udatnie imitowała sterczący sutek), przypominając sobie, że Mimi również była do przesady oszczędna podczas pierwszych dni ich wspólnej ucieczki, dopóki nie nauczył jej sztuki wydawania pieniędzy. A wówczas pierwszą rzeczą, jaką zapragnęła kupić, była nowa bielizna, ponieważ jej własna była niemal szara i

szorstka od długiego noszenia. A może to właśnie luksus posiadania nowych fałaszków sprawił, że zapragnęła kochać się z nim?

Pod tym względem Paola nigdy sobie niczego nie odmawiała.

Przypomniał sobie tamten dzień w Rzymie, kiedy przed pójściem po pieniądze pakował w pensjonacie ubrania Mimi. Marzyło mu się wówczas, żeby mieć więcej czasu i móc je przymierzyć, przynajmniej stanik i majtki. Tak bardzo pragnął posmakować różnicy między nim a Mimi, między mężczyzną i kobietą, spróbować, jak by to było mieć ciało młodej dziewczyny, piersi, krocze...

Nie, nie, takie rozpamiętywanie może być bardzo przyjemne, teraz jednak nie czas na swobodne wędrówki myśli. Jeszcze raz przetrząsnął zawartość koszyka. Jest medalion -niewielka bryłka złota na zerwanym łańcuszku. Świetnie! Naciśnął zameczek i nagle gwałtownie wciągnął powietrze. Paola nie powiedziała mu, że w środku obok kluczyka tkwi fotografia Mimi, bezlitośnie wtłoczona w zbyt małą dla niej ramkę. Mimi! Czy to się nigdy nie skończy? Na litość boską, pozbydź się tych myśli. Morris zadrżał, chwycił kluczyk, potem majtki i wszystko razem wepchnął do kieszeni.

Wrażenie jej obecności w tym domu, w tym pokoju, stawało się wręcz przytłaczające. Zapach perfum, których używała. Nie, to przecież niemożliwe! Wnętrze pokoju wypełniały teraz jej perfumy. Poczuł, że całe jego ciało zastyga w napięciu.

- Morrees? - usłyszał.

Zamknął oczy. Kolana niemal załamywały się pod nim, kiedy się prostował, gotów objąć ją, obojętnie w jakiej postaci. W jakiegokolwiek. Zawsze wiedział, że któregoś dnia nastąpi ten właśnie moment. Ze znowu się spotkają, popatrzą sobie w oczy, poznają się w nowy, głębszy sposób. Odwrócił się powoli. Za nim, obok sofy, stała Antonella. Na jej twarzy malowało się zmieszanie.

Jak, u diabła, się tutaj dostała, skoro drzwi były zamknięte na łańcuch? Przez moment poczuł się niczym królik schwyty w krąg światła latarki, przerażony i straszliwie rozczarowany.

- Morrees - powtórzyła jego szwagierka. W czarnej sukience wyglądała, o dziwo, zgrabniej i młodziej niż zwykle.

Morris spróbował jakoś się pozbierać.

- Paola... Paola złapała mnie przez telefon w samochodzie. Przyjechałem tu, żeby pożegnać zmarłą. Pielęgniarka jest na górze. Och, i Paola prosiła mnie jeszcze, żebym poszukał kluczyka do skrytki w banku, na wypadek, gdyby były tam jakieś papiery, którymi trzeba się natychmiast zająć.

Nędznie się czuł, wypowiadając te słowa. Z pewnością nie stanowiły one elementu tego eleganckiego, wysmakowanego życia, jakie zamierzał prowadzić. Nie mówiąc już o dyskomforcie spowodowanym strumyczkiem potu spływającym mu po plecach i między pośladkami. Czy rzeczywiście mogły to być te same perfumy, których używała Mimi? Ba-ruffa. Tanie, o mdlącym zapachu, w sztamkowym, czerwonym flakonie. Paola skrapiała się Givenchy.

Antonella stała może dwa jardy od niego, surowo wydymając usta, niczym matka, pragnąca pokazać swojemu dziecku, że bardziej ją zasmuciło, niż rozgniewało.

Morris zawahał się.

-My... my...

Jak ta kobieta się tutaj dostała? Przez bramę ogrodową i tylne wejście? To naprawdę nie było fair.

Zupełnie nieoczekiwanie Antonella zrobiła dwa kroki do przodu, wyciągnęła ramiona, objęła go mocno i wybuchnęła płaczem. Po raz pierwszy Morris poczuł ciało trzeciej, najstarszej siostry, lgnące do jego ciała i przepełnione drżeniem.

- *Terribile, terribile*<sup>\*66</sup> - powtarzała Antonella ze szlochem. - *Povera, povera Mamma*. Czuję się bez niej taka opuszczona, taka samotna.

---

<sup>66</sup> \* To okropne, okropne.

Trzymając ją w objęciach, Morris stopniowo odzyskiwał pewność siebie. Baruffa, miał rację! Cały Bobo! Stać go było, żeby kupować swojej żonie galony Chanel dziennie. Ale do tego musiałby jeszcze mieć klasę! Nagle poczuł sympatię do swojej szwagierki za to, że tak przeżywała swój ból. Uścisnął ją serdecznie i głosem pełnym łagodności powiedział, że to chyba najlepsze rozwiązanie. Ostatni rok życia Mammy był już tylko żalospną egzystencją.

Antonella tylko głośniejsz zaszlochała. Teraz naprawdę nie było już sposobu, żeby pójść i sprawdzić zawartość biurka w sąsiednim pokoju. No nic, najważniejsze, że tu jest, na wypadek, gdyby ktoś inny chciał przetrząsać szuflady.

- Ja też straciłem matkę - powiedział, tuląc twarz szwagierki do swojej szyi. - Czulem wtedy złość do całego świata - dodał raczej nieroztropnie.

Antonella uspokajała się powoli. Odsunęła się od niego i wyciągnęła z rękawa chusteczkę do nosa.

- Dlaczego złość? - zapytała.

Oczywiście nie było to autentyczne pragnienie informacji, raczej część procesu przechodzenia od płaczu do pociągania nosem, od wybuchu do samokontroli. Morris wcale nie musiał odpowiadać. Czuł jednak, że przyłapanie go na przetrząsaniu rzeczy w poszukiwaniu kluczyka od skrytki depozytowej, dosłownie w chwilę po śmierci pani domu, w pewien sposób pozbawiło go godności. Aby choć trochę ją odzyskać, odpowiedział zupełnie szczerze.

- Bo odczuwałem jako niesprawiedliwość odejście osoby, która znaczyła dla mnie najwięcej na świecie i która potrafiła wydobyć ze mnie to, co najlepsze. Podobnie czulem, kiedy umarła Massimina - dodał jeszcze bardziej nieroztropnie, załamującym się głosem.

Antonella uniosła głowę. W jej wzroku malowały się łagodna czułość i iskierka aprobaty.

- *Sei molto dolce, Morrees* - powiedziała cicho. - Bardzo słodki. Cieszę się, że tu jesteś. Bobo chwilowo nie może przyjść. Podobno ma jakieś kłopoty w firmie,

ale mnie się wydaje, że to tylko wymówka. Tak bardzo się bałam, że będę musiała sama ją oglądać. - Otarła łzy. - Pójdiesz ze mną na górę?

Kiedy przy wchodzeniu na schody wziął ją pod ramię i owinał go zapach jej perfum, ponownie wydało mu się, że wyczuwa obecność swojej dawnej miłości, zupełnie jakby Massimina szła tuż za nimi, owiewając ich szyje swoim oddechem. Przepęniały go czułość i wzruszenie. Jednocześnie jednak jakaś inna część jego umysłu, ta zupełnie chłodna, kazała mu powiedzieć:

- Przypuszczam, że to na Bobie spoczywa obowiązek skontaktowania się z prawnikami w sprawie testamentu i tak dalej.

- Testamentu? - zapytała Antonella.

- Myślałem o firmie - skłamał. - Zdaje się, że jesteśmy prawnie zobligowani do oficjalnego zgłoszenia w określonym czasie zmiany właściciela - zmyślił na oczekaniu.

- Testamentu? - powtórzyła Antonella. Kiedy mijali zakręt schodów i zbliżali się do sypialni, mocniej ścisnęła go za ramię. - Nie martw się tym. Testament jest w sejfie u nas w domu. Bobo wszystkim się zajmie.

- *Bene* - odparł Morris. Rozsadzała go furia. Dlaczego Paola nie wiedziała o tym? Co za niefrasobliwość! Co za beztroska! A ta życzliwa, uczciwa, wrażliwa Antonella? Jak mogła być do tego stopnia zaślepiona, by nie dostrzegać machinacji swojego nieżyczliwego, nieuczciwego, niewrażliwego męża? To było niewybaczalne! Podobnie jak niewybaczalne było to, że matka poślubiła takiego człowieka jak jego ojciec. Wiadomo, że ich małżeństwo musiało się skończyć porażką. Co mogło się z niego zrodzić, jeśli nie bezużyteczny, żaloszny nieudaczny? Miał ochotę chwycić gipsową figurkę Madonny, stojącą na parapecie okiennym na zakręcie schodów, i roztrzaskać ją na kawałki. Idiotyczny symbol pobożności, całkowicie niestosowny. A efekt będzie taki, że cały majątek wpadnie w łapy Boba!

- *Grazie* - wyszeptała Antonella, mylnie odczytując mimowolny uścisk na swoim ramieniu jako pełną troski reakcję szwagra na jej niepokój. - *Grazie, Morrees.*

Odrzucając na bok wszelkie pozory (byli już przecież przy drzwiach sypialni), powiedział otwarcie:

- Mam nadzieję, że wszystko zostało zapisane w równych częściach obu córkom.

Ale Antonella na myśl o tym, z czym przyjdzie jej się zmierzyć za chwilę, znowu zaczęła płakać. Morris nacisnął klamkę, pchnął drzwi i zapytał już całkiem brutalnie:

- Mam nadzieję, że wszystko zostało zapisane w równych częściach obu córkom, *verö!*

Zaskoczona Antonella popatrzyła na niego przez łzy. Zdawała się mieć trudności ze skoncentrowaniem się na jego twarzy, nie mówiąc już o zrozumieniu słów wypowiedzianych przez Morrisa.

- W równych częściach? *Masil* - powiedziała w końcu. - *Sì, certo*. Mamma nigdy nie faworyzowała żadnej z nas.

Odwróciła się i wybuchnęła głośnym płaczem. Drzwi otworzyły się i kiedy weszli do pokoju, ich oczom ukazał się upiorny profil starej kobiety z nienaturalnie sterczącym nosem, jakby pragnącym wyrwać się z uścisku zapadniętych policzków, i z wciąż uchylonymi ustami. Całość sprawiała wrażenie jednocześnie groteskowe i żałosne.

- *Mamma!* - zaniósła się szlochom Antonella, zakrywając twarz rękami - *O Mamma, cara!*

Pielęgniarka z szacunkiem odsunęła się do tyłu. Morris koił ból szwagierki delikatnym uściskiem ramion i przyciszonym głosem. Przepęniała go euforia.

Idąc pół godziny później z powrotem w stronę skweru, Morris miał ochotę uściskać z radości starego wieśniaka, wciąż wrzucającego drewno przez piwniczne okienko. Och, to cudownie błękitne niebo, niczym porcelana Wedgwood, wysmukłe sylwetki cyprysów i kampanili na horyzoncie, srebrzysta zieleń oliwek, różowe plamy łuszczących się tynków. Och, Włochy, cudowna, cudowna Italia. Widok Ferrarelle w oddali, z połyskującymi czerwienią dachówkami i meandrami rzymskich murów. Morris przystanął na chwilę i kilkakrotnie wciągnął głęboko powietrze. Na podwórku poniżej zakrętu drogi otulona szalem kobieta zamiatła miotłą z witek wykładany kamiennymi płytami chodnik. Wokół jej nóg kręciło się stadko kur. *Buon giorno!* zawołał do niej Morris. *Buon giorno*, pozdrowił staruszka, z mozołem wędrującego o lasce pod górę, ze zgaszonym papierosem tkwiącym między pomarszczonymi wargami. Pies poszczekiwał, radosny mimo krępującego go łańcucha, w dole na *piazza* autobus wesołym dźwiękiem klaksonu dawał znak, że zaraz wyrusza w drogę. Spomiędzy ciasno splecionych gałęzi drzewek persymony stado wróbli poderwało się nagle z głośnym świergotem. Owoce pomarańczy odbijały się jaskrawo od lśniącej czerni kory. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna. O tak, Bóg naprawdę jest w niebie, pomyślał Morris. I z tym światem też jest wszystko, jak należy.

Albo raczej to Morris był w niebie. Czyżby był Bogiem? Niczym Bóg czuł swoją obecność we wszystkim i wszystko było w nim: delikatny zapach palonego drewna, skrzywione twarze wieśniaków, pełznąca po siatkach winorośl, wyboista droga. Był we wszystkim, wszystko go akceptowało, a on odwzajemniał się wszystkiemu swoją akceptacją. Był pełnią, a jednocześnie nappełniał sobą każdą istniejącą rzecz. Bogaty, a przy tym wolny, by czuć się szczęśliwym i szczodrym, był niczym prawowity dziedzic wszystkich obfitości tego świata.

- Mimi? - Gdy tylko znalazł się w samochodzie, sięgnął po słuchawkę. Postanowił, że od tej pory Mimi będzie miała swój własny numer, przeznaczony wyłącznie dla niej. Najpierw 32i, cyfry symbolizujące kręgi piekła, tyle że w odwrotnej kolejności, potem 789, prozaicznie oznaczające powolne wstępowanie do czyśćca, i na koniec pojedyncze zero, którego tajemniczy, idealny kształt, wyklu-



czający wszystko co świeckie, czynił je diademem otaczającym duszę w raju. Zero symbolizowało także pocałunek, gdyż właśnie w okrąg składały się podczas pocałunku pełne wargi Mimi.

Prawie natychmiast uzyskał połączenie.

- Tak, Mimi, przepraszam, ale dziś króciutko. Chciałem ci tylko podziękować. Wiem przecież, że mi pomagasz. Wiem, że tobie zawdzięczam to dziedzictwo, twoje dziedzictwo. Obiecuję, że pieniądze, twoje pieniądze, zostaną wykorzystane na pomoc dla innych, na uczynienie ich szczęśliwymi. Wiem, że to znak od ciebie, mówiący, że muszę zostać z Paolą i w firmie, aby skierować wszystkich na właściwą drogę. Dziękuję ci, Mimi, dziękuję z całego serca.

Poprawił się na białym, skórzanym siedzeniu, uśmiechając z pobłażaniem na widok grupy hałaśliwych nastolatków czytających *La Gazzetta delio Sport* przy stolikach wystawionych przed barem. Obniżył szybę, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, po czym ponownie wybrał numer, tym razem bardziej arbitralny kierunkowy do Anglii.

- Tato? Tato, to ja.

Tak, ta rozmowa z pewnością będzie bardziej kłopotliwa, bo przecież ojciec bez wątplenia odezwie się po drugiej stronie, dlatego nie da się po prostu przedstawić faktów milczącemu odbiorcy i pozostać niesplamionym.

- To ja, Morris. Usłyszał głośny jęk.

- Chryste, która godzina? Cholernie wczesna, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Morris kompletnie zapomniał o godzinnej różnicy czasu. Co nie zmieniało faktu, że była już ósma trzydzieści.

- Wydawało mi się, że należysz raczej do rannych ptaszków, tato - powiedział niemal ze skruchą. - Koniecznie chciałem cię złapać przed wyjściem z domu.

Nastąpiła długa i jak na rozmowę z telefonu komórkowego zdecydowanie kosztowna cisza.

- O Jezuu, ale zabalowałem ostatniej nocy. Niech to szlag trafi, co za kac.

Morris natychmiast wychwycił podtekst kryjący się w tak przesadnym podkreśleniu porannego kaca. Ojciec zwyczajnie się przechwalał: popatrz tylko, jestem wprawdzie na emeryturze, ale nadal żyję jak prawdziwy mężczyzna, w przeciwieństwie do mojego mięczakowatego syna. W przeszłości pewnie by go to porzytowało, pomyślałby, że ojciec pragnie go poniżyć. Obecny Morris, dorosły i opanowany, uznał, że owe źle ulokowane ojcowskie pasje do pewnego stopnia nawet go rozczulają. Staruszek budził tę samą sympatię co pies, dumnie machający ogonem, bo udało mu się wyciągnąć z błota ciśnięty do aportowania patyk.

- Tato - zwrócił się do ojca pełnym szacunku tonem - chciałem ci tylko powiedzieć, że Paola i ja wkrótce przeprowadzamy się do większej, hm, rezydencji. Więc gdybyś za miesiąc albo dwa miał ochotę nas odwiedzić, chętnie cię ugoszczymy.

Kiedy stary Duckworth usiadł ze szklaneczką whisky na obrośniętym wistarią tarasie Casa Trevisan, trudno mu będzie nazwać swojego syna nieudacznikiem.

Cisza. Jakieś trzaski w słuchawce.

- Przez ten czas - z niewiadomych powodów podczas rozmów z ojcem Morris zawsze przybierał afektowany, napuszony ton, jakby miało mu to coś zrekompensować - Przez ten czas, jeśli uważasz, że przydałoby ci się dodatek do emerytury, proszę, nie wstydź się mi o tym powiedzieć.

Ponieważ ojciec milczał nadal, dorzucił pospiesznie:

- Niedawno nawet wspominałem Paoli, że pracowałeś w życiu wystarczająco ciężko i teraz należy ci się godziwe wynagrodzenie.

- Chryste Panie - jęknął ojciec - ale zadzieramy nosa, niech to licho.

Morris pomyślał, że ojciec, nawet przeklinając, nie potrafi się zdobyć na oryginalność. Wiecznie te same, wyświechtane zwroty. Pod tym względem zdecydowanie różnił się od Paoli.

- Wybacz, ale nie usłyszałem twoich ostatnich słów - powiedział z afektacją. Teraz szedł już na całość.

Seria kolejnych, kosztownych trzasków w słuchawce. Potem ojciec czknął.

- Powiedziałem - ojciec pociągnął nosem - i nigdy nie przestanę tego powtarzać, że twoja Matka nie miała już głupszego pomysłu, jak dać ci na imię Morris. Kretynizm. Jak mam traktować serio kogoś, kto sam siebie nazywa Morrisem?

Jakże bezlitośnie ojciec rozgrywał zawsze ten sam motyw, rzekomy transfer kobiecości z matki na syna! Teraz jednak Morris miał skórę grubą na centymetr i tego typu obraźliwe uwagi nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Z uczuciem satysfakcji musnął palcami obciągniętą skórą gałkę dźwigni zmiany biegów i podjął rozmowę wyszukany tonem, ani na chwilę nie tracąc opanowania.

- Cóż, tato, mówię całkiem poważnie o tym zaproszeniu. O dodatkowych pieniądach dla ciebie także, gdybyś miał kłopoty finansowe. Nie chciałbym, abyś pomyślał, że twój syn opuścił cię na starość - dorzucił pospiesznie i zanim ojciec zdążył skomentować tę ostatnią uwagę, zakończył: - A teraz zostawiam cię z twoją aspiryną i sadzonymi jajkami. Przede mną pełen pracy dzień. - Położył palec na idealnie owalnym przycisku, odbijającym się fioletem od zgaszonej bieli słuchawki, jednym ruchem odcinając się od ojca i odsyłając go w mroki East Acton, leżącego co najmniej w drugim kręgu piekieł. Jeśli nie niżej.

Telefon rozdzwonił się niemal natychmiast. Morris zerknął na wyświetlacz. Paola. Zasłużyła sobie na to, żeby poczekać trochę dłużej na dobre nowiny. Morris wysiadł z samochodu i bawiąc się różnymi ważnymi kluczami, które miał w kieszeni, ruszył do baru. Usiadł przy stoliku pod pergola i robiąc wszystko, co w jego mocy, aby zignorować ponurą mozaikę z umierającym żołnierzem po drugiej stronie *piazza*, zamówił cappuccino i brioszkę.

- Posypaną wiórkami czekolady, *per favore*.

Mimo pospolitej spódniczki ciasno opinającej grube uda całkiem ładna, ocenił w myślach kelnerkę. Milutka. Świadomość, że zupełnie rozmyślnie marnuje czas, kiedy powinien jak najszybciej stawić czoło Bobowi i porozmawiać z nim o wy-

rzucanych z pracy imigrantach, sprawiła mu niemal zmysłową przyjemność. Bobo, który nie miał nawet tyle godności, by pożegnać zmarłą teściową! Cóż. Morris rozkoszował się mijającymi minutami i smakiem słodkiej kawy w ustach. Bobo pewnie już się niepokoi tą nieoczekiwaną zwłoką. Na pewno spodziewał się, że przypędzi do niego natychmiast, gotując się z gniewu.

Brioszka miała nadzieję z marmolady brzoskwińowej. Wyborne. Morris sięgnął po lokalną gazetę. Nie będzie zaprzętał sobie głowy cierpiącym na trądzik szwagrem. Nie będzie układał optymalnej strategii ani spekulował, czy to przypadek, że Bobo wyrzucił jego chłopców, jego rodzinę, dokładnie tej samej nocy, kiedy zmarła Signora Trevisan, i niemal zaraz po wspólnie spędzonym wieczorze. Nie ma sensu. Wygrał przecież. Dzięki Paoli Morris był współwłaścicielem firmy na absolutnie równorzędnych warunkach. Jeśli rząd ponownie zdevaluuje lira, jak to zapowiadały nagłówki w gazetach, guzik go to obchodzi (mówiąc językiem ojca). Eksport dla Doorways (licząc w funtach, oczywiście) zacznie się jeszcze bardziej opłacać. Możliwe, że już niedługo Włochy staną się świadkiem narodzin nowego, potężnego handlowego imperium. Każdy potentat finansowy z początku musiał grać ostro i dopiero z czasem zyskiwał sobie powszechny szacunek, kiedy jego bogactwa przyrastały niczym tocząca się kula śnieżna, a w ślad za nimi pojawiała się kultura.

On, Morris, był teraz na właściwej drodze. Jeszcze trochę i pozostanie mu tylko przeciwiczyć, jak z godnością przyjmować pochwały i gratulacje.

Ponownie omijając miasto od północy, całkowicie wyciszony i spokojny, zadzwonił do Paoli, żeby podzielić się z nią wspaniałą nowiną.

- Po równo? Jesteś pewien?

- Oczywiście, że jestem pewien. Powiedziała to w taki sposób, jakby wszystko było ustalone już od lat. Wpisane w naturalny porządek rzeczy.

- Mo! - Nastąpiła krótka chwila ciszy, po czym Paola zniżyła głos do szeptu. - Mo, dzisiejszej nocy będziesz miał prawdziwą jazdę. Obiecuję. Czyjś ptaszek będzie musiał zapłacić za to, że stał się tak obrzydliwie bogaty. To dopiero nowina.

- A może pokochamy się w jej łóżku? - rzucił niby obojętnie.

- Co takiego? W czyim niby?

- Twojej matki. -Mo!

Wreszcie udało mu się ją przebić.

- Antonella chce wystawić trumnę w salonie. Ktoś będzie musiał spędzić tam noc. Teraz nasza kolej, aby okazać należny szacunek. Wszystko, co musimy zrobić, to zmienić pościel.

Paola zawahała się.

- Wiesz, Mo, chwilami jesteś naprawdę dziwny. Od czasu do czasu nachodzi cię coś takiego.

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie - odparł ze spokojem, myśląc jednocześnie, że niemal identyczne słowa wypowiedziała do dyktafonu Mimi, na krótko przedtem, zanim umarła. „*Che strano che sei, Moni, che strano*” Jaki dziwny jesteś czasami”.

Poczuł falę podniecenia na myśl, że będzie się kochał w łóżku, w którym sypiała Mimi, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie najsilniej odczuwał jej obecność. Włożył rękę do kieszeni w poszukiwaniu majtek, które z pewnością należały kiedyś do niej. Mocno zacisnął na nich palce.

- *Va bene, caro mio* - mówiła Paola - *va bene*. Mamma zawsze miała takie surowe zasady, jeśli szło o seks. Zróbmy coś naprawdę szokującego. To będzie nasza zemsta.

Będzie to także pierwszy krok w przekonaniu Paoli, aby zgodziła się na przeprowadzkę, pomyślał, z ulgą odkładając słuchawkę. Może uda mu się nawet sprawić, że zajdzie dzisiaj w ciążę. Mała dziurka w prezerwatywie? Dlaczego nie? Jego zmysły były dziś tak perfekcyjnie zestrojone, że w wyobraźni już wycinał własną przyszłość nowymi nożyczkami (trzymanymi w dłoni obciążonej wytworną rękawiczką). Dziś będzie tak podniecający, że Paola zgodzi się na wszystko.

Przez chwilę zaczął się zastanawiać, czy gdyby puścił kierownicę i zamknął oczy, samochód i tak nie zawiózłby go prosto do celu, tak silnie czuł się zespolony z całym uniwersum, gwiazdami i wirującymi sferami niebios.

---

## 15

---

Znalazłszy się w Valpantena, skręcił w stronę Quinto i po chwili hamował już przed Villa Caritas. Teraz czuł, że powinien się pośpieszyć. Nie był to moment na wysłuchiwanie łacińskich maksym Forbesa, nawet jeśli tajemniczym zrządzeniem losu miałyby się okazać szczególnie trafne. Miał szczęście. Na hamaku przed domem leżał Kwame, wykorzystujący blade promienie zimowego słońca. Morris kazał mu odłożyć papierosa i wsiadać do samochodu. Zaraz też zawrócił i ruszył ostro w stronę bramy. Właściwie nie potrzebował towarzystwa, wręcz przeciwnie, czuł jednak, że obecność kogoś takiego jak Kwame może mu się przydać.

Dlaczego Bobo zwolnił imigrantów?

Z butelkowni dobiegał szum maszyn. Pies był uwiązany. Tego ranka od Morrisa było niezłomne przekonanie, że całą sprawę da się załatwić za pomocą logicznej argumentacji, z powołaniem się na prawo własności, więc postanowił jednak nie truć bestii.

- Volfi! - zawołał, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, jak stworzenie się wabi - Volfi, Volfi, chodź do pana! - Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłaskać zwierzę.

Widać jednak w jego głosie musiało być coś, co go zdradzało, wzbudzało irytację albo nieufność, gdyż nawet kiedy starał się przybierać najbardziej przyjacielski ton, nie udawało mu się przekonać kogokolwiek o swoich dobrych zamiarach. Nawet głupiego zwierzaka. Nigdy na przykład, choć przecież był przystoj-

ny, ujmujący i miał nieskazitelne maniery, nie przekonał nikogo, by dał mu odpowiednie stanowisko.

W odpowiedzi na zachętę pies rzucił się do przodu, wspiał na tylne łapy i zaprezentował przerażający garnitur czerwonosinych zębów i zjeżoną sierść. Wystraszony Kwame odskoczył do tyłu. Morris stał spokojnie, poza zasięgiem psiego pyska. W końcu biorąc pod uwagę grubość łańcucha, naprawdę nie było się czego obawiać.

- To diabeł, człowieku - powiedział Kwame. - W tym psie siedzi prawdziwa bestia.

Morris zastanowił się przez chwilę, czy podobną wrogość objawi Bobo, nie zważając na nowo założony łańcuch legalnego dziedzictwa. Otworzył drzwi biura i bez pukania wszedł do środka. Miał nadzieję, że jego postawa jasno zademonstruje obecne nastawienie: opanowanie połączone z lekką niefrasobliwością, gotowość do współpracy, ale nie za wszelką ceną.

Bobo rozmawiał przez telefon. Brzydko przygarbiony, siedział za pospolitym, metalowym biurkiem, na którym piętrzyły się schludne stosiki starannie pospinaanych różowych i niebieskich kartek, oblane ordynarną poświatą monitora AppleMaca. Ubrany w porządny, choć (mimo że włoski) kiepsko skrojony garnitur jedną ręką przyciskał słuchawkę do ucha, szarpiąc jednocześnie odstającą małżowinę, podczas gdy drugą zapisywał jakieś liczby mocno stępionym ołówkiem. Cała sceneria, nie wyłączając butelki Fratelli Ruffoli, wciśniętej między pośladki opalającej się modelki, śmierdziała tanim, pokątnym handelem, zdawała się być niewyobrażalnie odległa od wysmakowanego otoczenia, w którym spożywali wczorajszą kolację. Morris, pomyślał Morris, natychmiast przeniósłby biura firmy do centrum miasta i odpowiednio je wyposażył, nadając styl luksusowej przydatności, w jakim celowali włoscy projektanci wnętrz. Jakieś drogie meble, może z Mediolanu.

Bobo rozmawiał z Antonellą, usprawiedliwiając się, że pewnie dopiero za dwie godziny będzie mógł przyjechać i pożegnać zmarłą teściową. Kryzys w winiarni, powiedział, podnosząc mysie brwi w kierunku Morrisa (jego paciorkowate

oczka wyglądały zupełnie jak oczy pluszowego misia albo wypchanego ptaka). Nie, nie, wszystko wyjaśni jej później. Przecież nie siedziałby tu przez pół nocy bez powodu, prawda? Kryzys to kryzys.

Morris uznał, że uprzejme czekanie, aż szwagier raczy zakończyć konwersację, będzie dla niego zbyt denerwujące i upokarzające zarazem. Ostentacyjnie odwrócił się do Kwa-mego i zaczął z nim rozmawiać. Po angielsku.

- A co tam w Villa Caritas? Wszyscy wrócili? Kwame, wyraźnie spięty, starał się mówić jak najciszej.

- Człowieku, wszyscy są aż czarni z nerwów. Morris postanowił zignorować ten kalambur.

- Forbes też wydawał się zdenerwowany, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon. Ale nie martw się, wszystko się wyjaśni.

- Człowieku, wściekł się na Azedina.

- Kto?

- Stary pan.

- Forbes? Na Azedina? Ale o co?

- Myślałem, że będziesz wiedział, szefie..

- Nie mam pojęcia.

Dopiero teraz Morris uświadomił sobie, że zmarnował cenne dziesięć minut. Jadąc tutaj, mógł przecież wypytać Kwamego o wszystko, tymczasem gejzer euforii i przyprawiający o zawrót głowy widok ze szczytu wypiętrzonych pod niebo góry wyimaginowanych pieniędzy pochłonęły go do tego stopnia, że zupełnie o tym zapomniał.

- Mów - zażądał. W jego głosie brzmiała teraz prawdziwa troska.

- Człowieku, Azedine i Farouk, który jest specjalnym przyjacielem starego...

Ale w tym momencie Bobo z trzaskiem rzucił słuchawką i krzyknął piskliwie:



- Ten brudny czarnuch ma się stąd natychmiast wynosić. *Maledetto!*\*<sup>67</sup>

Morrisa zamurowało. Jeśli nawet zdarzały się momenty, kiedy czuł - nie bez racji przecież - że ludzie innej rasy są gorsi, z pewnością nigdy nie wyraziłby swoich odczuć w sposób tak wulgarny.

- Wynocha - powiedział Bobo rozkazująco.

- Ale dlaczego? Ja chcę, żeby tu został. - I tu Morris dodał jeszcze: - Teraz, kiedy Signora Trevisan nie żyje, a ja jestem pełnoprawnym partnerem, postanowiłem wyszkolić Kwamego na swojego asystenta.

Bobo zastygł, zaskoczony. Dlaczego, pomyślał Morris, dlaczego los nie ześle śmierci na starszego brata tego żalostnego facecika. Przynajmniej wyniosłby się stąd, aby poprowadzić kurczakowe imperium tatusia. Ze swoją przypominającą kurzą wątróbkę twarzą doskonale by się do tego nadawał. Głośno powiedział natomiast:

- Szczerze mówiąc, uważam rasizm za coś odrażającego.

- Powiedziałem, że ten czarnuch ma się wynosić, i to już. Kwame był wyraźnie speszony.

- Spokojnie, zaczekaj na mnie na zewnątrz. To nie potrwa długo - zwrócił się do niego Morris.

Gdy tylko wysoka sylwetka chłopca zniknęła za drzwiami, rozległo się wściekłe ujadanie.

- Złośliwa bestia - zauważył Morris.

Bobo nie zwrócił uwagi na zawartą w słowach szwagra dwuznaczność.

- Ty też masz wyjść - powiedział tylko. - Rozumiesz? Ty też masz się stąd wynosić.

---

<sup>67</sup> \* Przeklęty!

Konfrontacja najwyraźniej kosztowała bogatego chłopczyka sporo nerwów. Widać było, że za wszelką cenę stara się zapanować nad przepelniającą go wściekłością. Pewnie jest też przepracowany, pomyślał Morris. Widać, że ma za sobą ciężką noc.

Nie zmieniało to faktu, że on sam dał się przyłapać nieprzygotowany. Morris usiadł na obrotowym krześle przy drugim biurku i okręcił się dookoła, próbując zebrać myśli. Czyżby Antonella myliła się w kwestii testamentu? Czy to możliwe? Albo Bobo zniszczył dokument i podsunął inny na jego miejsce? Taki, który oddawał mu cały majątek, a Morrisa pozbawiał wszystkiego. Nie, to zupełnie wydumana hipoteza, rodem z dziewiętnastowiecznego melodramatu.

- A więc mów, co to za kryzys nam się przytrafił - zaczął Morris pojednawczo.

Bobo podniósł na niego wzrok. Ich oczy spotkały się, Morrisa niewinne, czyste, wypoczęte i błękitne, Boba - małe, bure i zaczerwienione z niewyspania. Morrisowi zrobiło się niemal żal szwagra i postanowił z góry wybaczyć mu każdą niemłą rzecz, którą ten powie. Bobo otworzył usta. Najwyraźniej nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Czyżby był aż tak zakłopotany?

Morris przybrał ton pełen życzliwości.

- Po prostu wytłumacz mi, dlaczego wyrzuciłeś całą nocną zmianę. Czyżby dopuścili się czegoś okropnego?

Bobo wciągnął powietrze.

- Będziesz musiał opuścić firmę - powiedział. - Nie chcę tu ani ciebie, ani twoich zwariowanych pomysłów. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał wyjść już teraz.

Morris poczuł się całkowicie skonsternowany.

- Ale dlaczego ich wyrzuciłeś? - powtórzył swoje pytanie. - Nieporozumienia między nami to jedna rzecz, a imigranci to druga. Potrzebują pieniędzy. Dla nich praca to sprawa życia i śmierci.

Poczuł napływ nowej siły, biorącej się ze świadomości prawości moralnej. Nie tylko był przystojniejszy od Boba, był też od niego lepszy jako człowiek. W biurze, którym on by zarządzał, nie znalazłoby się miejsce na pornograficzny kalendarz. Czy powiesił sobie podobny w norze, jaką mu przydzielili w mieście? Oczywiście, że nie. A swoją drogą, najwyższy czas wypowiedzieć wynajem tamtego lokalu i wyszukać sobie coś odpowiedniejszego. Albo przenieść się z biurem do nowego domu w Quinzano.

Bobo westchnął ciężko.

- Kiedy przyszedłem tu ostatniej nocy, dwaj z nich wykorzystywali to pomieszczenie do czynów obscenicznych.

Zaskoczony Morris wlepił wzrok w szwagra.

- Co masz na myśli, mówiąc, czyny obsceniczne? I dlaczego w ogóle tu przyszedłeś w środku nocy?

- *S'inculavano* - powiedział Bobo brutalnie. - Dawali dupy sobie nawzajem. - Zaczął się śmiać.

Morris nie wiedział, czy ma być bardziej zaszokowany wulgarnym językiem szwagra, czy tym, co rzekomo zaszło.

- Kto? - zapytał tylko.

- Czy to ma znaczenie?

- Oczywiście, że ma. Mogłeś wylać tamtą dwójkę, ja wyrzuciłbym ich z Villa Caritas, i byłoby po sprawie. W pełni zgadzam się z tobą, że winni zasługują na zwolnienie.

- Oni wszyscy są tacy sami - oświadczył Bobo kategorycznie. - To dlatego inni pracownicy nie chcieli, aby korzystali ze wspólnej toalety. Zboczeńcy, pewnie pozarażani AIDS. Nadszedł czas, aby się stąd wynieśli. Mam już dosyć tej farsy.

Morris był wściekły, choć jednocześnie odczuwał ulgę, że cały problem okazał się niczym więcej, jak tylko kolejnym przejawem zacofanego, prowincjonalnego

rasizmu i ignorancji. Bez trudu mógł uwierzyć w historię o przyłapanej w biurze dwójce - pewnie to właśnie miał na myśli Kwame, mówiąc o Azedine i Farouku, a Forbes musiał być wściekły, że Marokańczyk deprawuje nieletniego - ale żeby oni wszyscy mieli być zboczeni albo w jakiś sposób unurzani w błocie... nie, to było po prostu niemożliwe. Absurdalne uprzedzenie, podobne temu, które kazało jego ojcu oskarżyć go kiedyś o homoseksualizm, tylko dlatego, że dużo czytał oraz chętnie zwiedzał galerie i muzea. Postanowił jednak okazać wyrozumiałość. Zależało mu na dojściu do porozumienia. Dziesięć minut i wszystko się wyjaśni. A potem już tylko świętować.

- Bobo, posłuchaj - zaczął - dziś z samego rana zmarła Signora Trevisan. Od Paoli i Antonelli słyszałem niejednokrotnie, że firma w równych częściach przechodzi na obie siostry. Zważywszy, że żadna z nich nie jest zainteresowana jej prowadzeniem, kierowanie wytwórnią przypadnie nam obu, na równych prawach. Przecież nie dalej jak wczoraj jedliśmy razem kolację i było tak miło, prawda? Mnie ten wieczór sprawił ogromną przyjemność. Nie sądzisz, że w tych okolicznościach rozsądniej byłoby nie podejmować pochopnych decyzji, tylko dociągnąć do końca kontrakt, a potem ponownie rozważyć całą sytuację?

- Będziesz musiał odejść - obstawał Bobo. - A skoro ty odejdziesz, oni także mogą sobie pójść. - Nerwowo zabębnił palcami po blacie. Najwyraźniej gnębiło go coś jeszcze, tylko nie potrafił się zdecydować, czy to w ogóle poruszać.

Morris przybrał ton niemal ojcowski.

- *Caro* - powiedział - doskonale rozumiem, że możesz nie darzyć mnie sympatią, jednak z prawnego punktu widzenia...

Bobo gwałtownie odepchnął się z krzesłem od biurka. Teraz jego ruchy były szybkie i celowe, niczym ruchy żeglarza przy zmianie halsu.

- Nie mówiłem przedtem, po co tu przyszedłem w środku nocy - zaczął nerwowo, zbliżając się do przyprawiającej o depresję, ponurej, szarej szafy na dokumenty, którą Morris wkrótce już zastąpi czymś bardziej stosownym. - Normalnie tego nie robię, prawda? - Bobo pochylił się i z samego dna dolnej szuflady wyciągnął jakąś teczkę.

Dopiero w tym momencie do Morrisa dotarło, że sprawa jest naprawdę poważna. Świadomość ta nadeszła nie jako nieokreślona obawa, lecz w formie nagłego i całkowitego przekonania. Poczł falę gorącą, idącą od kręgosłupa i stopniowo ogarniającą całe ciało. Podobnie jak poprzedniego wieczoru przeguby dłoni miał nieznośnie napięte, jakby wszystkie ścięgna naciągnęły się do granic możliwości.

Bobo powrócił na swoje miejsce za biurkiem. Odezwał się, nie podnosząc wzroku:

- Wczoraj podczas kolacji Stan powiedział, że nie pojechałeś z nim do Turcji.
- Tłumaczyłem ci już, że pojechałem sam.

Bobo prychnął gniewnie. Morris wyteżył wzrok, żeby od-cyfrować napis na wyjętej przez Boba teczce. Gorąco, jakie poczuł momentalnie ustąpiło na chwilę uczuciu chłodu, po czym na powrót objęła go fala nieznośnego żaru. MASSIMINA TREVISAN. To po prostu było nie fair.

Bobo otworzył teczkę.

- Po tym jak opuściłeś nas tak, hm... przedwcześnie, zapytałem Stana, kiedy właściwie spotkaliście się na stacji w Rzymie.

Morris udał, że nie rozumie, do czego szwagier zmierza.

- Powiedział, że gdzieś pod koniec lipca.

Bobo wreszcie podniósł wzrok. Morris siedział jak skamieniały.

- Więc?

- Więc w terminarzu z tamtego okresu mam zanotowane, że drugiego sierpnia telefonowałeś z Ankary. Było to ponad tydzień po złożeniu okupu. W dzień po twoim telefonie Massimina usiłowała dodzwonić się do matki, ale połączenie zostało przerwane.

Po tych słowach zapadła długa chwila ciszy, której Morris zdecydował się niczym nie wypełniać. Jego myśli szalały, niczym myśli rozbitka na tonącym stat-

ku. Czy da się jeszcze załatać podziurawiony kadłub, czy też nadszedł czas powierzyć życie falom i nawałnicy?

- Stan twierdzi, że ty...

- Zupełnie nie pojmuję, co usiłujesz mi wmówić. Tłumaczyłem ci, że do Turcji pojechałem sam. Skoro zdecydowałem się na wyjazd osobno, wolałem powiedzieć Stanowi, że nie pojechałem wcale, aby nie poczuł się urażony. A co do daty naszego spotkania w Rzymie, to nie sądzisz chyba, że taki kretyn jak Stan potrafiłby zapamiętać, kiedy to dokładnie było.

Bobo milczał przez kilka sekund.

- Powiedział również, że byłeś wtedy z dziewczyną. Z tą, z którą widział cię wcześniej w Weronie.

Kiedy Bobo wypowiadał te słowa, Morris uświadomił sobie nagle, że szwagier z pewnością nie rozmawiał na ten temat z Antonellą. Gdyby było inaczej, nie zachowywałyby się wobec niego tego ranka tak miło.

- Przykro mi - powiedział na głos - ale naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to o czymkolwiek świadczyć. To zupełnie naturalne, że ludzie wpadają na siebie na dworcach kolejowych. W końcu to punkty węzłowe, więc podróżując, trudno je ominąć. Tak, teraz sobie przypominam, faktycznie towarzyszyła mi wtedy dziewczyna, ale nie z Werony, tylko poznana w pociągu.

Bobo potarł dłonią podbródek. Z zaognionymi plamami trądziku na białych policzkach, ponury, a jednocześnie dziwnie podniecony, sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał tego, co Morris ma do powiedzenia. Wreszcie odezwał się, wyraźnie starając się trzymać nerwy na wodzy.

- Widzisz, podczas wczorajszej rozmowy nie uświadomiłem sobie jeszcze wszystkiego, nie widziałem, jak wszystkie elementy doskonale do siebie pasują. Kiedy jednak wreszcie dotarło to do mnie, przyjechałem prosto tutaj. Siedzę w biurze od czwartej rano.

Morris potrząsnął głową.

- Nadal nie rozumiem, o czym ty mówisz. - Spróbował śmiechu pełnego niedowierzania, ale boleśnie wymuszony dźwięk, jaki wydobył się z jego gardła, zdradził go od razu. Krew napłynęła mu do twarzy. Dlaczego, pomyślał, zaciskając zęby, dlaczego jeśli idzie o udawanie i grę aktorską, natura poskapiła mu talentów? I jak, u diabła, mógł choć przez chwilę sądzić, że uda mu się wywinąć z wczorajszego incydentu beztróskim stwierdzeniem, że pojechał do Turcji, ale nie ze Stanem i jego paczką? Co za niewyobrażalna pycha. Jakim idiotą się okazał, nie zostając wczoraj aż do gorzkiego końca, by móc odpierać i neutralizować każde słowo wypowiedziane przez Amerykanina. O Chryste! „Stare grzechy znajdują cię wszędzie”, przypomniał sobie ostrzeżenie Matki. Kierowane do ojca, oczywiście. Nagle ogarnęła go nienawiść do samego siebie. Był żalonym, bezużytecznym głupcem, godnym politowania i pokonanym. Zasługiwał na to, aby skończyć w więzieniu. A jeśli starczy mu odwagi, żeby powiesić się w celi, tym lepiej.

I w tym momencie usłyszał jej kochany, łagodny głos.

- Morri, nie.

- ...oczywiście okup został umieszczony w ekspresie Mediolan-Palermo - mówił Bobo. - Sam się tym zajmowałem. Pieniądze w brązowej torbie podręcznej, położonej na półce na bagaże w najbliższym od lokomotywy przedziale pierwszej klasy. To było dwudziestego trzeciego lipca, czyli mniej więcej w tym samym czasie, o którym mówił Stan. Ekspres Mediolan-Palermo zatrzymuje się w Rzymie, to jasne. Pieniądze mogły zostać odebrane właśnie tam. Ciało odnaleziono na Sardynii. Z Roma Termini łapie się pociąg do Ostii i stamtąd prom.

- Nie - powtórzyła Mimi. Znowu poczuł zapach jej perfum i usłyszał szelest sukni, ocierającej się o uda. - *O, ti amo, Morrees*<sup>\*68</sup> - szeptała. - *Sei così dolce*<sup>\*69</sup>.

---

<sup>68</sup> \*Kocham Cię, Morrees.

<sup>69</sup> \* Jesteś taki słodki.

Morris przymknął oczy, napawając się brzmieniem jej głosu. Nareszcie! Jej głos! Niewymuszony, bez żadnych brzuchomówczych sztuczek. Słowa szwagra niemal przestały do niego docierać.

- ...więc przyszedłem do biura, żeby sprawdzić w dokumentach. Ponieważ oczywiście zatrzymałem sobie kopie listów z żądaniem okupu. Przyszło mi do głowy, że mógłbym je porównać z charakterem pisma. Twoim.

-Ale one nie były pisane ręcznie - szepnął Morris niczym w transie.

- *Ti voglio* - mówiła Mimi. - Pragnę cię, pragnę, pragnę. *O, Morri.*

- Nie, nie były - przyznał Bobo. - To akurat wyleciało mi z pamięci. A ty skąd o tym wiesz?

Nastąpiła długa chwila ciszy, wypełniona niemal hipnotycznym szumem dobiegającym z butelkowni.

- Ponieważ sam je napisałem, to jasne.

- *Caro, caro, caro* - szeptała Mimi, zupełnie jakby siedziała teraz tuż za nim. Niemal czuł jej płaski brzuch i ciężkie macierzyńskie piersi.

Bobo szeroko otworzył oczy.

- Widzisz, napisaliśmy je razem - odurzony głębokim eterem obecności ukochanej, Morris mówił jak zauroczony. -Wszystko zaplanowaliśmy wspólnie, żeby odegrać się na jej matce za to, że chciała nas rozdzielić. Postanowiliśmy uciec, a potem wydobyć od niej pieniądze. - Urwał, świadomy i jednocześnie nieświadomy tego, co mówi. Powieki miał zupełnie nieruchome, a mądrość, która spływała z jego warg, była mądrością Mimi, przemawiającej teraz przez niego. On sam nigdy nie wpadłby na podobne rozwiązanie. - Kiedy okazało się, że Massimina jest w ciąży, postanowiliśmy wracać do domu, bo wiedzieliśmy, że w tej sytuacji pozwolą nam się pobrać. I wtedy Mimi spadła z klifu i zabiła się. To było właśnie na Sardynii.

- *Caro* - westchnęła Mimi - jakie to słodkie.



- Zabiła się - powtórzył Morris, czując jednocześnie strach, że któreś ze słów wypowiedzianych w sennym zauroczeniu przyniesie mu przebudzenie.

Bobo powoli obracał głową na wszystkie strony, odurzony mocnym koktajlem niedowierzania i satysfakcji, sam najwyraźniej nie potrafiąc do końca uwierzyć, że jego podejrzenia okazały się prawdziwe.

- To właśnie przypuszczał inspektor Marangoni, pamiętasz? - podjął Morris monotonnym głosem. - Kiedy policja odkryła, że Mimi była w ciąży, że rozjaśniła sobie włosy i miała przy sobie walizkę pełną nowych ubrań. Inspektor był zdania, że Massimina musiała brać udział w swoim zniknięciu. Tak naprawdę od samego początku był to jej pomysł. - Wszystko było jej pomysłem, dodał w duchu, świadomy, że oczy ma utkwione w jarzeniówce nad głową Boba, zupełnie jakby biała, świecąca rurka stanowiła jakąś świętość. Obecność Massiminy spływała na niego właśnie z tego światła.

- Była taka przerażona na myśl o egzaminach poprawkowych. A poza tym kochała mnie i chciała, abyśmy się pobrali. Do tego jednak potrzebne nam były pieniądze, nasze własne, tak byśmy nie musieli bez przerwy chodzić po prośbie do jej matki. - Na wargach Morris pojawił się uśmiech, tak swobodny i niewinny jak chyba jeszcze nigdy. Jego głos miał teraz niezwykłą wręcz siłę przekonywania. - Dlatego też wydaje mi się, że najlepszym rozwiązaniem będzie nie ruszać tej sprawy. Odgrzebywanie przeszłości nie przyniesie nic dobrego ani Paoli, ani Antonelli, uświadomi im tylko, że temu, co się stało, była winna zarówno ich matka, jak i one same.

Bobo wyraźnie się zawahał. Przez chwilę wydawało się, że ulegnie mocy bijącej z głosu Morrisa. Na koniec jednak zwyciężył w nim ordynarny kupczyk.

- Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu - oświadczył tonem, jakby decydował o czymś równie błahym jak wielkość jakiegoś zamówienia.

Nastąpiło długie, przeciągające się milczenie. Myśli Morrisa pędziły jak szalone, z niewyobrażalną wręcz klarownością, choć w żaden sposób nie kontrolował ich w sposób świadomy. Historia, którą właśnie ułożyła dla niego Massimina, była wręcz perfekcyjna. Prawdopodobna w każdym szczególe i nieskończenie

atrakcyjniejsza niż wszelkie alternatywy. O ileż lepiej było wierzyć, że przez ostatnie tygodnie swojego życia Mimi była szczęśliwa, że jej śmierć pomyślnym zrządzeniem losu nastąpiła w momencie, kiedy przeżywała chwile największego uniesienia - pierwszą miłość. Oszołomiony, a jednocześnie całkowicie świadomy, Morris coraz bardziej umacniał się w przekonaniu, że tak właśnie wyglądała prawda. Mimi była szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Problem w tym, że ludziom brakowało wyobraźni. Jedyne, co potrafili zrozumieć, to gazetowe historie o porwaniu, gwałcie i morderstwie. W każdym epizodzie dostrzegali wyłącznie brud i zło. Nie widzieli miłości, nie docierało do nich, że sposób, w jaki Mimi umarła, nic tak naprawdę nie znaczył w porównaniu z tym niezaprzeczalnym faktem, że się kochali. Jednak próba wytłumaczenia tego Bobowi byłaby tyleż bezsensowna, co poniżająca. Poniżająca dla niego i dla Mimi. Nie będzie nawet próbował.

- Mimi - szepnął.

- Morri! - odpowiedziała natychmiast.

Nagle Morris poczuł niewiarygodne wręcz zmęczenie. Jego ciało zwiotczało, niczym marionetka, której ktoś poprzecinał wszystkie sznurki. Jeszcze chwila, a zaśnie. Skoro to miał być jego koniec, niech i tak będzie.

Massimina nie przestawała szeptać.

- *Ti amo, Morri.* Kocham cię. Byłeś moim jedynym kochankiem. - Zupełnie wyraźnie poczuł na twarzy muśnięcie pukla jej włosów. - Wszystko ci wybaczam.

Cudownie, pomyślał Morris. To naprawdę cudownie.

Bobo właśnie sięgał po słuchawkę.

- Najpierw chciałem porozmawiać z Paolą - mówił - teraz jednak widzę, że najprościej będzie załatwić to inaczej. - Zaczął wybierać numer.

- Zrób to - usłyszał nagle jej głos. - Obudź się, Morri, i zrób to, zanim będzie za późno. Zrób to, w czym jesteś taki dobry.

Co ma zrobić?

W jej głosie słychać było niemal histeryczny upór i naleganie.

- Twój popisowy numer, Morri. Zawsze ci się udawał. Zrób to.

Ale Morris czuł, że nie ma ochoty wykonywać choćby jednego ruchu. To było takie cudowne, słychać jej głosu. Zawsze działał na niego kojąco, zawsze, zawsze, zawsze. Stanowił ucieczkę od ciągłych wahań nastroju, nieuchronnych dla kogoś obdarzonego taką jak on wrażliwością.

Może policja przełknie tę historię. W końcu brzmiała całkiem przekonująco.

- Morri! - Teraz jej głos brzmiał ostro. - Morri, wiesz, że zawsze nienawidziłam Boba. Jeśli zrobiłeś to mnie, jemu możesz zrobić to samo. To przez niego na początku nie mogliśmy być razem. To od niego się wszystko zaczęło. Bobo zrujnował całe twoje życie. Jest odpowiedzialny za moją śmierć. Morri, tak naprawdę to on mnie zabił.

- *Pronto? Polizia!* Tu Posenato. *Si*, Posenato Roberto. Chciałbym się połączyć z *ispettore capo criminale*.

Ciągle zauroczony, poruszając się tak, jakby wcale nie musiał się śpieszyć, Morris wstał, odwrócił się, złapał za oparcie ciężkiego, biurowego krzesła i jednym ruchem uniósł je do góry. Źle. Nie skoncentrował się dostatecznie, mięśnie nadal miał słabe. Kiedy krzesło znalazło się w najwyższym punkcie, obrotowa część okręciła się z impetem, wytrącając go z równowagi. Omal nie wypuścił krzesła z ręki. Opadło ciężko, a metalowa rolka uderzyła Boba w ramię, zwalając go na podłogę. Ale to było wszystko. Krzesło z łoskotem uderzyło o ścianę.

Kwame otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- *Maledetto* - krzyczał Bobo - oszalałeś? - Ponownie złapał za słuchawkę.

Morris wreszcie się przebudził. Głośne dźwięki i zamęt dookoła wyrwały go ze stanu hipnozy. Cała jego tłumiona energia wyrwała się na wolność, niczym woda po przerwaniu tamy. Nigdy dotąd jego ruchy nie były tak szybkie i tak celowe. W ułamku sekundy wyrwał ze ściany przewód telefoniczny, przeskoczył biurko,

złapał Boba za ramiona, poderwał go, po czym z całej siły rąbnął jego głową o ceramiczne płytki podłogi. I jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze. Wszystko w niesamowitej ciszy, ponieważ jej głos oddalił się teraz. Łup, łup, łup! Twarz pod nim stężała, wykrzywiła się niczym twarz Paoli podczas orgazmu. I znowu, i znowu. To było takie wyczerpujące. Podniósł bezwładne ciało piąty raz, a potem jeszcze szósty. Głowa opadła z głuchym stukotem. I nagle uświadomił sobie, że dłużej już nie da rady. Wypłynęła z niego cała energia, jej potok skurczył się i wysechł. Ciężko usiadł na podłodze i oparł się o ścianę, cały się trzęsąc.

Dlaczego to zrobił? Czy od samego początku zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później musi do tego dojść? Czy kiedy spotkał Boba po raz pierwszy, doznał uczucia podobnego temu, jakiego doświadcza się czasami, poznając kobietę - owej niezbitą pewnością, że zostanie ona kochanką?

Kwame nie spuszczał z niego wzroku. Z butelkowni dobiegał szum maszyn, przez otwarte drzwi napływało do biura mroźne powietrze.

- Zabiłeś go, człowieku.

Morris zakrył twarz rękami. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że teraz przyjdzie mu zabić także Kwamego. To było zbyt okropne. A poza tym, jak miał tego dokonać? Chłopak liczył sobie dobre sześć stóp i sześć cali wzrostu. Zresztą nie chciał zabijać Kwamego. Dłonie odmówiłyby, ciało zbuntowałoby się. Lubił tego chłopca. Już teraz drżał niczym osika, a w rękach i w nogach czuł bolesne skurcze mięśni. Z poczuciem absolutnej nierealności całej sceny powiedział głośno:

- Mimi, nigdy już nie zabiję nikogo, kogo lubię. Nie zrobię tego. Nieważne, ile miałyby mnie to kosztować.

- Człowieku! - Białka oczu Kwamego były teraz tak ogromne, że robiło to niemal komiczne wrażenie.

Ciągle zakrywając twarz rękami, Morris odczekał chwilę w nadziei, że Mimi mu odpowie. Gdyby mógł mieć pewność, że rozmowa między nimi będzie trwała nieprzerwanie, nic nie byłoby dla niego zbyt straszne.

- To wielki kłopot - mówił Kwame, potrząsając głową. Dosyć. Nagle Morris wiedział już, co ma robić. Zerwał się na nogi i rzucił Kwamemu kluczyki.

- Sprowadź samochód. Podjedź pod same drzwi i otwórz bagażnik, ok?

Nawet nie przyszło mu do głowy, że Kwame mógłby nie zaakceptować roli wspólnika. I słusznie. Chłopak złapał kluczyki i obrócił się. Nie zdążył jeszcze dobrze zniknąć za drzwiami, kiedy Morris już sięgał po leżącą na biurku teczkę. Nie, przecież nie wolno mu jej dotykać. A niech to szlag! O iluż rzeczach trzeba było pamiętać, kiedy człowiek zabierał się do dzieła. To wszystko przez to, że nie był profesjonalnym zabójcą, tak samo jak w miłości nigdy nie był Don Juanem. Był po prostu wrażliwym, młodym mężczyzną, reagującym na określone okoliczności. Albo beznadziejnym amatorem. Morris odpiął spinki, wsunął dłonie w mankiety koszuli i niezgrabnie włożył wszystkie papiery do teczki. Między nimi znajdowały się fotokopie listów, które ułożył z wycinków z gazet i kryminałów w miękkich oprawkach tak dawno temu. To było dziwne uczucie, widzieć je teraz ponownie. DRODZY CIERPIĄCY. NA ILE MAM WYCENIĆ WASZĄ STRATE? Znakomicie napisane. A jakie skuteczne. Doskonała lekcja. Znalazł też dokumenty z banku, potwierdzające podjęcie pieniędzy. Jedna operacja pobrania gotówki z jednego konta. Stanowczo powinien był zażądać więcej.

Zawahał się. Czuł osobliwe pragnienie, żeby przeczytać listy ponownie i przypomnieć sobie tamte wspaniałe czasy. Na litość boską, czy on oszalał? Przecież papiery nie wyparują.

Z dłońmi nadal w rękawach koszuli podniósł teczkę. Wyminął ciało i dwa przewrócone krzesła, starając się nie patrzeć na twarz Boba. Szafka na dokumenty była nadal otwarta. Morris wepchnął do niej teczkę i nogą przytknął drzwiczki.

Już. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Musi jeszcze wytrzeć oparcie krzesła. Po zostały odciski palców mogą zostać. W końcu pracował czasami w tym pomieszczeniu. To było także jego biuro. Ale nie, to wszystko było beznadziejne. Tyle dowodów przeciwko niemu. Niemożliwe, aby się udało. Podeszedł do drzwi prowadzących do łazienki i dalej, do bu-telkowni. Szum taśmy transmisyjnej stał się

głośniejszy. Nie wolno mu tam teraz zaglądać. Nikt nie może go zobaczyć. A potem przyszło mu do głowy, że wreszcie mógł zmierzyć się z wyzwaniem godnym Morrisa Duckwortha. Zabił kogoś, kto w pełni zasłużył na śmierć. Z jego geniuszem i przy odrobinie szczęścia może uda mu wywinąć się z opresji.

Wrócił Kwame. Ledwo stanął w drzwiach, kiedy Morris uświadomił sobie, jaką głupotą byłoby posłużyć się jego samochodem. Jeden włos w bagażniku, i do końca życia zdobywałyby kolejne stopnie uniwersyteckie drogą korespondencyjną.

- Zabieraj samochód - krzyknął do Kwamego. - Odprowadź mój i przyprowadź jego. Zaraz znajdę kluczyki.

Kwame wyszedł ponownie, a Morris pochylił się nad zwłokami. Zakładając, że to były zwłoki. Czy aby na pewno? Nie miał czasu sprawdzać, czy Bobo aby nie oddycha. W każdej chwili ktoś mógł się tu pojawić. Ktoś mógł się zainteresować, dlaczego telefon jest stale zajęty. A swoją drogą, jaki to będzie sygnał, jakby ktoś właśnie rozmawiał czy jakby nikt nie odbierał? Boże drogi, skoro już musiał zabijać, powinien był wszystko sobie najpierw zaplanować. Ile czasu zajmie policji ustalenie, kim był Posenato i skąd dzwonił? Morris całkiem serio pomyślał, że nie wywinie się z tego. A jednocześnie kiedy odwracał zwłoki i zanurzał dłoń w każdej kieszeni po kolei, nie czuł nigdy większej brawury i pewności siebie, tak więc nawet gdy już miał w ręku kluczyki, nie zaprzestał poszukiwań. Najpierw zewnętrzne kieszenie, potem wewnętrzne. Był to jeden z tych niezwykłych momentów, kiedy kierował się przede wszystkim intuicją, i ta zwyciężyła. Czysty traf sprawił, że znalazł widokówkę przedstawiającą grób Julii.

Wyciągnął ją z wewnętrznej kieszonki. Kartka nie miała ani znaczka, ani stempla pocztowego. Przeczytał umieszczony na niej tekst.

„Bobo, *carissimo*, zawsze po Twoim odejściu wyobrażam sobie, że nadal jesteś we mnie. Ty, Ty, tylko Ty. Twoja Bim-betta”.

Morris zamyślił się przez chwilę, wytarł lśniąca powierzchnię widokówki mankietem rękawa, po czym wsunął kartkę między papiery na biurku Boba. Nagle uświadomił sobie, że podobnie jak wówczas, kiedy zabił po raz pierwszy, tak

i teraz w jego postępku krył się głęboki sens. Siła wyższa od niego posłużyła się nim jako narzędziem kary. Najpierw lubieżny Giacomo i przeskakująca z łóżka do łóżka Sandra, teraz sprośny Bobo. Ten telefon wczoraj wieczorem, który koniecznie musiał odebrać w drugim pokoju! Te noce, które jakoby spędzał w biurze, kontrolując, czy wszystko idzie, jak trzeba. A to świnią. Brutalnie złapał Boba pod ramiona i zaczął ciągnąć ciało w stronę drzwi, uważając, aby jego spodnie nie dotknęły zlepionych krwią włosów. Patrząc na odchyloną do tyłu głowę i otwarte usta, po raz kolejny uświadomił sobie, jak szpetny był ten chłopak. Szpetny i zepsuty.

W niecałe dziesięć minut później, dając białemu audi nie więcej niż pięć minut, Morris otwierał drzwi własnego samochodu. Policja czy *carabinieri*, zawahał się przez chwilę. Przypomniawszy sobie, że Bobo dzwonił na policję, zdecydował się na *carabinieri*.

Zbliżał się czas karnawału. Na Piazza Bra bawiły się dzieci w kostiumach arlekinów, strojach kowbojów i pelerynach Zorro. Koło czwartej po południu Morris zdecydował się usiąść przy wystawionym na zewnątrz stoliku w barze Baglioni. W ukośnie padających promieniach słońca radosne, świąteczne barwy odbijały się jaskrawo od kamiennego tła rzymskiej Areny, gdzie kiedyś lwy rozszarpywały chrześcijan.

Saddam Husajn groźnie łypnął okiem, drobniutki Draku-la odwrócił się, prezentując ociekające krwią zęby. Morris uśmiechnął się do niego, potem obdarzył uśmiechem królową Śnieżkę, która nie zjadła jeszcze zatrutego jabłka. He mi-tów, ile opowieści, tyle potworności. Na tym tle on, Morris, wcale nie wychodził na jakieś szczególnie zbrodnicze monstrum. Nie jemu pierwszemu przyszło szukać odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób pozbyć się niechcianych zwłok. Jeśli

się nad tym zastanowić, był to niemal pierwotny ludzki dylemat: jakie praktyczne rozwiązanie zastosować wobec ciała przemieniającego się w truchło, w rozkładający się dowód człowieczej śmiertelności? Tak naprawdę rytuał pochówku stanowił podstawę ludzkiej kultury, był pierwszym krokiem na długiej drodze wiodącej do cywilizacji, odpowiedzialnego, płodnego, dobrze zorganizowanego i -dlaczego nie? - również wystawnego życia, które - w co Morris nigdy nie przestawał wierzyć - pewnego dnia miało przypaść w udziale także i jemu; życia pełnego harmonii, elegancji i dystynkcji. Gdyby nie ta wiara, równie dobrze mógłby od razu zrezygnować z walki i przyznać się do swoich czynów. W tej chwili czuł się niczym pijany linoskoczek w gęstej mgle. Zagubiony. Wstrząsany mdłościami. Bóg tylko wiedział, w jakim miejscu ucepiony był koniec liny, drgającej teraz pod jego stopami. Czy przy węźle czekał już na niego kat, cierpliwie rozplątujący włókno po włóknie?

Morris głęboko zaczerpnął powietrza, po czym wypuścił je gwałtownie. Żeby tak można było wraz z wydechem usunąć z siebie strach. Zamyślił się. Pochówek. Przyprawiająca o depresję przeszkoda do pokonania, prawdziwy test jego kulturowych i przestępczych kwalifikacji.

Kiedy osiemnaście miesięcy wcześniej zabił Giacomą i Sandrę, odczuwał o wiele większe uniesienie, a kiedy historia zakończyła się dla Massiminy, był naprawdę głęboko poruszony. Tamto było bezpośrednio powiązane z jego zakonaniem, tym najszlachetniejszym i najpotężniejszym z uczuć, które sprawiło, że straszliwa przygoda uzyskała odpowiednie oświetlenie.

Tymczasem obecnie jego życie było niczym więcej jak niekończącym się *in memoriam*, ciągłym, samonapędzającym się poczuciem straty, próbą powtórzenia tego, co bezpowrotnie utracone. Farsą, która nastąpiła po tragedii.

Kiedy uprowadził Mimi, był herosem - Tezeuszem idącym za nicią Ariadny, Parysem porywającym Helenę, bohaterem eposu pełnego przemocy, ale także i chwały. Tamto letnie porwanie było jego wojną trojańską, jego epopeją, opromienioną homeryckim światłem. Po niej nastąpiły długie, mroczne wieki monotonych, zwykłych roczników. Żył w cieniu, we wspomnieniach jedynie. Wtedy lato, obecnie zima. Po zabiciu Boba nie czuł absolutnie nic, ani satysfakcji, ani



wyrzutów sumienia. Cały epizod był dla niego czymś całkowicie przypadkowym, *incidente di percorso*, jak mawiali Włosi. Równie dobrze mógłby rozjechać samochodem szczura, który przebiegł mu drogę.

Chociaż, pomyślał, sącząc *custoza* i przyglądając się wróżkom oraz czarownikom oblegającym stoliki, jest w tym jakaś satysfakcja, że okazał się zdolny rozważyć swój postępek w takich kategoriach. Ilu morderców posiadało świadomość historycznej perspektywy? Ile ofiar? Gdyby w przyszłości przyszło mu tłumaczyć się ze swoich czynów, tu właśnie kryło się ich usprawiedliwienie - w bezspornej wyższości jego intelektu. Kiedyś może napisze nawet książkę na ten temat - pamiętniki mordercy myślącego, do opublikowania dopiero po jego śmierci, oczywiście. Zanim jednak do tego dojdzie, czeka go jeszcze długa droga.

To droga, na którą wstąpi już jutro rano, kiedy *carabinieri* zaczną przeczesywać okolicę, przepytują robotników w winiarni, zbierać odciski palców w biurze i rozglądać się za świadkami. W dodatku - co go chyba najbardziej irytowało - polegając przy tym na kimś obcym. Przedtem nigdy nie było takiej potrzeby. Tymczasem obecnie musiał polegać na dwudziestojednoletnim czarnym chłopaku, o którym nie wiedział praktycznie nic. A równie dobrze mógł on dojść do wniosku, że wystawienie Morrisa do wiatru leży w jego własnym interesie. Jednocześnie jednak ów przymus zdania się na najlichszego z maluczkich stanowił coś w rodzaju rozkosznej pokuty, oferował dreszcz ryzyka i poniżenia, był niczym zbieranie okruchów po uczcie, którą rozkoszował się z Massiminą. Zadowolili się nimi, skoro nie można inaczej.

Morris wstał i skinął na kelnera. Zostawił mu suty napiwek, tak aby tamten go zapamiętał, gdyby przyszło do ustalania alibi. Kiedy wracał do samochodu, zderzył się z drobnym kościotrupem, ściganym przez niedźwiedzia. Malowany szkielec przewrócił się i zaczął płakać. Morris pochylił się, aby pomóc chłopcu wstać. Tak bardzo pragnął własnego dziecka! Pojawił się roześmiany ojciec chłopca i powiedział:

- *Povero scheletrirlo*<sup>\*70</sup>, byłoby lepiej, gdybyś nie opuszczał cmentarza.

Słyszając te słowa, Morris uświadomił sobie nagle, że przecież najbardziej stosownym miejscem do pochówku jest właśnie cmentarz. Szczególnie, jeśli chciało się kogoś pochować w wielkim stylu. A osobą, która tutejszy cmentarz znała jak własną kieszeń, był Kwame.

Zwłoki Signory Trevisan, przy których czuwała Antonella, spoczywały w *salotto*. Morris dyskretnie wkroczył do pokoju. Od razu rzuciło mu się w oczy, jak doskonale trumna pasuje do reszty otoczenia, ile dostojęstwa nabrały ciężkie mahoniowe meble, marmurowe ramy drzwi, ponury kredens i posępny kandelabr, kiedy przyszło im powitać wielkie, czarno lakierowane pudło o wybrzuszonych ściankach i z mosiężnymi okuciami po bokach. A może, pomyślał nagle, cała tradycja zachodniego meblarstwa rozwinęła się wokół obrządku czuwania przy zwłokach? Może żaden z prowincjonalnych salonów nie był kompletnie umeblowany, dopóki nie stanęła w nim trumna? Siadając na jednym z krzeseł o boleśnie twardym oparciu, pochylając głowę i chowając twarz w dłoniach, Morris poczuł się człowiekiem światowym i dbającym o konwenanse. Zachowywanie pozorów zawsze stanowiło dla niego źródło przyjemności.

Poza tym nie zaszkodzi, jeśli zrobi dobre wrażenie na biednej Antonelli, którą przecież będzie musiał poinformować, że przejął zarządzanie firmą. Wykorzystując chwilę ciszy i wytchnienia, usiłował zaplanować swoje najbliższe ruchy. A jeśli ciało zostanie odnalezione, zanim zdoła je pochować? I gdzie je pochować, jeśli nie zostanie odnalezione? Czy pomysł z cmentarzem aby na pewno ma sens? Podobnie jak godzinę wcześniej w kawiarni, tak i teraz nie potrafił podjąć żadnej decyzji. Jego umysł okazał się niezdolny skupić na środkach ostrożności, absolutnie niezbędnych, jeśli chciał wyjść ze wszystkiego obronną ręką. Jego inteligencja była zupełnie innego rodzaju. Jedyne, co naprawdę potrafił, to reagować,

---

<sup>70</sup> \* Biedny kościotrupku.

odpowiadać na drgnienia liny pod swoimi stopami i czynić kolejny krok, podczas gdy jego umysł nie angażował się wcale w tę akcję, poprzestając na chłodnej obserwacji każdego poruszenia, snuciu rozmaitych refleksji i ufaniu, że wszystko dobrze się zakończy. Te cechy charakteru, za które najbardziej sobą pogardzał - kapryśność i spontaniczność - były jednocześnie tymi samymi, z których był najbardziej dumny.

Siedząc bez ruchu, zerkał spomiędzy rozstawionych palców, tak jak to zawsze czynił w kościele, gdzie chadzał co niedzielę w towarzystwie Matki. Antonella wstała i podeszła do okna. Zasunęła ciężkie kotary, odcinając ostatnim promieniem zimowego słońca dostęp do salonu. Płomienie świec migotały w ciemnościach przy głowie i nogach zmarłej, a wszystkie cienie poruszyły się niespokojnie. Morris odjął dłonie od twarzy, jakby właśnie skończył się modlić, i uniósł głowę. W półmroku Iwarz Antonelli nabrała delikatności, cierpienie nadało jej szlachetnego wyrazu. Żałoba wyraźnie jej służyła. Ponad ciałem zmarłej Morris posiał szwagierce smutny uśmiech. Antonella zalała się łzami.

- *Povera Mamma, povera Mamma*. Nawet opłakać jej nie mogę, jak należy, bo tak się martwię o Boba. *O Dio!* - Rozszlochała się. Jej słowa brzmiały niewyraźnie (czyżby z powodu środków uspokajających, które jej zaaplikowano?) - *Povera, povera Mamma*, była taką wspaniałą kobietą.

- *Si* - zgodził się Morris z powagą - była naprawdę wspaniała.

Interesujące, pomyślał przy tym w duchu, że jakoś nikt nie przyszedł się z nią pożegnać. Jak na tak wspaniałą kobietę, stara Signora Trevisan miała zadziwiająco mało przyjaciół. Tym gorzej dla niej, że odrzuciła przyjaźń Morrisa, kiedy ją ofiarował, wzgardziła nim, choć był przecież jak najbardziej odpowiednim konkurentem dla najmłodszej i wcale nie takiej nadzwyczajnej córki. Stara wiedźma, z pewnością smaży się teraz w pierwszym kręgu piekieł, gdzie karane są grzechy arogancji i pychy.

Antonella popatrzyła na niego przez Izy. Trwająca od samego rana huśtawka nastrojów od euforii po rozpacz uczyniła Morrisa nadwrażliwym na każdy szczegół: szlachetne w rysunku, nieregulowane brwi Antonelli, jej skromnie ułożone

włosy, zatknięte za różową muszlę ucha. Odnosił wrażenie, że nigdy dotąd nie przyjrzał się szwagierce naprawdę. Intensywność tej obserwacji, bardziej nawet niż jej obiekt, wprawiła go w dziwne podniecenie.

A może z wszystkich trzech sióstr powinien był wybrać właśnie tę?

- Czy była tam krew? - zapytała Antonella z wyraźnym wysiłkiem. Głos jej drżał. - W biurze.

Morris zawahał się.

- Odrobina - odparł zgodnie z prawdą. - Na podłodze koło biurka. Niewielka smuga. Tak jakby ktoś otarł sobie łokieć albo coś podobnego.

- *O Dio. O Dio, Dio, Dio!* Dlaczego to wszystko musiało się wydarzyć niemal równocześnie?

- Właśnie - zgodził się Morris z przekonaniem. Jeśli Kwame się wycofa, już po nim.

- Inspektor rozmawia w kuchni z Paolą.

- Wiem. - Żeby jakoś pocieszyć szwagierkę, dodał: - Bobo musiał stoczyć ciężką walkę. Możesz być z niego dumna. Biuro wygląda jak po przejściu huraganu.

Antonella ponownie zalała się łzami. Pochylona do przodu, płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Płomienie świec zamigotały gwałtowniej, jakby w odpowiedzi na jej wybuch. Cienie ślizgały się po jej twarzy, pieściły szczupłe ramiona i masywne biodra, okryte czarną suknią. Nos leżącej w trumnie Signory Trevisan na przemian to wydłużał się, to skracał.

Zafascynowany tym wizualnym bogactwem Morris chłonał każdy szczegół. Tak, był artystą. Karnawał, czuwanie przy zwłokach, małżeńskie łóżko były dla niego niemal jednym i tym samym.

- Dodaj jej otuchy - wyszeptała Mimi.

W tej samej chwili poczuł zapach znajomych perfum, a wizja przed jego oczami przemieniła się w skończony obraz: Antonella, trumna, Signora Trevisan jawiły mu się niczym elementy namalowanego na płótnie dzieła, którego częścią - dzięki zapachowi perfum Mimi - był także on sam.

- Morri, musisz ją pocieszyć.

Mimi! Odsunął krzesło, wyminął stojącą na podpórkach trumnę i już unosił rękę, żeby położyć ją na ramieniu szwa-gierki, kiedy Paola zawołała go od drzwi. Namalowany obraz rozpadł się na jego oczach i znowu widział tylko realne twarze i realne meble.

- Chcą z tobą porozmawiać. - W źrenicach Paoli odbijało się światło świec.

- *Va bene*, już idę.

Kiedy znalazł się przy drzwiach, Paola wyszeptała.

- Powiedziałam, że dziś rano telefonowałeś kwadrans po dziewiątej.

Morris wlepił w nią wzrok.

- Ale dlaczego? Wytrzymała jego spojrzenie.

- Kwadrans po dziewiątej - powtórzyła. Pół godziny później niż naprawdę.

Poirytowany Morris wzruszył ramionami i wszedł do jadalni, gdzie czekali dwaj policjanci w lekkich prochowcach, tkwiący sztywno przy wielkim mahoniowym stole, jakby chcieli podkreślić, że nie należą do tego miejsca, a ich obecność tutaj ma charakter wyłącznie oficjalny. Masywna sylwetka po prawej nie zdążyła się jeszcze odwrócić, kiedy Morris rozpoznał w niej inspektora Maranogiego. Akurat on! Na moment przymknął powieki. To było wręcz niewiarygodne. Zupełnie jakby z liczącej siedemdziesiąt dwie karty talii tarota po raz drugi z rzędu wyciągnął figurę wisielca. Na litość boską, przecież policja w Weronie musiała zatrudniać więcej niż jednego inspektora!

- *Buona sera* - zaczął Morris ugrzecznionym tonem, czując, że skórę ma suchą niczym papier.

Obok inspektora siedział ten sam asystent o oliwkowej cerze, pilnie zapisując coś w notesie.

- Jest mi naprawdę przykro, że spotykamy się ponownie w tak smutnych i jednocześnie dramatycznych okolicznościach - powiedział Marangoni.

- *Si, sì è vero*<sup>\*71</sup> - zgodził się Morris i zaraz dodał szybko, zbyt szybko: - Jednak chyba zdaje pan sobie sprawę, że wszystko, co mi wiadome, powiedziałem dziś rano *carabinieri* i naprawdę nie wiem, co jeszcze...

Od razu zauważył kiepski stan zębów Marangoniego, co oznaczało, że albo pensje policyjne są bardzo niskie, albo osobiste priorytety inspektora całkowicie błędne. Chyba że inspektor wybrał sobie tak szczególną formę zastraszania podejrzanych. Jego lewy dolny siekacz był całkowicie czarny. Zapalając papierosa w pomieszczeniu, w którym brak po pielniczek wyraźnie wskazywał, że tu nie toleruje się palenia, potężny policjant wyjaśnił:

- *Carabinieri* w Quinto odpowiadają za *territorio extraurbano*<sup>\*72</sup>, natomiast policja za obszar miejski. Biorąc pod uwagę, że w grę może wchodzić porwanie obywatela zamieszkałego w oficjalnych granicach miasta, śledztwem zajmą się obie te siły.

- Ach tak. - Czyli ma na głowie nie tylko zwłoki i samochód do ukrycia, współnika tak wielkiego, że widać go pewnie na każdej fotografii satelitarnej, ale jeszcze dodatkowo szukają go dwie różne siły porządkowe - *polizia* i *carabinieri*. Nagle ucieszyło go, że śledztwo ponownie prowadzi Marangoni. Każde *déjà vu* było mile widziane, jeśli zbliżało go do Massiminy.

- Czyli muszę powtarzać wszystko od nowa? - zapytał, świadom ironii kryjącej się w tych słowach.

---

<sup>71</sup> \* Tak, tak, to prawda.

<sup>72</sup> \* Obszar pozamiejski.

- Proszę usiąść. - Marangoni wskazał gestem jedno z krzeseł, które wkrótce już miały należeć do Morrisa. - Właściwie koledzy podali nam już główne fakty. Mnie interesuje odpowiedź na jedno czy dwa dodatkowe pytania.

Morris zajął miejsce naprzeciw inspektora. Niewzruszony asystent nie przedstawiał notować z niczym nieusprawiedliwioną prędkością, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele zostało do tej pory powiedziane. Przez moment Morris zaczął się nawet zastanawiać, czy coś w jego zachowaniu przypadkiem go nie zdradza. Może jakieś ślady na ubraniu? Szybko zerknął na leżące na stole dłonie, żeby sprawdzić, czy nie ma krwi za paznokciami.

To, co zauważył, było jeszcze gorsze: przeguby jego rąk drżały.

- Mówiąc ściśle, interesuje mnie odpowiedź na dwa pytania. Po pierwsze, zanim stało się to, co się stało, Signor Po-senato telefonował na policję.

- *Davvero!* - Reakcja Morrisa była niemal zbyt szybka, by móc uchodzić za zdumienie. - *Carabinieri* nie powiedzieli mi o tym.

- Ponieważ nie wiedzą. - Wśród fałdów tłuszczu na twarzy Marangoniego pojawił się słaby uśmiech. Od czasów tamtej sprawy z Massiminą inspektor zdecydowanie przybrał na wadze. - Nie wiedzą, gdyż Posenato dzwonił do nas, na policję, nie do nich.

- I co powiedział? Jego telefon chyba rozwiązuje całą sprawę. - W tym momencie Morris uświadomił sobie, jakiej pułapki udało mu się uniknąć.

- Nie rozumie pan. Rozmowa została przerwana.

- Ach tak, teraz pojmuję. To by tłumaczyło, dlaczego aparat telefoniczny został rozbity.

- Owszem. Jednak w tej sprawie jest jedna dziwna rzecz. Przyjmujący zgłoszenie operator twierdzi, że głos Posenata brzmiał zupełnie spokojnie.

Marangoni urwał, a jego świńskie oczka popatrzyły wprost w oczy Morrisa, który - o dziwo - poczuł, że zaczyna się odprężyć. W końcu to było niczym jazda na rowerze. Jeśli człowiek raz opanował tę umiejętność, nigdy jej nie zapominał,

nawet po wielu latach. Powoli jego rysy ułożyły się w wyraz całkowitego zaskoczenia.

- Jego głos brzmiał zupełnie spokojnie? A co potem?

- Potem rozmowa została przerwana i w pomieszczeniu coś się wydarzyło. Posenato krzyknął „oszalałeś?” czy coś w tym rodzaju, co wskazywałoby raczej na zaskoczenie niż przestach.

Morris potrząsnął głową w wyrazie bezgranicznego zdumienia. Asystent inspektora przestał nagle notować i uśmiechnął się zza okularów, w których odbijało się słabe światło żyrandola. Uśmiech ten był raczej irytujący. Morris zauważył, że policjant ma absurdalny krawat w tropikalne wzory, głównie w cytryny i banany. Jedynie nieudacznik, pragnący wykrzyczeć całemu światu, że bynajmniej się za takiego nie uważa, mógłby zawiązać sobie pod szyją coś podobnego. Ponownie czując swoją wyższość, Morris zaczął rozważać kwestię zainstalowania w pomieszczeniu nowego oświetlenia. Najlepsze będzie ścienne, z żarówkami nie słabszymi niż stuwatowe.

- A to by oznaczało, że znał napastnika - zakończył Marangoni.

W odpowiedzi Morris odegrał całą pantomimę niechętniej zgody.

- To możliwe.

Inspektor gwałtownie wychylił się do przodu i ciężko zawisł nad stołem.

- A teraz, Signor Duckworth, chciałbym usłyszeć od pana, kim był ten napastnik.

W Morrisie wszystko uderzyło na alarm. Tak frontalnego ataku bynajmniej się nie spodziewał. Żeby zyskać nieco na czasie, powiedział:

- A więc nie sądzi pan, aby to było kolejne porwanie? Po tym pytaniu Marangoni zastygł, zawieszony niewygodnie nad blatem.



- Nie - powiedział - *per niente*\*<sup>73</sup>.

- W takim przypadku byłaby to sprawa dla *carabinieri*, nie dla policji - zauważył Morris, jakby sam zdziwiony, że traci czas na takie błażostki.

Jednak Marangoni parł prosto do sedna.

- Signor Duckworth - powtórzył, mocno akcentując ostatnią sylabę - pytałem pana, kto był tym napastnikiem.

Morris wziął głęboki oddech, odegrał scenkę wahania, a następnie podjęcia decyzji.

- Widzi pan, *Ispettore*... a właśnie, pańskie stanowisko to *Ispettore*, nie *Colonello* ani nic w tym rodzaju, prawda? Podczas porannej rozmowy z *carabinieri*, wszystko mi się pokręciło.

- *Ispettore* - powiedział Marangoni cierpliwie, wykorzystując ten moment, aby wycofać się na bardziej osłoniętą pozycję za stołem. - Ale tym niech się pan nie przejmuje, Signor Duckworth. Proszę nam po prostu powiedzieć, co pan myśli.

- Nie chciałem popełnić gafy. No więc Posenato należy do ludzi łatwo robiących sobie wrogów. Także sposób, w jaki zarządzają swoimi interesami - to znaczny interesami Trevisa-nich, bo jego własna rodzina trzyma go z daleka od ich firmy - no cóż, odczuwam pewien dyskomfort, mówiąc o tym, gdyż sam przecież jestem jednym z zarządzających, jednak jeśli moje zeznanie ma pomóc w jakiś sposób Bobowi, uważam, że nie wolno mi niczego przemilczeć. Otóż sposób, w jaki Bobo prowadzi interesy, czyni go podatnym na korupcję.

Wyrzuciwszy to z siebie, Morris poczuł się niczym linoskoczek, któremu przyszło pokonać głęboki kanion na linie do rozwieszania bielizny.

---

<sup>73</sup> \*Ani trochę.

Marangoni rozsiadł się wygodnie i wyciągnął z paczki kolejnego papierosa. Intensywnie przypatrywał się przy tym Morrisowi, który - co za ironia - musiał teraz udawać zdenerwowanie.

- W firmie dochodzi do różnych niedozwolonych praktyk - dodał jeszcze.

Asystent zanotował coś pospiesznie. Marangoni czekał, jednak tym razem Morris nie wyszedł mu naprzeciw. Wreszcie inspektor powiedział pobłaźliwie, niemal po ojcowsku:

- We Włoszech nie jest to całkiem niespotykane. Morris wzruszył ramionami.

- Pod tym względem mam doprawdy niewiele doświadczenia. Wiem tyle, co zdołałem wyczytać z gazet.

- Proszę mi opowiedzieć, na czym polegały te niedozwolone praktyki.

Morris wziął głęboki oddech, ale ciągle jeszcze nie nurkował.

- Czy jeśli o tym opowiem, firma zostanie poddana szczegółowej kontroli? Bo, widzi pan, to mogłoby doprowadzić do jej upadku.

- To zależy - w głosie Marangoniego walczyły ze sobą pobłażanie i surowość. Surowość zwyciężyła. - Natomiast może być pan pewien, że zostanie poddana kontroli, jeśli nie ujawni pan wszystkiego, co panu wiadome.

Morris ciągle się wahał.

- Czy przynajmniej może mi pan zagwarantować, że jeśli firma zostanie skontrolowana, nie zdradzi pan reszcie rodziny, a już szczególnie Bobowi, to znaczy Signorowi Pose-nato, że informacje wyszły ode mnie?

- Oczywiście - powiedział Marangoni skwapliwie i Morris po raz kolejny pomyślał, że idealnie panuje nad sytuacją. Teraz musiał tylko uważać, żeby nie przesadzić.

Wy tłumaczył inspektorowi, że Trevisan Wines zaniża podatki VAT, i to na spore kwoty (odpowiednio wynagradzając urzędników w obu urzędach), że wystawiane są fałszywe faktury i wreszcie - co najgorsze - na nocną zmianę zatrud-

niani są imigranci, całkowicie nielegalnie, bez odprowadzania podatku i opłacania ubezpieczenia zdrowotnego. W dodatku Signor Posenato traktuje owych pracowników tak źle, że on, Morris, powodowany czysto humanitarnymi pobudkami, czuł się zobligowany zorganizować dla nich coś w rodzaju hostelu, żeby mieli gdzie się podziąć. Na szczęście inicjatywę tę bardzo życzliwie wsparli Signora Posenato i Kościół. Niedawno Signora Posenato obdarowała imigrantów sporą ilością używanej odzieży i butów. Natomiast ostatniej nocy...

-Si?

- *Mi scusi*, pomyślałem, że powinienem zwolnić, aby pański kolega mógł nadążyć z pisaniem.

- Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło ostatniej nocy.

- Ostatniej nocy... Och, przecież to była ta sama noc, kiedy umarła Signora Trevisan... - Morris urwał, zupełnie jakby dopiero teraz uświadomił sobie tę zbieżność. - Co zaskakujący zbieg okoliczności, nie uważa pan, inspektorze?

- *Perfavore*, Signor Duckworth, ostatniej nocy...

- Ostatniej nocy Bobo nagle zwolnił wszystkich imigrantów.

- A to dlaczego?

Morris bez trudu udał zakłopotanie.

- Zdaje się, że nakrył dwóch z nich nad ranem w swoim biurze, kiedy oddawali się... hm... praktykom homoseksualnym.

- I wyrzucił ich wszystkich?

- Tak. Mnie też się to wydaje szalone, ale Bobo bywał nieobliczalny. Możliwe też, że uznał, iż nie jest w stanie dłużej tolerować zaistniałej sytuacji. - Morris zawahał się. - Bobo żywił wielką awersję do czarnych. - Ku swojemu przerażeniu uświadomił sobie nagle, że mówi o swoim szwagrze w czasie przeszłym. Na liłość boską! Poczul, że wszystkie mięśnie podtrzymujące kręgosłup nagle zaczynają się buntować. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że upadnie. Oddy-

chał z najwyższym trudem. Uniósł wzrok, przeświadczony, że zaraz ujrzy otwierające się kajdanki. Zamiast tego zobaczył niecierpliwość na twarzach policjantów, pragnących jak najszybciej usłyszeć coś więcej. Niczego nie zauważyli, ogarnięci kretyńską chciwością. Nie nagrywali też jego zeznań. Morris odetchnął głośno, niemal teatralnie, zupełnie jakby dawał im jeszcze jedną szansę. W podobny sposób mógłby zareagować gracz w szachy, zachęcając niejako słabszego przeciwnika, aby uważniej przyjrzał się szachownicy, zanim wykona pospieszny ruch. Gdyby on, Morris, był przełożonym obu policjantów, z miejsca by ich zwolnił. Bez żadnej dyskusji. Mniejsza o biednych imigrantów. Już opanowany, podjął wyjaśnienia.

- Usłyszałem o tym od jednego z imigrantów i od niejakiego Forbesa. Peter Forbes to mój przyjaciel, Anglik, który prowadzi ten hostel. Pojechałem tam dziś rano, ponieważ Forbes dzwonił wcześniej do mnie, i dowiedziałem się o wszystkim, że Posenato przyłapał dwójkę w biurze, jak... hm... zabawiali się ze sobą, co okazało się być owym ostatnim źdźbłem, które złamało grzbiet wielbłąda...

Słyszając to wyrażenie, asystent inspektora podniósł zdumioną twarz znad notatek. Morris z pobłażaniem pospieszył z wyjaśnieniem, posługując się włoskim odpowiednikiem idiomu.

- *Il goccia che ha fatto traboccare il vaso.* Kropla przepełniająca czarę. Jakoś wydawało mi się, że angielski idiom będzie bardziej pasował do kontekstu - zakończył bez przekonania.

- Rozumiem - rzucił Marangoni z wyraźną niecierpliwością - ale...

- Tak więc pojechałem do biura, żeby przedyskutować i z Bobem całą sprawę - podjął Morris. - Bałem się, że bez imigrantów nie damy rady zrealizować w terminie zamówienia dla pewnej angielskiej firmy. Osobiście negocjowałem umowę, więc czułem się za nią odpowiedzialny. Po przybyciu do biura zastałem to, co zastałem.

Z wystudiowaną szczerością popatrzył Marangoniemu prosto w oczy.

- Signor Duckworth, moje pytanie brzmiało, czy Signor Posenato pojechał w środku nocy do winiarni właśnie po to, aby wyrzucić tamtych?

- Nie mam pojęcia. To znaczy, nie, nie mógł pojechać po to, aby ich zwolnić, skoro dopiero wtedy ich przyłapał, zabawiających się w jego biurze.

- Właśnie. Dlatego też pytam pana, po co pojechał do biura.

Morrisowi udało się przybrać wyraz twarzy osoby, do której wreszcie coś zaczęło docierać.

- Tak, ma pan rację. Naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić, po co odwiedzał w nocy winiarnię. Niewykluczone, że regularnie przeprowadzał takie kontrole. To znaczy podczas nocnej zmiany. W stosunku do imigrantów był bardzo podejrzliwy. Obawiał się, że nie pracują sumiennie, że kradną. Być może sprawdzał ich co jakiś czas, choć nigdy mi o tym nie wspominał. Musi pan zapytać jego żonę. A właśnie, kiedy wychodziliśmy od nich ostatniego wieczoru - sędzę, że wie pan już, że jedliśmy razem kolację - tuż przed naszym wyjściem Bobo odebrał jakiś telefon. Być może miał on coś wspólnego z tą sprawą.

Marangoni i jego asystent wymienili znaczące spojrzenia, z gatunku tych, które Morris zawsze uważał za niesmaczne. Podobnymi jego ojciec wymieniał się z kumplami, których sprowadzał do domu, kiedy wyrzucili ich z pubu. Natychmiast też zaprotestował.

- Nie, nie sędzę, aby chodziło o to. Marangoni uniósł w górę brwi.

- Co pan ma na myśli?

- Nie sędzę, aby mój szwagier był mężczyzną miewającym... hm... romanse.

Inspektor uśmiechnął się i wstał, odsuwając krzesło.

- Ci dwaj imigranci, którzy stali się przyczyną całego zamieszania. .. czy są osiągalni, tak bym mógł ich przesłuchać?

- Myślę, że tak - skłamał Morris gładko. - Znajdzie ich pan w hostelu.

Wy tłumaczył inspektorowi, jak tam dojechać.

- Nie mówił pan o tym *carabinieri*!

- O czym dokładnie?

- O nieprawidłowościach w firmie i o tym, że Signor Po-senato zwolnił imigrantów.

Morris zrobił minę pełną skruchy.

- Wiem, powinienem był powiedzieć, ale mówiąc szczerze, wszystko to za bardzo mnie oszołomiło. Mam na myśli stan, w jakim zastałem biuro. Zresztą oni pytali mnie głównie, o której godzinie przyjechałem, jak wyglądało biuro, skąd do nich zadzwoniłem i tak dalej. To było bardzo... powierzchowne, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie. Trzymali mnie około godziny, ale większość tego czasu zajęło im robienie fotografii i zdejmowanie odcisków palców.

- Ach tak. - Marangoni i jego asystent wymienili pełne satysfakcji uśmiechy.

- Dopiero w kilka godzin później przyszło mi do głowy, że wyrzucenie tamtych może mieć jakieś znaczenie.

Tak naprawdę przyszło mu to do głowy zaledwie dwie minuty temu. Idealne wręcz rozwiązanie. Sprawcami byli imigranci. Z wściekłości był gotów splunąć pod wiatr, że nie powiedział tego *carabinieri*. Na przyszłość trzeba sobie zapamiętać jedno: jeśli ktoś zostanie zamordowany, zawsze istnieje wiele całkowicie wiarygodnych wytłumaczeń, dlaczego doszło do zbrodni, ponieważ zawsze istnieją ludzie mający powody, aby się kogoś pozbyć.

Policjanci zmierzali już ku wyjściu, ale Morris, nagle pełen brawury, zatrzymał ich jeszcze.

- Przepraszam, *Ispettore*, ale na samym początku wspomniał pan, że pragnie pan uzyskać ode mnie odpowiedź na dwa pytania. Nie chciałbym przechodzić przez to wszystko raz jeszcze, więc... - Stali teraz w holu, z wypolerowaną, czarno-białą kamienną posadzką, portretami na pokrytych kurzem ścianach i żyrandolem z kutego żelaza u sufitu. Doprawdy trzeba będzie włożyć sporo pracy, zanim człowiek poczuje pełną satysfakcję, mieszkając w Casa Trevisan.

- Och. - Inspektor sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego. Jego asystent sprawdził notatki. - Och tak, moje drugie pytanie brzmi: o której dokładnie wyjechał pan stąd po pożegnaniu zmarłej teściowej? Która była godzina, kiedy pojechał pan do biura?

- Najpierw do hostelu - poprawił Morris. - Do biura dopiero potem. Zaraz... Och tak, rozumiem, chce pan wiedzieć, gdzie byłem, kiedy... - Udał, że zastanawia się przez chwilę. - Tak jak powiedziałem przedtem *carabinieri*, nie wiem dokładnie, która mogła być wtedy godzina. Najpierw w wielkim pośpiechu przyjechałem tutaj - nie wiem, może o siódmej, może o siódmej trzydzieści - pożegnałem zmarłą Signorę Trevisan, a potem zatrzymałem się jeszcze w barze *napiazza*. Ta śmierć... byłem w szoku... przypomniła mi się śmierć mojej własnej Matki. - Aż wzdrygnął się na myśl o popełnionej w tym momencie zdradzie. - Potem pojechałem do hostelu i tam rozmawiałem z imigrantem o nazwisku Kwame. Czy mam to panu przeliterować? Jego imienia nie znam. A może to właśnie jest imię, a nie nazwisko? W każdym razie musi go pan zapytać, o której byłem na miejscu, ponieważ ja sam nie mam pojęcia.

- Czy po drodze dzwonił pan do kogoś z telefonu w samochodzie?

Morris ponownie udał, że się zastanawia.

- Nie. Zaraz, tak, do Paoli, do mojej żony. Żeby porozmawiać na temat pogrzebu i tak dalej.

- O której to było? Morris wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem. Będzie pan musiał ją zapytać. Cały ten dzień był dla mnie niczym jeden wielki kołowrót. Nawet teraz z trudem mogę uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Policjantom było najwyraźniej spieszo, żeby złapać Aze-dina i Farouka, ale Morris nie przestawał zasypywać ich słowami.

- Odnoszę wrażenie, jakbym nagle znalazł się o setki mil od miejsca, w którym obudziłem się dziś rano. Śmierć teściowej, potem to, problemy w firmie, z któ-

rzymi przecież trzeba się jakoś uporać, do tego pogrzeb... Czy pan też czuł się kiedyś tak, jakby wszystko wokół pana było nierealne i...

Nawet w półmroku dosięgło go przesywające spojrzenie masywnego inspektora, tak że dokończył pośpiesznie:

- Mam naprawdę niewiele czasu. Powinienem przecież rozesłać zawiadomienia o pogrzebie.

---

## 17

---

- Mo - szepnęła Paola.

Morris uniósł głowę i zanim odwrócił się ku drzwiom, zamienił z Antonellą kolejne spojrzenie, pełne szczerzej sympatii i współczucia. Spoczywająca między nimi zmarła trzymała w dłoniach kwiaty, których woń mieszała się z ciężkim zapachem pasty do mebli i podłóg. Wielki, pompatyczny zegar zaczął wybijać północ. Zaczynał się nowy dzień.

-Mo!

Pamiętając o nakreśleniu znaku krzyża podczas odchodzenia od trumny (czy może było to przesadą?), Morris zbliżył się do drzwi. Paola miała na sobie koszulę nocną.

- Czyś ty aby o czymś nie zapomniał? - światło świec odbijało się w jej źrenicach, wydobywało z ciemności krwawiące serce wiszącego na ścianie ceramicznego Chrystusa, który po stosownym upływie czasu powędruje prosto na śmietnik.

- Czekam już ponad godzinę - oburzała się Paola. -Przecież tylko z jednego powodu zostaliśmy tu na noc, może nie?



Rumieniec na jej policzkach sugerował, że wcześniej raz albo dwa zaspokoila się sama. Morrisa podnieciła ta myśl, choć jednocześnie wprawiła go w dziwne przygnębienie.

- Nie spodziewałem się, że twoja siostra też zostanie.

- No i co z tego? Chyba nie zależy ci na tym, żeby zrobić na niej dobre wrażenie? Co się z tobą dzieje?

-Ale...

- Nie będziesz przecież całą noc tkwił przy zwłokach. Mamma nie żyje. Jej to już nie robi różnicy.

Morris nadal był o kilka kroków od prawdziwej wiary w Boga, uważał jednak, że pewien szacunek dla tradycji (ale nie w formie kiczowatych dewocjonaliów wieszanych po ścianach) jest czymś zdecydowanie stosownym, a w przypadku młodych kobiet także i twarzowym.

- Nie chciałbym obrażać niczyich uczuć - powiedział. Paola zawołała w głąb dusznego od zapachów pokoju:

- Idziemy na górę, odpocząć chwilę. Wrócimy później.

Antonella nie zareagowała. Morris po raz kolejny uświadomił sobie, że w obliczu podwójnego ciosu, jaki ją dzisiaj spotkał, jego szwagierka zachowuje się z prawdziwym opanowaniem i godnością. Idąca przed nim po schodach Paola uniosła koszulę nocną i zakoiysa idealnie uformowanymi pośladkami.

- Poliz - zażądała szeptem. Morris zachnął się.

Bał się, że z powodu stresu może się nie sprawdzić. Oprócz narastającego pragnienia, by być blisko Antonelli, drugim powodem, dla którego z taką niechęcią opuszczał pokój ze zmarłą, była obawa, że nie sprostą oczekiwaniom Pa-oli. Sam je nieopatrznie wywołał pod wpływem porannego, frywolnego nastroju, tak dalekiego od jego obecnego stanu ducha. W końcu jednak staroświeckie łoże z baldachimem i miękka ciemność sypialni sprawiły to, czego wcześniej nie udało się pośladkom Paoli, podsunęty mu prosto pod nos na podeście schodów. Zaczął

myśleć o latach, podczas których Massimina sypiała na tych ciężkich, puchowych materacach u boku matki, najpierw po śmierci ojca jako mała dziewczynka, a potem jako nastolatka; wyobrażał sobie, jak jej piersi pączkowały z wolna, a na łonie pojawiał się miękki puch, podczas gdy ciało leżącej obok niej starej kobiety, której zwłoki spoczywały teraz na dole, w tym samym czasie kurczyło się i zapadało. Do tego doszła jeszcze świadomość, że cudownym zrządzeniem losu on, Morris, zawładnął teraz tym domem, połknął go niczym Zeus połykający całe uniwersum. A może też było na odwrót - to stary dom wchłonął go w siebie na znak pojednania i ofiary. Wszystkie te wyobrażenia doprowadziły go w końcu do erekcji, której tak bardzo domagała się niedomyślająca się niczego Paola.

Leżąc na plecach, podczas gdy Paola pochylała się nad nim, Morris wdychał przykurzony zapach starych prześcieradeł, spoglądając przy tym na rodzinną fotografię, stojącą na stoliku nocnym. Mamma ledwo po czterdziestce, starsze siostry nastoletnie i pulchny dzieciak - jego droga Mimi. Jaka szkoda, że nie znał jej wtedy, w latach niewinności, kiedy wszystko było jeszcze przed nimi. Odczuwał nie tyle wyrzuty sumienia, ile gorące pragnienie, aby być kimś innym. Czując zbliżający się orgazm, przypomniał sobie, że po raz pierwszy w swoim życiu kochał się bezpośrednio po zamordowaniu lubieżnego Giacoma i jego przyjaciółki, i to właśnie z Mimi. Podobnie teraz, kiedy pozbył się Boba, to Mimi tak naprawdę obejmował.

Tyle tylko, że ich pierwszemu aktowi miłosnemu towarzyszyły nie środki antykoncepcyjne, lecz pełna czułości i zaufania intymność.

- Mimi!

Niedługo później oblana księżycowym światłem Paola zapytała znienacka:

- Mo, co robiłeś między ósmą trzydzieści a dziesiątą?

- Co powiedziałaś?

Właśnie przypomniał sobie, że z samego rana musi porozmawiać z Kwamem. Stanowczo miał teraz za dużo na głowie. Potrzebny mu był sekretarz.

- Do mnie dzwoniłeś za kwadrans dziewiąta, a na policję koło dziesiątej. Co robiłeś w międzyczasie? Bobo został uprowadzony czy też zamordowany koło dziewiątej trzydzieści.

- Na Boga, nie sądzisz chyba, że mógłbym mieć z tym coś wspólnego!

Paola milczała.

- Pojechałem do Villa Caritas - wyjaśnił z oburzeniem. -A zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, policja ma już podejrzanych. Ostatniej nocy Bobo wyrzucił z pracy dwóch imigrantów. Inspektor jest zdania, że to oni są sprawcami. Twierdzi, że to by tłumaczyło, dlaczego zabrali jego samochód.

- *Oddio*<sup>\*74!</sup> - przejęła się Paola.

Umilkła. Morris spodziewał się raczej, że jego żona zacznie drażyć temat, domagając się szczegółów, tymczasem Paola popadła w dziwne milczenie. Zaniepokoiło go to, jednak uznał, że najmądrzej będzie nie wyskakiwać dobrowolnie z żadnymi informacjami. W końcu po co jej ta wiedza?

Już miał odpłynąć w krainę snu, kiedy Paola przysunęła się do niego i wyszeptowała:

- Nawiasem mówiąc, to było dość niesamowite uczucie, kiedy nazwałeś mnie Mimi.

- Co takiego? - Morris momentalnie poczuł wzbierające mdłości.

- Och, nawet mnie to rajcowało. Świadomość, że partner wyobraża sobie, że jest z kimś innym... jest w tym coś bardzo podniecającego. Następnym razem ja też nazwę cię cudzym imieniem. Będę udawała, że kocham się z Bobem. Jak ci się podoba taki pomysł?

---

<sup>74</sup> \* Mój Boże.

Morris sądził, że żadna kara nie byłaby dostatecznie surowa dla kogoś obdarzonego tak wynaturzonym umysłem jak Paola. Gdyby pozwolono mu poślubić jego pierwszą miłość, nigdy, przenigdy nie zostawiłby jej ani nie zdradził. Nigdy też nie bawiłby się z nią w żadne perwersyjne zabawy. Odsuwając się od żony, naciągnął na siebie prześcieradło, pod którym kiedyś sypiała Mimi, i usiłował wyobrazić sobie jej głos i zapach. Zbawienie leżało w jej nieustannej obecności przy nim, w słuchaniu jej rad i kierowaniu się jej wskazówkami, podczas pokonywania długiej drogi, jaka go jeszcze czekała.

Jutro zakomunikuje Paoli, że sprowadzają się na stałe do Casa Trevisan. Tutaj czuł się bliżej Mimi.

Najlepszą, choć oczywiście nie idealną metodą ukrycia jakiejś rzeczy jest zostawić ją w miejscu dobrze oświetlonym, gdyż podejrzliwy rodzic, partner czy detektyw najczęściej koncentrują się na przetrząsaniu mrocznych zakamarków. Każdy przecież uzna, że wiarołomny mąż miał na tyle wstydu czy po prostu zdrowego rozsądku, by upchać miłosne liściki na dnie starego kufra, stąd też bez sensu byłoby przeszukiwać sterty papierów zalegające wierzch jego biurka. Podobnie nikt nie będzie szukał skradzionego samochodu w rzędzie ciasno zaparkowanych pojazdów przy ruchliwej ulicy biegnącej wzdłuż nabrzeża, dokładnie naprzeciwko posterunku policji.

Taką przynajmniej Morris miał nadzieję. Dlatego też polecił Kwamemu zaparkować tam audi. Dopiero po pogrzebie, również stanowiącym akt wyjątkowej jawności, samochód zostanie porzucony w miejscu lepiej nadającym się na kon-

wencjonalną kryjówkę, gdzieś na pustkowiu daleko od miasta, gdzie policja bez wątpienia odnajdzie go z łatwością.

Kiedyś ukrył ofiarę porwania na zatłoczonej plaży w Rimini. Teraz również liczył na to, że uda mu się wpasować niefortunne i w żaden sposób niezamierzone morderstwo w dwa najważniejsze miejsca, w których koncentrowało się włoskie życie publiczne - parking i cmentarz.

Zszedłszy o szóstej rano na dół, zrobił najpierw kawę dla biednej Antonelli i zaniósł jej filiżankę do pogrążonego w półmroku *soggiorno*. Zajązrał do trumny, westchnął ciężko na widok tego, co zobaczył, wreszcie powiedział, że trzeba koniecznie znaleźć testament, na wypadek gdyby zawierał szczegółowe dyspozycje dotyczące pogrzebu. Antonella obiecała przynieść dokument z domu. Świetnie. Podsunął też szwagierce, żeby jak najprędzej zadzwoniła na policję i zapytała, czy są jakieś nowe wieści w sprawie Boba. Odsuwając z twarzy zabłąkany kosmyk włosów, Antonella wyszła do holu, wciąż pogrążonego w półmroku, i sięgnęła po słuchawkę. Morris stanął obok, mając nadzieję, że jego niepokój zostanie przez nią odebrany jako troska i współczucie dla niej. Po skończonej rozmowie Antonella rozplakała się. Morris otoczył ją ramieniem.

- Znaleźli go? - Wstrzymał oddech.
- Ktoś anonimowo zadzwonił na policję - wyszlochała.
- Jak to?
- Mówiąc, że Bobo otrzymał to, na co sobie zasłużył.

Ciągle obejmując szwagierkę, Morris zapatrzył się ponuro w półmrok zalegający jego przyszły dom. Anonimowy telefon? Jak to możliwe? Dlaczego w każdej talii kart akurat jemu musiał trafić się Czarny Piotruś, osobnik bardziej nikczemny niż on sam?

W samochodzie zadzwonił na informację telefoniczną, a potem wybrał podany numer, zapominając, że o tak wczesnej porze Stan z pewnością leży jeszcze w łóżku. Odezwała się automatyczna sekretarka. Włoski Stana doprawdy wołał o

pomstę do nieba. Morris już miał zostawić wiadomość, kiedy usłyszał zaspany głos.

- Cześć. Boże, ale wczesna godzina.

Morris zaczął od przeprosin. On sam był przez całą noc na nogach i naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że jest jeszcze tak wcześnie. Wytłumaczył, że zmarła Signora Trevisan, matka Antonelli, a Antonella prosiła go, aby zadzwonił do Stana i odwołał lekcje angielskiego. On, Morris, zapłaci za te, które już się odbyły. Ile to wypada?

Stan sprawdził terminarz, choć naprawdę nie wyglądał na kogoś, kto notuje podobne rzeczy. A jednak. Sto czterdzieści tysięcy za cztery lekcje.

Oburzające, pomyślał Morris, rozłączając się. Trzydzieści pięć tysięcy za godzinę! Niewiarygodne! On sam nigdy nie ośmielił się żądać więcej niż dwadzieścia pięć, choć był bez porównania lepszym nauczycielem.

- Byłem lepszy, *cara*, czyż nie? - zapytał, zanim jeszcze ponownie sięgnął po słuchawkę. Ale Mimi wybrała dziś milczenie. Morris uznał, że to typowo kobiece, mówić tylko wtedy, kiedy się ma ochotę, umyślnie skazywać go na długie milczenie, które sprawiało, że tak bardzo do niej tęsknił, a później szeptać mu słowa, kiedy się tego najmniej spodziewał. Mimi była niczym bóg, nad wszystkim sprawowała kontrolę.

- Wiesz przecież, że nigdy bym nie zabił Boba, gdybyś mi nie kazała.

Nadal brak odpowiedzi.

- To z tobą się kochałem ostatniej nocy. Patrzyłem na twoją fotografię i wołałem cię po imieniu.

Najwyraźniej to wyznanie także nie uczyniło na niej wrażenia. Do diabła z Mimi. Morris odłożył słuchawkę, myśląc przy tym, że jeśli nie uda mu się odkupić jej portretu od Uf-fizi albo ukraść go z galerii, pozostaje jeszcze możliwość zamówienia kopii, oczywiście u starannie wybranego artysty. W Casa Trevisan

obraz prezentowałby się wyśmienicie, zdecydowanie lepiej niż jakikolwiek Jezus z krwawiącym sercem. Koniecznie musi porozmawiać o tym z Forbesem.

- A co sądzisz o twojej siostrze? - Jadąc szybko w kierunku Valpanteny, Morris ponownie złapał za telefon. - Mimi, proszę cię. Wiem, nam dwojgu nigdy nie przyszłoby do głowy zabawiać się w równie perwersyjny sposób. Byliśmy tak niewinnymi kochankami. Dlaczego Paola nie chce mieć dziecka? Tak jak ty pragnęłaś. Mimi, tak bardzo tęsknię do ojcostwa.

W słuchawce rozległ się jej głos, słaby i ledwo słyszalny.

- Morri, ona jest w ciąży.

Morris był tak zaskoczony, że zjechał na pobocze i zatrzymał się. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w słuchawkę. W pewnej chwili uświadomił sobie jednak, że policja może go śledzić - co prawda było to mało prawdopodobne - i ten przystanek może się wydać podejrzany. Jeszcze gotowi pomyśleć, że chce tu ukryć ciało albo umówił się z kimś na spotkanie. Ruszył więc do przodu, zajeżdżając drogę ciężarówce. Zobaczył w lusterku rozgniewaną twarz kierowcy. No tak, samochód z Doorways po odbiór zamówionego wina. Dostawa może nie być jeszcze gotowa, skoro Bobo wyrzucił imigrantów. Był jednak zbyt podekscytowany, by zaprzętać sobie tym głowę.

- Ale jak to możliwe? - zapytał. - Od kiedy? Przecież Paola zawsze nalegała, żebym używał prezerwatywy.

W tym momencie przypomniał sobie, że czasami zdarzały im się rozmaite zabawy palcami.

Jednak Mimi, niczym prawdziwa wyrocznia, nie lubiła, kiedy na nią naciskano. Jej siła, jej autentyczność polegały właśnie na enigmatycznym, prawdziwie sybillińskim stylu wypowiedzi. Nie można przecież wymagać od ducha, żeby zajmował się zwykłym plotkowaniem. Madonna, bogini, pojawiała się i zniknęła - na tym właśnie polegała kwintesencja ludzkich doświadczeń na tym świecie. Było, zniknęło. Bóg dał, Bóg wziął. Jej słowa były fragmentami zaczerpniętymi z całej burzy przypadkowości, z których potem człowiek konstruował sobie całość. On,

Morris, pomyślał z satysfakcją, naprawdę czerpał teraz z długiej i szacownej tradycji kulturowej.

A Paola spodziewała się dziecka. Jeszcze trochę, a będzie naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

Forbes siedział przy dużym stole kuchennym i coś pisał. Na sobie miał co najmniej trzy swetry, a na nich jeszcze płaszcz, gdyż w pomieszczeniu panowało przejmujące zimno. Naprzeciw niego dygotał młody Ramiz, przeżuwający piętę czerstwego chleba. Wchodząc do kuchni, Morris poczuł się niczym ojciec, którego nieobecność wypadła akurat wtedy, kiedy dzieci potrzebowały go najbardziej. Wczoraj rano tym ludziom zerwały się cumy i musieli dryfować, a jego nie było przy nich, by udzielić im pomocy czy choćby wskazówki. Z chwilą kiedy przekraczał próg, sformułował trzy jasne i precyzyjne wytyczne dla samego siebie: po pierwsze, musi pomóc imigrantom, którzy tak bardzo na niego liczą; po drugie, musi jasno powiedzieć żonie, że chce zamieszkać w Casa Trevisan i mieć rodzinę; po trzecie wreszcie, skoro już popełnił morderstwo, musi je w pełni wykorzystać, aby ugruntować swoją pozycję i zacząć wieść uporządkowane, oparte na solidnych podstawach życie, odnieść sukces zarówno towarzyski, jak i handlowy. Musi stać się osobą publiczną. Świetnie.

Jeśli on, Morris Duckworth, kiedykolwiek straci z oczu te trzy cele, będzie niczym więcej jak wrakiem miotanym sztormami, odpadkiem wirującym w strumieniu zaśmigłowym, unoszonym od jednego policyjnego przesłuchania do drugiego, straceńcem błędzącym po labiryncie podłych występków. Co gorsza, wówczas okaże się, że zabił Mimi nadaremnie.

Pochylił się nad ramieniem Forbesa i zaczął czytać.

„Dla zmotywowanych, obdarzonych wrażliwością uczniów, pragnących poznać kulturę renesansu *in situ*...<sup>\*75</sup> usytuowana zaledwie pięć mil od bogatej w

---

<sup>75</sup> \* Na miejscu.



zabytki Werony Szkoła Sztuki Włoskiej profesora Forbesa, mieści się we wspaniałej Villi Catullus. Mottem rządzącym naszym codziennym życiem i naszą wizją ludzkiej kreatywności jest *gratia placendi*. Uczniowie, uczęszczający na czterygodniowy kurs, będą.

- Gdzie pozostali? - zapytał Morris.

Po Forbesie widać było zmęczenie i rozkojarzenie. Zapisywaną przez niego kartę znaczyły liczne skreślenia i poprawki. Wyjaśnił, że Azedine i Farouk zniknęli jeszcze wczoraj w nocy. Senegalczycy uciekli po tym, jak zjawiała się policja i przeszukała dom. Pozostali są na górze, pakują się i debatują, co dalej.

Morris zapytał, gdzie Forbes zamierza umieścić swoje ogłoszenie.

- Och, w różnych periodykach - odparł tamten wymijająco - w sekcji poświęconej prywatnej edukacji.

- Imię szkoły wielkimi literami - powiedział Morris pewnym siebie tonem, który ostatnio przychodził mu z taką łatwością. - Dodaj też, że szkoła zaczyna działać od czerwca. Do tego czasu zdążymy uporać się z remontem. A na razie byłbym wdzięczny, gdybyś zawołał wszystkich na dół, na śniadanie, i kazał rozpaść w gabinecie. Za dziesięć minut jestem z powrotem.

Wrócił do samochodu. Pojechał do Quinto, do *pasticceria*, i kupił dwadzieścia croissantów, paczkę kawy, mleko, cukier, masło i dżem. Już miał włożyć kluczyk do stacyjki, kiedy w kolejnym odruchu szczodrości (nigdy nie potrafił im się oprzeć) ponownie wysiadł z samochodu, wszedł do pobliskiej trafiki i zażądał dwustu najlepszych papierosów, jakie mieli w ofercie.

- Nie dla mnie, oczywiście - wyjaśnił sprzedawczyni, gdyż nienawidził myśli, że ktoś mógłby go uznać za palacza. To był taki obrzydliwy nałóg.

Zaspanej, młodej kobiecie było jednak najwyraźniej wszystko jedno, czy Morris ma jakieś nałogi. Wspięła się na krzesło i zaczęła ściągać z górnej półki kartony z papierosami, odsłaniając przy tym znaczną partię ud. Pod wełnianym, wytartym żakietem miała na sobie lichą nocną koszulę. Ludzie, pomyślał nagle Morris, przyglądając się całej scenie, są tak przyzwyczajeni do własnych ułom-

ności i bezwstydu, że równie dobrze mógłby poprosić o jedno ze sprzedawanych tu ohydnych pornograficznych pisemek (tak naprawdę nigdy by się na to nie odważył) albo zgoła powiedzieć, że jest seryjnym mordercą, a sprzedawczynie nawet nie mrugnęłyby okiem. Czegóż można było oczekiwać w dzisiejszych czasach? Jeśli człowiek chciał być poważany, musiał o to walczyć.

Dziesięć minut później, kiedy wszyscy jego opuszczeni imigranci siedzieli już wokół dymiącego kominka, popijając caffè latte, zajadając croissanty i paląc papierosy marki Phillip Morris, zakomunikował im, że przejął całkowitą kontrolę nad wytwórnią. Od tej chwili każda decyzja zależy wyłącznie od niego. Wszyscy zostają na powrót przyjęci na stanowiska, tym razem oficjalnie. Podpiszą umowy, zgodnie z wymogami związkowymi, firma będzie odprowadzać za nich podatki i składki od wynagrodzenia. Jeśli tylko przyłożą się do swoich obowiązków, będą mieli stałe zatrudnienie i mogą nie obawiać się o przyszłość.

Przysiadłszy na rogu ogromnego stołu, niczym nauczyciel pragnący zmniejszyć dystans między sobą a głodnymi wiedzy uczniami, Morris poczuł się poruszony ciszą, jaka zapadła po jego słowach. Przyglądał się wyrazowi niedowierzania na smagłych twarzach, nikłym uśmiechom, wykwitającym na jeszcze przed chwilą posepnych - czarnych czy brązowych policzkach. Widać było, że siedzący przed nim ludzie przywykli już do niepowodzeń i z trudem tylko dociera do nich, że wreszcie spotkał ich szczęśliwy traf i znaleźli w Morrisie prawdziwego dobroczyńcę.

- Stałe zatrudnienie - powtórzył. Tak, zabicie Boba okazało się słusznym postępkiem, niezbędnym wręcz. Gdyby go aresztowano, prawdziwymi zbrodnia-  
rzami byłiby policjanci, usiłujący włożyć pręt między szprychy gładko toczącego się koła międzyrasowej współpracy.

Po krótkim milczeniu odezwał się Kwame:

- A co będzie, jeśli wróci Signor Posenato? Pozostali zaczęli kiwać głowami i mrużyć coś do siebie.

Morris pomyślał, że ten chłopak jest naprawdę idealnym współnikiem, błyskotliwym i pełnym inwencji. Głośno powiedział, że tym problemem zajmą się później, jeżeli rzeczywiście się pojawi.

- W tej chwili policja bada hipotezę, że Posenato został uprowadzony albo zamordowany przez Azedina i Farouka.

To niesamowite, z jaką swobodą człowiek potrafił wygłosić podobne zdania.

Forbes, trzymający się raczej na uboczu i w zamyśleniu wpatrujący się w ogień, zareagował z niezwykłą gwałtownością.

- Ależ to absurd!

- No, nie wiem - powiedział Morris, lekko zbity z tropu.

- Farouk jest taki łagodny. On przecież nigdy by nie...

- Cóż - przerwał Morris stanowczo - nigdy bym też nie pomyślał, że to homoseksualista, pozwalający się wydymać na biurku szefa.

Forbes skrzywił się boleśnie.

- Teraz, kiedy już wiemy o ich perwersji - ciągnął twardo Morris - możemy też podejrzewać, że są zdolni do wszystkiego. Wcale bym się nie zdziwił, słysząc, iż to właśnie oni zabili Boba. Jest mi naprawdę przykro, że pozwoliliśmy im tutaj mieszkać i nie usunęliśmy ich, kiedy wyniknęła sprawa z szambem.

Forbes szeroko otworzył usta, nie wiadomo, czy ze zdumienia, czy aby zaprotestować. Nie odezwał się jednak. W jego oczach malowały się niedowierzenie i troska. Wreszcie wymamrotał coś po łacinie, na co nikt nie zwrócił uwagi. Morris z determinacją kontynuował swoją przemowę. Najważniejsze to mieć wytyczony plan i poczucie celu. Bez tego mógłby nie znaleźć w sobie dość siły wobec czekających go jeszcze okropności. Był niczym pacjenci z rakiem, którzy znalazłszy sobie nowy cel w życiu - wspinaczkę na Kilimandżaro albo prowadzenie przytułku dla upośledzonych sierot w Bukareszcie - czasami w cudowny sposób odzyskiwali zdrowie.

- Od tej chwili - podjął mocniejszym, wyraźniejszym głosem - wytwórnią Trevisan Wines zarządzam ja. Jak długo firma będzie przynosiła profit, gwarantuję wam wszystkim zatrudnienie. A teraz w kwestiach praktycznych. Do końca marca możecie mieszkać w Villa Caritas. Później rozpocznie się tu remont. Do tego czasu każdy z was powinien już znaleźć mieszkanie i należne sobie miejsce w tutejszej społeczności.

Na wzmiankę o remoncie pełna obaw twarz Forbesa rozjaśniła się nieco. Wszyscy słuchali jak zakłęci.

- Dziś wieczorem wszyscy wracacie do pracy. Mamy zamówienie do zrealizowania i gonią nas terminy. Ciężarówka z Doorways może czekać i całą noc, jeśli zajdzie taka konieczność. Ponadto... - tu zawahał się przez chwilę. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał znacznie ciszej. - Ponadto chciałbym podzielić się z wami radosną nowiną. Dziś rano moja żona Paola powiedziała mi, że spodziewa się naszego pierwszego dziecka.

Forbes zareagował natychmiast.

- Mój drogi, jakże się cieszę!

- Człowieku, to doskonała wiadomość - wykrzyknął Kwame.

Pozostali wymruczeli coś niewyraźnie, siedząc po turec-ku na kamiennej podłodze pokoju w pełnym dymu. Morris jednak nie należał do ludzi oczekujących gratulacji czy jakichś szczególnych oznak wdzięczności (choć sam na miejscu imigrantów z pewnością by z takimi wystąpił).

- Kwame, pójdziesz teraz ze mną - zakończył energicznie, obrócił się na pięcie i dziarsko wymaszerował z pokoju.

Musiał przecież wysłać faksy do Anglii, porozmawiać z robotnikami w wytwórni, rozejrzeć się w dokumentach, dokonać rozmaitych kalkulacji i dopiąć na ostatni guzik szczegóły jutrzejszego pogrzebu. Morris Duckworth nareszcie był naprawdę zajęтым człowiekiem.

Testament nie przyniósł żadnej niespodzianki. Cały majątek Signory Trevisan ma zostać podzielony równo między jej żyjące córki, ona zaś sama pragnie spocząć w rodzinnym grobowcu, u boku jej drogiego męża Vittoria i nieodżałowanej córki Massiminy.

Nikt nawet nie wyobrażał sobie, by mogło być inaczej.

Morris złożył dokument i powiódł dookoła zatroskanym spojrzeniem. Antonella z twarzą ukrytą w dłoniach siedziała na jednym ze stylowych krzeseł, stojących wokół stołu ze szklanym blatem, przy którym zaledwie dwa dni wcześniej jedli kolację. Stary, zasuszony ksiądz, zawsze taki chętny do odbierania paczek z używaną odzieżą, stał obok Antonelli, trzymając ją za rękę; raczej niezgrabnie jak na kogoś, kto specjalizował się w roli pocieszyciela, pomyślał Morris. W kącie pokoju, na de gładkiej, różowej ścianie, tkwił sztywno Kwame, niczym jedna z prymitywnych rzeźb, tak ostatnio modnych wśród intelektualistów, usiłujących za ich pomocą oswoić i jednocześnie wyegzorcy-zmować wrogi świat obcych, którzy cierpieli na ekranach telewizorów i jednocześnie zagrażali człowiekowi na ulicy.

Myślenie o takich drobiazgach pomagało Morrisowi, pozwalało nie czuć się wyłącznie sprawcą pospolitej zbrodni. Do tego właśnie powinien teraz dążyć: zawsze starać się być kimś lepszym, niż nakładał na niego obowiązek.

- Przypuszczam, że skoro pogrzeb ma się odbyć jutro z samego rana, otwarcie grobowca musi nastąpić już dzisiaj - odezwał się.

Antonella od razu zaczęła płakać. Obok niej na stole leżał stos świeżo wydrukowanych egzemplarzy *Famiglia Cristiana*. Prawdopodobnie do jej zadań nale-

żało rozprawianie ich po innych luksusowych mieszkaniach osiedla. Teraz po prostu złożyła na nich wstrząsaną szlochem głowę.

Ksiądz uczynił kilka kroków w kierunku Morrisa.

- Jest bardzo zdenerwowana - szepnął mu do ucha. - Niedawno była tu policja. Zadawali bardzo nieprzyjemne pytania.

- W jakim sensie nieprzyjemne? - Morris od razu poczuł się zaalarmowany.

- Na temat nocnych nieobecności jej męża.

- Ach tak. - Morris ze zrozumieniem pokiwał głową. Zrobiło mu się autentycznie żal szwagierki, choć patrząc z drugiej strony, wyrządził jej ogromną przysługę, uwalniając ją od tej kreatury Boba, który łajdaczył się po nocach, pewnie z którąś z robotnic z wytwórni. - Ktoś jednak musi wziąć na siebie praktyczną stronę przygotowań. Tak się pechowo składa, że nie bardzo się orientuję w tutejszych obyczajach, nie wiem, co załatwia rodzina, a co zarząd cmentarza.

Ksiądz podprowadził go do okna, za którym rozciągał się jeden z tych widoków, których zadaniem było przynosić ulgę bogaczom w ich trudnym, wypełnionym obowiązkami życiu: błękitna pokrywa nieczynnego o tej porze roku basenu, żywopłoty z lawendy i rozmarynu, wdzięczne rzeźbione figury, skryte częściowo w zieleni, nieco dalej obsadzany cyprysami podjazd, a za nim najpiękniejsze wieże i dzwonnice miasta: Święta Anastazja, Katedra i Wieża Lambretich.

Gdyby w czasach biblijnych istniały takie pejzaże, Chrystus z pewnością dałby się skusić jednym z nich, przemknęło Morrisowi przez myśl.

- Wszystkim zajmie się zarząd cmentarza - tłumaczył tymczasem Don Carlo. - Jeszcze dziś stare trumny zostaną wyjęte, tak by jutro można było złożyć nową na samo dno. Władze cmentarza już tego dopilnują.

- A dlaczego nowa trumna jest kładzona na spód? - zapytał Morris. To akurat wiedział, jednak miał nadzieję, że może przy tej okazji uda mu się uzyskać jakieś dodatkowe informacje.

- Kiedy trzeba usunąć najstarszego *defunto*\*<sup>76</sup>, aby przygotować miejsce dla innych, najstarsza trumna jest od razu na górze.

- Och, a te stare składa się w ossuarium?

- Właśnie. - Niestety, ksiądz nie dodał już nic więcej.

- A tak przy okazji - podjął Morris, słysząc, że Antonella głośno wyciera nos - usiłuję doprowadzić *in regola*\*<sup>77</sup> kwestię *extra-comunitari*\*<sup>78</sup>. Ksiądz rozumie, papiery i wszystkie pozostałe sprawy tych imigrantów z hostelu. Do tej pory nie miałem czasu się tym zająć, jednak teraz, kiedy mamy na karku policję, koniecznie muszę wszystko uporządkować, gdyż w przeciwnym wypadku ci biedacy znajdą się z powrotem na ulicy, głodując i kradnąc.

Urwał.

- Rozumiem - powiedział Don Carlo uprzejmie.

- Tak się właśnie zastanawiałem, czy ksiądz mógłby mi w tym pomóc - ciągnął Morris pospiesznie, jakby wyartykułowanie tej prośby przyszło mu z niejakim trudem. - Może mógłby ksiądz szepnąć słówko odpowiednim władzom, wytłumaczyć, że mówimy tu o prawdziwym akcie miłosierdzia.

Doprawdy on, Morris, stawał się prawdziwym Włochem! *Un atto di carità*. Jakżeż to odpowiednio brzmiało!

Spoglądający zza okularów Don Carlo zmusił zmarszczki wokół warg do ułożenia się w coś w rodzaju uśmiechu i odpowiedział, że oczywiście, szepnie słówko tam, gdzie trzeba.

W tej sytuacji Morrisowi pozostało jedynie złożyć odpowiedni datek na naprawę kościelnego dachu, tak jak tego od niego oczekiwano.

---

<sup>76</sup> \* Nieboszczyka.

<sup>77</sup> \* Do porządku.

<sup>78</sup> \* Obcokrajowców.

- *A proposito* - powiedział jeszcze ksiądz, wracając na swój posterunek obok Antonelli - kiedy zawoziliśmy do ho-stelu używaną odzież, poznałem pańskiego Signora Orbesa. *Un uomo meraviglioso!*\*<sup>79</sup>

- O tak - zgodził się Morris, od razu myśląc o księdzu ciepłej.

- Pełen kultury. Powiedział, że jeśli tylko będzie dysponował środkiem transportu, przyjedzie na mszę do San Tommaso.

- Och, sam go przywiozę, jeśli tylko w tym jest problem -zapewnił Morris szybko.

On i Don Carlo wymienili ciepłe, pełne szacunku uśmiechy. Z ojcem nigdy nie uśmiechali się do siebie w ten sposób. Najwidoczniej powinien był zacząć uczęszczać do kościoła już wieki temu.

- Ta *scuola di cultura* to doprawdy wyśmienity pomysł -ciągnął ksiądz. - Signor 'Orbes zapytał mnie, czy zechciałbym poprowadzić kilka wykładów.

- Znakomicie - zachwycił się Morris.

- *Palmam qui meruit Farel*\*<sup>80</sup> - oświadczył ksiądz skromnie.

- Właśnie - przytaknął Morris ostrożnie.

Don Carlo musiał już iść. Przedtem jednak łagodnie zapytał Antonellę, czy ma zabrać egzemplarze *Famiglia Cristiana* i dać do rozniesienia komuś innemu. Antonella wyjąkała przez łzy, że nie, że roznoszenie pisma oderwie ją choć trochę od smutnych myśli. Podziękowała też księdzu za znalezienie czasu na odwiedzi-ny i wspólną modlitwę.

Morris usiadł naprzeciwko młodej wdowy. Ich odbicia błyszczały na szklanej tafli niczym na powierzchni źródelka, do którego ludzie wrzucają monety na

---

<sup>79</sup> \* Wspaniały człowiek!

<sup>80</sup> \* Niechaj nosi palmę zwycięstwa ten, kto na nią zasłużył.



szczęście. Kiedy szwagierka podniosła na niego załzawione oczy, ujął jej pulchne dłonie, przypominając sobie, jak drobne i białe wydawały mu się w listopadzie, kiedy zręcznie układały kwiaty na grobie ojca.

- Toni, posłuchaj - po raz pierwszy zwrócił się do niej tym zdrobieniem - Toni, jedynym powodem, dla którego Bobo wychodził nocami z domu, była chęć skontrolowania pracy nocnej zmiany. Wielokrotnie mi powtarzał, że pokazywanie się w wytwórni także i w nocy uważa za swój obowiązek.

Antonella podniosła ku niemu opuchniętą twarz i lekko uśmiechnęła się przez łzy. Morris odpowiedział tym samym. Nie po raz pierwszy uderzyło go, iż w jej bezpretensjonalności oraz braku elegancji jest coś niezwykłego, że Antonella promieniuje szczerością i autentycznością. A więc nie tylko wyświadczył jej przysługę polegającą na uwolnieniu od niewiernego i niedorównującego jej partnera. Zsyłając na nią cierpienie, pomógł ujawnić się najlepszym cechom Antonelli. Już teraz była bardziej interesującą kobietą niż jeszcze czterdzieści osiem godzin temu.

- Posłuchaj, w jaki sposób załatwiłem wszystko. Dziś po południu wieńce zostaną dostarczone do Quinzano. Ktoś musi być w domu, żeby je odebrać. Rozesłałem zawiadomienia o pogrzebie, więc tym również nie potrzebujesz się kłopotać. Wyprowadzenie zwłok nastąpi jutro o dziewiątej. Policji zapowiem, żeby do tego czasu zostawili cię w spokoju. Jestem pewien, że powiedziałaś im wszystko, co konieczne.

Antonella skinęła głową. Jej palce tortuowały niewielki krzyżyk, który nosiła zawieszony na szyi. Ubrana była w czarną bluzkę, pod którą nieroztropnie założyła biały, mocno zabudowany biustonosz.

- A właśnie - dorzucił Morris mimochodem - dzwonił do mnie Stan. Usiłował skontaktować się z tobą wczoraj wieczorem. Mówił, że musi zawiesić wasze lekcje na jakiś czas, ponieważ zaproponowano mu poprowadzenie kursu w Vicenzy. Powiedziałem mu, że ureguluję zaległe kwoty.

Antonella popatrzyła na niego obojętnie.

- Jeśli później zechcesz kontynuować naukę, zawsze mogę udzielać ci lekcji.

Antonella skinęła tylko głową, jednak gdy Morris odwrócił się, dając Kwamemu znak do odejścia, udało jej się trochę opanować.

- *Grazie, grazie, Morris. Sei dawero simpatico.* Jesteś naprawdę miły - powiedziała. Wstała, obeszła stół dookoła, ucałował go w oba policzki i uściskała lekko, w geście pocieszenia szwagra szukając pociechy także i dla siebie.

- *Grazie* - powtórzyła. Jej ciemne oczy błyszczały. Antonella miała w sobie wiele cech, które go pociągały,

jednak najbardziej ujmowała Morrisa swoją ufnością. Pod tym względem szwagierka przypominała mu Mimi. Paola nie ufała nikomu ani trochę, a już najmniej własnemu mężowi.

- Nie martw się tak - powiedział na pożegnanie. - Jestem pewien, że wszystko się ułoży.

Przez moment niemal zapragnął móc oddać jej męża. Nie, to nie tak. Pragnął tego naprawdę. Było mu jej szczerze żal. Żeby nie przedłużać przejmującej sceny, ucisnął ją lekko, skinął na Kwamego i wyszedł.

Kiedy wrócili do samochodu, Morris kazał Kwamemu usiąść za kierownicą, żeby móc lepiej przyjrzeć się swojemu wspólnikowi z Trzeciego Świata. Czarna, dziwnie ziarnista, przypominająca niemal korę skóra Afrykanina była o wiele grubsza od jego własnej, delikatnej niczym skórka brzoskwini, z tendencją do przesuszania. Ostatnio Morrisowi coraz częściej zdarzało się sięgać po rozmaite specyfiki nawilżające z bogatego arsenału Paoli, nie tylko z próżności, ale także dla tego dreszczyku, jaki zawsze dawało mu grzebanie w tajemnych wnętrzach damskich kosmetyczek.

Ponownie pomyślał o pocerowanych majtkach Mimi, na które natrafił w koszyku z przyborami do szycia Signory Trevisan. Czy uda mu się namówić Paolę, aby założyła je czasami? Czy jego żona przystanie na to?

Przypomniał sobie jednak, że Paola jest w ciąży, więc od razu nappełniło go to spokojem i szacunkiem dla niej. Z Paolą wszystko może się jeszcze ułożyć. Bez sensu byłoby teraz marzyć o przepelnionej bólem Antonelli. Być może uczynienie z Paoli porządnej, zasługującej na uznanie kobiety to przeznaczony mu obowiązek, rodzaj próby, przez którą musiał przejść. W jego życiu wszystko jeszcze może obrócić się na dobre.

- Od tej pory będziesz mnie woził wszędzie.

- W porządku, szefie.

Podczas pokonywania ostrego zakrętu poniżej Avesa samochód zatańczył niebezpiecznie na środku jezdni. Kwame musiał skrócić gwałtownie, aby ominąć nadjeżdżającego z przeciwka motocykla. Okrągła twarz chłopaka pozostała całkowicie nieruchoma, zupełnie jakby nic się nie stało. Morris także nie drgnął nawet, choć czuł, że krew odpływa mu z twarzy. A kiedy Kwame ze spokojem przejechał na czerwonym świetle skrzyżowanie, gdzie wiejska droga łączyła się z główną *statale*, prowadzącą od Trento, Morris uznał, że dokonał słusznego wyboru. Pokora, z jaką Kwame zdawał się na los, z pewnością przyniesie mu szczęście.

- Zostaniesz także moim sekretarzem i nauczysz się prowadzić wytwórną pod moją nieobecność - powiedział z determinacją. - Przede wszystkim jednak będziesz odpowiadał za mieszkańców Villa Caritas, zgłaszał mi ich potrzeby i pilnował, by żaden z nich nie dopuścił się czynu powodującego skargi włoskich robotników albo w inny sposób zachował się niegodnie. Nie życzę sobie powtórki z afery Farouk-Azedine. Podobne postęпки uważam za odrażające.

Wypowiadając te słowa, Morris sięgnął po słuchawkę telefoniczną i posługując się swoją zadziwiającą pamięcią, wybrał numer, pod który po raz ostatni dzwonił niemal dwa lata temu, ze stacji Roma Termini tuż przed odebraniem okupu. Zaraz po tamtej rozmowie wpakował się na Stana.

- Marangoni, słucham.

Inspektor nadal zajmował ten sam gabinet, z telefonem o tym samym numerze. A więc przez ostatnie dwa lata nie awansował. Morrisa wcale to nie dziwiło.

- *Sono Morris. Morris Duckworth.*

Nastąpiła krótka chwila ciszy, sugerująca, że jego telefon nie był mile widziany.

- Czym mogę panu służyć? - Głos inspektora brzmiał grzecznie, ale chłodno.

Morris postanowił go przetrzymać. Milczał.

- *E allora*<sup>\*81!</sup> - zapytał inspektor, trochę niepewnie.

- Właśnie nie wiem, czy powinienem to panu mówić - zaczął Morris i w tej samej chwili zauważył, że na twarzy Kwamego rozlewa się szeroki uśmiech. Zaraz jednak musiał przymknąć oczy, gdy jego świeżo upieczony kierowca z bolesną powolnością skręcił w lewo, nie bacząc na ciągnący z przeciwnej strony sznur samochodów.

- Proszę posłuchać, czy policja znalazła już tamtych dwóch?

- Nie - odparł ostro Marangoni, wietrząc w tym pytaniu przyganę.

Ciekawe, pomyślał Morris, ale dwa lata temu inspektor zdawał się być bardziej przyjacielski. Może jakieś małżeńskie kłopoty? To częsta przypadłość wśród policjantów.

- Wyobrażam sobie, że to trudne zadanie, skoro nie dysponujecie ani fotografiami, ani dokumentami - powiedział pełnym zrozumienia tonem.

- Co ma mi pan do przekazania?

- Otóż Bobo, to jest Signor Posenato, miał jeszcze drugi sejf, oprócz tego głównego, umieszczonego w ścianie za biurkiem.

---

<sup>81</sup> \* No więc?

Morris zawiesił głos.

- Trzymał w nim pieniądze na nielegalne wypłaty - podjął po chwili, a ponieważ inspektor zaczął mówić dokładnie w tym samym momencie, musiał powtórzyć ostatnią kwestię, gdyż Marangoni nie dosłyszał go.

- Za skrzynką z bezpiecznikami tuż przy drzwiach. Inspektor czekał. Kwame bez żadnych szaleństw jechał

teraz wzdłuż rzeki, zbliżając się ku komendzie policji, dokładnie tej samej, w której urzędował Marangoni. W pewnej chwili przyhamował ostro i wskazał kciukiem białe audi Boba, wciśnięte między cinquecento a niemieckiego volkswage-na busa, w którym kilku niemieckich hippisów najwyraźniej obozowało na dziko. Morris skinął głową i dał znak swojemu kierowcy, aby skręcił w stronę cmentarza.

- Nie zaglądałem tam przedtem. Jednak dzisiaj rano przyszło mi do głowy, że przecież powinienem sprawdzić.

-Ico?

- Sejf jest pusty. Prawie dwa miliony lirów po prostu wyparowały.

Mówiąc ściślej, opuściły sejf w jego aktówce. Kwamego trzeba było przecież czymś obłaskawić.

Po dłuższej chwili milczenia inspektor zdobył się tylko na słabe westchnienie.

-Aha.

- To wszystko - zakończył Morris, starając się zignorować narastające wrażenie, że jego rozmówca jest mu wrogi. Zupełnie nieoczekiwanie nawiedził go jeden z tych okropnych momentów czysto fizycznego strachu, kiedy niemal każdą komórką ciała czuł, że popełnia błąd za błędem i wkrótce zostanie złapany. Jednak nie tyle lęk przed konsekwencjami ewentualnego schwytania uczyni! z jego mięśni galarete, co świadomość, że wraz z aresztowaniem zostanie uznany przez wszystkich za osobę fałszywą. A przecież on, Morris, w żaden sposób nie był fał-

szywy. Kiedy analizował swoje uczucia, nie dostrzegał w nich ani odrobiny fałszu.

- Proszę mnie informować o rozwoju wydarzeń - zdołał jeszcze wykrztusić i odłożył słuchawkę w polowie *arrwerder-ci* Marangoniego.

Kwame zaparkował przed cmentarzem. Umysł Morrisa ciągle jeszcze błądził wśród rzeczy do zrobienia i do zapamiętania. Wstrząsała nim mroczna wizja, w której strach i pewność siebie mieszały się ze sobą, kolidując albo w przedziwny sposób nakładając się jedno na drugie. Jak przez mgłę usłyszał się głęboki głos Kwamego.

- Szefie?

To jedno słowo dodało mu otuchy.

- Szefie, jesteśmy na miejscu.

Morris rozejrzał się dookoła. Spękany asfalt, kiosk z kwiatami, w którym złociło się od chryzantem, sprzedawca gazet, oferujący lokalną prasę tym wszystkim Włochom, nie potrafiącym przeżyć dnia albo dwóch bez odwiedzenia swoich zmarłych. Ponownie zaatakowała go panika. Do tej pory nie przeczytał żadnej gazety, nie miał pojęcia, w jaki sposób zostały opisane jego poczynania. A jeśli któryś z artykułów zawierał coś, co usprawiedliwiałoby wrogość Marangoniego?

- Jesteśmy na miejscu. Co dalej? Morris wziął głęboki oddech.

- Kwame, powiedz mi, co myślisz o tym wszystkim. Chciałbym poznać twoją opinię.

Kwame tylko wzruszył ramionami.

- Wielki kłopot, ale szef mądry - skwitował.

Mniej lub bardziej odpowiadało to jego własnej analizie, jednak niezupełnie o to mu chodziło.

- Nie, nie, chciałbym usłyszeć, co mi radzisz. Bo widzisz, jeśli tamtych dwóch, to znaczy Azedine i Farouk, zostanie... zostanie aresztowanych...

Kwame milczał. Na jego twarzy malował się ten rodzaj skupienia, jaki czasami charakteryzuje głuchoniemych. Znać było, że choć brak mu formalnej edukacji, życie nauczyło go wystarczająco, by teraz wiedział, iż w pewnych sytuacjach lepiej jest nic nie mówić. Nawet nie zapytał na przykład, dlaczego Morris zabił Boba. Morris poczuł, że niemal mu zazdrości.

- Choć nie sędzę, aby mogli ich skazać, nawet tutaj, we Włoszech... bez ciała... jeśli nie znajdą przy nich pieniędzy. Tak, to w gruncie rzeczy doskonały mylny trop, który stworzy pewien dystans między, między...

Kwame rytmicznie uderzał dłońmi, raz o własne uda, raz o kierownicę. Mimo swojego skromnego pochodzenia wydawał się doskonale czuć we wnętrzu mercedesa coupe.

- Poza tym to homoseksualiści, zbrodniecy, pewnie pozarażeni AIDS, stanowiący prawdziwe zagrożenie dla społeczeństwa.

Rytm ustabilizował się: spodnie - obciągnięta skórą kierownica - spodnie. Uderzenia rozbrzmiewały niczym złowrogie tam-tamy w dżungli na filmie przygodowym, obwieszczające widzom, czego się mają spodziewać.

Morris, wciąż niepewny, popróbowwał raz jeszcze. Niech ten chłopak wydusi z siebie wreszcie jakieś słowa pociechy, tak bardzo potrzebne mu w tej chwili. Czasami doprawdy odnosił wrażenie, że jest nikim więcej jak biednym, małym dzieckiem, które zbyt wcześnie odumarła matka.

- Posłuchaj, Kwame, za tydzień albo dwa przeprowadzam się do domu w Quinzano. Jest większy, a ponieważ Paola, moja żona, spodziewa się dziecka, będziemy potrzebować więcej przestrzeni. Chciałbym, abyś zajął nasze dotychczasowe mieszkanie w Montorio. Muszę cię jakoś wynagrodzić za twoją pomoc.

Kwame zakołysał się wolno w przód i w tył. Morris nie potrafił powiedzieć, czy w ten sposób wyrażał swoją wdzięczność, czy tylko poddawał się rytmowi, który płynął z jego dłoni.

- To było bardzo mądre posunięcie, zapytać, co się stanie, jeśli Bobo wróci.

Przez twarz wpatrującego się w zakapturzone kamienne postacie na szczycie cmentarnej bramy Kwamego przewinął się blady uśmiech. Bębnienie urwało się raptownie.

- Wiesz, szefie, co ja myślę?
- Co?
- Że istnieją łatwiejsze sposoby pozbycia się umarłaka.
- Na przykład?
- Góry, rzeka. Po prostu.

Morris zastanowił się przez chwilę. Sprzeciw jak zwykle wywołał u niego nawrót pewności siebie.

- Nie, mój sposób jest dobry - powiedział, po czym dodał coś, co stanowiło zagadkę nawet dla niego samego (przez co dostarczało podwójnej przyjemności). - Jest najbardziej stosowny i odpowiedni.

Na korzyść Kwamego trzeba zapisać, że nie zadawał dalszych pytań.

- W takim razie chodźmy sprawdzić, szefie - powiedział tylko.

Morris przypatrywał się, jak Afrykanin zmierza prosto ku cmentarnej bramie, myśląc przy tym, że sprowadzenie się czarnego na Via dei Gelsomini z pewnością spowoduje obniżenie cen mieszkań na osiedlu. Tym sposobem on, Morris, wreszcie odplaci się deweloperowi, który już dostatecznie długo bezkarnie wodził go za nos. Wsiadł z samochodu i podążył za Kwamem. Po drodze zatrzymał się jeszcze i kupił wszystkie trzy lokalne gazety.

W dziesięć minut później, kiedy Kwame wskazywał ossuarium i miejsce, w którym składano trumny, Morris oparty o jedną z kolumn odczytywał zupełnie jego zdaniem niestosowny i z całą pewnością rasistowski nagłówek w jednej z gazet.

ZMASAKROWANY PRZEZ HOMOSEKSUALNYCH IMIGRANTÓW?  
TAJEMNICZE ZAGINIĘCIE LOKALNEGO BIZNESMENA.



Artykuł, co odnotował z pewnym zainteresowaniem, nie wspominał o bileciku miłosnym, który policja z pewnością odnalazła wśród papierów Boba. Potwierdzało to jego tezę, że nigdy nie należy wierzyć, że media albo policja podadzą do publicznej wiadomości wszystkie fakty. Nie wolno mu zapominać, że istniały kwestie, o których - zgodnie z wiedzą policji - on, Morris, nie powinien mieć pojęcia. Istniały też takie, o których faktycznie nie wiedział i nie miał pojęcia, czy policja o nich wie. Na przykład, kto był autorem anonimowego telefonu.

---

## 20

---

Po ukąszeniach zimnego, nocnego powietrza, zapachu śmierci i jej oślizłym dotyku, upiornych, czerwonych ognikach płonących na grobach lampek, łoskocie towarzyszącym spuszczanym z muru zwłokom, po mocowaniu się ze śrubami, mocno tkwiącymi w starym drewnie, widoku kości, czaszki i żalospnego kłębka wytwornych niegdyś ubrań, po wymienianych szeptem uwagach podczas zabijania po omacku wieka, wreszcie po wyczerpującej jeździe na wzgórze, gdzie w gęstwinie lasów wszelkie ślady ginęły, przysypane śniegiem, Morris poczuł, że popełniona przez niego zbrodnia została odkupiona aż nadto. Podczas zamykania trumny wymamrotał krótką modlitwę *Requiescat in pace*<sup>\*82</sup> i ucałował deski skrywające drogie, martwe ciało Mimi. Na koniec okazało się jeszcze, że zapomniał upchać szczątki starego Non-fortuna-sed-labor wraz ze zwłokami Boba w trumnie, więc wpakował je do pojemnej, plastikowej torby, by z pralni chemicznej, którą następnie wrzucił do pobliskiego śmietnika. Teraz jeszcze trzeba umyć ręce i znikną wszystkie dowody, jakie mogliby mieć przeciwko niemu, a wraz z nimi i grzech, jeśli w ogóle go popełnił.

---

<sup>82</sup> \* Niech spoczywa w pokoju.

Ale to już nie jemu sądzić.

Kiedy po ukryciu audi Kwame wrócił do mercedesa, Morris objął go ramionami i mocno przycisnął do piersi. Czarna skóra tak intensywnie, tak wspaniale pachniała życiem, a silny uścisk ramion Kwamego na barkach przynosił pokrzepienie. Obejmowali się długo, a kiedy rozpletli ramiona, wybuchnęli głośnym śmiechem. Dosłownie zanosili się od śmiechu, siedząc w ciemnym wnętrzu samochodu, gdzieś wysoko na przedalpejskich zboczach, gdzie mimo bezksiężycowej nocy na kamiennych ścianach błyszcząły śniegi.

W drodze powrotnej Morris zatrzymał się przed winiarnią, żeby Kwame mógł wrócić do pracy. Ustalili, że jako powód swojej nieobecności chłopak poda konieczność policzenia skrzynek na dworze. Odjeżdżając spod wytwórni w czystą, zimną noc, Morris czuł ogromną ulgę i desperackie pragnienie bycia szczodrym dla innych. Czy teraz wreszcie sprawy zaczną układać się pomyślnie? Dla wszystkich zainteresowanych? Przecież ci chłopcy nie mogli sobie wymarzyć lepszego niż on zwierzchnika. Zbliżając się do domu o trzeciej nad ranem i kręcąc kierownicą to na prawo, to na lewo na zupełnie prostej drodze, zaczął głośno śpiewać *Ciało Johna Browna*. Specjalnie wybrał ten właśnie hymn. Doprawdy wraz z pochowaniem zwłok człowiekowi spadał z serca ogromny ciężar.

W pięć minut później, ciągle z pieśnią na ustach, zatrzymał się przed domem w Quinzano, otworzył drzwi samochodu i wpadł prosto w ramiona czekających na niego *carabinieri*. Pojawiły się kajdanki, a głos z silnym południowym akcentem objaśnił - doprawdy zupełnie niepotrzebnie - że Signor Duckworth został aresztowany.

Kiedy w zimową noc metal kajdanek boleśnie objął jego przeguby, w pierwszym odruchu Morris zapragnął wyznać wszystko. Odnosił wrażenie, że jego nerwy przemieniają się w jakąś ohydną, śmierdzącą ciecz i że najlepiej będzie, jeśli wydali ją z siebie, oczyści się wyznaniem, aby poczuć, że wreszcie ma wszystko poza sobą. Przez chwilę naprawdę pragnął mówić, usprawiedliwić się, wskazać, jak mądrze i roztropnie się zachował, wyjaśnić, że wszystkie jego zbrodnie były czymś zupełnie niezaplanowanym, przypadkiem, za który i tak już

odcierpiał swoje. Chciał jeszcze dodać, że sama Massimina wszystko mu wybaczyła, że często z nim rozmawiała, wreszcie, że to ona nakazała mu uśmiercić Boba!

Ale dwaj młodzi *carabinieri* po prostu wepchnęli swojego więźnia na tylne siedzenie alfetty i ruszyli na posterunek w Quinto, bez żadnych uprzejmych żądań przyznania się do winy nawet, nie mówiąc już o fizycznej przemocy, dzięki której bez trudu uzyskaliby wszystkie żądane informacje od lękającego się bólu Morrisa. Jeden z *carabinieri* zapalił papierosa. Morris poprosił go o zgaszenie, gdyż w tym stanie, w jakim się znajduje, dym papierosowy może wywołać u niego odruch wymiotny. Młody *carabiniere* usłuchał od razu. Ta znamionująca szacunek skwapliwość spowodowała, że Morris poczuł się odrobinę podniesiony na duchu. Może jeszcze nie wszystko stracone? A jeśli nawet, co mu szkodzi udawać, że jest inaczej.

- Jak długo czekaliście na mnie? - zapytał z troską. - Musieliście straszliwie wymarznąć.

Przynajmniej dowie się, czy wiedzą, jak długo był nieobecny. *Carabinieri* powszechnie uchodzili za tępaków. Nie udało się. Otrzymał wymamrotaną odpowiedź, że na wyjaśnienia przyjdzie czas później.

- Czy mogę zatelefonować do żony? - zadał kolejne pytanie. - I do adwokata? - (Tak naprawdę nie znał żadnego adwokata, gdyż wszelkie kontakty z przedstawicielami świata prawniczego uważał za zły omen). - Nie chciałbym, aby moja żona nabrała mylnych wyobrażeń - dodał, sięgając po broń z arsenału męskiej solidarności, którą zawsze gardził.

Siedzący za kierownicą *carabiniere* stłumił chichot. Drugi powiedział:

- Wszystko w swoim czasie.

Minęło kolejne pięć minut. Morris stopniowo zaczynał się czuć jak ktoś, kto właśnie spadł z ogromnej wysokości i przez chwilę wydawało mu się, że nie żyje, a teraz zaczyna sprawdzać, czy jeszcze potrafi się poruszać, ostrożnie zginając palce rąk i nóg. Jak rozległe są obrażenia?

- Nie dalej jak dzisiaj dowiedziałem się, że jest w ciąży -podjął. - Nie chciałbym, aby sobie pomyślała, że poszedłem z tego powodu w tango.

Kolejny chichot. Bardziej opanowany *carabiniere* powiedział:

- *Complimenti*\*<sup>83</sup>.

Morris poczuł nagle, że ogarnia go wesołość. To wszystko było tak niesamowite. Z niezwykłym jak na niego ożywieniem zagadnął gawędziarskim tonem:

- Słuchajcie, chłopaki, naprawdę macie zamiar oskarżać mnie o coś?

Chichotanie umilkło. Nastąpiła krótka chwila ciszy. Wreszcie kolega kierowcy powiedział:

- *Omicidio. Premeditato e pluriaggravato.*

Minęli żelazną, przesuwaną bramę, strzegącą posterunku. Balon ulotnej pewności siebie oklapł dosłownie w ułamku sekundy, a Morris skulił się na tylnym siedzeniu, podciągnął nogi pod brodę i w akcie desperacji ścisnął je rękami. Zębami mocno wpił się w kolano. Zabójstwo! Z premedytacją! Kiedy drzwi samochodu otworzyły się, *carabinieri* potrzebowali dwóch albo trzech minut, zanim udało im się go nakłonić, żeby wysiadł.

Cela miała pobielone, betonowe ściany i zakratowane okno. Znajdowały się w niej dwie prycze, jedna z nich zajęta przez korpulentnego mężczyznę o przerzedzonych włosach, który nie tyle chrapał, co wzdychał ciężko, z każdym haustem gorącego, suchego od kaloryferów powietrza. Nad żelaznymi, zaopatrzonymi w judasza drzwiami wisiał nieodłączny krucyfiks, który - co Morris zauważył po zgaszeniu światła - musiał być wykonany z jakiegoś luminescencyjnego tworzywa, gdyż w ciemnościach zdawał się lekko świecić. Nie mogąc zasnąć, ogarnięty współczuciem dla samego siebie skupił na nim wzrok, na żałośnie skrzywionej po-

---

<sup>83</sup> \* Gratulacje.

staci skazanego na śmierć Pana wszechświata, do którego modliły się dwie najważniejsze dla niego osoby: Matka i Massimina. Ta myśl jednak od razu przywołała inną, znacznie mniej przyjemną. Czy *carabinieri* wiedzą także o Massimini? Co właściwie udało im się odkryć? Przez dłuższą chwilę odtwarzał w pamięci szczegóły dwóch ostatnich, jakże burzliwych dni. Jakie mogą mieć przeciwko niemu konkretne dowody? Jakich motywów się doszukali? Czy odkryli już zwłoki, spoczywające w trumnie starego Trevisana i okryte brezentową płachtą? A może śledzili jego i Kwamego podczas ich wyprawy na wzgórze, kiedy jechali ukryć samochód?

Jakie alibi może przedstawić, nie skonsultowawszy się uprzednio z Paola? Okazał się głupi, niewyobrażalnie głupi, uznając, że wystarczy, jeśli niepostrzeżenie wymknie się z domu, podczas gdy ona śpi, a potem równie niepostrzeżenie wróci.

Teraz nienawidził siebie za tamtą głupotę. Naprawdę zasłużył sobie na więzienie.

Jego współtowarzysz w celi westchnął ciężko przez sen i zajęczał.

A jeśli Massimina kazała mu zabić Boba właśnie dlatego, aby został uwięziony i ukarany za jej śmierć? Czy to możliwe, aby jej duch zastawił na niego pułapkę?

Z korytarza dały się słyszeć kroki, ciężki i powolne.

- Mimi - wyrzucił z siebie głośno Morris. - Jesteś wszystkim, na czym kiedykolwiek mi zależało. Mimi?

Odpowiedzi oczywiście nie było, ale za to, jakby na pociechę, niewielki krucyfiks nad drzwiami zaśnił mocniejszym blaskiem. Morris ponownie skupił na nim wzrok, studiując przechyloną na bok głowę, bolesne wygięcie ciała i ciemnową koronę. Postać ukrzyżowanego zdawała się przemawiać do niego, zachęcać do zapomnienia o troskach i kłopotach.

„Czyż nie jesteście słabi, straszliwie słabi, czyż nie ciężkie jest wasze brzemie...”.

Matka zwykła śpiewać ten hymn podczas zmywania na czyń. Morris zapatrzył się w niewielki krucyfiks i po raz pierwszy w swoim życiu - w celi aresztu o czwartej nad ranem - ujrzał nagle z przeraźliwą jasnością, że rozwiązaniem jego problemów może być przecież opcja religijna: całkowi te poświęcenie własnego, żalostnego „ja” wyższej prawdzie i Bogu, poczucie, że każdy ma swoje skromne miejsce w boskim dziele, odkupienie nie przez pracę, gdyż ta droga była teraz dla niego zamknięta, lecz przez wiarę.

Postanowił złożyć obietnicę.

- Mimi - zaczął się modlić - Mimi, jeśli wyciągniesz mnie stąd, oddam moje serce Bogu. Obiecuję. Narodzę się na nowo w Chrystusie - dodał, niezupełnie wiedząc, skąd wzięły się w nim te słowa.

Ze świadomością, że doszedł w życiu do prawdziwie zwrotnego punktu, Morris Duckworth wreszcie zapadł w sen podczas swojej pierwszej nocy spędzonej w areszcie.

Przyszli po niego o szóstej nad ranem. Musiał ubierać się w asyście, szamotać z nogawkami spodni, walczyć z krzywo zapiętymi guzikami koszuli; wszystko w ostrym świetle jarzeniówek. Celowo go tak poniżali. Mając wciąż przed oczami widok fosforyzującego Mesjasza, Morris nie zdziwiłby się wcale, gdyby wtłoczyli mu na głowę koronę cierniową. Dopiero kiedy usiadł na pryczy, żeby założyć buty, zauważył, że jego współtowarzysza z celi już nie ma. Poczłł nawet odrobinnę satysfakcji, że udało mu się zasnąć na tyle mocno, by przespać zamieszanie podobne do tego, jakiego obecnie sam był przyczyną. Ciagle jeszcze oszołomiony, z *carabinieri* sterczącymi mu nad głową w dusznej, niewywietrzonej celi, już

zbierał się do uwagi w stylu „czyste sumienie pozwala człowiekowi spać spokojnie”, w końcu jednak doszedł do wniosku, że zabrzmiałaby ona żałośnie. Nie wolno mu sprawiać wrażenia kogoś, kto chwyta się przysłowiowej brzytwy. Nie wolno mu dać się poniżyć albo zastraszyć. Jego zachowanie będzie stanowiło idealną kombinację godności i oburzenia.

Tak więc w pokoju przesłuchań, ozdobionym zupełnie idiotycznym plakatem „Niech łańcuch połączonych rąk opasze cały glob, by zapanowało na nim lepsze jutro”, zajmując miejsce naprzeciw wysokiego, szczupłego mężczyzny w okularach, odezwał się natychmiast:

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z absurdalności obecnej sytuacji. Dlaczego wczoraj wieczorem nie dano mi możliwości złożenia wyjaśnień, bym mógł potem udać się do domu?

Atak jest najlepszą formą obrony, więc będzie atakował. Jednocześnie usłyszał własny, wewnętrzny głos, nawołujący szeptem:

- Mimi!

On, Morris, miał obecnie nowy cel, widział sens dalszej walki. Stał się chrześcijaninem i czekała go misja do wypełnienia.

*Colonnello* mógł mieć nie więcej niż czterdzieści lat i cechowała go ta niezdrowa, nieprzyjemna bladość, charakterystyczna dla nadgorliwców. Wykręcając wolno szczupłe palce, popatrzył na Morrisa spoza błyszczących szkieł okularów nie dłużej niż przez sekundę. Oczy miał ogromne i niemal całkowicie pozbawione koloru, co sprawiało dość przykre wrażenie.

- Signor Duckworth - odezwał się zaskakująco urywanym głosem - zanim przejdziemy do wyjaśnień, proszę podać imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia oraz obecny adres zamieszkania.

Siedzieli po obu stronach prostego biurka, na którym na stosie złożonych lokalnych gazet stał pękaty, staromodny magnetofon, przygotowany do nagrywania. Całkowicie bezosobowy pokój oświetlony był jarzeniówkami. Na białych

ścianach wisiały plakaty przedstawiające umundurowanych *carabinieri*, trzymających w objęciach dzieci albo udzielających pomocy staruszkom.

- Uważam, że przysługuje mi prawo do obecności adwokata i będę się tego domagał - powiedział Morris.

- Istotnie, Signor Duckworth - odparł *carabiniere* bez jednego uśmiechu, nie podnosząc głowy znad notatek - na mocy paragrafu 223, punkt 2 *codice penale* ma pan prawo do obecności adwokata podczas przesłuchań. Jednakże jeśli życzy pan sobie skontaktować się z nim i ustalić termin, który będzie odpowiadał zarówno jemu, jak i mnie, musi się pan liczyć z tym, że będzie pan zatrzymany dopóty, dopóki spotkanie nie dojdzie do skutku.

Morris z powagą zmarszczył czoło, jakby rozważając tę możliwość. W rzeczywistości myślał o tym, o ile swobodniej czuł się zawsze, rozmawiając z inspektorem Marangonim. Tamte przesłuchania odbywały się w atmosferze żartów oraz przyjacielskich zmagania, zupełnie jakby on i inspektor policji grali wspólnie w sztuce, w której przewidywany był happy end. Teraz wyraźnie brał udział w zupełnie innego rodzaju przedstawieniu.

- Proszę pytać - zawyrokował w końcu. - Nie mam nic do ukrycia.

- Na początek proszę podać swoje dane - powiedział blady *colonnello*, ledwo podnosząc na niego wzrok.

- Nazywam się Morris Albert Duckworth - zaczął Morris pełnym urazy tonem.  
- Urodzony 19 grudnia 1960 roku, Acton, Londyn, Wielka Brytania, zamieszkały przy Via dei Gelsomini 6, Montorio, Werona, choć w najbliższym czasie planuję przeprowadzkę do rodzinnej posiadłości mojej żony w Quinzano, Werona. Nie popełniłem żadnego przestępstwa i jestem gotów odpowiedzieć na każde rozsądne pytanie, jakie zostanie mi zadane.

- *Grazie*. - *Colonnello* milczał przez chwilę. Morris z prawdziwą przyjemnością odkrył dwa raczej szpetne znamiona poniżej białego niczym pieczarka ucha tamtego. Złośliwe? Wszystko jedno, każdy myślący człowiek usunąłby podobną skazę już dawno temu. On sam ostatnio poddał się zabiegowi wypalania brodaw-



ki na ręce, choć kosztowało go to sporo bólu i pieniędzy. Usłyszał głos *carabiniere*:

- Właściwie, Signor Duckworth, nie mam do pana żadnych pytań. Żądam od pana tylko potwierdzenia lub zaprzeczenia faktom, które panu przedstawię. Generalnie chodzi o to, gdzie, kiedy i w jaki sposób zamordował pan Signora Pose-nata.

Morris poczuł, że kamienieje. Inspektor Marangoni nigdy nie rozmawiał z nim w ten sposób, nawet jeśli poruszali dość śliskie kwestie. Natomiast od tego młodego człowieka o twarzy białej niczym płótno biła antypatyczna pewność siebie, a w jego teutońskim akcencie było coś, co wzbudzało strach. Wymawiane przez niego „w” w nazwisku Duckworth przypominało niemieckie „v”, a „th” brzmiało niemal jak „s”.

Jednak Morris postanowił nie przyznawać się do niczego, przynajmniej do momentu, dopóki nie dowie się, ile tamten naprawdę wie. Dziecinne zagranie. Pewnie oskarżają każdego przesłuchiwanego, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Zawsze istnieje sposób, żeby się wywinąć, trzeba tylko próbować. Ze spokojem, o jaki nigdy by się nie podejrzewał w podobnych okolicznościach, zapytał:

- Pan nie pochodzi z tych stron, prawda? *Carabiniere* zmarszczył czoło, wpa-trzony w jakiś przedmiot leżący na biurku.

- Jestem z południowego Tyrolu - rzucił pod nosem, skupiony na kartkowaniu notatnika.

- Och, oczywiście, Górna Adyga. A jak brzmi pańskie nazwisko?

Wreszcie zmusił tamtego do podniesienia na niego wzroku, pomyślał triumfalnie. Teraz będzie mógł włączyć do gry swoje oczy, wielkie, błękitne, absolutnie szczerze i niewinne oczy.

- Signor Duckworth, naprawdę nie sędzę, aby to było niezbędne...

- Ależ oczywiście, jak pan uważa. Przedstawienie się osobie, z którą się rozmawia, traktowałem jako akt zwykłej uprzejmości. Skoro jednak w grę wchodzi tajemnica służbowa...

- Fendtsteig - rzucił *carabiniere* obojętnie.

- Och tak. - Uśmiech Morrisa był szczery i pełen sympatii. - Południowy Tyrol, Fendtsteig. Brzmi niemal równie fatalnie jak Duckworth. Nie sądzi pan, że człowiek z nazwiskiem takim jak pańskie czy moje nigdy nie będzie czuł się we Włoszech naprawdę swobodnie? Ze między nami a prawdziwymi Włochami zawsze będzie istniała przepaść?

W pozbawionych koloru oczach *carabiniere* nie pojawił się cieplejszy błysk, przeciwnie, teraz spoglądały wyraźnie wrogo. Mocno zaciśnięte wargi były niemal całkiem białe. Rzadki zarost na policzkach dowodził, że *colonnello* nie zdążył się rano ogolić; być może był na nogach przez całą noc. Morris podjął pośpiesznie:

- Czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym, że nazwisko do pewnego stopnia może wpływać na charakter człowieka, który je nosi? Pamiętam, że kiedy byłem młodszy...

- Signor Duckvorse - przeciął Fendtsteig ostro, a jego włoski z minuty na minutę coraz bardziej nabierał niemieckich tonów. - Signor Duckvorse, nie mam najmniejszego zamiaru wdawać się w towarzyskie pogaduszki z kimś, kogo uważam za mordercę. Przedstawię panu fakty, tak jak je widzę, a pan je potwierdzi albo im zaprzeczy, czy też wreszcie odmówi pan zeznań, jeśli taka jest pańska wola. Ma pan też prawo do podania wszelkich dodatkowych informacji, jakie pańskim zdaniem powinny zostać wzięte pod uwagę w tej sprawie. I na tym nasza rozmowa się zakończy. *Capito?*

- Oczywiście, *Colonnello* - Morris odegrał całą pantomimę posłuszeństwa, jednak gdy tamten otwierał usta, żeby przystąpić do odczytywania notatek, dorzucił jeszcze:

- Muszę tylko skonstatować, że istnieją wciąż ludzie przywiązujący wagę do dobrych manier.

Ale błąd pułkownik, nieczuły zarówno na pochlebstwa, jak i na próby zawstydzenia, zaczął już odczytywać swoje notatki, całkowicie pozbawionym wyrazu, brzmiącym niczym nagrany na taśmę głos.

- Dwudziestego ósmego lutego, w czwartek, opuścił pan dom o siódmej trzydzięci rano, aby udać się do pracy, tak jak pan czynił codziennie.

Morris odsunął nieco krzesło, założył nogę na nogę, oparł łokieć prawej ręki o kolano i przygryzł zębami kłykiec wskazującego palca. W skupieniu ściągnął brwi, a palce lewej dłoni zacisnął na prawej stopie. W tej pozycji zwykł kiedyś wysłuchiwać wykładów na uczelni.

- Kiedy jechał pan do pracy, zadzwoniła pańska żona, Paola Trevisan-Duckworth, i poinformowała pana o śmierci swojej matki. Kazała panu natychmiast udać się do domu teściowej. Zjawił się pan tam o siódmej pięćdziesiąt, porozmawiał przez chwilę z pielęgniarką, po czym zszedł pan na dół, twierdząc, że musi pan zatelefonować. Pańska szwagierka, Antonella Trevisan-Posenato, przyłapała pana na przetrząsaniu rzeczy zmarłej. Ze szwagierką rozmawiał pan około dziesięciu minut, wypytyując ją o spadek.

W tym momencie Morris postanowił zaprotestować. Określenia „przyłapała” czy „przetrząsanie” miały taki pejoratywny wydźwięk. Zupełnie jakby w jego postępowaniu było coś niewłaściwego. To nie fair. Niczym w *Obcym* Viscontiego, gdzie tamtemu biedakowi zarzucono, że zapalił papierosa przy zwłokach matki, co jakoby miało dowodzić, że jest winny zastrzelenia Araba. Już otwierał usta, żeby wyrazić swoje oburzenie, ldey uderzyło go nagle, że to istotnie było oburzające, zapalić papierosa w czasie czuwania przy zwłokach matki. Skandaliczne wręcz. On, Morris, z pewnością by tego nie zrobił. Choć przedsiębiorca pogrzebowy, który poczęstował tamtego papierosem, a później przedstawił go policji w tak negatywnym świetle, także nie był w porządku. A Antonella, mówiąca policji, że wypytywał ją o spadek? Chyba że w swojej prostoduszności nie zwróciła

uwagi, że jej słowa mogą zostać wykorzystane przeciwko niemu. Zajęty tymi rozważaniami Morris pogubił się w tym, co mówi Fendtsteig.

- Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? Pogubiłem się, kiedy była mowa o spadku.

Fendtsteig powtórzył tym samym, monotonnym tonem, niczym przewinięta do tyłu taśma magnetofonowa:

- .. .wypytując ją o spadek. Następnie udał się pan do rodzinnej wytwórni win w pobliżu Quinto, gdzie pokłócił się pan ze swoim szwagrem, Signorem Posenatem, z którym pańskie stosunki od dawna układały się niedobrze, żeby nie powiedzieć, burzliwie.

Burzliwie, pomyślał Morris, to zbyt wielkie słowo na określenie jego nudnych potyczek z żalonym kurczakowym potentatem, ale niech będzie.

- Wasz spór prawdopodobnie dotyczył podziału majątku i testamentu zmarłej, przechowywanego przez Signora Posenata. Kłótnia przybierała na sile, aż w końcu pan stracił panowanie nad sobą i zabił go. Nie, Signor Duckvorse, niech pan sobie oszczędzi komentarzy, dopóki nie skończę.

- Proszę o wybaczenie - powiedział grzecznie Morris, choć korciło go, żeby wybuchnąć śmiechem. - Ja po prostu...

Fendtsteig rzucił mu jedno ze swoich rzadkich, gestapowskich spojrzeń. Jego oczy za soczewkami okularów były zupełnie nieruchome, a szkła, co Morris dostrzegł dopiero teraz, wcale nie takie czyste, jak powinny.

- Po prostu pomyślałem, że „stracić panowanie nad sobą” to bardzo zabawna kolokacja.

Fendtsteig ponownie opuścił wzrok. Biedak pewnie nawet nie wiedział, co znaczy słowo „kolokacja”. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy zabrał się do czytania, Morris przerwał mu raz jeszcze.

- Ale proszę kontynuować. Fendtsteig zignorował ten wtęt.

- ...i zabił go, być może przypadkowo, podczas szamotaniny, na co wskazywałyby poprzewracane meble i brak krwi, której z pewnością byłoby sporo, gdyby posłużył się pan konwencjonalną bronią. Niewykluczone jednak, że było inaczej, że cały incydent został przez pana ukartowany. Z pewnością przed naszym przybyciem przeszukiwał pan biuro, mimo że twierdzi pan coś przeciwnego. Pańskie odciski palców zostały znalezione na przewróconym krześle, w dość niezwykłym miejscu, na blacie biurka i na różnych szufladach szafek.

A cóż może być niezwykłego w odciskach palców pozostawionych na blacie biurka, zdumiał się Morris. Czy chodziło może o tego typu ślady, jakie mogli pozostawić Faro-uk i Azedine? Nie zdziwiłby się też wcale, gdyby Bobo i jego Bimbeta również zostawili ich sporo.

A może Bobo dlatego wyrzucił imigrantów, że sam został przez nich nakryty? Skupienie się na słowach *carabinieri* przychodziło Morrisowi z coraz większym trudem.

- Następnie zapakował pan zwłoki Signora Posenata do jego samochodu, odjechał pan kawałek i ukrył samochód gdzieś w pobliżu, na przykład w lokalnym garażu. Potem wrócił pan na miejsce zbrodni i widząc, że jak do tej pory nikt nie podniósł alarmu, zadzwonił pan na policję z telefonu w pańskim samochodzie. Była wtedy godzina dziesiąta. Następnej nocy, kiedy pańska żona zasnęła, opuścił pan dom w Quinzano, wrócił do miejsca ukrycia samochodu, wywiózł go gdzieś dalej, porzucił, pozbywając się ciała, a na koniec, już własnym samochodem, wrócił pan do domu. Tak właśnie przedstawia się nasza wersja wydarzeń. Teraz może pan albo ją potwierdzić, albo jej zaprzeczyć.

Znakomicie. Morris milczał.

-*Perfavore*, Signor Duckvorse.

- *Colonnello* Fendtsteig, proszę się nie śpieszyć. Jeśli przy tej okazji chciałby mnie pan oskarżyć jeszcze o jakąś inną zbrodnię albo nawet i o dwie, teraz ma pan ku temu doskonałą okazję.

Blady mężczyzna odczekał chwilę, po czym powiedział z całkowitym spokojem.

- To bardzo poważna sprawa i chciałbym, aby potraktował ją pan jako taką, Signor Duckvorse.

- Duckworth - poprawił Morris.

Fendtsteig podniósł głowę znad notatek. Nie popatrzył jednak na Morrisa, tylko skierował wzrok gdzieś za okno.

Morris westchnął. Przez moment niemal pożałował, że nie pali. Gdyby teraz zapalił papierosa, zyskałby na czasie, a oprócz tego miałby doskonałą okazję zademonstrować, że jego dłonie bynajmniej nie drżą. Nie dysponowali żadnymi dowodami przeciwko niemu! Wszystko to były wyłącznie spekulacje, w dodatku w przeważającej mierze fałszywe. „Wasz spór prawdopodobnie dotyczył podziału majątku”. Rzeczywiście! „Na przykład w lokalnym garażu”. Akurat! Nie mówiąc już o tym, że nie mogli znaleźć jego odcisków palców na krześle. A może sądzili, że okaże się na tyle głupi, by wyrwać się z uwaga: „Przecież wytarłem wszystkie odciski mokrą ścierką”?

W końcu odezwał się:

- *Colonnello* Fendtsteig, czy próbował pan porozmawiać ze swoimi kolegami z *polizia*? Gdyby pan to zrobił, oszczędziłby pan sobie wiele czasu, a ja nie musiałbym bez przerwy przypominać sobie, co komu mówiłem.

- Signore Duckvorse, czy potwierdza pan to, co panu odczytałem, czy nie?

- Ponieważ, jak wyjaśniłem wczoraj, rozmawiając z *polizia*, Bobo wyrzucił z pracy dwóch imigrantów. Zdarzyło się to poprzedniej nocy, zanim został zamordowany...

- A zatem przyznaje pan, że został zamordowany?

- Jak to? - Morris wiedział już, że wymknęło mu się o jedno słowo za dużo.

- Pan wie, że on nie żyje?

Morris szeroko otworzył zdumione oczy. Mówiąc, przez cały czas miał świadomość, że jest nagrywany, więc starał się, aby w jego głos nie wkradł się jakiś fałszywy ton.

- Och, rozumiem. Nie, nie wiem. Pomyślałem, że skoro pan z taką pewnością twierdzi, że został zabity, to widocznie odnaleziono zwłoki. - Urwał, czując, że ponownie ogarnia go strach. Lód, po którym stapał, był tak przeraźliwie kruchy. Po dojściu do pewnego określonego punktu, nie będzie już odwrotu. Głęboko zaczerpnął powietrza, starając się zmusić do logicznego myślenia. - Faktem jest, że tamci dwaj ulotnili się niemal natychmiast, a wraz z nimi spora suma w gotówce. Z biura Boba. Za skrzynką z bezpiecznikami jest drugi sejf.

Fendtsteig nie odpowiedział od razu, zajęty studiowaniem notatek. Morris za wszelką cenę starał się zachować cierpliwość. Ten człowiek najwyraźniej pielęgnował denerwujący nawyk unikania wszelkiego wzrokowego kontaktu i nieangażowania się w osobiste rozmowy. Najważniejsze to potraktować jego taktykę jako żalosny podstęp i nie dać się zastraszyć.

- Oczywiście policja poinformowała nas o wszystkim - powiedział wreszcie Fendtsteig, obracając kartkę notatnika. - Nie zrobiło to jednak na nas zbyt wielkiego wrażenia. Tamci dwaj mężczyźni byli widziani o piątej rano, jak opuszczają Villa Caritas, tymczasem Signor Posenato jeszcze o siódmej rozmawiał z robotnikami, którzy przyszedli na ranną zmianę. Czyli żył o tej godzinie. A co do gotówki, na to mamy tylko pańskie słowo.

Zaskakujące, pomyślał Morris, że policja nie poinformowała swoich kolegów, że Bobo dzwonił do nich o dziewiątej. Czy wobec tego on ma to teraz zrobić? Przez chwilę jeszcze się wahał, kiedy zupełnie zniecka ogarnęła go fala zniecierpliwienia. Dostyc. Najwyższy czas położyć kres tej farsie i wrócić do domu na śniadanie. Powiedział więc:

- *Colonnello* Fendtsteig, ja, Morris Duckworth, kategorycznie zaprzeczam, jakobym zamordował swojego szwagra, Roberta Posenata. Zaprzeczam też, aby między nami panowały niesnaski. Przeciwnie, nasze służbowe kontakty układały się znakomicie. W przeciągu ostatnich kilku miesięcy wspólnie zreformowaliśmy

wytwórnę i byliśmy bardzo zadowoleni ze współpracy. Zaprzeczam również, jakobym z domu teściowej udał się prosto do wytwórni. Najpierw zatrzymałem się w barze na *piazza* w Quinzano, później udałem się do Villa Caritas, nieco powyżej Quinto, gdzie rozmawiałem z jednym z imigrantów, niejakim Kwame, i dopiero stamtąd pojechałem do wytwórni. Stwierdzam również z całą stanowczością, że ostatniej nocy pochłaniały mnie sprawy czysto osobiste.

I na tym poprzestaniemy, dorzucił w duchu. Przynajmniej do czasu, dopóki nie odrobicie staranniejszych waszych zadań domowych.

*Colonnello* pozwolił sobie na kolejną długą pauzę. Ponownie skonsultował swoje notatki, kartkując poliniowane na różowo strony. Okno na lewo od Morrisa stopniowo traciło swoją czerń. Pierwsze wiązki bladego, zimowego światła obrysowały stojący na dziedzińcu samochód i niski budynek za nim. Morris coraz wyraźniej dostrzegał otaczającą go zinstytucjonalizowaną lichotę; szare kontury w szarym świetle poranka, linie i kwadraty coraz ciaśniej zamykające się wokół, usiłujące schwytać go w pułapkę. Nagle poczuł strach. Przecież pragnął być wolny. Wolny, by móc jeździć po okolicy, pomagać imigrantom, kochać się z żoną, wychowywać dziecko. Czy naprawdę jego pragnienia były aż tak irracjonalne?

- Mimi - wyszeptał.

- *Mi scusi?* Pan coś mówił?

- Nie, nic nie mówiłem - odparł Morris. Fendtsteig przygryzł zębami wąską dolną wargę.

- Po pierwsze, nie mamy żadnego potwierdzenia, że odwiedził pan bar w Quinzano. Nikt nie pamięta, aby widział tam pana tamtego ranka. Po drugie, świadek, z którym jakoby pan rozmawiał w Villa Caritas, nie jest wiarygodny. Nie potrafił nawet powiedzieć, ile trwała wasza rozmowa i czego dotyczyła. Po trzecie, od pańskiej żony, szwagierki i pracowników Trevisan Wines wiemy, że pańskie stosunki z Signorem Posenatem nie układały się gładko. Po czwarte wreszcie, wciąż pozostaje niewytłumaczona pańska długa nieobecność ostatniej nocy.



Tym razem, aby uniknąć kontaktu wzrokowego, Fendtsteig zaczął poprawiać coś przy magnetofonie. Zupełnie jakby porozumiewali się przy pomocy faksów, a nie rozmawiali twarzą w twarz! Morris czuł się coraz bardziej zapędzony w kąt. Jednocześnie jednak rosła w nim determinacja, żeby walczyć, żeby za wszelką cenę wydostać się stąd. Wezbrała w nim ciepła fala samousprawiedliwienia. Przecież był w barze. Przecież pojechał do Villa Caritas. A jeśli zabił później Boba, to z pewnością nie planował tego, nie zasłużył więc, by resztę życia spędzić za kratkami. Był z pewnością o wiele bardziej atrakcyjny i lepiej wykształcony niż Bobo czy Fendtsteig, angażował się w rozmaite akcje dobroczynne i wreszcie przechodził obecnie nawrócenie religijne. Co więcej, przedstawił Bobowi wszystkie racjonalne argumenty, zaproponował mu całkowicie akceptowalną, a nawet zadowalającą estetycznie wersję śmierci Massiminy, a ten odmówił zastanowienia się nad nią choćby przez chwilę.

Odezwał się:

- Z prawdziwą przyjemnością pójdę z panem do tamtego baru i zidentyfikuję kelnerkę, która mnie wówczas obsługiwała, oraz sprzedawcę, od którego kupiłem gazetę. Pan prawdopodobnie pytał, czy był tam jakiś Anglik, więc powiedziano panu, że nie, ponieważ mój włoski jest taki dobry.

Specjalnie położył lekki akcent na zaimek „mój”, jakby wskazując, że jego wymowa jest o wiele poprawniejsza niż wymowa Fendtsteiga, który dorastając w jakieś zapomnianej od Boga i wiecznie zasypanej śniegiem wioszczynie powyżej Bożen, w dzieciństwie bez wątpienia posługiwał się łamanym szwabskim. W rezultacie cierpiał pewnie na paskudny austro-niemiecki kompleks wyższości. Morris poczuł, że rodzi się w nim duch walki. Włoska sprawiedliwość z pewnością nie pozwoli, aby jakiś tępak z południowego Tyrolu wydał na niego wyrok. Na dodatek szpetny tępak. Te znamiona zdecydowanie wyglądały na złośliwe.

- A co się tyczy chłopaka, z którym rozmawiałem w Villa Caritas - dodał - to pracował on przez całą noc, w dodatku pewnie na prochach, podobnie jak i cała reszta. Jestem zdumiony, że w ogóle kojarzy rozmowę ze mną. Tematem naszej konwersacji było oczywiście przyłapanie przez Boba tamtej dwójki i wyrzucenie wszystkich z pracy.

Fendtsteig nadal pochylał się nad notatkami. Magnetofon nagrywał już tylko pochrząkiwania Morrisa i warkot silnika wjeżdżającego na dziedziniec samochodu. Pierwsze promienie słońca, mieszające się ze światłem jarzeniówek, bynajmniej nie przyczyniały się do poprawy wyglądu nieogolonej twarzy Fendtsteiga. Minuty mijały, a Morris czuł coraz większą irytację. Doprawdy przed tym człowiekiem powinno się postawić zegar. Niczym przed szachistą w trakcie rozgrywanej partii. Po raz kolejny spróbował przerwać ciszę.

- *Colonnello* Fendtsteig, czy pan się źle czuje?

- *Prego?*

Ależ ten człowiek paskudnie wymawiał „r”.

- Jest pan taki blady.

Fendtsteig wybrał metodę ignorowania wszelkich wtęretów. Podniósł głowę, skrzyżował ramiona, twarz skierował gdzieś w bok.

- Proszę mi powiedzieć, co pan robił ostatniej nocy, i na tym zakończymy przesłuchanie.

Morris zawahał się, po czym odepchnął od siebie krzesło.

- Nie. Mam już dosyć podobnego traktowania. Nie usłyszysz ode mnie ani słowa więcej, dopóki nie skontaktuję się z adwokatem.

- Tym sposobem dotarliśmy do pytania bez odpowiedzi. - Fendtsteig wreszcie zdobył się na uśmiech i spojrzenie prosto w oczy Morrisa, - A może potrzeba panu czasu, aby przypomnieć sobie, co pan porabiał zaledwie osiem czy dziewięć godzin temu?

Widząc to zimne spojrzenie, tak idealnie wymierzone w czasie, Morris poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. W którymś momencie musiał popełnić straszliwy błąd taktyczny. Drżąc cały, podniósł się z miejsca.

- Bynajmniej, *Colonnello*. Skoro jednak i tak jest pan przekonany o mojej winie, wszystko, co powiem, mogłoby zostać użyte przeciwko mnie.

Kiedy wstał, ogarnęła go fala przeraźliwego gorąca, idąca od krocza i rozlewająca się błyskawicznie po całym ciele. Skóra swędziała go nieznośnie, dłonie i policzki pulsowały krwią, penis nabrzmiwał erekcją. *Gdyby tak dało się rozwiązać cały problem, skręcając kark temu małemu szczerowi!*

W tym samym momencie usłyszał głos, głęboki i dudniący, jakby dochodził gdzieś z głębi szybu: *Nie!* Dźwięk spotężniał i odbił się echem w głowie Morrisa. *Nie, Morri, nie. Nie rób tego!* Nadciągnęła ciemność. Zastony po obu stronach świata zamykały się powoli. Pole widzenia Morrisa kurczyło się coraz bardziej, by na koniec zredukować się do świetlistych błysków na szklach Fendtsteiga.

Chwiejąc się na nogach, Morris pochylił się do przodu i przytrzymał biurka. Jego dłoń oparła się na wspaniałym, szklanym przycisku do papierów w kształcie wieloryba. Zacisnął na nim palce.

- Nie! - rozległ się jej krzyk.

W głowie Morrisa wirowało.

TLR

---

## CZĘŚĆ TRZECIA

### 22

Czternastego dnia swojego pobytu w więzieniu Morris wyciął z papieru krzyż. Ukrzyżowanie na nim Zbawiciela okazało się trudniejszym zadaniem, pamiętał jednak dobrze nienaturalne wygięcie ciała, niespokojną linię idącą od bioder przez cały tors, aż do przechylonej na lewe ramię głowy, i wreszcie ręce, załamane w łokciach i wznoszące się ku okrutnie przebitym gwoździom dłoniom. Swym kształtem sylwetka przypominała przycięte krzewy winorośli na oświetlonych zimowym słońcem wzgórzach pod Werona. Kiedy nadał dłoniom kształt liści, siedzący z nim w jednej celi seryjny morderca wręcz nie posiadał się z wrażenia. Twarz Zbawiciela - co zrozumiałe - była jej twarzą. Androgyniczną, ale rozpoznawalną. Morris po raz kolejny przyjrzał się efektowi swoich wysiłków i uznał, że jest bez zarzutu. Widocznie wbrew temu, co uprzednio sądził, został jednak obdarzony talentem plastycznym. Wcisnął górną część krzyża w wąską szczelinę w ścianie powyżej niewielkiego lusterka i zagiął papier w taki sposób, że opadł na szklaną tafłę, dzieląc odbitą w nim jego twarz na cztery nieduże segmenty, rozmieszczone symetrycznie wokół zdwojonego narzędzia męki. IHS. Katolicyzm dzięki swojemu bogactwu dawał człowiekowi zdecydowanie więcej satysfakcji niż ascetyczna religia metodystów, wyznawana przez Matkę. Wpatrzony w narysowane przez siebie oblicze, Morris zaczął odmawiać słowa modlitwy, której nauczył się z katechizmu, kiedy pobierał nauki przedślubne.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, błogosławionaś Ty między niewiastami.

- I błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus - podjął jego psychopatyczny towarzysz z celi.

Morris obrócił ku niemu wzrok. Owoc żywota? Tej części modlitwy zupełnie zapomniał. Spojrzenie siedzącego przy oknie więźnia wyrażało wyłącznie pustkę. Ale dla Morrisa płynące ze słów tamtego przesłanie było wyraźnie aż nadto. Zabił owoc jej żywota. W drogiej Mimi ukrzyżował Chrystusa, jeszcze zanim ten się narodził. Zaalarmowany dzikim wyrazem jego twarzy psychopata, który wykończył niemal całą swoją niewiarygodnie wręcz rozgałęzioną rodzinę, wybuchnął głośnym śmiechem. Ten człowiek miał przerażający zwyczaj wydymania tłustych policzków i śmiania się z rzeczy, które bynajmniej nie były śmieszne. Morris opadł na kolana przed zrobionym przez siebie krzyżem i przeżegnał się. Musi zacząć odprawiać pokutę. Tak, jedynym powodem, dla którego pragnął wydostać się stąd, dla którego w ogóle pragnął żyć, była chęć odpokutowania za swoje uczynki.

Ale kiedy znajdzie się na wolności? Prawnik, kiedy wreszcie pozwolono mu się z nim zobaczyć, wytłumaczył mu, że na razie nie został o nic oskarżony; zatrzymanie miało zapobiec ewentualnemu zniszczeniu przez niego dowodów przestępstwa. Mogło trwać i do sześciu miesięcy, ale Morris odnosił wrażenie, że we Włoszech siły porządkowe w praktyce mogły robić wszystko, co tylko chciały. W tym wypadku oczywiście chciały usłyszeć od niego, co porabiał tamtej feralnej nocy. Z pewnością nie wypuszczą go, dopóki im tego nie powie, gdyż zwolnienie dałoby mu możliwość spreparowania alibi. Na przykład w porozumieniu z żoną.

To był też powód, dla którego każdej jego rozmowie z adwokatem musiał towarzyszyć strażnik i dla którego nie miał prawa do wizyt.

Morris ostro zaprotestował przeciwko przypuszczeniu, że miałby preparować dla siebie alibi. Jasno dał też do zrozumienia, że nigdy, przenigdy nie powie, co robił tamtej nocy. To była jego własna, absolutnie prywatna sprawa i nie ma potrzeby, żeby opowiadał o niej komukolwiek, skoro jest oczywiste, że odpowiedzialność za uprowadzenie czy też zamordowanie Boba ponoszą dwaj wyrzuceni z pracy imigranci. Dlaczego jeszcze ich nie schwytano?

Adwokat delikatnie zasugerował, że być może żona Morrisa wcale nie będzie miała mu za złe, jeśli wyzna, że tamtej nocy był z inną kobietą. Albo nawet z

mężczyzną. Morris zwolnił prawnika natychmiast. Za impertynencję i brak kompetencji. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, aby pomyśleć choćby o zdradzeniu żony, i to powinno być absolutnie jasne dla każdego. Nikt nie miał prawa podejrzewać go choćby przez chwilę o niewierność. Przecież nawet jemu samemu z trudem przyszło uwierzyć w niewierność Boba.

Czasowy pobyt w więzieniu miał też i swoje dobre strony. Poniżenie związane z przymusem noszenia więziennych ubrań, spożywania więziennych posiłków i koniecznością przebywania z innymi w jednej celi stanowiło rodzaj doświadczenia, które dawało człowiekowi pewną perspektywę, pozwalało inaczej spojrzeć na wiele spraw. Teraz mógł czuć się niczym Dante, gdyż zostało mu dane doświadczyć krótkiej wizyty w piekle, poznać grzechy i stan umysłu innych, zobaczyć, w jaki sposób zostali pokarani, a wszystko to ze świadomością, że on sam nie należy do świata potępionych. Dobre strony, dobrymi stronami, jednak on, Morris, nie miał najmniejszego zamiaru siedzieć tu zbyt długo. Tyle tylko, że nie musiał się martwić, w jaki sposób wydostanie się na wolność. Wszak Mimi obiecała, że wskaże mu drogę.

Siedząc w celi, sporządził rysunek Ukrzyżowanego, a oprócz tego prowadził dziennik Mimi, zapełniając stronę za stroną filozoficznymi dialogami i dziwaczną narracją, rojącą się od afektowanych zwierzeń. Pod tym względem droga Mimi okazała się naprawdę sprytna i pełna inwencji. Kiedy czas nazbyt mu się dłużył, poddawał psychoanalizie swojego towarzysza z celi i wychodziło mu to całkiem dobrze. Pod wpływem poświęcanej mu uwagi psychopata zachowywał się obecnie o wiele lepiej. Morris pomyślał nawet, że gdyby tamtym udało się posadzić go na dłużej; wykorzysta czas pozbawienia wolności na zrobienie magisterium z psychologii, a potem może i doktoratu. Z pewnością jego i umysł predestynował go do tego, a więzienie aż w nadmiarze dostarczało przypadków do analizy. Podczas posiłków starał się nie przejadać, żeby zachować linię. Po wyjściu czeka go mnóstwo pracy: przeprowadzka do Quinzano, remont Villa Caritas, przekształcenie wytwórni kiepskich win w doskonale prosperujące przedsiębiorstwo.

Wieczorami, kiedy zamykał oczy, przeżywał chwile niezmaconego spokoju, wywołane wizją Massiminy: Mimi na plaży w Rimini, kruczoczarna, smukła, z rozgrzaną skórą wydzielającą zapach olejku do opalania; Mimi w barze, z odrzuconą do tyłu głową, rozchylonymi wargami i śmiejącymi się oczami, popijająca coca-cole; Mimi w pokoju hotelowym w tamtej chwili, kiedy odwrócił się od umywalki po obmyciu rąk z krwi i zobaczył ją ściągającą koszulę nocną i odsłaniającą swoje ogromne piersi. Po raz pierwszy widział wtedy jej cudownie szczupłe, jędrne ciało całkowicie nagie. W takich chwilach czuł się niczym w raju. Jak wspaniałe, jak bogate było jego życie!

Nie masturbował się. Po prostu starał się zatrzymać w wyobraźni jej obraz, stojącej przed nim i roześmianej. W podobny sposób w okresie dorastania przechowywał w pamięci wyobrażenia zmarłej Matki. Właśnie podczas jednej z chwil przedsennej zadumy Massimina przyszła do niego i w bardzo prostych słowach wyjaśniła mu, co powinien zrobić. Później uświadomił sobie, że przecież istniała wyraźna paralela między nią a aniołem, który otworzył drzwi więzienia przed apostołem Piotrem, uwolnił go z okowów i przeprowadził bezpiecznie między strażami. Tyle tylko, że Mimi działała znacznie subtelniej. Nigdy by się tego po niej nie spodziewał.

Kiedy Mimi uznała, że już czas, poprosił o widzenie z księdzem, który okazał się młody, gładki w obyciu i niewątpliwie wolnomyślicielski, co było raczej niefortunne, gdyż Morris miał dość skonkretyzowaną wizję ich rozmowy i obraz młodego, liberalnego spowiednika niezupełnie do niej pasował. Cóż, musi posłużyć się takim narzędziem, jakie Bóg dla niego przygotował. Powiedział więc noszącemu modne okulary w złotej oprawce kapłanowi, że aczkolwiek on, Morris, nie popełnił żadnego przestępstwa, pozbawienie wolności wywołało u niego swego rodzaju religijny przełom. Mając wiele czasu na przemyślenia, zaczął dostrzegać cierpienia innych i doszedł do wniosku, że życie, jakie wiódł do tej pory, w ciągłej pogoni za dobrami materialnymi, jest pozbawione sensu, że jego egzystencja była niczym więcej jak nienasyconą paszczą materializmu pożerającą jałowy ogon hedonizmu.

Słyszając tak wyszukane porównanie, ksiądz tylko zatrzepotał powiekami.

Oprócz tego było jeszcze coś, co ciążyło mu na sumieniu i nie pozwalało na spokojny sen, ciągnął Morris.

Kapelan przyglądał się mu bacznie. Morris odwzajemnił to spojrzenie. Jego bystre oko od razu dostrzegło, że kapłan zaciął się przy goleniu, operując zbyt blisko drobnego, zadartego nosa.

Jego problem polegał na tym, zwierzał się dalej Morris, że kiedy mniej więcej rok temu przeszedł na katolicyzm, uczynił to po prostu z wygody, żeby móc zawrzeć ślub kościelny. W rzeczywistości, mówiąc o swojej skruszce, kłamał przed Bogiem, ponieważ cały ceremoniał był dla niego czystą formalnością, biurokratycznym wymogiem uzyskania stosownej pieczętki na dokumencie. W rzeczywistości w tamtym czasie wcale nie wierzył w Boga, goryczą napełniała go pewna rzecz w jego życiu, ta, która tak bardzo ciąży mu na sercu i o której nigdy nie wspomniał nikomu. Po tych słowach Morris popatrzył księdzu prosto w oczy, po czym pochylił głowę. Teraz chciałby odbyć spowiedź, przyjąć komunię i poczuć, że wreszcie stał się pełnoprawnym członkiem Kościoła Chrystusowego.

Ksiądz wyciągnął z kieszeni sutanny kalendarz z logo *Reader's Digest* na okładce i ustalił termin. W dwa dni później, podczas godziny przeznaczanej na rekreację, Morris ukląkł w konfesjonale w niewielkiej, betonowej kaplicy i zaczął wyznawać, że był zakochany w siostrze swojej żony, Massiminie; że zanim została uprowadzona i zamordowana, uprawiał z nią seks, że poślubił swoją żonę wyłącznie dlatego, że przypominała mu zmarłą, której duszy przebywającej w niebie nigdy nie przestał kochać, którą regularnie widywał we śnie, a czasami także i na jawie, kiedy ukazywała mu się pod postacią Madonny otoczonej świętymi; że to o zmarłej myślał nieustannie, przez co żona stawała mu się coraz bardziej obca. Owszem, wspólnie z nią podejmował setki codziennych decyzji, dotyczących jedzenia, mebli, samochodu i tym podobnych, ale na poważnie nie rozmawiał z nią wcale, bo przecież burżuazyjny, zewnętrzny aspekt jego życia i ciągła pogoń za dobrami materialnymi nic a nic się nie liczyły. A kiedy kochał się z żoną, tak naprawdę widział Massiminę, to Massiminę sobie wówczas wyobrażał. Zdarzało się nawet, że głośno wołał jej imię. Z tego też powodu czuł się straszliwie winny, ale jednocześnie ogarniał go prawdziwy paraliż, tak że stał się



niezdolny do jakiegokolwiek posunięcia i nie potrafił zdobyć się na szczerść nawet wobec siebie.

Przemawiał w tym duchu około dwudziestu minut, od czasu do czasu odpowiadając na pytania albo udzielając dodatkowych wyjaśnień, głównie jednak improwizując na ślepo, choć jednocześnie w sposób przemyślany, konfabulując z uczuciem, ale zarazem odsłaniając prawdę, tkwiącą gdzieś głęboko w jego podświadomości; prawdę o straszliwej psychicznej apatii, w którą wtrąciło go życie i z której szczerze pragnął się wyzwolić. Jego obsesja osiągnęła taki etap, tłumaczył księdzu, że przybrała formę ekstremalnej perwersji, której - kiedy był zdrowy - nie byłby w stanie nawet sobie wyobrazić. To było potworne, nieczyste.

- Wyznaj mi wszystko, *figlio mio* - powiedział ksiądz łagodnie.

Morris odparł, że nie może, że czuje się za bardzo skrepowany i zawstydzony.

- To właśnie dzięki wyznaniu tego, co nas gnębi, nasza dusza osiąga wyzwolenie - podkreślił ksiądz z naciskiem.

Morris milczał. Od klęczenia na twardej posadzce rozboleły go kolana, ale przecież odrobina dyskomfortu tylko przydawała autentyczności całej sytuacji, uznał więc, że musi się z tym pogodzić.

- *Figlio mio*, wszyscy jesteśmy grzesznikami. Nie ma takiej rzeczy, o której nasz Pan by nie słyszał i której nie potrafiłby nam wybaczyć.

Morrisowi od razu przypomniała się jego własna refleksja na widok karnawałowych przebierańców na Piazza Bra, tych wszystkich Drakuli i Saddamów Husajnów. Jakże to było dawno temu.

- *Grazie, padre* - powiedział, po czym pozwolił sobie na trzydziestosekundową pauzę, zanim podjął. - Krótko przedtem, zanim trafiłem do więzienia, zmarła moja teściowa.

Znowu pauza.

- Doprawdy trudno byłoby cię za to winić - zauważył ksiądz.

- Aby pochować ją w rodzinnym grobowcu, musiano najpierw - tu głos Morrisa załamał się niebezpiecznie - musiano...

- Tak, mój synu?

Morris przeniósł cały ciężar ciała na jedną stronę, żeby uwolnić się od kurczu w prawej nodze.

- Musiano najpierw wyjąć trumnę Massiminy. To ta dziewczyna, którą kochałem. Którą Kocham.

Ksiądz zauważył, że to całkiem normalna procedura.

- Kiedy... kiedy dowiedziałem się, że w dzień przed pogrzebem jej trumna zostanie wyjęta, udałem się na cmentarz. W nocy, już po zamknięciu. Przeszedłem przez mur... - tu Morris znowu się zawahał - przeszedłem przez mur, odnalazłem trumnę i siedziałem przy niej przez kilka godzin.

- To także trudno byłoby nazwać grzechem, mój synu.

- Siedziałem tam w ciemnościach i masturbowałem się. Dwa razy - wyrzucił z siebie Morris.

Ksiądz milczał. Morris słyszał wyraźne jego oddech po drugiej stronie przedzielającej ich niewielkiej kratki.

- Ale to, co robiłem, nie było jeszcze najgorsze. Prawdziwe zło kryło się w tym, co jednocześnie myślałem.

Pauza.

- A co myślałeś, mój synu?

- Moje serce przepęłniała gorycz - powiedział Morris. To akurat była prawda.

- Dręczyły cię myśli, których wstydzisz się obecnie?

- Myślałem - zaczął Morris, wolno wypowiadając każde słowo, jakby obecne wyznanie przychodziło mu z najwyższym trudem - myślałem, że... ja... ja... pragnąłem, aby to moją żonę uprowadzono wówczas, a potem zamordowano, a nie

Massiminię, pragnąłem kochać się z Massiminą, nawet martwą, rozkładającą się w tej okropnej trumnie... - Urwał, zastanawiając się, czy przypadkiem nie posuwa się za daleko. - Pragnąłem wlać w nią swoje nasienie, nawet w taką, jaką była teraz.

- *Figlio mio* - zaczął ksiądz, dobierając słowa z wyraźnym wysiłkiem, choć przecież jako więzienny kapelan słyszał pewnie niejedno paskudnie brzmiące wyznanie. Ktoś pełniący taką służbę z pewnością nie mógł mieć słabych nerwów.

Morris czekał więc.

Po krótkiej chwili milczenia kapłan zapytał:

- Czy to już wszystko, mój synu?

A tyle nie wystarczy? - pomyślał przelotnie Morris, głośno zaś powiedział:

- Sì, *padre*, sì... może jeszcze... widzi ksiądz, od tamtej nocy nie potrafię odpedzić od siebie tych myśli. Nie potrafię skupić się na niczym innym. To takie ponizające. Potwornie ponizające. Mój umysł został całkowicie zablokowany. Zostałem tu osadzony za coś, czego nie zrobiłem, tymczasem wcale mnie to nie obchodzi. W pewnym sensie jestem nawet szczęśliwy, że trafiłem do celi, ponieważ mój mózg został sparaliżowany do tego stopnia, że gdybym znalazł się na wolności, nie wiedziałbym nawet, w którą stronę mam się udać. Nie mogę znieść myśli, że stanę przed żoną, czując się tak potwornie winnym wobec niej. Co gorsza, ona spodziewa się dziecka, a to przecież powinno...

Zupełnie nieoczekiwanie, ale i też zupełnie szczerze, Morris rozplakał się nagle. W ciągu ostatnich kilku dni zdarzyło mu się to już trzeci albo i czwarty raz. Żalodne szlochanie wypełniło całą niewielką przestrzeń więziennej kaplicy. Morris znał powód swoich łez. Płakał z powodu kłamstw, które zmuszony był wypowiedzieć, a także dlatego, że te wyznania, choć kłamliwe, malowały przecież prawdziwy obraz jego wypaczonej duszy.

W ciągu następnych kilku minut Morris usiłował zapanować jakoś nad falą żalności nad samym sobą, podczas gdy głos po drugiej stronie kratki mamrotał słowa pociechy, mające zatamować dalszy potok łez. Wreszcie zabrzmiał dzwonek

zwiastujący koniec przerwy rekreacyjnej. Nadszedł czas, aby kościelny autorytet ogłosił wymaganą pokutę.

Morris miał nadzieję, że będzie to coś dramatycznego, stanowiącego przekonujący dowód, że mu wybaczone, jednak w wyborze pokuty młody ksiądz ujawnił cały swój liberalizm -któremu, jeśli się nad tym zastanowić, towarzyszyło zdumiewająco mało refleksji - i zadał mu odmówienie kilku zdrowasiek.

- Ale... - sprzeciwił się Morris.

- Twoje grzechy nie są grzechami złej woli - objaśnił go kapelan. - Są grzechami biorącymi się z choroby, choroby tak poważnej, że nie wyobrażam sobie, aby jakakolwiek pokuta, nawet surowa i starannie przemyślana, zdołała ci pomóc. - Młody kapłan umilkł na chwilę. - Przeciwnie wręcz, w twoim przypadku chęć odpokutowania mogłaby nawet przybrać formę perwersyjnej przyjemności. Musisz zrozumieć, że twoje serce i twoja dusza są chore. Musisz modlić się do Boga o uwolnienie cię od choroby. Przede wszystkim zaś musisz nauczyć się pragnąć uzdrowienia. - Ksiądz zawahał się przez moment. - Jeśli pozwolisz, abym udzielił ci pewnej rady, powiem całkiem szczerze. Uważam, że twoim obowiązkiem wobec Boga, a także wobec żony jest skonsultować się z psychiatrą.

Morris zaczął protestować. Skoro zwrócił się do księdza, a nie do psychiatry, to dlatego, że głęboko wierzył, iż ratunek dla niego leży w Bogu i w odwróceniu się od życia, jakie wiódł do tej pory. Ostatnio w snach nawiedzają go dziwne wizje, dodał, wcale nie mijając się przy tym z prawdą. Wizje głęboko religijnej natury. We śnie ukazuje mu się Madonna.

- *Figlio mio* - ksiądz wstał i zaczął się zbierać do odejścia - jak długo człowiek pozostaje posłuszny Jego przykazaniom, korzystanie ze zdobyczy nauki jest cnotą. Najlepiej będzie, jeśli skontaktuję cię z więziennym psychiatrą i ustalę jak najszybszy termin waszego spotkania.

Morris ponownie udał, że protestuje. Głos księdza nabrał twardszych tonów.

- Jeśli chcesz, możesz to potraktować jako integralną część pokuty. Jeszcze raz powtórzę, że Bóg dał nam biegłość w medycynie, właśnie dlatego, abyśmy radzili sobie z takimi przypadkami jak twój.

To był celny komentarz, pomyślał Morris, wydostając się z ciasnej przestrzeni konfesjonału, aby uścisnąć dłoń księdza przed powrotem do celi. Co najważniejsze, oznaczał, że za trzy albo cztery dni będzie mógł wręczyć więziennemu psychiatrze piiki kartek z notatkami, które pisał pod dyktando Mimi, odkąd go aresztowano. A potem, zakładając, że tamten faktycznie je przeczyta i zapozna się z resztą jego dokumentacji, zwolnienie będzie już tylko kwestią czasu. Kiedy przeczytają to, co dla nich przygotował, upadnie oskarżenie o odmowę zeznań. Dostaną historię, której się domagali, i to podaną w sposób o wiele bardziej przekonujący, niż gdyby sam ją opowiedział. Fantastycznie spreparowane alibi. Fantastycznie, ponieważ to ona je wymyśliła. Ale kiedy we śnie Mimi pojawiła się przed nim jako *Vergine incoronata*, zaczął ją przekonywać, że część historii, mówiąca o jego nawróceniu, była prawdziwa. Bo przecież była. Mimi powiedziała mu na to, że wie o tym, bo zawsze potrafiła czytać w jego duszy. Wie, że Morris teraz wierzy, tak jak ona zawsze wierzyła we wszechmogącego Boga, w Chrystusa ukrzyżowanego oraz w przemienienie chleba i wina w Najświętsze Ciało i Krew.

A skoro przeznaczone mu jest uczynić dobry użytek ze swojego życia i talentów, jakimi Bóg go obdarzył, pomagać biednym imigrantom i być dobrym ojcem dla dziecka Paoli, nie ma sensu, aby tkwił w celi do końca swoich dni, prawda? Dlatego też musiała ułożyć tę raczej nieprzyjemnie brzmiącą historię o cmentarzu i trumnie, aby jej ukochany mógł wydostać się na wolność.

Powiedziawszy te słowa, Najświętsza Dziewica zdjęła z głowy koronę, rozsunęła fałdy długiej, błękitnej szaty, obnażając wspaniałe, woskowobiałe ciało, i wyciągnęła się na pryczy obok niego. Kiedy obudził się nad ranem, czuł się jak nowo narodzony. Powietrze przesycala woń jej perfum, ciemność celi pulsowała jej obecnością. Z korytarza słychać było ciężkie kroki strażnika, gdzieś zabrzęczały klucze, jego nękany koszmarami współtowarzysz zającał ciężko przez sen.

Na pozór wszystko było takie jak przedtem. Morris wiedział jednak, że teraz jego los spoczął w rękach najlepszych z możliwych. Nie może mu się nie udać.

- Mimi - wyszeptał, witając nadchodzący dzień.

## 23

---

Paola miała jaskrawoczerwoną szminkę na wargach i intensywne błękitne cienie na powiekach. Wychodząc z bramy więzienia wprost w ostre, zimowe słońce, Morris uznał, że jak na tak wczesną godzinę jest to zbyt stosowny makijaż. Oczywiście zbici w niewielką gromadkę dziennikarze czekali już na niego, w nadziei na nową dostawę „paliwa”, które podsyci historię, już ponad miesiąc „tłącą się” na stronach lokalnych gazet.

„Niebawem nowe, skandaliczne odkrycia” brzmiała większość nagłówków. Czy Posenato został uprowadzony, czy pozbawiony życia? Czy anonimowy telefon, mówiący, że Posenato otrzymał to, na co sobie zasłużył, mógł być dziełem zdradzanego męża? Dlaczego angielski szwagier ofiary odmawia współpracy z policją? Przy tak wielu pytaniach i jednocześnie tak niewielkiej liczbie odpowiedzi sensacja nie do końca odpowiadała oczekiwaniom wydawców, gdyż groziło jej, że - podobnie jak w przypadku historii Mimi sprzed dwóch lat - po pewnym czasie pozostanie z niej tylko zlepek niczym nieopartych spekulacji.

Fotografowie ruszyli do przodu. Morris powściągliwym, wyważonym gestem objął żonę, starając się ani nie ukrywać twarzy, ani też nie pozować, jednym słowem, nie robić żadnego gestu, mogącego zachęcić dziennikarskie hieny, żerujące na gustach niewybrednej publiczności. Przez krótki moment, kiedy odwrócił się ku kamerom, na jego twarzy malowało się wyraźnie, że oto poddany został ciężkiej próbie, ale wyszedł z niej z godnością. Zapytany przez mężczyznę z mikrofonem o komentarz, powiedział uprzejmie, iż ma nadzieję, że jego zwolnienie

oznacza, że policja wie już albo przynajmniej podejrzewa, kto jest sprawcą. Nie, ze swojej strony nie żywi żadnej urazy z powodu zatrzymania, choć była to jawna niesprawiedliwość. Wręcz przeciwnie, to doświadczenie okazało się dla niego bardzo pouczające, pomogło mu lepiej siebie zrozumieć.

W chwilę później siedział już w mercedesie. Paola szybko ruszyła z miejsca. Przez minutę czy dwie jechali w milczeniu, ale na pierwszym skrzyżowaniu jego żona wybuchnęła głośnym śmiechem.

- *Dio santo*, byłeś przezabawny.

Morris nadal czuł się lekko otepiały, a w głowie wirowało mu od ogromu planów do zrealizowania, ludzi do zobaczenia, przysiąg i postanowień do wypełnienia.

- Co masz na myśli?

- Och, nie wiem, jak to wyrazić. Po prostu bawi mnie sposób, w jaki wciskasz ludziom te napuszone komunały. Jesteś niewiarygodnym wręcz hipokrytą. Kocham to.

- Mówiłem szczerze - odparł Morris sucho. - Naprawdę nie żywię negatywnych uczuć do nikogo.

Ale Paola roześmiała się ponownie.

- Mój poczciwy, stary Mo - powiedziała ironicznie. - *Dio Cristo*, alei mi brakowało dymanka z tobą.

Morris skrzywił się. Pomyślał, że jednym z czynników sprawiających, że więzienna cela okazała się miejscem mniej uciążliwym, niż mógłby przypuszczać, była nieobecność żony, tak nietrafnie oceniającej jego charakter i skazującej samą siebie na wieczne potępienie przez akceptację zła, jakie w nim widziała, zupełnie zresztą błędnie. Nie, jemu nie brakowało jej wcale. Teraz jednak, kiedy miała urodzić jego dziecko, nie pozostawało mu nic innego, tylko starać się ją pokochać i mieć nadzieję, że macierzyństwo złagodzi jej charakter. Było to jedno z najważniejszych postanowień, jakie podjął w ciągu kilku ostatnich dni pobytu

w więzieniu. Potraktuje swoje małżeństwo jako coś w rodzaju alternatywnego wyroku dożywocia. Nigdy przecież nie usiłował sobie wmawiać, że nie grzeszył („wszyscyśmy złądzili”). Jednak odpowiednią formę ekspiacji będzie wybierał on sam, a nie ktoś za niego.

Życie z Paolą będzie aż nadto wystarczającą pokutą.

Paola prowadziła teraz tylko jedną ręką. Drugą położyła na udzie męża i zaczęła je delikatnie masować. Morris ujął jej dłoń i z czcią uniósł ku wargom. Paola ponownie wybuchnęła śmiechem.

- *Che romantico! Allora*, co im w końcu powiedziałaś? -dodała jednym tchem, nie zmieniając tonu.

- Co masz na myśli?

- Nie udawaj. Chodzi mi o tamtą noc. Nie mogłam nic powiedzieć policji, na wypadek, gdybyś zeznał coś innego. Wspomniałam tylko, że podejrzewam cię o romans. Podsunęłam adwokatowi, żeby ci to zasugerował, ale kiedy zrelacjonował mi scenę, jaką mu urządziłaś, domyśliłam się, że chodzi ci po głowie coś innego.

Morris milczał. Nigdy nie przestawało go zdumiewać, że potrafił być tak mądry, a zarazem tak głupi. Kiedy zgodził się na skomplikowany plan Mimi, który wyprowadzi go z więzienia, da mu alibi i jednocześnie będzie stanowił wyjaśnienie jego uporczywego milczenia (upokorzenie w idealny wręcz sposób pozorowało szczerłość), nawet nie zaczął się zastanawiać, co powie swojej brzemiennej żonie, z którą miał przecież spędzić resztę życia. Oczywiście gdyby tamtej fatalnej nocy nie został aresztowany, Paola nigdy by się nie dowiedziała, że nie spędził jej w łóżku, ponieważ zawsze spała jak zabita. Jej snu nic nie było w stanie zmącić.

Pomyślał, że osoba nieznająca bezsenności nigdy nie nauczy się go rozumieć, choćby tylko trochę. On i Paola byli całkowicie niekompatybilni.

-*Alfom?*



- Nie mam żadnego romansu - oświadczył chłodno. -Nie należę do ludzi angażujących się w romanse.

Hamując na czerwonym świetle, Paola zauważyła: -Ależ Mo, nawet gdybyś miał, nie oznaczałoby to jeszcze końca świata. Przecież rozumiem, że taka rzecz może się zdarzyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ludziom przytrafiają się romanse i nie jest to żaden powód, aby od razu szaleć.

- Dla mnie podstawą każdego związku opartego na partnerstwie i zaufaniu jest wierność. Małżeństwo oznacza bycie wiernym - oświadczył Morris z mocą.

Z zupełnie niezrozumiałego powodu pomyślał przy tym o Kwamem. Coraz częściej jego umysł samoistnie dokonywał najbardziej karkołomnych połączeń, podczas gdy świadoma część jego, Morrisa, doznawała przy tym zawrotu głowy, lekkiego i wcale nie niemiłego.

Paola roześmiała się znowu. Dzisiejszego poranka niemal każde jego słowo pobudzało ją do śmiechu. Kładąc obie ręce z powrotem na kierownicy, potrząsnęła głową.

- *Sei comico*<sup>\*84</sup>, Mo.

Morris poczuł, że ogarnia go gniew. Czy ona naprawdę nie potrafiła potraktować go poważnie?

- Po lekturze wczorajszej gazety domyślam się, że wypuszczono mnie nie z powodu tego, co powiedziałem, tylko dlatego, że wreszcie złapano tamtych dwóch *marocchini*, którzy przypuszczalnie są sprawcami tego, co się wydarzyło.

---

<sup>84</sup> \* Jesteś śmieszny.

- Tak sądzi policja - zgodziła się Paola. - Natomiast Fendtsteig i jego *carabinieri* najwyraźniej są innego zdania. Ten człowiek nadal uważa, że to ty jesteś winny - dorzuciła po krótkiej przerwie.

Morris ściągnął ramiona.

- Widzę, że padłem ofiarą jakiejś idiotycznej rywalizacji między policją a *carabinieri*. I jedni, i drudzy chcą zapisać na swoim koncie rozwiązanie poważnego, lokalnego przestępstwa. Skoro policja pierwsza wpadła na trop właściwych sprawców, *carabinieri* musieli poszukać sobie innego podejrzanego.

Powiedział to i umilkł, zbyt ostrożny, by pytać Paolę, czy podziela podejrzenia Fendtsteiga. Już nawet zasugerowanie jej, że dopuszcza podobną możliwość, byłoby poważnym błędem.

Na obwodnicy Paola przyspieszyła. W zasnutej błękitem oddali przedalpejskie zbocza odcinały się bielą świeżo spadłego śniegu. Morris z prawdziwą przyjemnością uświadomił sobie, że podczas jego nieobecności Paola musiała przeprowadzić się. Jechali do Quinzano. Dzisiejszej nocy będzie spał w łóżku Mimi.

- Ale przecież coś musiałeś im powiedzieć, skoro zostałeś zatrzymany za odmowę zeznań. - Paola uparcie wracała do poprzedniego tematu. - Gdybyś milczał dalej, mogliby cię trzymać jeszcze przez pięć miesięcy.

Kiedy nie odpowiedział, roześmiała się.

- Oto przykład zaufania do partnera, któremu pragnie się dochować wierności.

Morris przygryzł wewnętrzną stronę policzka. Nic jej nie powie. Nie będzie mu dyktowała, co ma mówić albo czego ma nie mówić żonie, której obowiązkiem było wierzyć mu bez zastrzeżeń. „Szanować i być posłuszną”, przywołał w pamięci odpowiednie słowa. Widok kapliczki La Nostra Signora di Lourdes, tkwiącej na szczycie najbliższego wzgórza ponad miastem, przypomniał mu nagle jego ślubowanie.

- Skręć na światłach w prawo - polecił. Od tej pory to on będzie panem domu.

- Dlaczego?

- Skręć w prawo. Muszę iść do kościoła.
- *Scusa?* - Paoli najwyraźniej wydawało się, że się przestyszała.

Dziesięć minut później zapalał kosztującą czterysta lirów świecę w nieprzytulnym, nowoczesnym wnętrzu San Giovanni Fuori. Pochylając głowę, zajął miejsce w ławce, obok pełnej niedowierzania Paoli, myśląc przy tym o swojej wizycie w kościele razem z Massiminą, podczas pierwszego dnia ich ucieczki. Mimi tak bardzo pragnęła go wówczas nawrócić, a on odpychał ją od siebie, pełen cynizmu i poczucia wyższości. Cóż, w końcu zwyciężyła. Koło wykonało pełny obrót, on, Morris, poznał wreszcie, co znaczy pokora. Och, ileż dałby teraz za to, żeby znowu móc znaleźć się w domu Bożym, mając u swojego boku tamtą młodą, przepojoną entuzjazmem dziewczynę.

Wstał, żeby lepiej przyjrzeć się kiepsko namalowanemu *Oplakiwaniu* nad ołtarzem, po czym przeżegnał się i odmówił żarliwą modlitwę dziękczynną.

Stojąca za nim Paola szepnęła:

- Oszalałeś czy może jesteśmy śledzeni przez dziennikarzy?

Przy wychodzeniu z kościoła jeszcze w progu wyjęła z torebki papierosy i wtknęła jeden między jaskrawo umalowane wargi. Morris nie potrafił powiedzieć, czy jego żona maskuje w ten sposób swoje poirytowanie, czy zwykłą nerwowość.

Odwrócił się i teatralnym gestem położył dłonie na ramionach Paoli, zdeterminowany, aby dać jej kolejną szansę. Jego oczy - błękitne i nieruchome - poszukały jej oczu - brązowych i rozbieganych.

- *Cara*, jesteś w ciąży, więc naprawdę powinnaś przestać palić - powiedział wolno i dobitnie. - Chciałbym, abyśmy spróbowali odsunąć na bok wszystko inne i skupili się na stworzeniu zdrowej, szczęśliwej rodziny, jaka zawsze była moim marzeniem.

Ładne rysy jego żony stężały. Przez moment wydawało się, że Paola wybuchnie śmiechem, ale tak się nie stało. Z jej twarzy odpłynęły wszystkie kolory.

- Kto mówi, że jestem w ciąży?

- Wiem, że jesteś. Dowiedziałem się tego we śnie.

Wracając do samochodu, usłyszał dzwoniący telefon. Ponieważ Paola zdążyła już odblokować drzwi, szybko sięgnął po słuchawkę. Ale dzwoniący, słysząc jego *pronto*, natychmiast przerwał połączenie, zorientowawszy się widocznie, że wybrał zły numer.

---

## 24

---

Jeszcze tego samego dnia Morris sporządził listę. Znalazły się na niej następujące punkty: pokierować wytwórnią (sprawdzić stan ksiąg rachunkowych, planowane inwestycje), uszczęśliwić imigrantów, ułagodzić Forbesa, uporządkować dom w Quinzano (kupić meble i jeden albo dwa obrazy), ułożyć sobie stosunki z żoną (w jaki sposób?), a przede wszystkim - pilnować własnej skóry. Siedząc przy siedemnastowiecznym biurku w niewielkim pokoiku, który postanowił przekształcić w swój gabinet, przystojny, młody Anglik czuł się przerażony i jednocześnie podniecony perspektywą nadchodzących tygodni. Oczywiście gdyby ułożyć zobowiązania według ich ważności, pilnowanie własnej skóry zdecydowanie musiało znaleźć się na pierwszym miejscu, gdyż powodzenie pozostałych punktów planu zależało przede wszystkim od tego jednego.

Morris siedział wyprostowany przy eleganckim biurku, ssąc końcówkę swojego parkera i rozkoszując się odzyskaną wolnością. Czy *carabinieri* naprawdę już stracili zainteresowanie jego osobą, czy też nadal pozostawał głównym podejrzanym? Trudno powiedzieć. Jeśli idzie o Fendtsteiga, może chwilowo wystarczy mu dostarczona przez Morrisa historia, aczkolwiek dziwaczna i jeszcze dziwniej przedstawiona. Teraz skoncentruje się na niej, usiłując dowieść jej fałszywości. Tak, niewykluczone, że wypuścili go, nie stawiając dalszych oskarżeń,

wyłącznie po to, żeby później przyłapać go, na jakimś potknięciu. Śledzą go czy też może darowali sobie?

Główny problem polegał na tym, że nic nie wiedział, przede wszystkim zaś nie wiedział, ile wiedzą tamci.

Na przykład, czy to możliwe, aby do tej pory nie znaleźli samochodu? Przecież specjalnie porzucił go w takim miejscu, w którym powinien zostać odkryty niemal natychmiast! W zakątku, w którym porzuciłby samochód każdy szanujący się przestępca - w sosnowym lesie, porastającym jedno ze wzgórz. Tymczasem okazało się, że na policjantach w ogóle nie można było polegać. Nie mieli pojęcia o najbardziej nawet podstawowych sprawach! Wstyd doprawdy. Człowiek wrzucał im do stawu złotą rybkę, a oni nawet nie potrafili jej wyłowić. W gazetach nie było ani jednego słowa o odnalezieniu audi.

Albo czy naprawdę *carabinieri* uwierzyli w winę dwóch głupkowatych imigrantów, czy też Fendtsteig poluje teraz na nich, bo nie udało mu się dostać Morrisa?

Morris zapatrzył się w jedno z licznych przenajświętszych serc z supermarketu, wiszących na ścianie, zastanawiając się, czy wybór tak jarmarcznej tandety nie był przypadkiem ze strony Signory Trevisan świadomym aktem umartwiania się, odrzuceniem wysublimowanej, pokornej, religijnej kontemplacji w aroganckiej pogardzie dla estetyki. Chyba jednak nie, zważywszy jej chłopskie pochodzenie. Zatrzyma te bohomy, postanowił. Będą stanowiły pokutę dla jego wyrafinowanego smaku, świadcząc jednocześnie o szczerości jego nawrócenia. Jutro jest niedziela, więc pójdzie na mszę, odprawianą przez Don Carla w kościele w Quinzano. Da mu to znakomitą sposobność zobaczenia Antonelli i zapewnienia jej, że naprawdę nie miał nic wspólnego z tym, co spotkało Boba. W przypadku Paoli zależało mu przede wszystkim na jej przechytrzeniu i zapewnieniu sobie prywatności, natomiast myśl, że szwagierka mogłaby go podejrzewać, raniła go boleśnie.

Przez chwilę rozważał to subtelne rozróżnienie. Tak, tęsknił do spotkania z Antonellą, tęsknił do chwili, kiedy podzieli się z nią nowiną o swoim nawróce-

niu, opowie o całkowitym zwróceniu ku Chrystusowi i chrześcijaństwu oraz o zamiarze zbudowania kaplicy na terenach należących do Trevisan Wi-nes. W przeciwieństwie do jego żony Antonella go nie wyśmiej, nie zacznie czynić kpiących uwag o jedzeniu ryb w każdy piątek i odmawianiu modlitwy przed posiłkiem albo pytać, czy robotnicy niechodzący do kościoła i nieczyniący znaku krzyża przed ołtarzem zostaną zwolnieni z pracy. Morris uśmiechnął się słabo na to wspomnienie. O tak, życie z Paolą z pewnością okaże się pokutą, i to srogą.

Jeszcze raz przyjrzał się swojej liście. Pod nagłówkiem WŁASNA SKÓRA DO PILNOWANIA zaczął wpisywać kolejne podpunkty:

1. Samochód Boba: posłać Kwamego, żeby sprawdził, czy nadal stoi tam, gdzie go porzuciliśmy.
- 2.Kwame: czy policja zadawała mu jakieś niewygodne pytania?
- 3.Azedine i Farouk: nie wygłaszać zbyt pochopnych, potępiających sądów.
- 4.Mimi: usunąć z biura dokumentację. Pilne!!!
- 5.Stan: jego rozmowy z Antonellą. Unikać czy stawić czoło?
- 6.Trumny: możliwość ekshumacji? Odmówić zgody, argumentując, że byłby to zbyt wielki szok emocjonalny dla rodziny.
- 7.Ślady pozostawione w biurze: odciski palców, świadkowie, strzępki skóry i tym podobne. Zastanowić się szczegółowo.
- 8.Anonimowy telefon: spróbować ustalić, kto dzwonił, mężczyzna czy kobieta.
- 9....

Nie, to było beznadziejne. Morris przerwał pisanie. Nie sposób przecież, aby dał radę to wszystko kontrolować. Jak miał się dowiedzieć, co Fendtsteig wie, co mógł odkryć albo jakich dowodów potrzebował, aby uzyskać nakaz aresztowania. Zwłok? Świadców? To zdumiewające, pomyślał, zbaczając niebezpiecznie od sensownych, praktycznych rozwiązań ku filozoficznym zawiłościom, jak swobodnie i w całkowitej ignorancji żyje człowiek - każdy człowiek -dopóki nie

dowie się czegoś albo nie robi czegoś, o czym inni nie powinni się dowiedzieć. Z tą chwilą musi stać się niemal wszechwiedzący, śledzić uczynki, a, nawet myśli innych, wyłącznie po to, aby mieć pewność, że jego tajemnica pozostaje tajemnicą.

Z chwilą popełnienia przestępstwa człowiek stawał się bez mała Bogiem. *Którękolwiek dnia z tego drzewa jeść będziecie, otworzą się oczy wasze: a będziecie jako bogowie, znając dobre i złe*, przypomniał sobie biblijne słowa<sup>\*85</sup>.

Morris wstał, zerknął na swoje odbicie w szybie biblioteczki, poprawił krawat (co za przyjemne uczucie, znowu móc założyć któreś ze swoich eleganckich ubrań) i sięgnął po telefon. Połączył się z inspektorem Marangonim i zaczął mu gratulować aresztowania imigrantów. Dzięki Bogu, że policji udało się ich wreszcie schwytać, ponieważ ten Fendtsteig, Fennstig czy jak on się tam zwał i jego *carabinieri* zdawali się wcale nimi nie interesować.

- Mam nadzieję, że więzienie nie okazało się dla pana zbyt uciążliwym przeżyciem. - Marangoni był jak zwykle ostrożny.

Morris zawahał się. Wiedział, że powinien się trzymać raz obranej linii, jednak bez przesady.

- Z punktu widzenia interesów była to prawdziwa katastrofa - zaczął wolno. - Jednoczesna nieobecność Boba i moja... firma po prostu dryfowała, nie miał nią kto zarządzać. A tak nawiasem mówiąc, chyba nie mam żadnej szansy na odškodowanie, prawda? - Zanim Marangoni zdążył wypowiedzieć nieuniknione „nie”, Morris dodał wymijająco: - Natomiast z osobistego punktu widzenia, to sam nie wiem, myślę, że zatrzymanie okazało się dla mnie czymś w rodzaju przełomu. Miałem czas, aby przemyśleć sobie wiele spraw.

Marangoni zdobył się na coś w rodzaju ponurego chichotu.

---

<sup>85</sup> \* Wszystkie cytaty z Biblii za: Biblia to jest Pismo święte Starego i Nowego Testamentu z hebrajskiego i greckiego języka na polski pilnie i wiernie przetłumaczone, Warszawa 1925, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne.

- Czasami wydaje mi się, że sam nie miałbym nic przeciwko temu, żeby z miesiąć posiedzieć. Przynajmniej odpocząłbym trochę od pracy.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedział Morris uprzejmie.

- A wracając do tematu - podjął Marangoni - obawiam się, że o żadnej rekompensacie nie może być mowy, skoro jeśli dobrze zrozumiałem, sam pan wybrał opcję milczenia w sytuacji, w której zachodziło realne niebezpieczeństwo, że wpłynie to na przebieg śledztwa.

Morris pozwolił sobie na krótką, pełną zakłopotania ciszę.

- Tak, rozumiem, właściwie powinienem przeprosić, jeśli w jakikolwiek sposób wstrzymałem śledztwo, jednak od mówienia powstrzymały mnie naprawdę czysto osobiste względy. Bardzo mnie żenowała ta sytuacja.

- Zdołałem się zorientować - skomentował Marangoni oględnie.

- W każdym razie dzwonię, aby panu pogratulować. Domyślam się, że nie było łatwo wytropić tamtą dwójkę. - Zawahał się. - Chciałem też powiedzieć, że gdybym tylko mógł pomóc w jakikolwiek sposób, z radością to uczynię.

- Będziemy w kontakcie - skwitował propozycję Marangoni.

Ale pomysł Morrisa polegał na czymś zupełnie innym.

- Bo widzi pan... - Tak?

- Bo widzi pan, siedząc w więzieniu, coś sobie przypomniałem, nie wiem jednak, czy to da się w jakikolwiek sposób potwierdzić. Jeżeli nie, może nie ma nawet sensu, żebym o tym wspomniał.

- Proszę mówić dalej - zaproponował Marangoni.

Czy głos inspektora brzmiał niezachęcająco? Morris uznał, że tak.

- Och nie - powiedział. - To pewnie nic ważnego.

- Signor Duckworth, jeśli pan... Teraz już lepiej.



- Po prostu zastanawiam się, czy podczas zabezpieczania śladów w biurze trafił pan może...

Traf chciał, że Paola wybrała sobie ten akurat moment, żeby wetknąć głowę w drzwi. Nawet przedtem nie zapukała! Zdecydowanie będzie musiał skończyć z tym jej zwyczajem.

- Na co? - Zainteresowanie Marangoniego wyraźnie rosło.

- Goście do ciebie - zaanonsowała Paola, po czym zatrzymała się w progu, żeby posłuchać. A przecież małżeństwo polegało także na opanowaniu sztuki zostawiania partnerowi określonej przestrzeni do oddychania, niezbędnej każdemu człowiekowi, choćby był nawet święty.

- Czy wśród śladów zabezpieczonych w biurze był także popiół papierosowy?

Marangoni milczał przez chwilę.

- Signor Duckworth, nawet gdyby nie znajdował się pan w tak dwuznacznej sytuacji, byłoby wysoce nieprofesjonalne z mojej strony zdradzać panu wyniki badań laboratoryjnych. Może więc po prostu powie mi pan, co ma pan do powiedzenia.

- Skoro niektórzy nadal upierają się, aby widzieć we mnie głównego podejrzanego, nie chciałbym, aby moje postępowanie zostało odebrane jako zbyt nadgorliwość - zaczął się wycofywać Morris.

Zobaczył, że Paola potrząsa głową, a jej jaskrawo pomalowane wargi układają się w uśmiech, zaintrygowany i ironiczny zarazem. Cóż, mógł tylko mieć nadzieję, że rychle macierzyństwo da jej wreszcie jakieś sensowne zajęcie.

Morris zmarszczył brwi.

- Otóż przypomniałem sobie, że tamtego ranka w biurze, kiedy zobaczyłem przewracane meble i całą resztę, poczułem wyraźnie zapach krótkich cygar. Wie pan, taki ostry, ordynarny zapach dymu tytoniowego. Myślę, że warto by sprawdzić, czy któryś z aresztowanych przez pana imigrantów pali krótkie cygara. Jednak jeśli nie dysponuje pan żadnymi śladami, które mogłyby potwierdzić...

Inspektor Marangoni powiedział, że zajmie się tym. Wszelka informacja zawsze jest użyteczna. Pod warunkiem, że faktycznie jest informacją.

- Zdecydowanie zapach krótkich cygar - powtórzył Morris. Odłożył słuchawkę, podenerwowany, ale i pełen euforii.

Paola nadal potrząsała głową.

- Czy nie sądzisz, że rozsądniej byłoby pozostawić sprawę własnemu biegowi?

- Jak to? - udał zdumienie Morris. - Przecież staram się tylko, aby ta straszliwa historia przestała wreszcie mnie obciążać. Im więcej powiem, tym szybciej policja odnajdzie sprawcę. A teraz mów, kto przyszedł.

W holu, wśród antycznych mebli, w woni wosku do polerowania, stali Forbes i Kwame; drobny, niepozorny Anglik w okularach obok imponującej, czarnej sylwetki. Kwame promieniał, prezentując między rozciągniętymi w uśmiechu mięsistymi wargami wspaniałe olśniewająco białe zęby.

- *Quod bonum, felix, faustumque sit* - obwieścił Forbes tonem, jakim dyrektorzy Eton czy Harrow zwykli intonować modlitwę. Odwrócił się do ściany, wziął do rąk wielką, płaską paczkę, owiniętą brązowym papierem. - Morris, oto skromny dowód moich uczuć do ciebie. Kiedy dowiedziałem się, że nie będę mógł cię odwiedzić, postanowiłem przygotować coś na twój powrót.

Forbes nie skończył jeszcze przemowy, kiedy Kwame wystąpił naprzód, objął Morrisa mocnym uściskiem i ucałował w oba policzki.

- To dobrze, że szef wrócił - powiedział.

Zdając sobie sprawę, że Paola bacznie obserwuje ich obu, Morris szepnął mu do ucha:

- Dziękuję ci, że nie uciekłeś. Musimy później porozmawiać.

Afrykanin nadal ścisnął go mocno, nie posiadając się z radości.

- Szefie, jesteś najlepszy. Teraz już wszystko pójdzie dobrze.

Paola szeroko otworzyła oczy. Czując przyjemne ciepło i uczucie pewności, wypełniające całe ciało, Morris pomyślał, że teraz wreszcie pokaże jej, jak żywe uczucia sympatii potrafi wzbudzać w tych, którym pospieszył z pomocą. Wyzwolił się z objęć Kwamego i nagle jego oczom ukazała się Massimina.

Zamarł, ogarnięty jednym z przytrafiających mu się coraz częściej przerażających momentów nagłej i całkowitej dezorientacji. Tak, to naprawdę była ona: jej twarz, jej włosy, jej figlarny uśmiech, igrający na różowych wargach. Ubrana była tak jak w jego śnie, w mieniącą się błękitem i czerwienią szatę *Vergine incoronata*. Co przyszła mu powiedzieć? Przed czym go ostrzegła? Czy znowu będzie musiał kogoś zabić?

- Dwa tygodnie pracy - uśmiechnął się Forbes. - Tak jak sobie życzyłeś, pamiętasz? Dowód mojej wdzięczności. Aha, rozmawiałem z przedsiębiorcą budowlanym, ma przygotować kosztorys remontu willi.

Morris był blady jak ściana.

- Mo! - zawołała Paola.

Ciemność napływała falą, zagarniała coraz większe połacie mózgu. Niemal poddał się jej, jednak największym wysiłkiem woli udało mu się ją odepchnąć. Obraz Massimi-ny żywej zredukował się do jej wizerunku odtworzonego farbami na płótnie.

- Hej, szefie! - Ramię Kwamego ponownie spoczęło na barkach Morrisa.

- Przepraszam, już mi lepiej. Nadmiernie się wzruszyłem waszą życzliwością - wymamrotał. - Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę z powrotu do domu. Powiesimy obraz w sypialni.

Tam, gdzie później tego samego wieczoru Paola zaczęła protestować, że nawet jego nawrócenie się na katolicyzm nie jest powodem, aby mieli zaprzestać używania prezerwatyw. Morris przypomniał jej, że skoro jest w ciąży, prezerwatywa i tak nie ma żadnego sensu. Paola potrząsnęła głową. Jak niby miałyby być w ciąży, skoro zawsze się zabezpieczali? Skąd przyszedł mu do głowy tak idiotycz-

ny pomysł? A kiedy miała ostatni okres? - zapytał Morris. Och, przecież często zdarzały jej się nieregularności i on dobrze o tym wie.

Paola mierzyła go niespokojnym spojrzeniem. Ubrana była w pas do podwiązek i wyzywająco skąpe majtki, w których czasami masturbowała się przed lustrem.

- Może powinnaś kupić test ciążowy - zasugerował Morris. Chyba nigdy jeszcze nie czuł się mniej podniecony, przynajmniej seksualnie.

- To łóżko musi stąd wywędrować - zapowiedziała Paola. - Jest stare i całe popadane. Brzydzę się nim. Zamiast niego sprowadzimy nasze dawne z Montorio.

Po moim trupie, pomyślał Morris, wymieniając ukradkowe spojrzenie z Masiminią. Spoglądając na obraz już chłodnym okiem, zauważył, że jej twarz miała bardziej chłopięcy wyraz niż na oryginale, była nieco podobna do twarzy androgicznego Chrystusa, który wywarł takie wrażenie na więziennym psychiatrze.

- *A proposito* - powiedziała Paola - czy nie sądzisz, że oddanie naszego mieszkania temu wielkiemu, czarnemu chłopakowi to zbytnia ekstrawagancja?

- Był to z mojej strony gest czystej życzliwości.

- Dlaczego akurat jemu, a nie któremuś z pozostałych? Albo nie wszystkim? To by dopiero wkurzyło dewelopera.

Morris milczał. Czyż obowiązkiem żony nie było ufać swojemu mężowi bez zastrzeżeń? Paola siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, wyraźnie kusząc go swoimi wdziękami. Dłonią lekko pieściła łono. Kiedy Morris nadal nie przejawiał zapału, powiedziała:

- Wiesz, jeśli to ty załatwiłeś Boba, nawrócenie religijne nie jest chyba najlepszym pomysłem.

Morris poderwał się gwałtownie.

- Co to znaczy, jeśli to ja załatwiłem Boba? Paola roześmiała się.

- Mały test. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - W tobie, Mo, jest coś dziwnego, czuję to wyraźnie. Ostatnio zachowywałeś się czasami tak niesamowicie, że aż mnie to przerażało. A tak nawiasem mówiąc, jak myślisz, co przytrafiło się Bobowi?

- To chyba dość oczywiste. Imigranci go załatwili.

W tym momencie Morris doszedł do wniosku, że - nieważne, czy ma na to ochotę, czy nie - będzie musiał odwrócić czymś uwagę tej kobiety. Skuteczny sposób był tylko jeden. Aby nie wracać do dyskusji na temat prezerwatyw i nie musieć po raz kolejny powtarzać, że przysiągł nigdy już ich nie używać, pociągnął Paolę ku ich pierwszej przygodzie analnej, która ku jego zdumieniu okazała się wcale nie taka niemiła.

Następnego dnia wypadła niedziela. Morris obudził się wcześnie w doskonałym nastroju, z miłym poczuciem wyższości, jakie ogarnia zrywającego się z łóżka człowieka na widok kogoś, a już zwłaszcza własnej żony, gnuśnie zagrzebanego w pościeli. Większość ludzi zdawała się kompletnie pozbawiona świadomości celu. Pod tym względem on, Morris - co było prawdziwie zaskakujące - odczuwał swego rodzaju pokrewieństwo z obrzydliwym, ale przecież bez wątpienia świadomie zmierzającym do celu Fendtsteigiem. Tak, to byta naprawdę interesująca paralela.

Myśl, że nadal jest zdolny do nowych spostrzeżeń, stanowiła dla niego prawdziwe pokrzepienie. Założył jedwabny szlafrok od Armaniego, przeżegnał się przed wizerunkiem Massiminy i powiedział głośno, na wypadek gdyby słuchała go któraś z dwóch obecnych w sypialni kobiet, że wpadnie do wytwórni, gdzie ma do załatwienia kilka spraw, a potem pójdzie na mszę. Od tej pory miał zamiar

czynić tak każdego dnia. Niczym obecny premier Andreotti. Uśmiechnął się, przypominając sobie czytany kiedyś artykuł mówiący, że Andreotti oskarżony był już chyba o wszystko, co możliwe, od defraudacji, przez *associazione mafiosa*<sup>\*86</sup>, po morderstwo. Nigdy natomiast na niczym go nie złapano. Nigdy, przynigdy. Takie właśnie były Włochy. Uświadomiwszy to sobie, człowiek od razu czuł się lepiej.

W łazience Morris umył się i ogolił, myśląc przy tym, że w odpowiednim czasie wysłużone, ceramiczne kafelki będą musiały ustąpić bardziej stosownym białym marmurom. Podobnie trzeba będzie się pozbyć starych kranów z kości słoniowej ze złoceniami, a w ogóle to wymienić całą armaturę, gdyż obecna, stanowiąca efekt niefortunnej modernizacji z lat pięćdziesiątych, boleśnie kojarzyła się z wystrojem publicznych toalet.

Starannie wytarł twarz i już miał opuścić pomieszczenie, kiedy przypomniał sobie wskazówkę, jakiej udzielił mu w więzieniu przyjemny, młody człowiek. Już wówczas obiecał sobie, że wykorzysta ją przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Z półeczki nad wanną wziął niewielką, żółtą gąbkę, osuszył ją dokładnie i schował do kieszeni. Zszedłszy na dół, do kuchni, oderwał plastikowy woreczek z rolki, po czym następne pięć minut spędził, próbując otworzyć to draństwo. Czy aby na pewno zaczął z właściwego końca? To tyle, jeśli idzie o współczesne udogodnienia. Otworzył lodówkę i wepchnął gąbkę w bajorko tłustego sosu, zastygającego wokół resztek wczorajszego, uroczystego rostbefu (niestanowiącego bynajmniej efektu niezwykłych kulinarnych poczynań Paoli, lecz będącego dziełem starej *donna di servizio* Signory Trevisan, która - co go niezmiernie satysfakcjonowało - zdawała się po prostu należeć do „wyposażenia” domu). Po chwili nasączona sosem gąbka zaczęła przypominać brązowy, lepki kawałek mięsa. Morris wsunął ją do woreczka, zawiązał jego koniec na supeł i włożył zawiniątko do kieszeni. Będzie miał przednią zabawę, a oprócz tego wrzuci kolejną fałszywą przynętę do i tak już zmaconej wody. Po raz pierwszy

---

<sup>86</sup> \* Przynależność do mafii.

od wielu tygodni z lekkim sercem założył płaszcz i wyszedł na dwór. W powietrzu pachniało zbliżającą się wiosną.

Było koło ósmej rano, ale na drodze panował już spory ruch; sznur samochodów ciągnął w kierunku wielkanocnych ośrodków narciarskich w rodzinnych stronach Fendtsteiga. Morris prowadził ostrożnie, napawając się świeżo odzyskaną wolnością i rozległymi widokami: nakrytymi czapami śniegu szczytami na północy i jaśniejącym w słońcu miastem i równiną na południu. Przez chwilę porozmawiał z Massiminą na temat ciąży Paoli (ponownie zapewniła go, że to prawda i że ciąża trwa już co najmniej dwa miesiące), po czym zatrzymał się, żeby kupić lokalną gazetę. I tu czekała go kolejna miła niespodzianka. Pośród codziennych, trywialnych historii o urzędnikach przyjmujących łapówki, porzuconych w śmietnikach noworodkach i młodocianych narkomanach rozprawiających się tasakami ze swoimi skapiącymi im pieniędzmi rodzicami, natrafił na cudownie sztamkowy nagłówek:

#### *MAROCCHINO* I EGIPCJANIN OSKARŻENI O ZAMORDOWANIE LOKALNEGO PRZEMYSŁOWCA.

Morris wrócił do trafiki, kupił tabliczkę szwajcarskiej czekolady, potem rozparł się wygodnie na skórzanym siedzeniu mercedesa i z prawdziwą przyjemnością pogрузił się w lekturze.

Jeśli wieści okażą się obiecujące, może warto będzie zadzwonić do ojca? Podejrzaną dwójkę postawiono w stan oskarżenia, mimo że nie udało się odnaleźć zwłok. No i dzięki Bogu. *Marocchino* miał jednak przy sobie scyzoryk ze śladami krwi tej samej grupy co zaginiony Posenato. Interesujące! Ponadto u młodego wspólnika Marokańczyka znaleziono kosztowny srebrny przycisk do papieru, który zawsze znajdował się na biurku Posenata (Morris absolutnie nie przypominał sobie takiego przedmiotu), wreszcie każdy z mężczyzn miał przy sobie skromną sumkę w gotówce. Banknoty nosiły podobne numery serii co znajdujące się w jednym z firmowych sejfów. Przedstawiona przez imigrantów historia, że wrócili do Werony, aby złożyć skargę przeciw nielegalnemu zwolnieniu z pracy, i nie mieli pojęcia o zniknięciu Boba, brzmiała zupełnie nieprawdopodobnie i nie

przekonała policji. Wręcz przeciwnie, zdaniem policji, prawdziwym powodem powrotu podejrzanych do miasta była chęć odzyskania ukrytych podczas ucieczki przedmiotów, w tym należącego do zaginionego audi 100, którego do tej pory nie udało się odnaleźć i w którym mogły znajdować się zwłoki. Zważywszy wagę popełnionego przestępstwa, *marocchino* i jego egipski współnik będą sądzeni *per direttissima*. To znaczy możliwie jak najprędzej.

Morris pochłoniął resztę czekolady i starannie wytarł palce w chusteczkę do nosa. Był zachwycony, choć jednocześnie nie wszystko do końca rozumiał. Co na przykład miało znaczyć: „w jednym z firmowych sejfów”? Z pewnością nie w tym za skrzynką z bezpiecznikami, gdyż ten opróżnił własnoręcznie, nie pozostawiając policji żadnych banknotów do porównania. Z kolei główny sejf nigdy nie zawierał gotówki. Jedyne sensowne wytłumaczenie brzmiało, że Bobo sam wręczył obu mężczyznom drobną sumkę pieniędzy (co za nieoczekiwana szczodrość z jego strony), wyjętą z trzeciego sejfu, o którym Morris nie miał bladego pojęcia, a o którego istnieniu poinformował policjantów ktoś inny, pewnie Antonella. Inaczej jak mogliby znaleźć w nim banknoty do porównania? Cóż, nie dosyć, że potwierdzało to kiepską opinię, jaką Bobo miał o Morrisie, i upór, z jakim sam chciał zarządzać firmą (ciekawe, ilu jeszcze rzeczy Morris nie wiedział), to jeszcze rodziło kolejny problem. Po takim odkryciu policja mogła podejrzewać, że on, Morris, zataił przed nimi dowody, co prawda niedotyczące bezpośrednio zniknięcia Boba, za to wskazujące na rozmiar prowadzonych przez wytwórnę nielegalnych interesów. A swoją drogą, jak policjantom mogło przyjść do głowy, że Azedine i Farouk zabrali tylko część zgromadzonych w sejfie pieniędzy? Przecież to było zupełnie niedorzeczne!

Generalnie jednak nowiny były wspaniałe, szczególnie ta o splamionym krwią nożu. Właściwie ustawiały Morrisa na całe życie, czyniły go człowiekiem sukcesu, zanurzającym dłonie w źródle bogactwa i kierującym się sercem, aby najroztropniej i najwłaściwiej spożytkować nagromadzone dobra. Wszak Pismo mówiło wyraźnie: *A wiemy, iż tym, którzy miłują Boga, wszystkie rzeczy dopomagają ku dobremu, to jest tym, którzy według postanowienia Bożego powołani są.* Wystarczyło mieć wiarę. Ogarnięty niewinną radością Morris sięgnął po telefon, że-



by podzielić się swoim entuzjazmem, najpierw z Massiminą, a następnie, już w mniej bezpośrednim przekazie, z ojcem.

Zapomniawszy wybrać jej numer w rajku, tak jak to zwykle robił, kiedy rozmawiał z nią przez telefon w samochodzie, odruchowo posłużył się przyciskiem łączącym z ostatnio wybieranym abonentem. Ledwo zaczął wyrażać Mimi swoją wdzięczność za to, że tak efektywnie odegrała rolę jego anioła stróża, kiedy w słuchawce rozległ się sygnał łączenia. Gdzie to dzwoniło?

W niebie?

Zawahał się, próbując sobie przypomnieć, czy od wczorajszego wyjścia na wolność telefonował już do kogoś. Chyba nie. W tym momencie usłyszał głęboki głos, z pewnością nienależący do Massiminy, ale jednocześnie doskonale mu znany.

- *Pronto*.

Zaskoczyło go to.

-*Pronto* - powtórzył głos z wyraźnym zniecierpliwieniem i jednocześnie w słuchawce dały się słyszeć jakieś trzaski.

- Kwame - powiedział Morris - słuchaj, Kwame, właśnie jadę do ciebie. Czeka nas robota.

Dziwne, ale w tym momencie poczuł się tak, jakby wcale nie zamierzał dzwonić do nikogo innego.

Dziesięć minut później, parkując przy Via dei Gelsomini, Morris z satysfakcją zauważył świeże graffiti na murze otaczającym ogród jego dawnego kondominium. Metrowej wysokości litery głosiły: *FORA INERÌ DAL VENETO. CZARNI PRECZ Z VENETO*.

Idący ścieżką od głównych drzwi sąsiad tylko skrzywił się na jego *buon giorno*. Morris uśmiechnął się chyba zbyt szeroko. Kiedy znalazł się w mieszkaniu,

Kwame pokazał mu list, który mniej więcej tydzień temu został wsunięty pod drzwi w niezaklejonej kopercie.

*Egregio*<sup>\*87</sup> *Signor Duckworth*.

Proszę przyjąć moje szczere kondolencje z powodu śmierci Pańskiej teściowej. Mam nadzieję, że owa strata nie okazała się zbyt bolesna dla Pana i dla Pańskiej Małżonki. Od pozostałych członków kondominium dowiedziałem się, że postanowił Pan opuścić Via dei Gelsomini i przenieść się do rodzinnego domu żony. W takim wypadku zastanawiam się, czy zamiast podnajmować mieszkanie lokatorowi, co nigdy nie jest dobrym wyjściem w tego typu wspólnotach właścicieli, nie uznałby Pan za wygodniejszą inną opcję, mianowicie odsprzedania mi mieszkania za cenę, jaką zechce Pan sam określić.

*In fede*,<sup>\*88</sup>

SILVANO CASTELLANI

Wreszcie go miał! Morris poczuł się jak w siódmym niebie, zwłaszcza kiedy zobaczył, że Kwame bynajmniej nie przekształcił mieszkania w chlew. Przeciwnie, okazał się znacznie bardziej pedantyczny i porządny niż Paola. Wszystkie dywany leżały starannie wyrównane, cenny księgozbiór Morrisa stał na półkach w idealnym porządku, nie widać było walających się po kątach przedmiotów, z którymi musiał się pogodzić, mieszkając z Paolą, owych niedbale ciśniętych w kąt pantofli czy pilników do paznokci wepchniętych między poduszki sofy. Nie, ten chłopak traktował mieszkanie prawie jak muzeum. A jeśli wewnątrz wydziało teraz inny zapach niż wówczas, kiedy zajmowali je on i Paola, to wyłącznie dlatego, że czarni pachnieli odrobinę inaczej, gotowali inne potrawy i wybierali inaczej pachnące środki czyszczące, perfumy, szampony i tym podobne produkty. Tak samo jak preferowali mentolowe papierosy. Ale w końcu czyż to nie różnice nadawały życiu smak? Czym ci sąsiedzi tak się przejmowali?

---

<sup>87</sup> \* Szanowny.

<sup>88</sup> \* Z szacunkiem.

Dlaczego Trevisanich tak bardzo niepokoiła jego osoba? Nie, tu nie mogło być żadnych wątpliwości, kto naprawdę zachowywał się niegodnie! On, Morris, nigdy nie żywił żadnych uprzedzeń ani też nie skrzywdził nikogo, kto traktował go właściwie. Objął Kwamego i serdecznie poklepał chłopca po wielkich, czarnych plecach. To pewnie Paola dzwoniła do niego wcześniej, aby omówić kwestie przeprowadzki.

Kwame miał na sobie modny, jasnobłękitny dres i elegancki kaszmirowy płaszcz. A więc nie przepuszczał zarobków na papierosy i alkohol. Morris uświadomił sobie nagle, że ze wszystkich znanych mu ludzi ten potężny Afrykanin jest mu najbliższy, jeśli idzie o psychikę i zachowanie; ów wyrzutek, który w rezultacie okazał się bardziej cywilizowany niż społeczeństwo, którego członkiem pragnął się stać i które ustawicznie go odrzucało.

Kwame pokazał mu ślad po ciśniętym w okiennicę kamieniu, a Morris obiecał, że powiadomi o tym policję. Kiedy szli do samochodu, specjalnie ujął chłopca pod ramię i powiodł go na przechadzkę po rozległym ogrodzie, w którym z wilgotnej trawy wychylały główki pierwsze wiosenne kwiaty. Niech sąsiedzi widzą, że chłopak ma jego pełne poparcie.

Odwracając się zniechęca, zobaczył poruszającą się zasłonę w jednym z okien. Lucia spod trójki. Szpiegowała ich. Lepiej już być nie mogło.

Wsiedli do mercedesa. Morris wręczył Kwamemu kluczyki.

- Od tej chwili ty sprawujesz opiekę nad samochodem -powiedział. - Codziennie rano zajedziesz po mnie do Quin-zano nie później niż o siódmej trzydzięci. Przez cały dzień będziesz mi albo towarzyszył, albo czekał na mnie w zaparkowanym samochodzie, i tak aż do wieczora.

- Dobrze, szefie.

- Mam nadzieję, że nie miewasz kłopotów z porannym wstawaniem, gdyż nie znoszę, kiedy ktoś się spóźnia.

- Nie, szefie.

- No to teraz do Trevisan Wines, potem do Villa Caritas, a na koniec do kościoła.

Biorąc ostry zakręt, Kwame z całkowitym spokojem wyprzedził inny samochód. Morris zacisnął powieki. Nie mógł nie podziwiać opanowania chłopaka, podobnie jak nie mógł nie podziwiać zdumiewającej powściągliwości, z jaką ten podchodził do popełnionej przez nich wspólnie zbrodni. Nawet nie zapytał, co Morris powiedział podczas przesłuchań, nie zająknął się ani słowem na temat, co powiedział on sam. Zupełnie jakby wcale nie przejmował się swoim losem. Albo raczej, jakby bez zastrzeżeń wierzył, że Morris ma wszystko pod kontrolą.

Podobną ufność pokładała w nim Massimina. To było naprawdę fascynujące porównywać ludzi, rozważać podobieństwa i różnice między nimi. Przez dobrych kilka minut Morris czuł się autentycznie szczęśliwy.

- A tak nawiasem mówiąc, Azedine i Farouk zostali postawieni w stan oskarżenia. Niedługo rozpocznie się ich proces.

Kwame tylko skinął głową. Jechał teraz niebezpiecznie blisko trzykołowego furgonu, załadowanego złomem. Na chy-boczącym stosie pordzewiałych sprężyn siedział mały piesek, co chwila zerkający ku nim, zupełnie jakby miał zamiar zeskoczyć na gładką, białą karoserię mercedesa. Ten widok przypomniał Morrisowi o trzymanej w kieszeni gąbce. To dopiero będzie poranek. Najpierw deweloper, a potem pies.

- Nie sądzę, aby mogli ich skazać na podstawie posiadanych dowodów - powiedział. - A ty jak uważasz? Oczywiście ich aresztowanie pozwoli nam trochę odetchnąć.

Kwame ponownie zademonstrował całkowitą obojętność. Tu wykazał się pewną bezduszością, w przeciwieństwie do Morrisa, który - inaczej niż jego współnik - dostrzegał także moralną stronę zagadnienia. Za ich postępek miał teraz cierpieć ktoś inny.

- Zresztą zważywszy na ich tryb życia, ci biedacy pewnie i tak mają AIDS.

Kwame ostro zaatakował zakręt, wyprzedzając na trzeciego.

- Nie sądzisz?

Kwame wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Sądzę, że szkoda tego wielkiego audi, szefie - powiedział. - Lubię wielkie samochody.

- W swoim czasie sprezentuję ci podobny - obiecał Morris.

Jeśli idzie o rozważanie kwestii etycznych, najwyraźniej nie miał szans na wyciągnięcie od Kwamego zbyt wiele.

Kiedy pojawili się w Trevisan Wines, ogromny doberman przywitał ich ze zwykłą wrogością, doskakując do drzwi samochodu z wyszczerzonymi zębami. Najwidoczniej któryś z robotników dostał polecenie, aby na weekend spuszczać bestię z łańcucha. Wielkie łapy sięgały okna, z otwartej, czarnej paszczy wydobywał się głuchy warkot. Morris namacał w kieszeni paczuszkę z gąbką i polecił Kwamemu opuścić nieco szybę. Szybko wepchnął gąbkę między potężne szczęki. Tym samym zademonstrował, jak wielką naiwnością było trzymanie psa w charakterze stróża, gdyż doberman natychmiast zabrał się do przeżuwania kąska, pozwalając im spokojnie wysiąść i otworzyć drzwi prowadzące do biura.

Boleśnie powolna śmierć, obiecywał student weterynarii, pederasta, jak się okazało. Czas pokaże.

To dziwne uczucie, pomyślał Morris, przekraczając próg, z powrotem znaleźć się w tym zapuszczonym pomieszczeniu w cztery czy pięć miesięcy po dniu (*U giorno dei morti*, co za traf), kiedy tak ostro starł się z Bobem.

Rozejrzał się po wnętrzu. Nic się nie zmieniło: biurko, szafka na dokumenty, sejf, skrzynka z bezpiecznikami, krucyfiks, wszystko na swoim miejscu. Nie było tylko dziewczyny, namiętnie oblizującej szyjkę butelki Fratelli Ruffoli w początkach lutego; teraz, w połowie marca zastąpiła ją inna, próbująca, otworzyć równocześnie dwie butelki, zamiast otwieracza używając w tym celu wspaniale naprężonych ciemnych sutków. Morris pospiesznie przeszedł przez pokój, ścia-

gnął kalendarz ze ściany i już miał wrzucić go do kosza, gdzie było jego miejsce, kiedy przyszło mu do głowy, że mógłby przecież - zupełnie bezinteresownie i nie obrażając przy tym uczuć ani Mimi, ani wiszącego nad drzwiami Ukrzyżowanego - ofiarować go Kwamemu. W końcu trudno było oczekiwać, że wszyscy dokładnie w jednym czasie nawrócą się.

Afrykanin uśmiechnął się z aprobatą i od razu zaczął przewracać strony, kręcąc przy tym kalendarzem na wszystkie strony, zupełnie jakby zdjęcia w układzie pionowym wydały mu się nie dość interesujące. Kiedy Morris otwierał szufladę kryjącą fatalną teczkę z dokumentami dotyczącymi Massiminy, jego wspólnik zachichotał.

- Człowieku, wiesz, gdzie wetknę jej butelkę?

Morris w pośpiechu składał papiery. Nie musiał nawet pytać.

- Prosto w jej słodką, białą cipkę - zaśmiewał się Kwame.

Akurat takich rozmów przez całe swoje życie Morris starał się unikać. Czuł jednak, że skoro sam wręczył chłopakowi ten żaloszny podarek, byłoby grubiaństwem zwracać mu teraz uwagę. Jeśli jednak pornograficzny kalendarz ustrzeże Kwamego od poważniejszych grzechów, właściwie dobrze się stało.

Uznając, że kosz na śmieci to zbyt ryzykowane rozwiązanie, Morris wepchnął obciążające go papiery do kieszeni płaszcza i skierował się ku drzwiom.

- Dzisiaj musimy już iść - zwrócił się do Kwamego - ale chciałbym, abyś w przeciągu kilku najbliższych dni przejrzał tu wszystko, szuflada po szufladzie, teczka po teczce, aby zapoznać się z zasadami funkcjonowania firmy. Jeśli natrafisz przy tym na jakieś rękopiśmienne notatki albo dokumenty o ewidentnie osobistym charakterze, masz mnie natychmiast zawiadomić, zrozumiałeś?

Na dworze powoli zaczynało docierać do psa, że gąbka była niedokładnie tym, czego się spodziewał. Z wyciągniętym ku górze łbem na przemian to rozwierał, to zwiierał potężne szczęki. Morris miał nadzieję, że bestia kłapie nimi po raz ostatni. W każdym razie zajęty przelykaniem czegoś, co okazało się nie do prze-

łknięcia, doberman zostawił ich w spokoju, tak że mogli spokojnie przebyć kilka kroków, dzielących ich od mercedesa i wsiąść do auta.

- Jedź - polecił Morris.

Kiedy zajechali do Villa Caritas, okazało się, że jej mieszkańcy jeszcze śpią. O wpół do dziesiątej. Ciekawe, w jaki sposób Forbes poradzi sobie, kiedy zacznie się szkoła i przyjdzie mu zdyscyplinować uczniów, żeby punktualnie pojawiali się na wykładach i pozostałych zajęciach, pomyślał Morris. Z zadowoleniem odnotował, że w domu panuje porządek; na wielkim stole w jadalni stoi bukiet narcyzów, a ściany zdobią rysunki, stanowiące prawdopodobnie próbki kunsztu imigrantów, wykonane pod kierunkiem Forbesa. Obejrzał kilka raczej prymitywnych szkiców ogrodu z pergola i drzewkiem granatu, jeden czy dwa widoczki pobliskich wzgórz i wreszcie serię przedstawień młodego mężczyzny, rozciągniętego na tapczanie. Młoda, słowiańska twarz, rysowana wyjątkowo delikatną kreską, zdawała się niemal zlewać z poduszką, na której spoczywała. W modelu Morris rozpoznał Ramiza. Pewnie dzieło samego Forbesa. Wyjątkowo udane.

Uważnie przestudiował portrety. Czy to możliwe, aby w tej twarzy także było coś z Massiminy? Nie. Popadał w paranoję, psychozę czy jak to jeszcze nazwać, wszędzie doszukując się jej obecności. A może jednak? Może Forbes, nie mając pod ręką odpowiedniego kobiecego modelu, nasycił postać chłopca urodą tej, którą uprzednio kopiował w galerii Uffizi, nie mogąc się oprzeć jej piękności.

Ta refleksja nappełniła Morrisa wewnętrznym zadowoleniem.

Skierował się ku schodom, aby przypomnieć Forbesowi, że mieli jechać na mszę odprawianą przez Don Carla w Qu-inzano, kiedy Kwame zawołał:

- Nie, szefie, lepiej ja po niego pójde. - W jego głosie brzmiało naleganie.

- Ależ nie musisz, wszystko w porządku. - Morris już był na pierwszym podestacie.

Ale Kwame nie przestawał się upierać.

- Nie, to znaczy, pomyślałem, że obudzimy staruszkę, przynosząc mu filiżankę herbaty. On tak lubi.

Wspaniały pomysł. Po raz kolejny Morris pomyślał o chłopcu z prawdziwym uznaniem. Zawrócił na dół.

- Zawsze rano przynosiłem filiżankę herbaty mojej Matce - powiedział, raczej nierozsądnie, gdyż od razu przypomniał sobie wściekłość ojca, kiedy po jej śmierci odmówił świadczenia podobnych grzeczności jemu i jego kolejnym kobietom. W żyłach zapulsowała trucizna pamięci, trzewia wezbrały goryczą. A jeśli ojciec dowiedział się z tabloidów, że Morris został zatrzymany pod zarzutem morderstwa? Świetnie, przynajmniej udowodni staremu zbereźnikowi, że nie jest mięczakiem.

Kwame uwijał się po kuchni.

- Skoczę tylko po coś do mojego dawnego pokoju - zawołał nagle, stawiając na gazie wypełniony wodą czajnik, i wbiegł na schody, długimi nogami biorąc po dwa, trzy stopnie naraz.

Dziesięć minut później Morris zaniósł herbatę na górę. Kiedy zapukał dyskretnie, z pokoju dobiegło go natychmiast żwawe *Veni Creator Spiritus!*<sup>\*89</sup>. Rozbudzony Forbes siedział w łóżku z książką w rękę. Był sam. Zapalone kadzidełko rozsiewało słodkawy zapach, nocny stolik zastawiały rozmaite medykamenty i maści przeciw hemoroidom. Jako człowiek dobrze wychowany, Morris udał, że ich nie dostrzega.

- Mój młody przyjacielu, co za rozkosz widzieć cię znowu - obwieścił Forbes głośno.

Kiedy Morris wygłosił sumienną pochwałę jego dokonań artystycznych i pracy z chłopcami, starzec, z uśmiechem tak promiennym, jakiego jego dobroczyńca nigdy jeszcze u niego nie widział, obwieścił lirycznie.

---

<sup>89</sup> \* Przyjdź, Duchu, Stwórcu.



- *Virginibus puerisque canto*\*<sup>90</sup>.

Mówiąc to, kręcił powoli głową, spoglądając Morrisowi prosto w oczy. Coś wydawało się go szalenie bawić. Morris pomyślał, że nigdy jeszcze nie czuł większej sympatii do swojego kulturalnego przyjaciela. Natychmiast też podzielił się z nim nowiną o swoim nawróceniu i o tym, że zamierza spędzić resztę życia, poświęcając się idei filantropii, a szkoła Forbesa będzie kamieniem węgielnym jego dobroczynności.

- Co najmniej dwóch uczniów musi pochodzić z biednych rodzin, a chesne za nich będę płacił z własnej kieszeni -perorował z powagą, a stary człowiek kręcił głową, zupełnie jakby się czemuś dziwił.

Nabożeństwo w najlepszym wypadku można było określić mianem długiego, jednostajnego mamrotania. Don Carlo wypowiadał modlitwy cichym, pozbawionym ekspresji głosem, a odpowiedzi wiernych szemrały niczym łagodne fale, lekko uderzające o kamienną posadzkę kościoła San Tommaso in Organo. Akompaniament stanowiło szuranie butów i szelest eleganckich, kosztownych ubrań, na tle którego łagodny głos Don Carlo wiódł kongregację ku kolejnym „*che Gesii vi benedica*”<sup>\*91</sup>, „*ave Maria, madre di Dio*”<sup>\*92</sup> i „amen”. W niewiel-

---

<sup>90</sup> \* Śpiewam dla dziewcząt i chłopców.

<sup>91</sup> \* Niech wam Chrystus błogosławi.

kim kościółku intensywny zapach kadzidła działał usypiająco, gęsty dym unosił się w górę, wirował i rozpląwał w smudze słonecznego światła, kładącej się w poprzek ambony niczym potężny, jasny wspornik, podczas gdy skryte w cieniu figury z drogi krzyżowej, namalowane na ścianach, wabiły jak duchy na najeżonym niebezpieczeństwami nabrzeżu.

Mówiąc krótko, atmosfera nie mogła być bardziej stosowna. Morris szczerze żałował, że nie zaczął uczęszczać do kościoła już lata temu. żeby jeszcze udało mu się przekonać Paolę, aby mu towarzyszyła. Jaką szczęśliwą rodzinę stanowiliby wówczas, dumnie przybywając do świątyni z dwójką albo trójką niewinnych dzieci. Dlaczego nie potrafił zainspirować swojej żony tą wizją? Od tej chwili nie ustanie w wysiłkach, aby tego dokonać.

Zaczął przyglądać się grupie *Ukrzyżowania*. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł się całkowicie odprężony, siedząc między nienagannie kreślącym znak krzyża Forbesem a potężnym Kwamem, który wstawał i przyklękał zawsze o ułamek sekundy później niż pozostali wierni, przez co wyglądał niczym dziwaczny, czarny szczątek z rozbitego statku, wynurzający się na chwilę ponad gładką powierzchnię wspólnej pobożności i zaraz zapadający się w głębinę. Kiedy uczestnicy nabożeństwa zaczęli przystępować do komunii, Morris tak to rozegrał w czasie, że znalazł się obok Antonelli, zajmującej miejsce po przeciwnej stronie nawy. Nie patrzył jednak na nią, nie próbował podchwycić jej spojrzenia czy naśladować pobożnych gestów. Stojąc z pochyloną głową u stopni ołtarza, zamknął oczy i w skupieniu oddał się modlitwie. Kiedy przeniejświetsze ciało i krew rozpuszczały się na jego ciepłym języku, wargi Morrisa poruszyły się lekko.

- *Cara Massimina* - modlił się - wstaw się za mną ze wszystkimi świętymi i błogosławioną Dziewicą, aby moja dusza została odkupiona i aby zostały mi odpuszczone moje grzechy.

Była to prośba płynąca prosto z serca. Trzymane w kieszeni płaszcza listy z żądaniem okupu sprawiały, że czuł niezwykłą wręcz bliskość ukochanej.

Zatrzymał się przy ołtarzu odrobinę dłużej niż pozostali wierni, bezgłośnie poruszając wargami. I wówczas, zupełnie jakby Opatrzność postanowiła bezwzględnie zareagować na jego suplikę, wracająca na swoje miejsce Antonella wyszeptała mu prosto do ucha:

- Morris, tak się cieszę, że tamto nieporozumienie zostało wreszcie wyjaśnione. Bardzo się martwiłam, kiedy cię aresztowali. Ani przez chwilę nie wierzyłam w twoją winę.

Morris z rozczarowaniem zauważył, że tuż za Antonella stoi starszy brat Boba, znacznie przystojniejszy od zmarłego.

Po skończonym nabożeństwie przystanęli na chwilę przed wejściem do kościoła, na stopniach, z których rozciągał się widok na *piazza* z żalnym pomnikiem ofiar wojny. Brat Boba z ponurą satysfakcją obwieścił, że cieszy go postawienie tamtej dwójki w stan oskarżenia. Najważniejsze to wreszcie mieć za sobą całą tę straszną historię i zacząć normalnie żyć. Spoglądał przy tym na Antonellę, wyraźnie szukając jej aprobaty. Ale w oczach młodej kobiety od razu pojawiły się łzy. Próbując naprawić tę bezmyślną, nietaktowną uwagę, Morris pospieszył z zapewnieniem, że on na przykład nie przestaje wierzyć w to, że Bobo żyje i może nawet już najbliższe dni przyniosą rozwiązanie tajemnicy. Policja idzie po linii najmniejszego oporu, aresztując ludzi i oskarżając ich o wszystko co najgorsze, aby zaspokoić żarłoczne apetyty lokalnej prasy. Jedynym powodem zatrzymania tamtych biedaków był prawdopodobnie kolor skóry. Mój Boże, przecież *carabinieri* oskarżyli o morderstwo nawet jego, Morrisa, tylko dlatego, że nie zgadzał się ze szwagrem w kwestiach zarządzania firmą, zupełnie jakby każda kłótnia między ludźmi obowiązkowo musiała kończyć się zbrodnią. Tymczasem policja nie odnalazła nawet ciała. Morris uśmiechnął się ze smutkiem. Nieznający jeszcze nowiny o aresztowaniu imigrantów Forbes, który właśnie wrócił z wyprawy do toalety i usłyszał o niej po raz pierwszy, nagle zrobił się biały jak papier.

- *Quid hoc sibi vult?*\*<sup>93</sup>. - wyszeptał. - Nie, to nie może być prawdą. Nie Farouk.

Krew odpłynęła mu z twarzy i przez moment wydawało się, że starzec zemdleje. Chwycił się misy fontanny, w której zastygły w bezruchu przybrudzone nieco, pulchne, marmurowe cherubinki. Morris ze wzruszeniem zauważył, że Kwa-me, do tej pory trzymający się w pełnej szacunku odległości od pozostałych, pochylił się nad starcem, szepcząc mu słowa otuchy. To był niezwykle widok: czarne mięsiste wargi, poruszające się łagodnie tuż obok kępki białych włosów, wyrastających z woskowego ucha Forbesa. Gdyby Bóg obdarzył go talentem malarzkim, takie właśnie sceny uwieczniałby najchętniej. Motywy typowe dla Caravaggia.

Z kościoła wyszedł Don Carlo i odwoławszy Morrisa na bok, zapewnił go, że jeśli idzie o złagodzenie biurokratycznych przepisów, o których rozmawiali w ubiegłym miesiącu, zrobił, co mógł. Imigranci dostaną odpowiednie papiery, jak długo Trevisan Wines zapewni im oficjalne zatrudnienie, opłaci ubezpieczenie i składkę zdrowotną. Morris zapytał, w jaki sposób mógłby się odwdzięczyć za tyle starania. Don Carlo odparł, że starania, aby pomóc biednym, nie wymagają żadnej zapłaty, przeciwnie, stanowią obowiązek, jeśli jednak Morris odczuwa dług wdzięczności wobec swojego Stwórcy, zawsze może złożyć datek na kościół. W tej chwili najbardziej palącym problemem San Tommaso jest kiepski stan murów kampanili. Morris był oczywiście jak najdalszy od prostackiego wyciągnięcia książeczki czekowej. Ze zrozumieniem pokiwał głową, notując w pamięci, aby za tydzień albo dwa wysłać anonimowy datek, z zaznaczeniem na kopercie, że to na remont dzwonnicy. Dobrze będzie zrobić przy tym drobny błąd językowy. „La campanile” zamiast „il campanile” powinno wystarczyć. Albo „milione” pisane przez podwójne „i”

- *Padre* - odezwał się jeszcze, kiedy ksiądz zbierał się do odejścia.

---

<sup>93</sup> \* Co to ma znaczyć?

- *Sì, figlio mio*<sup>\*94</sup>.

Słowa kapłana były niczym echo tamtej spowiedzi w więzieniu. Zbyt bolesne echo. Morris zapatrzył się w szczerze oczy Don Carla, niezdolny wydobyć z siebie głosu. Ogarnęło go uczucie podobne temu, jakiego doznawał, kiedy jedyny raz w swoim życiu był zakochany; wrażenie, że jego dusza niemal chce się przebić przez powierzchnię skóry twarzy. Czuł obecność Mimi.

- Czy coś cię dręczy, mój synu? - dopytywał się ksiądz. Morris odczekał jakieś piętnaście sekund, po czym odezwał się z wyraźnym wysiłkiem.

- *Padre*, niepokoję się o moją szwagierkę. - To akurat było prawdą. - Chciałbym, aby ksiądz był teraz blisko niej. Obawiam się, że jej mąż istotnie spotykał się z inną kobietą - dodał, ścisząc głos. Przez chwilę jeszcze spoglądał w pobrużdżoną twarz staruszka. - *La ringrazio*<sup>\*95</sup>, *padre*, za księdza starania. Był ksiądz wielką pomocą dla rodziny.

- Niech cię Bóg błogosławi, *figlio mio* - pożegnał go kapłan. - Musisz przeżywać teraz trudne chwile.

W tym momencie Morris uświadomił sobie, że gdyby nie pospieszył się tak idiotycznie z małżeństwem, byłby z niego doskonały ksiądz, mający innym wiele do przekazania i zawsze gotów wysłuchać tych, którzy zwracaliby się do niego ze swoimi zmartwieniami. Przy jego estetycznych inklinacjach skrupulatne wypełnianie ceremoniału byłoby źródłem czystej przyjemności, a nawet przestrzeganie zasad celibatu nie stanowiłoby jakiegóż istotnej przeszkody. W gruncie rzeczy im więcej fizycznej rozkoszy czerpał z farsy, jaką ostatnio stał się dla niego seks, tym większy ogarniał go przy tym niepokój. Tylko z Mimi seks miał w sobie coś świętego.

---

<sup>94</sup> \* Tak, mój synu

<sup>95</sup> \* Podziękowania.

Czując łzy wzbierające pod powiekami, Morris pożegnał się z księdzem i skiniął na Kwamego, żeby otworzył samochód.

Nakazał chłopcu zrobić objazd po drodze do Villa Caritas, gdyż chciał się przekonać na własne oczy, że pies istotnie kona w męczarniach, tak jak to dla niego zaplanował.

- Zapomniałem zabrać kilku dokumentów - wyjaśnił Forbesowi, który zajął miejsce z tyłu, ani na chwilę nie przestając się rozwódzić nad ciężką dolą Azedina i Farouka.

Morris nie potrafił tego pojąć. Doskonale przecież pamiętał, z jaką niechęcią starzec powitał pomysł poprowadzenia hostelu dla imigrantów. Może to kolejny przejaw dobrego wpływu, jaki on, Morris, wywierał na ludzi ze swojego otoczenia? Zapewnił Forbesa, że postawienie imigrantów w stan oskarżenia to po prostu kolejna odsłona w niekończącej się farsie, jaką było włoskie życie publiczne. Wszystko szumnie zapowiadano, a potem nic nie robiono. Jeśli nieodmiennie wypuszcza się szefów mafii z powodu najdrobniejszych choćby uchybień proceduralnych, jaka jest szansa uzyskania wyroku skazującego w procesie o morderstwo przy braku zwłok i jakichkolwiek innych dowodów?

- Prawdziwy morderca pewnie śmieje się teraz w głos - oświadczył Forbes ponuro.

- Wręcz przeciwnie - zaprotestował Morris całkiem szczerze. - Pewnie wcale nie czuje się uspokojony. Dopiero co widział mnie w areszcie, oskarżonego o wszystko, co najgorsze, i zaraz potem wypuszczonego. Wątpię, by miał nadzieję, że oskarżenie tamtych dwóch się utrzyma.

- *Fiat justitia, ruat caelum.*

Na to wygłoszone posepnym tonem i kompletnie niezrozumiale proroctwo Morris zdążył jeszcze zareagować grzeczną prośbą o przetłumaczenie, kiedy po minięciu zakrętu tuż za Quinto ujrzeli samochód patrolowy, stojący przed zamkniętą bramą Trevisan Wines i błyskający światłami.

- Niech zawali się niebo, byleby działa się sprawiedliwość - dokończył Forbes.

Ale Morris już go nie słuchał. Dla niego niebo właśnie się waliło. Ktoś musiał wezwać *carabinieri*, a powód tego wezwania był aż nadto oczywisty. Tuż za bramą potężne, szpetne psisko, które Bobo kupił z powodów ciągle dla Morrisa niejasnych (czy w przeszłości w firmie kiedykolwiek był potrzebny stróżujący pies?), biegało tam i z powrotem wzdłuż muru, szczekało jak oszalałe, wyskakiwało na cztery, pięć stóp w górę, by zaraz opaść na cement. Bojąc się, że *carabinieri* mogli zauważyć i rozpoznać samochód, Morris kazał Kwamemu podjechać bliżej i zaparkować za wozem patrolowym.

*Carabinieri* byli wyraźnie niezdecydowani, czy wyłamywać bramę w celu sprawdzenia, czy ktoś niepowołany wtargnął do środka, czy też postępować z większą ostrożnością, tak by nie zniszczyć cudzej własności. Morris nie miał najmniejszych kłopotów z udawaniem niepokoju. W chwilę później przyszło mu to jeszcze łatwiej. Ledwo zdążył wrócić do samochodu po pilota od bramy, dziękując *carabinieri* za ich rychłe przybycie i zastanawiając się głośno, co wstąpiło w tego psa, że zachowuje się, jakby oszalał, kiedy nadjechał kolejny samochód. Morris odwrócił się na moment od otwieranych wrót oraz wyjącego psa i... znalazł się twarzą w twarz z Fendtsteigiem. Dokładnie w tej samej chwili uświadomił sobie, że w kieszeni jego płaszcza nadal tkwią listy z żądaniem okupu.

Głupiec! Beznadziejny głupiec.

- *Buon giorno* - przywitał go Fendtsteig. Równie dobrze mógłby powiedzieć *Guten Morgen* czy nawet *Arbeit macht frei*.

Morris poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Jeszcze chwila, a zostanie zdemaskowany.

- Miło mi widzieć pana znowu, Signor Duckworth. -Głos Fendtsteiga przebił się ponad wycie udreżonego psa. Cóż, zwierzę przynajmniej cierpiało za własne grzechy.

Morris zdawkowo skinął głową, udając, że nie do końca rozpoznaje tamtego. Wielka, metalowa brama właśnie zaczynała się uchylać, więc zawołał z desperacją:

- Ktoś jest w środku! Na pewno kradną! Przecisnąwszy się przez nieprawdopodobnie wąską szczelinę, ruszył pędem w stronę budynku wytwórni, boleśnie świadom Kwamego i *carabinień*, depczących mu po piętach, i listów z żądaniem okupu, rozpychających kieszeń.

Był może dziesięć metrów od drzwi, kiedy pies zawrócił. Czterdzieści kilka kilogramów dobermana zważyło mu się na pierś. Zdażył jeszcze zarejestrować wyszczerzone kły, obnażone czarne dziąsła, płonące wściekłością oczy i ból rozrywanego ciała, jego własnego ciała, po czym zapadł w straszliwą, pulsującą krwią ciemność, bliższą koszmarowi niż stanowi świadomości.

Jeśli nawet w przeciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin budził się kilkakrotnie, nie pamiętał tego jako przebudzenia. Kiedy później rozmawiał na ten temat z Forbesem, zauważył, że gdyby Dantemu dane było poznać współczesną anestezję, dysponowałby znacznie szerszym wachlarzem możliwości; mógłby skazywać potępionych na uczucie duszenia się połączone z nudnościami i koszmarem sennym, jaskrawe światła w przytłaczającej ciemności, świadomość niemożności odzyskania jasności umysłu, absolutną bierność wywołaną chorobą, bez możliwości uchwycenia się tego, co było, i nadziei, że jeszcze coś nastąpi, i wreszcie totalny, totalny strach - jednym słowem wymierzać idealną karę tym, których grzech stanowiła wiara, że są w stanie kontrolować własną egzystencję i potrafią zorganizować życie nie tylko sobie, ale i ludziom ze swojego otoczenia.

Jedyną pociechą była myśl, że jak długo człowiek pozostawał przy życiu, mógł potraktować cierpienie jako pokutę. Najwyraźniej Bóg postanowił oczyścić Morrisa przed długimi latami służby, polegającej na przyodziewaniu i karmieniu se-



tek głodnych dusz, dzięki prężnie działającej firmie Duckworth Wines, i delikatnym naganianiu bliźnich z Trzeciego Świata do katolickiej zagrody.

Jednak owa pokuta, dopóki trwała, była bardzo bolesna. Morris czuł dosłownie, że gruzy, pod którymi został pogrzebany, jednocześnie jasne i ciemne, pełne hałasu i ciszy, gładkie, a zarazem szorstkie, niebawem zgniotą go do reszty, czyniąc z niego miazgę bólu cielesnego i duchowego równocześnie, że lepka ciecz, na której powierzchni jeszcze się unosił, niebawem pochłonie go do końca.

Z nicości przebił się ku niemu zduszony głos, mówiący:

- *E straordinario!*<sup>\*96</sup>.

Odpowiedział mu inny głos, równie przytłumiony:

- Paola, Paola, *cara*, wprost nie mogę w to uwierzyć. Tak bym chciała, żeby to była prawda.

A więc pierwszy głos należał do Paoli, która pytała teraz:

- A co na to *polizia*?

To jedno słowo wystarczyło, by katapultować go nagle do stanu intensywnej, porażającej nerwy świadomości.

Nagle był świadom ciemności, rozmaitych szumów i szelestów, nakładających się na głosy jego żony i szwagierki, świadom tego, że leży na wznak na łóżku, zbyt twardym, by mogło być jego własnym, świadom przeszywającego bólu w prawym uchu i w szyi, grubego opatrunku na twarzy, blokującego pole widzenia i przytłumiającego dźwięki, a przede wszystkim świadom faktu, że nie ma na sobie zimowego płaszcza...

- Na miłość boską, mój płaszcze! - krzyknął.

---

<sup>96</sup> \* To niezwykle!

Głowa wykonała gwałtowny ruch, ramię uniosło się na moment i zaraz opadło, a całą twarz przeszedł ból nie do opisania, uderzający gdzieś od czoła, przebiegający w dół, dokładnie przez prawe ucho i eksplodujący w miękkim, silnie unerwionym zagłębieniu, gdzie kark spotyka się z ramieniem.

- Mo! - zawołała Paola - Mo, *stai buono!* Nie ruszaj się!

- Wezwę lekarza - zaofiarowała się Antonella.

Teraz pamiętał wszystko, psa, zęby, krew, która musiała być jego własną. Czy przynajmniej udało mu się załatwić tę bestię? Jednak najważniejszy był płaszcz. Stare listy z żądaniem okupu. Dowód i klucz do wszystkiego. A więc został zde-maskowany, mimo że wcześniej się nawrócił. Stare grzechy znajdują cię wszędzie. To nie było fair.

- Mimi! - zawołał głośno, choć nie było to roztropne. Ale w jego ramię już zagłębiała się igła. Zasnął równie nagle, jak przedtem się obudził.

Znowu okresy ciemności, już nie tak przytłaczającej jak poprzednio, przerywane nawrotami przytomności, coraz dłuższymi, choć nadal niepełnej z powodu środków przeciwbólowych. Wreszcie świadomość ręki gładzącej jego dłoń. Czując w duszy wzruszenie i jednocześnie strach, powoli uniósł powieki. Kiedy otworzył oczy, dłoń wycofała się. Bandaż opasujący twarz teraz zniknął, nadal jednak miał grube opatrunki pod brodą i na czubku głowy. Poruszyć się nie potrafił, mógł tylko wpatrywać się w oświetlony jarzeniówkami sufit.

- Paola - powiedział.

W odpowiedzi usłyszał niski, pełen powagi głos.

- Morris, mój chłopcze.

Forbes podniósł się z miejsca i pochylił nad nimi: łagodna, przykurzona zjawia na tle świetlówek. W oczach miał łzy.

- Co się stało, na Boga?

Ale teraz chory tylko udawał. Morris już wiedział, co się stało. Pies rzucił mu się do gardła. Jednak musiał się jeszcze dowiedzieć, kto zabrał jego płaszcz.

- Ktoś usiłował otruć psa - zaczął wyjaśniać Forbes. - Ten oszalał i poharatał ci twarz. To było tego dnia, kiedy pojechaliśmy wszyscy do biura, pamiętasz? Przedwczoraj.

Tego zupełnie się nie spodziewał.

- Poharatał mi twarz? - Morris milczał przez chwilę, po czym powtórzył, ogarnięty paniką: - Poharatał mi twarz? Boże wszechmogący, jak ja teraz wyglądam?

Forbes opadł z powrotem na krzesło, znikając z pola widzenia Morrisa. Zanim przemówił, ponownie ujął dłoń swojego młodego przyjaciela, wkładając w ten gest nieskończoną czułość i łagodność. Kilkakrotnie odchrząknął, ale z jego ust nie wydobyło się ani jedno słowo.

Wstrząśnięty do głębi Morris próbował usiąść, jednak ból twarzy, której skóra nie chciała się rozciągnąć, niemal pozbawił go tchu. Forbes położył dłoń na jego zdrowym ramieniu, usiłując go powstrzymać.

- Nie potrafię skłamać - powiedział. Niemożność znalezienia stosownego łacińskiego porzekadła najlepiej chyba oddawała stan jego ducha.

- O Boże - jęknął Morris. Uniósł wolną dłoń, leżącą na pościeli, i namacał gruby opatrunek, biegnący od prawej skroni aż do szyi. Dotykając obnażonych partii policzka, tuż przy nosie, natrafił na grube, szorstkie szwy. Na litość boską! Całe metry szwów, krzyżujących się wielokrotnie, od czoła aż po wargi.

- Jestem naznaczony do końca życia - wyszeptał. Wciąż niewidoczny Forbes milczał.

- Naznaczony do końca życia - powtórzył Morris. Czuł łzy wzbierające pod powiekami. Nagle zapragnął zostać sam. Zapłakać nad swoim losem, wzywać Mimi i Boga, popробować rozszyfrować znaczenie ogromu nieszczęścia, jakie na niego spadło. Tylko dlatego, że próbował rozprawić się z tym wstrętnym psem! Co za ironia. A przecież czasami czuł, że mógłby wyróżnić połowę ludzkości i

uszloby mu to na sucho. Słone łyzy boleśnie paliły odsłonięte rany. Jeden głupi niedzielny poranek pokrzyżował wszystko.

- *Ne cede malis*<sup>\*97</sup> — wymruczał Forbes, a kiedy zobaczył, że Morris przymyka powieki i zaczyna szlochać, dorzucił żarliwie: - Ale mam i dobre nowiny, przynajmniej jedną.

Usiłujący zapanować nad swoim rozżaleniem Morris, natychmiast odzyskał czujność.

- Jakie dobre nowiny? - zapytał podejrzliwie.

- Być może Bobo został tylko uprowadzony.

- Jak to? - Morris szeroko otworzył oczy. Usiłował przekreślić głowę, ale to był błąd.

- Antonella otrzymała list z żądaniem okupu. Upłynęło kilka sekund, zanim do Morrisa w pełni dotarło

znaczenie tej informacji. List z żądaniem okupu? Poczul, że wiruje mu w głowie. Na litość boską! Jeden drobiazg i od razu pojawia się cała banda nikczemników, gotowa go wyeksploatować, obrócić w łatwy do zdobycia miliard lirów, zupełnie jakby cierpienie innych wcale się nie liczyło. Teraz zrozumiał, że Antonella i Paola musiały rozmawiać właśnie o owym liście („Nie mogę w to uwierzyć!"). Właśnie. Głęboko zaczerpnął powietrza. Za nic w świecie nie potrafił zrozumieć, jak Forbes mógł uważać podobne łajdactwo za dobrą nowinę.

- Po czymś takim trudno im będzie skazać Azedina i Farouka, prawda?

I znowu upłynęło kilka sekund, zanim Morris zarejestrował znaczenie słów Forbesa. Kiedy już do niego dotarło, ogarnęła go prawdziwa furia. Ponownie spróbował usiąść, ale zaraz opadł na poduszkę.

---

<sup>97</sup> \* Nie poddawaj się zlu.

- A co mnie obchodzą jacyś dwaj pieprzeni zboczeńcy, kiedy moja twarz została okaleczona? Nie dbam o nich, nic mnie nie obchodzą. Moje życie legło w gruzach przez kretańskiego psa, a ty mi zawracasz głowę losem dwóch pedałów.

Po tym wybuchu nastąpiła długa chwila ciszy. Morris tę-po zapatrzył się w sufit, jakby zamroczony ogromem nie' szczęścia, które spadło na niego dokładnie w tej samej chwili, kiedy przysiągł, że będzie dobry.

Wreszcie Forbes przemówił tonem łagodnej wymówki:

- Morris, zawsze byłeś dla mnie dobry. Zaproponowałeś mi mieszkanie w Villa Caritas, płaciłeś za wszystkie remonty... - Urwał. Morris prawie go nie słuchał, nagle przypomniał sobie o płaszczu. Gra skończona. Piękno i niewinność stracone w ułamku sekundy. - Ale faktem jest też -podjął Forbes - że Farouk jest mi bardzo bliski. To wspaniały młody mężczyzna, pełen prawdziwej delikatności, co zai się tyczy seksualnych preferencji, są one wyłącznie jego osobistą sprawą. W końcu Michał Anioł także był homoseksuali stą i Sokrates również. Najważniejsze jest to, że ani na moment nie uwierzyłem, by Farouk mógł być zamieszany w zamordowanie kogokolwiek, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nie został skazany.

Znowu długie, przytłaczające milczenie. Co takiego Forbes miał na myśli, mówiąc „zrobię wszystko, co w mojej mocy?”. Co mógł zrobić? Nadal cisza. Morris odczekał jeszcze chwilę, po czym zaczął wypytywać starca, co dokładnie na stało po tym, jak pies powalił go na ziemię (płaszcz? kto zabrał jego płaszcz?). Jednak odpowiedź nie nadchodziła i wreszcie Morris uświadomił sobie, że Forbes wyszedł. Pewnie jak zwykle do łazienki. Ale nie. Wygłosiwszy mowę w obronie Farouka, Forbes już nie wrócił.

Morris niewiele miał do czynienia ze szpitalami. Poza tą smutną okazją, kiedy przyciskał dziecięcą twarz do szyby na oddziale intensywnej opieki Acton Memoriał, aby patrzeć jak umiera jego najdroższa Matka, nigdy nie był w żadnym z nich. Kiedy w kilka godzin po nagłym zniknięciu Forbesa usiadł wreszcie i za-

czął się rozglądać, nie bez zdziwienia zauważył, że opiekę pielęgniarską na oddziale sprawują, głównie mężczyźni, noszący coś w rodzaju zielonych piżam w miejsce zwykłych pielęgniarskich strojów i chodaki zamiast butów. Reszta: urzędowe szarości, gaśnice przeciwpożarowe, parawany przy łóżkach, białe, emaliowane szafki, a nawet opleciony pajęczynami krucyfiks nad wahadłowymi drzwiami, była dokładnie taka, jakiej człowiek mógł się spodziewać w szpitalu.

Obracając się całą górną połową ciała, aby uniknąć bólu w szyi, Morris obrzucił wzrokiem mężczyznę na sąsiednim łóżku, z prawym ramieniem zredukowanym do wielkiego kłębu bandażu, ze zrozumiałą trudnością obracającego stronicę *La Gazzetta delio Sport*. Gazeta. Koniecznie musi zdobyć gdzieś gazetę, żeby sprawdzić postępy w śledztwie. Przynajmniej w ocenie mediów. Choć policja pewnie już tylko czeka, aż na tyle odzyska *compos mentis*<sup>\*98</sup>, by zrozumieć wagę skierowanych przeciwko niemu oskarżeń.

Porwanie. Wielokrotne morderstwo. Teraz scenariusz wydawał się mu mniej nieprawdopodobny, niż zanim trafił do więzienia. Tam dopiero uświadomił sobie, jak bardzo normalni - żeby nie powiedzieć, przyzwoici - potrafili być porywacze, wielokrotni mordercy czy pederasci. Byli zwykłymi ludźmi, którym przytrafiło się, że ich predyspozycje zderzyły się z nadarzającą się sposobnością. Wielu z nich cierpiało na swoje przestępstwa niczym na choroby, przeciwko którym nie zaszczepiono ich w dzieciństwie. Z pewnością w więzieniu nie spotkał nikogo, kto byłby równie ograniczony jak Bobo czy tak do cna zdeprawowany jak jego własna żona.

Dwie kobiety i starszy mężczyzna, zebrani wokół sąsiedniego łóżka, nie pozwolili Morrisowi zobaczyć, co dokładnie spotkało leżącego tam nieszczęśnika. Jednak i bez tego widoku było jasne, że jego towarzysze niedoli byli ofiarami poważnych wypadków. Okaleczenia, amputacje, oszpecenia, wszystkie dostępne możliwości. Kandydaci do chirurgii plastycznej? Czy to właśnie tłumaczyło, że

---

<sup>98</sup> \* Psychiczną równowagę.

wolna i metodyczna inspekcja wszystkich dziesięciu łóżek i czterech ścian nie odnotowała obecności ani jednego lustra? Pacjentów należało przygotowywać stopniowo i ostrożnie. Pacjentów takich jak on sam.

Och, Mimi, ta piękna, wymowna twarz zeszpecona! Zrujnowana! Te policzki o gładkiej skórze, które całowałaś z taką namiętnością!

Do tego jeszcze zgubiony płaszcz i dręczący strach z powodu tamtego listu (kto go mógł wysłać, na Boga? Czy ta sama osoba, która wcześniej zadzwoniła anonimowo na policję?). Morris przeżywał koszmar wyrafinowanej mentalnej udreki. Niewiele mógł zrobić poza wzniesieniem oczu ku niebu i błaganiem Anioła Stróża, by umoczył końce palców w wodzie i ochłodził jego palące rany, nabrzmiałe wargi, potwornie okaleczone policzki i ropiejącą duszę. Nie dysponując innymi środkami, Morris złożył ręce, pochylił poranioną głowę i oddał się modlitwie. Był zdeterminowany, aby nie porzucić wiary przy pierwszym rozczarowaniu, bez względu na to, jak było głębokie.

- Halo - usłyszał czyjś głos. - Jak się pan czuje, Meester Duckwort? Pora na lunch.

Morris podniósł wzrok i ujrzał malutkiego, przysadzistego południowca z twarzą brązową niczym toffi i błyszczącymi, zezowatymi oczami.

- To dobrze, że mamy angielskiego *paziente*, bo mogę ćwiczyć mój angielski. - Niewysoki pielęgniarz zdjął z wózka tacę z jedzeniem i postawił ją na stoliku obok łóżka. - Mieszkałem w Earls Court przez dwa lata, stąd tak dobrze mówię po angielski - objaśnił, odsłaniając w szerokim uśmiechu połamane zęby.

Ciągle jeszcze pogrążony w swoich modlitwach, Morris doznał wrażenia całkowitej nierealności. Zamrugał oczami i wówczas dotarło do niego, iż być może owa wizja została mu zesłana w celu pokazania, że przecież istnieją ludzie bardziej żałośni i dziwaczni niż on sam. Bez względu na to, jak mocno został oszpecony, i tak wzbudzał więcej szacunku niż to absurdalne połączenie karzełka z klaunem.

Spoglądając na kawałki kurczaka pływające w cienkim rosole z ryżem, powiedział:

- Bardzo dziękuję. Oczywiście proszę swobodnie mówić po angielsku, będę wdzięczny.

Od razu też zapytał, gdzie są jego ubrania, gdzie jest lustro i gdzie mógłby dostać lokalną gazetę. Pielęgniarz uśmiechał się szeroko.

- Jestem Dionisio - powiedział. - Proszę mi mówić po imieniu.

- Miło mi cię poznać, Dionisio. Jestem Morris.

Bóg chyba pragnął w ten sposób przetestować jego cierpliwość.

- Pańskie ubrania są w *armadio* o tym samym numerze co łóżko. Numer osiem. Lustro wisi w łazience na korytarzu. - Mały Sycylińczyk przechylił na bok głowę.

- Ale lepiej, żeby nie przeglądał się pan przed operacją. A gazety leżą w *soggiomo* na końcu korytarza.

- A kiedy będę mógł stąd wyjść? - zapytał Morris. Jego umysł po prostu odmówił zarejestrowania słowa „operacja”.

- Och, Meester Duckwart, ledwo tu przyszliśmy, a już nam spieszo do wyjścia? - Dionisio potrząsnął głową i sprawdził coś na karcie umieszczonej w nogach łóżka. - Operacja jest wyznaczona na piątek, ale najpierw trzeba zrobić różne badania. Wezmą panu, zaraz, jak to się mówi - odłożył kartę i chwycił dwoma palcami owłosioną, oliwkową skórę na grzbiecie dłoni.

- Skórę - odpowiedział Morris, krzywiąc się przy tym.

- Wezmą skórę z nóg i położą ją na twarz. - Karłowaty pielęgniarz poklepał się po policzkach. Jeszcze raz sprawdził coś na karcie. - Będą też musieli... zaraz, jak to się nazywa... *rimodellare*... ucho. - Ponownie potrząsnął głową. - Może uda się panu wyjść w przyszłym tygodniu.

Dionisio rozłożył przymocowany do łóżka stolik w poprzek kolan Morrisa i ustawił na nim tacę. Ponieważ skończył już swój obchód i wszyscy pozostali pa-



cyjenci - każdy na swój kaleki sposób - zajęci byli jedzeniem, miał teraz chwilę na pogawędkę.

- Meester Morris - powiedział. - Prawdziwy Anglik. Bardzo mnie to cieszy, gdyż dawno już nie miałem okazji porozmawiać po angielsku.

Morris nie po raz pierwszy doszedł do wniosku, że jedna z naczelných reguł rządzących ludzką egzystencją brzmiała, iż ludzie, z którymi nie miało się ochoty rozmawiać, nieodmiennie palili się do pogawędkę; że w przełomowych momentach życia człowiek nieodwracalnie skazany był na rozmowę z jakimś dziwakiem, jak choćby tamten idiota z tytułem magistra w pensjonacie w Rzymie, objaśniający mu swoją teorię strukturalizmu, według której duchy miały stanowić jedynie fikcję literacką. A przecież Morris już wówczas wiedział, że duchy istnieją naprawdę, i wszystkie wydarzenia od tamtej pory potwierdziły to aż nadto wyraźnie. Tak, pewnie i na łożu śmierci zostanie mu zesłany jakiś kolejny półgłówek, robiący z niego durnia. Niebiańska, wieczna miłość przemieszana z absurdem. Jednak od chwili swojego nawrócenia Morris był bardziej uległy i zrezygnowany. A może to wszystko miało stanowić karę za jego próżność? Nie był aż tak moralnie ślepy, by nie widzieć, że czasami za bardzo zbaczał w kierunku megalomanii. Z pomocą Mimi będzie się starał dzielnie stawić temu czoło (już nie tak piękne i nieskazitelne jak niegdyś).

- Czy zna pan Earls Court? - dopytywał się Dionisio. - Pracowałem tam kiedyś w hotelu.

Morris podniósł do ust łyżkę z rosółem. Prawy kącik ust bolał go naprawdę dotkliwie. Jednocześnie jego oczy po raz kolejny obiegały całą salę, dopóki w jednym z rogów nie znalazły szarej bryły dziesięciu zamkniętych szafek, przeciętej po przekątnej czyimiś nogami na wyciągu.

Przemodelować ucho! Nie do wiary.

- Czy zna pan Earls Court? - nie ustawał w wysiłkach pielęgniarz.

- Byłem tam kiedyś na Ideal Home Exhibition - przyznał Morris (oczywiście jeszcze za życia Matki - na tego typu imprezy chadzało się z ludźmi takimi jak Matka czy Massimi-na).

- Och, Olimpia - rozmarzył się Dionisio. - Olimpia. Idealny dom. Bardzo piękne, bardzo.

Morris omal się nie udławił. W całym Earls Court nie było pewnie ani jednego porządnego domu, nie mówiąc już o idealnym.

- Dlaczego nie wrócisz do Anglii, skoro tak ci się tam podobało? - zapytał, a pozszywany kącik ust znowu zapiekł go boleśnie.

Dionisio wstał, uśmiechając się ze smutkiem.

- Moja biedna, stara mamma jest bardzo chora i muszę się nią opiekować. Ale kiedyś wrócę.

Szczęśliwy, miał matkę, którą mógł otoczyć opieką. Morris odprowadził wzrokiem niewysokiego pielęgniarza, pchającego wózek z posiłkiem. Gdy tylko za tamtym zamknęły się drzwi, odstawił tacę, wygramolił się z łóżka i chwiejąc się na nogach, pokuśtykał w stronę szafek.

W ciągu następnych gorączkowych dziesięciu minut odkrył, co następuje: po pierwsze, w szafce nie było jego płaszcza, a więc i listów z żądaniem okupu; po drugie, jego twarz wyglądała znacznie gorzej niż twarz którejkolwiek z jego ofiar; po trzecie wreszcie, policja, czy też raczej *carabinieri*, zdawali się bardzo poważnie traktować list otrzymany przez Signorę Posenato, przede wszystkim z powodu - jak to określiła jedna z lokalnych gazet - „z dumiewającego podobieństwa do listów wysyłanych po porwaniu szwagierki zaginionego, Massiminy Trevisan, dwa lata temu”.

Morris poczuł, że robi mu się słabo. Wracając do sali, spotkał na korytarzu Dionisia, więc zaczął go błagać o środek uspokajający, jednak mały pielęgniarz, sprawdzwszy kartę wiszącą w nogach łóżka, powiedział, że Morris otrzymał już maksymalną dozwoloną dawkę. Uśmiechał się przy tym przepaszająco.

- Coś panu powiem. Jak tylko uporam się z roznoszeniem lekarstw, przyjdę posiedzieć trochę przy panu. Co pan na to?

Morris uprzejmie powstrzymał się od komentarza i ruszył w stronę łóżka, przeżony i przepelniony współczuciem dla samego siebie.

---

## 28

---

Czwartego dnia wczesnym popołudniem Paola rozstawiła wokół łóżka parawan, wyrażając chęć zabawienia się, jak tylko się da. Najpierw trzy tygodnie w więzieniu, a teraz szpital. A pomiędzy tymi zdarzeniami zaledwie jedna noc we własnym domu! Doprawdy, takie żądanie z jej strony było wystarczającym powodem do rozwodu!

Czyżby sądziła, że jej sprośne żarty i wulgarne gesty podniosą go na duchu? Z głową ciągle zaprzątniętą zagubionym płaszczem, Morris obserwował twarz żony, wsuwającej rękę między prześcieradła. Coś tu się nie zgadzało. Widząc, z jaką przesadą jego żona demonstruje typowe dla siebie zagrania, doszedł do wniosku, że Paola nie zachowuje się naturalnie.

Teraz, z wyraźnym rozczarowaniem, badała zawartość jego spodni od pizamy.

To efekt środków uspakajających, które odebrały mu całe libido, wytłumaczył Morris.

- Włóż mi rękę pod spódnicę - zażądała Paola. - W tych bandażach prezentujesz się naprawdę seksownie!

Przycisnęła kolana do krawędzi łóżka. Najwyraźniej nie założyła dziś majtek. Morris delikatnie wsunął w nią kciuk. Paola zakołysała się wolno na jego przegubie, odgrywając pantomimę erotycznej ekscytacji.

- Teraz wyjmij - zakomenderowała. - Possij go, a potem mnie pocałuj.

Morris zareagował posłusznie. Kiedy jej usta zlizywały własne soki z jego warg, dłonie już zmuszały kciuk męża, by wracał na poprzednie miejsce. Tak, zdecydowanie była to gra. Co jednak miała maskować? Czyżby Paola wiedziała? A jeśli wiedziała, to ile? Tylko o Bobie? A może o Bobie i o Massiminie? Czy to ona znalazła listy w kieszeni jego płaszcza? Czy domyślała się, iż on wie, że ona wie? Czy demonstrowała mu teraz, że potrafi użyć siły, by obrócić go w swojego seksualnego niewolnika po kres jego dni? I kiedy jej brzuch się zaokrągli?

Mimi zapewniała go, że Paola jest w ciąży. Morris czuł, że dziecko będzie oznaczało początek jego nowego życia. Kiedy się urodzi, żona z pewnością się zmieni, stanie się kobietą bardziej odpowiadającą jego wizji partnerki życiowej. Należało po prostu odczekać.

Twarz Paoli wykrzywił ordynarny grymas, zwykle zwiastujący u niej zbliżający się orgazm, kiedy nad parawanem za jej plecami ukazała się nagle wełnista głowa Kwame.

Na litość boską, ale wpadka! Morris usiłował uwolnić rękę, ale Paola chwyciła ją mocno, napierając na niego i dysząc.

Ponad parawanem Kwame uśmiechał się szeroko. Morrisowi nie pozostawało nic innego, tylko leżeć spokojnie z dłonią uwięzioną pod spódnicą Paoli i przegubem mocno ściśniętym jej udami. Czuł się straszliwie upokorzony.

- *O Dio* - jęczała Paola - *o Dio, Dio, Dio!* - Wreszcie otworzyła oczy i zapytała. - Dlaczego to zrobiłeś, do diabła? *Antipatico?* Tak niewiele mi brakowało.

Morris uwolnił rękę i wytarł ją o prześcieradło.

- Jesteśmy obserwowani - powiedział.

Paola odwróciła głowę. Kwame z godną pozazdroszczenia łatwością przybrał całkowicie obojętny wyraz twarzy.

- Witaj, szefie - powiedział.

- Och, Kwame. - Zarumieniona Paola z całkowitą swobodą obciągnęła spódnice. - Myślałam, że zostaniesz w samochodzie. - Wcale nie przejawiała zakłopotania, zdobyła się nawet na uśmiech, co najlepiej świadczyło o tym, jaką była dziwką.

- Chciałem zobaczyć szefa w związku z pracą - tłumaczył Kwame. - To jest jedyna pora na wizyty. - Obszedł parawan dookoła i stanął przy łóżku. - Chciałem mu powiedzieć o pogroźkach, jakie otrzymuję.

Wsuwano mu pod drzwi listy, mówiące, że czarni mają się wynosić, ktoś cisnął kamieniem w okno *soggiorno*, ktoś wydrapał na drzwiach samochodu *Veneto per i Veneti*<sup>\*99</sup>.

Morris obiecał zawiadomić o wszystkim policję. Potem poinstruował szczegółowo oboje, co koniecznie muszą załatwić. Trzeba rozesłać informacje do Doorways i pozostałych klientów, uporządkować zamówienia, dowiedzieć się, w jaki sposób Bobo organizował pieniądze, by płacić dostawcom z pominięciem ksiąg rachunkowych. Ponieważ jeśli firma przez cały czas nie będzie funkcjonować, po prostu padnie, zakończył. Paola poskarżyła się, że to dla niej za trudne, że Morris będzie musiał sam to wszystko uporządkować po wyjściu ze szpitala. Kwame natomiast, co Morris odnotował z pewnym zaskoczeniem, wyjął z kieszeni modnych spodni niewielki notes i zaczął skrupulatnie zapisywać każde polecenie, czasami prosząc o dokładniejsze wyjaśnienie którejś z instrukcji. Mimo zakłopotania z powodu wcześniejszego epizodu, nie mówiąc już o całym repertuarze innych trosk, które go dręczyły, Morris poczuł autentyczną przyjemność płynącą z faktu, że ma tak zdolnego i dobrze zapowiadającego się ucznia. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, była w nich prawdziwa, dodająca otuchy solidarność.

---

<sup>99</sup> \* Wenecja dla weneccjan.

- *Povera faccia, selvaggia* - wdzięczyła się Paola. - Mój biedny, zmasakrowany brutal.

Wiedziała czy nie wiedziała? A jeśli nie wiedziała, skąd w niej ta dziwna determinacja, by udawać, że zachowuje się naturalnie, skąd te gierki?

-A właśnie - Morris zwrócił się teraz do obojga, starając się mówić z całkowitą swobodą - kiedy zabili tego cholernego psa, nie wiecie przypadkiem, co się stało z moim płaszczem? Zdaje się, że w kieszeni miałem portfel. Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- Szefie, byłeś cały we krwi. Ten wielki pies rzucił się na ciebie niczym demon.

- I policja go zastrzeliła - uzupełnił Morris. - To wiem już od Forbesa.

- Najpierw próbowali go odciągnąć, a potem zastrzelili. Ten zwierz najwyraźniej oszalał.

- Ale dlaczego? - zainteresowała się Paola. - Nigdy przedtem nie zachowywał się w ten sposób.

- Policja mówi, że ktoś usiłował go otruć, pani - wyjaśnił Kwame.

Morris po raz kolejny poczuł podziw dla Afrykanina. Z jaką łatwością ten chłopak kłamał, czy też raczej wygłaszał niewinne półprawdy, mówiąc dokładnie to, co powiedziałby ktoś rzeczywiście niewtajemniczony w całą intrygę.

Ujęło go też, że Kwame, choć dosłownie przed chwilą był świadkiem niezmiernie żenującej sceny, nadal zwracał się do pani Duckworth z ogromnym szacunkiem.

- Zastanawiam się, co się stało z moim płaszczem - powtórzył Morris.

Kwame potrząsnął głową.

- Kiedy pomagałem przenieść cię na nosze, nadal miałeś go na sobie, szefie.

- Mo, chyba nie trzymałeś kart kredytowych w kieszeni! - Paola poruszyła się niespokojnie, usiłując pokryć grymas twarzy słabym uśmiechem.

Bardzo dobrze, pomyślał Morris. Jeśli idzie o długą, bezlitosną kampanię, potrafi ją rozegrać. Ale ten cholerny płaszcz z listami w kieszeni musiał przecież gdzieś wylądować.

Następnego dnia, zaledwie dwadzieścia cztery godziny przed operacją, przyszła go odwiedzić Antonella i po krótkim wahaniu zgodziła się poczytać mu jego angielską Biblię. Była skromnie ubrana, w czerń i brąz. Morris opowiedział jej o swoim nawróceniu, pragnieniu służenia innym i planach -oczywiście pod warunkiem uzyskania jej zgody - połączenia działalności komercyjnej Trevisan Wines ze zorganizowaną dobroczynnością i wybudowania kaplicy na należących do firmy gruntach. Antonella siedziała przy jego łóżku, z bladymi dłońmi złożonymi na czarnej oprawie księgi i długimi, czarnymi włosami muskającymi wydatne piersi.

- Co chcesz, abym ci przeczytała?

- Cokolwiek. Twój ulubiony fragment.

- Obawiam się, że pod tym względem jestem raczej ignorantką - szepnęła. - Katolicy nie przywiązują specjalnej wagi do lektury Biblii.

Jej zakłopotanie było takie ujmujące.

- Może kiedy poczuję się lepiej, zaczniemy ją razem studiować? - podsunął. - To będzie prawdziwa przygoda. Pomoże ci oderwać myśli od innych spraw. Możemy nawet czytać Biblię po angielsku, łącząc naukę z pobożnością. To dobry sposób, aby wrócić do przerwanych lekcji. Stan nie ma teraz czasu, aby cię dalej uczyć.

Miał nadzieję, że nikt nie zawiadomił Amerykanina o jego pobycie w szpitalu. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to ten przymilny Kalifornijczyk odwiedzający go w chorobie, a potem natykający się w windzie na Antonellę.

Jego szwagierka uśmiechnęła się z wdzięcznością. Morris uświadomił sobie, iż jej wizyta oznacza, że nawet jeśli ktoś znalazł jego płaszcz i dodał dwa do dwóch, z pewnością nie ujawnił swojego odkrycia, gdyż wówczas Antonella wyłupiła-by mu oczy.

- Otwórz na chybił trafił - powiedział, wskazując tom ze złożonymi brzegami. Gdyby kiedykolwiek napisał książkę, chciałby, aby ona również miała złożone brzegi.

Antonella otworzyła Biblię, znalazła w torebce okulary do czytania (nie miał pojęcia, że musi ich używać, ale nie komentował tego) i przystąpiła do lektury.

*- O, któż to da, żebym był jak w miesiącach dawnych, jak w dniach, kiedy Bóg mnie chronił!*

Na moment podniosła głowę znad rozłożonych stronic. Rysy miała naznaczone bólem, a poważne okulary przydawały im tylko szlachetności.

*- Gdy sprawiał, że świeciła Jego lampa nad moją głową i w Jego świetle szedłem przez ciemności.*

Morris westchnął.

*- Jak wtedy w dniach mojej pełni, gdy Bóg czuwał nad moim namiotem.*

Morris przyglądał się szwagierce z uwagą. Jej nabrzmiałe wargi lekko drżały. Antonella roztaczała wokół siebie cudowną, intensywną kobiecość, która u Paoli była zaledwie pospolitą lubieżnością.

*- Gdy jeszcze Wszechmocny był ze mną, a naokoło mnie dzieci moje. Gdy stopy moje kapały się w śmietanie, a skała wylewała dla mnie potoki oliwy.*

Antonella wybuchnęła płaczem.

- Och, Morris - zawołała - dlaczego musiało się to przytrafić akurat nam?

Morris usiadł i nakrył jej dłoń swoją dłonią. Czuł autentyczne zatroskanie i jednocześnie desperacki pociąg do niej, wbrew sobie, bo przecież postanowił być oddany Paoli.



*Gdy stopy moje kapały się w śmietanie.* Doprawdy powinien był *zabrać* się za studiowanie Biblii już wieki temu.

Antonella płakała rozpaczliwie.

- Najpierw Mimi, a teraz Bobo. Wiesz już pewnie, że dostałam ten straszny list. Zupełnie jak jeden z tych, które przyszły po porwaniu Mimi. Najpierw poczułam się szczęśliwa, bo pomyślałam, że to oznacza, że Bobo żyje, ale później przypomniałam sobie, co się z nią stało. Nie rozumiem, jak Bóg mógł dopuścić, aby coś takiego dwukrotnie spotkało jedną rodzinę. A teraz jeszcze otworzyłam Biblię akurat na Księdze Hioba.

Ponowny szloch.

Morris ostrożnie zapytał, w czym ten ostatni list przypomniawszy tamte, które nadeszły po porwaniu Mimi. On sam nigdy ich nie widział, przypomniawszy szwagierce. Sobie również.

- Żadnego słowa nie napisano ręcznie - powiedziała Antonella, zdejmując okulary i ocierając oczy chusteczką. - Wszystkie zostały wycięte z książek albo z gazet. A pogróżki były bardzo dziwne.

Okazało się, że Antonella ma przy sobie fotokopię. Pochylona, zaczęła przetrząsać zawartość stojącej na podłodze torebki. Morris rozłożył arkusz na pościeli.

Gdy tylko rzucił okiem na treść, poczuł, że cały sztywnieje, tak niesamowite było wrażenie *déjà vu*.

**CIEMNA WŁADCZYNI SIEDMIU KRÓLESTW!**

Autor listu z pewnością posłużył się jakimś trzeciorzędnym powieściidłem. Tani gotyk dla nastolatków.

**PRZESYŁAM OSTRZEŻENIE, ŻE POLICZONE JUŻ ZOSTAŁY DNI TWOJEGO DIABELSKIEGO PANOWANIA NAD UCIEMIĘŻONYM LUDZEM GNIEWU. PISZĘ TO PRZESŁANIE, NURZAJĄC PIÓRO WE KRWI TWOJEGO NIEGODZIWEGO SYNA, CZARNEGO TOMASZA, KTÓRY**

ZNOSI MĘKI, JAKIE SAM KIEDYŚ ZADAWAŁ INNYM, ZAKUTY W OKOWY.

MOŻESZ ZGRZYTAĆ ZĘBAMI, NIKCZEMNA CIE-MIĘŻYCIELKO CHRZEŚCIJAŃSTWA. JEŚLI PRZED ZACHODEM SŁOŃCA DRUGIEGO DNIA SABATU NIE ZŁOŻYSZ WSZYSTKICH NIECNIE ZŁUPIONYCH BOGACTW U STÓP DOBREGO RYCERZA RUDOLFA I NIE PRZYSIĘGNIESZ POSŁUSZEŃSTWA NA JEGO POTĘŻNY MIECZ, WÓWCZAS JEDYNY CZŁOWIEK, KTÓREGO KOCHASZ, JEDYNY, KTÓRY JEST DROGI TWEMU NIKCZEMNEMU SERCU I JESZCZE NIKCZEMNIEJSZEJ DUSZY, ZOSTANIE STRACONY BEZ LITOŚCI I DOSIĘGNIĘ GO ZASŁUŻONA KLĄTWA JEGO ŚWIĘTEGO STWORZYCIELA.

Zgrzytał zębami, dobre sobie, pomyślał Morris. Co za kiepska proza. Ale ton faktycznie ten sam, co w jego pierwszym liście z żądaniem okupu. Żartobliwa groza i absurd. Idiotyczna przygoda dla opóźnionych w rozwoju czytelników, nagle przeobrażająca się w groźną rzeczywistość. List był podpisany: *RODOLFO IL ROSSO, DIFENSORE DELLA FEDE, PROTETTORE DEI POVERI, FLAGELLO DI SATANA E TUTTE LE SUE OPERE*. Poniżej jego autor nakleił niewielki wycinek z lokalnej prasy: „Władze obiecują, że wszystkie szczegóły dotyczące regulowania nowego podatku, zostaną opublikowane w najbliższych dniach”.

Morris westchnął głęboko. List okazał się cholernie sprytnie pomyślany, stanowił idealną imitację jego wcześniejszego pastiszu, pozwalającą czytającemu nie traktować go zbyt serio, a autorowi udawać - także przed sobą, a może nawet głównie przed sobą - że w gruncie rzeczy chodziło tylko o niewinny żart.

Już miał podnieść wzrok na Antonellę, ofiarować jej słowa pociechy, a przede wszystkim przestrzec, aby w żadnym wypadku nie składała okupu - w końcu zapłacenie tylu pieniędzy za Massiminę okazało się daremne, prawda? - kiedy usłyszał męski głos, mówiący:

-*Allora*, jaka jest pańska opinia, Signor Duckvorse?

Po raz pierwszy, choć nie po raz ostatni, Morris doszedł do wniosku, że posiadanie twarzy w strzępach również ma swoje zalety. Wyraźnie czuł, że z policzków odpływa mu cała krew, a oczy rozszerzają się pod wpływem szoku, mógł być jednak pewien, że nikt tego nie zauważy pod zwojami bandaża i szwów, pokrywających jego dawniej przystojną twarz. Wciąż drżąc lekko, odwrócił wzrok ku Fendtsteigowi, w pełnym umundurowaniu i okularach bez oprawek bardziej niż kiedykolwiek przypominającemu oficera gestapo, i powiedział zgodnie z prawdą:

- *Colonnello*, ten list stanowi dla mnie całkowitą zagadkę.

- Gdyby mogła pani zostawić nas samych na moment -zwrócił się Fendtsteig do Antonelli, zdaniem Morrisa raczej chłodno, zważywszy, co ta biedna kobieta musiała przechodzić. Trzeba przyznać, że mundur *carabiniere*, z białymi szelkami podtrzymującymi kaburę i czerwonymi lampasami spodni, robił wrażenie; estetycznie prezentował się znacznie lepiej niż dość pospolite uniformy *polizia*.

Antonella wrzuciła okulary do otwartej torebki i wymknęła się cicho. Morris udął, że odprowadza ją wzrokiem.

- Signor Duckvorse - zaczął Fendtsteig bez żadnych wstępów - obawiam się, że czeka nas kolejna rozmowa.

Na twarzy Anglika pojawiła się rezygnacja.

- Signor Duckvorse, zaginął człowiek, już ponad miesiąc temu, a jego zaginięcie najwyraźniej poprzedzone było walką. - *Carabiniere* zrobił krótką pauzę, przygryzł wargi i złączył razem czubki palców obu dłoni. - Biorąc pod uwagę sposobność uprowadzenia go czy wręcz zamordowania, mamy trzech podejrzanych, pana i tamtą żalosną dwójkę *extra-comunitari*.

- Homoseksualistów - uzupełnił Morris.

Fendtsteig zignorował ten wtęty. Czy *carabiniere* może być homoseksualistą? - zaczął się zastanawiać Morris. Wcale by go to nie zdziwiło. Na całym świecie zdawało się od nich roić.

Fendtsteig kontemplował swoje palce, pogrążony w głębokiej zadumie.

- W noc po przestępstwie pan przebywał poza domem do drugiej nad ranem. Powtórzę, do drugiej nad ranem. Odmówił pan wszelkich wyjaśnień na temat miejsca pańskiego pobytu w tym czasie. Dlatego też, podejrzewając, że jest pan mordercą bądź porywaczem, zarządziłem pańskie zatrzymanie, działając na mocy *decreto legge 776/91* kodeksu karnego, aby zapobiec spreparowaniu przez pana fałszywego alibi.

Nuda. Oczy Morrisa powędrował ku oplecionemu pajęczynami krucyfiksowi nad drzwiami, stanowiącemu dowód zaniedbań w zakresie higieny zarówno tej materialnej, jak i duchowej. Kiedy wreszcie ten nadęty, czepialski Tyrolczyk powie mu, czy znaleźli jego płaszcz i listy? Przynajmniej wiedziałby, czy ma się dalej bronić, czy odpuścić sobie i zrezygnować z dalszej walki.

- Dopiero później sprokurował pan - podjął Fendtsteig tym samym, monotonnym tonem, jakiego używał podczas poprzedniego przesłuchania - powtarzam, sprokurował pan sobie alibi. Po trzech tygodniach spędzonych w celi wymyślił pan całkowicie absurdalną historyjkę, mającą usprawiedliwić pańską nieobecność w domu tamtej nocy. W rozmowie z więziennym psychiatrą powiedział pan...

- *Per favore, Colonnello* - przerwał Morris - to dla mnie zbyt bolesny temat. Doskonale wiem, co powiedziałem w rozmowie z więziennym psychiatrą, więc proszę, nie wracajmy do tego.

Fendtsteig zawahał się, nie reagując jednak bezpośrednio na protest Morrisa.

- Wspomniany wyżej *decreto legge* zobowiązywał mnie do przyjęcia pańskich zeznań, choćby brzmiały nieprawdopodobnie, do momentu, aż nie dowiodę ich fałszywości. W gruncie rzeczy im słabsza i bardziej absurdalna historyjka, tym lepiej dla śledztwa.

Fendtsteig urwał znowu, swoim zwyczajem nie spoglądając przy tym na Morrisa, który mruknął w przestrzeń:

- Gdybym wiedział, że ten psychiatra rozpowie wszystkim o moim wyznaniu, milczałbym jak grób. Sądziłem, że obowiązuje go tajemnica lekarska.

Zakryta okularami chuda twarz Fendtsteiga, wyłaniająca się znad wysokiego kołnierzyka munduru, wyraźnie zdradzała brak przekonania. Morris uznał to za wysoce nierozsądne. W końcu jego opis wspinaczki przez cmentarny mur i złożonych w ossuarium trumien był naprawdę szczegółowy, a w dodatku możliwy do zweryfikowania. Niech sobie Fendtsteig myśli, co chce, ale on, Morris, z całą pewnością w którymś momencie swojego życia sforsował ogrodzenie cmentarza. A kiedy niby miał szlochać nad trumną zmarłej ukochanej, jak nie tamtej nocy, gdy po raz pierwszy i ostatni trumna ta była dla niego dostępna?

Pochowanie Boba na cmentarzu okazało się asem w jego rękawie.

- Jak panu wiadomo - podjął Fendtsteig z tą samą nieustępliwością, którą tak pieczołowicie w sobie pielęgnował, a która na Morrisie robiła coraz mniejsze wrażenie – krótko przed pańskim zwolnieniem *polizia* aresztowała dwóch *extra-comunitari*, oskarżyła ich, moim zdaniem - niesłusznie, o zamordowanie pańskiego współnika i wniosła o proces *per diretissima*, nie dysponując wystarczającą liczbą dowodów. Naśladując oficjalny ton tamtego, Morris ripostował:

- Aresztowała dwóch młodych mężczyzn, którym starałem się pomóc, jak tylko mogłem, i którzy za moje starania odpłacili się lubieżnym i perwersyjnym zachowaniem w godzinach pracy. Mój współnik zwolnił ich za to, zupełnie zresztą słusznie. Mieli powód, aby chcieć się go pozbyć.

Przez chwilę nie potrafił sobie przypomnieć, czy tę właśnie linię obrał w czasie swojej poprzedniej rozmowy z Fendtsteigiem czy też może z Marangonim albo czy przesłuchiwany przez któregoś z nich nie twierdził przypadkiem czegoś zgoła przeciwnego. Popatrzył na Fendtsteiga z wyzwaniem, ale ten nadal pochłonięty był obserwowaniem czubków swoich palców.

- Biorąc pod uwagę ich zachowanie, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby okazali się sprawcami - zakończył Morris lek- ko nerwowo.

Przedłużające się milczenie *carabinieri* było coraz bardziej złowieszcze. Morris brnął dalej.

- To tego typu osobnicy, którzy na *stazione di servizio* sprzedają człowiekowi kamerę wideo, a ta okazuje się cegłą albo drewnianym klokiem. Słyszał pan o podobnych praktykach, prawda? Potem w domu otwiera pan pudełko, a cegła spada na podłogę, niszcząc kosztowną glazurę. Pan próbował pomóc im choć trochę, tymczasem oni nadużywają pańskiego zaufania. .

Teraz wywołana niepokojem czerwień na jego twarzy, śmiało mogła uchodzić za rumieniec oburzenia. Przez mo ment Morris bawił się wyobrażeniem, że jest niczym kamele on, co chwila zmieniający kształt i wymykający się coraz słabszym i bardziej zdezorientowanym dłoniom Fendtsteiga.

- Gryząc rękę, która ich karmiła - zakończył z autentycznym poczuciem słuszności.

Fendtsteig wreszcie podniósł na niego wzrok. Ostrożnie odmierzał słowa.

- Signor Duckvorse, jeśli idzie o charakter zatrzymanych nieszczęśników, nie mam zamiaru wdawać się w żadne spekulacje. Pańskie odczucia mogą być całkowicie słuszne. Nie to jest jednak najważniejsze. O wiele bardziej interesujący jest fakt, że dopiero po tym, jak nastąpiły opisane wydarzenia - aresztowanie tamtej dwójki i wystosowanie aktu oskarżenia przeciwko nim - otrzymaliśmy, czy też raczej rodzina zaginionego otrzymała wysoce nieprzyjemny list, który pokazała panu Signora Posenato, w stylu i treści niezwykle bliski temu, jaki przyszedł do rodziny Trevisan dwa lata temu, kiedy ich córka została uprowadzona. Signor Duckvorse, jak pan to tłumaczy?

Signor Duckvorse w żaden sposób nie potrafił tego wytłumaczyć, choć szczerze tego pragnął, uznał więc, że najroztropniej będzie poprzestać na patrzeniu. Dostrzegłszy przez szczelinę w parawanie niewysoką, brązową postać, popychającą wózek z lekarstwami, zawołał do niej:

- *Ciao*, Dionisio, jak leci?

- *Ciao* - zrewanżował się Dionisio - wszystko w porządku.

- To do zobaczenia później - powiedział Morris, a po chwili, jakby tknięty nagłą myślą, dorzucił jeszcze: - Wiesz, przypomniałem sobie, że mój przyjaciel prowadzi hotel w Shepherd's Bush. Może skontaktuję cię z nim?

- *Benissimo!*

Czyżby zęby pielęgniarza prezentowały się teraz odrobinę lepiej? Uśmiech Dionisia, kiedy chłopak na chwilę wetknął głowę za parawan, można było nazwać wręcz promiennym. Natomiast *carabiniere* zmarszczył się srogo, a na jego czole ukazał się mars jak u obrażonego dziecka.

- *Mi scusi, Colonnello*, ale w szpitalu człowiek musi przy-milać się personelowi, jeśli chce mieć należyłą opiekę.

Fendtsteig jednak nie dał się wciągnąć w żadne rozmówki na uboczne tematy, tylko powiedział rzeczowym tonem:

- Signor Duckvorse, byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby wytłumaczył mi pan okoliczności dotarcia listu zaledwie w trzy dni po tym, jak tamta dwójka została oskarżona o morderstwo. Z doświadczenia wiem, że szybciej już nasza poczta nie potrafi pracować. Oczywiście list został wysłany jako *espresso*.

Morris uznał, że w tym momencie najroztropniej będzie zademonstrować poirytowanie.

- *Colonnello*, jeśli pan nie potrafi wytłumaczyć tego faktu, doprawdy trudno oczekiwać, bym ja zdołał go wyjaśnić. Zwłaszcza jeśli zważyć, że od ponad tygodnia przebywam w szpitalu.

- Ależ ja potrafię wytłumaczyć ten fakt. - Fendtsteig już odzyskał poprzednie opanowanie. - Po prostu miałem nadzieję, że oszczędzi mi pan fatygi.

- W takim razie przykro mi, że pana rozczarowałem -rzucił Morris, czując w sobie każdy nerw. Teraz naprawdę walczył o życie. Co Fendtsteig miał na myśli, mówiąc, że potrafi wytłumaczyć tamten list?

Fendtsteig odczekał jeszcze chwilę, po czym zaczął mówić. Jego głosowi towarzyszył odległy szum pracującego gdzieś odkurzacza albo elektrycznej golar-ki.

- Moje wytłumaczenie, Signor Duckvorse, wygląda następująco. Biorąc pod uwagę charakter listu, możemy założyć, że porywacz Signoriny Trevisan i człowiek odpowiedzialny za zniknięcie Signora Posenato to jedna i ta sama osoba.

Stało się! Morris gwałtownie wciągnął powietrze. Gra była skończona. Wreszcie zobaczyli to, co od samego początku było oczywiste. W nozdrzach czuł już mieszaninę zapachów taniego środka dezynfekującego, ludzkiego potu i uryny, jaka towarzyszyła mu w celi. Tak. Zaczął się zastanawiać, czy nie poprosić, aby posadzili go razem z jego dawnym towarzyszem, którego w pewnym sensie nawet polubił. W końcu schizofreniczny morderca stanowił znacznie ciekawszy obiekt wnikliwych studiów psychologicznych niż pospolity malwersant czy zabójca.

- Wszelako widząc, że dwaj niewinni ludzie zostali oskarżeni o morderstwo - tu Fendtsteig zawahał się przez chwilę, marszcząc swoją tyrolską brew - ten zdumiewający szaleniec, co jak sędzę, wyraźnie przebija z tonu jego listów, poczuł coś w rodzaju wyrzutów sumienia i zdecydował się posłużyć znajomością wysłanego w przeszłości listu z żądaniem okupu w celu przekonania policji, że popełniła pomyłkę i że mamy tu do czynienia nie z morderstwem, tylko z porwaniem. Tak więc oskarżenie wniesione przez policję wobec tamtej dwójki okazało się szczęśliwym posunięciem, gdyż sprowokowało do odsłonięcia się prawdziwego sprawcę.

Morris odetchnął głęboko. Chwała Najwyższemu, że ci ludzie nie okazali się choć odrobinę bardziej inteligentni. Teraz najważniejsze to udawać całkowitą dezorientację.

- *Colonnello*, przykro mi, ale jakoś wydaje mi się to mało prawdopodobne - tu lekkie wahanie - choć oczywiście moje doświadczenie w takich sprawach jest znacznie mniejsze niż pańskie. - Urwał, zastanawiając się, czy jego ściągnięte brwi dostatecznie wyrażają namysł i skupienie. - Tak jak mówiłem, wydaje mi



się nieprawdopodobne, aby ktoś odpowiedzialny za bestialski mord na pięknej dziewczynie i ujmującym, młodym mężczyźnie troszczyłby się o los dwóch żalonych homoseksualistów z Trzeciego Świata. Zapewniam pana, że gdybym to ja był owym mordercą, z pewnością nie zaprzętałbym sobie nimi głowy.

Niemal prawda. Choć nie do końca.

Fendtsteig milczał. Morris pomyślał przelotnie, że jeśli Antonella przypadkiem podsłuchiwała za parawanem, musiał ją zbulwersować jego rasizm. Jednak podobne rozważania w obecnej sytuacji były równie niedorzeczne, co troska skażenka, czy aby dobrze prezentuje się przed plutonem egzekucyjnym. Nagle, pod wpływem całkowicie irracjonalnej myśli, że czas kończyć grę, rzucił gwałtownie:

-I kto niby miałby być owym odrażającym mordercą?

Po raz pierwszy podczas całej rozmowy Fendtsteig popatrzył mu prosto w oczy. Nie było to miłe przeżycie. Za błyszczącymi, pozbawionymi oprawek okularami wodniste oczy *carabinieri* sprawiały wrażenie niezbyt apetycznie prezentujących się warzyw, niewprawnie włożonych pod laboratoryjne szkiełko, wyłącznie w imię nauki, bo przecież nie dla żadnych innych celów.

- I znowu, Signor Duckvorse - powiedział Fendtsteig tonem kogoś, kto właśnie definitywnie osaczył swoją ofiarę - ufam, że to pan, ze swoimi odrażającymi upodobaniami do spoczywających w trumnie młodych kobiet, ma najlepsze kwalifikacje, aby odpowiedzieć na to pytanie.

Jeśli w życiu Morrisa były chwile, na które - bez względu na to, jak sprawy potoczyły się później - mógł z perspektywy czasu spoglądać z bezprzykładną dumą, ta była właśnie jedną z nich. Ze straszliwie okaleczoną twarzą, bez jakiegokolwiek możliwości ucieczki, bez znajomości wszystkich odrażających faktów, z których mógłby spleść jakąś przekonującą iluzję, on, Morris Duckworth, jak to później oceniał, rozegrał wszystko w sposób naprawdę bezbłędny. Doprawdy określenie „w sposób zapierający dech w piersiach” nie byłoby tu przesadą, choć przecież nie był aż takim arogantem, b) wszystkie zasługi przypisać wyłącznie sobie. To jej głos teras słyszał, przynaglający go do mówienia, to jej perfumy czuł To Mas-

simina, tańcząca na skraju tratwy unoszącej się ni falach wzburzonego morza, dyktowała mu, co ma mówić a on tylko powtarzał za nią.

A tuż za Mimi stał... tak, za Mimi stał sam Bóg.

- *Colonnello* - Morris głęboko zaczerpnął powietrza, jak by miał zamiar zanurkować w skłębione fale - *Colonnello*, to bardzo nieuprzejme, wyśmiewać się z obsesji, zgadzam się chorobliwej i estetycznie odpychającej, która jednak, jak mnie zapewnił mój analityk, jest jedną z częściej występujących w świecie. Przynajmniej wśród tych, *Colonnello* Fendtsteigo którzy mieli szczęście kochać i być kochanym. - Urwał na chwilę, po czym ze straszliwą pewnością zaczął mówić dalej wstępując jednocześnie prosto na tratwę. Oczywiście spodziewał się przy tym najgorszego: spiętrzonych bałwanów i wiru wsysającego go w głąb, tymczasem - podobnie jak przed chwilą przed najdroższym Zbawicielem - fale uciszyły się pod jego stopami, morze odpowiedziało na jego wezwanie, pozwalając mu bezpiecznie przebyć głębiny i stanąć na tratwie.

Mimi trzymała go za rękę.

- W moim przekonaniu prawdziwa wersja wydarzeń - jeśli pozwoli pan, aby amator podzielił się z panem skromną opinią - przedstawia się zupełnie inaczej. Oczywiście może mi pan zarzucić, że nie ujawniłem się z nią wcześniej, jednak przed takim krokiem powstrzymywała mnie lojalność wobec mojego współnika i autentyczne współczucie żywione do jego biednej żony.

Ze zdumieniem zauważył, że nie odczuwa żadnych objawów morskiej choroby, choć przecież nie miał pojęcia, w jaki sposób weźmie następną falę. Jak zwykle niczego naprzód nie planował. Ale w tym właśnie przejawiał się jego geniusz.

A Mimi wciąż tkwiła przy nim.

- Bobo, to jest mój współnik, Signor Posenato, ostatnimi czasy przeżywał... zaraz, jak mam to ^tfyrazić... ogromny niepokój. Czuł się schwyty w pułapkę, obawiał się, że rychła śmierć Signory Trevisan skaże go na los, który odbierał jako jałową egzystencję, na prowadzenie skromnej firmy, bez możliwości przekształcenia jej w prawdziwie prężne przedsiębiorstwo. Ponadto - tu Morris zniżył

głos, intensywnie wpatrując się w parawan, jakby jego oczy potrafiły przeniknąć płótno i sprawdzić, czy nie kryją się za nim nadstawione uszy Antonelli - choć przyznaje, że podczas poprzedniego przesłuchania zaprzeczałem temu, powodowany lojalnością, mam powody, aby podejrzewać, choć oczywiście pewności mieć tu nie mogę, że główną przyczyną niepokoju i nerwowości Boba był fakt, że w jego życiu była inna kobieta.

Fendtsteig w milczeniu pocierał palcami podbródek. Najwyraźniej spodziewał się, że Morris będzie usiłował skierować rozmowę na inne tory, tak jak poprzednio, kiedy zawołał Dionisia. Wciąż do niego nie docierało, że Morris działa teraz pod wpływem boskiego natchnienia.

- Bobo bardzo często pojawiał się w wytwórni czy też, mówiąc ściślej, w biurze, w nocy. Tak, właśnie w nocy. Często też bywał rozdrażniony i rozkojarzony. Wobec innych zachowywał się opryskliwie zupełnie bez powodu, mówił podniesionym głosem, stąd te absurdalne historie o naszych nieporozumieniach.

- Signor Duckvorse, jeśli mogę panu przerwać, wszystko, co pan mówi, to czysto indywidualne wrażenie, niezwykle łatwe do wymyślenia i szalenie trudne do zweryfikowania.

-Ależ mogę panu przedstawić szczegóły, jeśli to konieczne - Morris brawurowo żeglował dalej. - Na przykład nabycie tak ostrego psa z pewnością miało na celu zapobieżenie wtargnięciu niepożądanych intruzów podczas nocnych schadzek z kochanką. - Tak, to był doskonały pomysł! - Prawdopodobnie z tego samego powodu Bobo tak zaciekle sprzeciwiał się mojej propozycji uruchomienia trzeciej zmiany. Zaczniemy jednak od tego, że przedstawię panu ogólny zarys prawdziwej wersji wydarzeń.

Co prawda nie miał pojęcia, jak owa wersja miałaby wyglądać, był jednak przekonany, że w miarę, jak będzie mówił, wszystko samo się ułoży.

- Po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, kiedy *Ispettore* - zaraz, czy na pewno *ispettore*? ciągle mi się mylą te tytuły - kiedy *Ispettore* Marangoni poinformował mnie, że ktoś zadzwonił anonimowo na policję i powiedział, że Bobo, to jest Signor Posenato, otrzymał to, na co sobie zasłużył. A kiedy dowiedziałem

się, że pies stróżujący w wytwórni został otruty, wówczas nabrałem już całkowitej pewności.

Nie zważając na ból, Morris dwukrotnie energicznie skinął głową, niczym ktoś, kto słysząc wypowiedane przez siebie słowa, ostatecznie przekonuje się o ich prawdziwości.

- Tak, kiedy zobaczyłem otrutego psa, byłem już pewien. *Colonnello* Fendtsteig, proszę mi wierzyć, że podzieliłbym się z panem swoimi podejrzeniami, gdyż mnie również leży na sercu los owych nieszczęsnych imigrantów, którzy co prawda wcześniej zachowali się mocno niestosownie, ale których przecież niesłusznie postawiono w stan oskarżenia. Z całą pewnością zgłosiłbym się do pana, skoro jednak Bobo sam rozwiązał problem, wysyłając list, o którym mowa, nie było już takiej potrzeby.

W stanie między ekstazą a zawrotem głowy Morris uświadomił sobie nagle to, co Mimi prawdopodobnie usiłowała mu zakomunikować już od dłuższego czasu: mianowicie, że zwłoki nigdy nie zostaną odnalezione. To była jego karta atutowa, jego ratunkowa tratwa, która teraz rozciągała się aż po horyzont. Bez zwłok *polizia* i *carabinieri* mogą sobie spekulować *ad infinitum*\*<sup>100</sup>.

- *Mi scusi* - przerwał Fendtsteig, wreszcie okazując cień zainteresowania, choć usiłował zamaskować to ironią - *mi scusi*, ale niezupełnie nadażam za panem. Co dokładnie usiłuje mi pan powiedzieć?

Dobre pytanie.

- Że Bobo sam zaaranżował swoje zniknięcie i uciekł z kochanką - zaimprovizował Morris. I zaraz, niczym samica zwierzęcia, która z wielkim bólem i wysiłkiem wydała na świat potomstwo, zaczął wylizywać swoje młode, zrodzone z taką miłością i pełnym zdumienia zachwytem. — Pułkowniku, proszę się tylko zastanowić. Ciało nie zostało odnalezione, ba, nie znaleziono nawet samochodu. -

---

<sup>100</sup> \* W nieskończoność.

Dopieszczał teraz każdy szczegół, pewny, że wszystkie bez wyjątku będą do siebie pasować. Gdyby miało być inaczej, Mimi nie podsuwałaby mu przecież kolejnych słów. - Tak naprawdę, *Colonnello*, jakie mamy poszlaki, że w biurze doszło do szamotaniny? Poprzewracane meble i odrobinę krwi, co nietrudno było sprokurować, i również łatwą do zaaranżowania przerwana rozmowę telefoniczną z policją. Do tego dochodzi anonimowy telefon na policję i wreszcie list z żądaniem okupu, który jak sam pan wskazał, został prawdopodobnie napisany dlatego, że Bobo, co kilkakrotnie podkreślałem, miał naprawdę wrażliwą i współczującą naturę, więc nie mógł znieść myśli, że dwójka imigrantów została niewinnie oskarżona o jego zamordowanie. Ale dla mnie najbardziej przekonującym dowodem jest ten otruty pies - zakończył Morris znacząco, nie wiedząc jeszcze dokładnie, do czego właściwie zmierza.

- Aha - westchnął Fendtsteig - widzę, że kwestię otrucia psa też ma pan zamiar wyjaśnić. Signor Duckvorse, jestem doprawdy pod wrażeniem. - Ale oczy zwięzły mu się niebezpiecznie.

- Otóż nie wyobrażam sobie, by planując ucieczkę, Bobo przewidział konieczność napisania listu z żądaniem okupu i kolejnych, które bez wątpienia jeszcze nadejdą - rozpoczął Morris długie, zmuszone podejście stromym zboczem, nie będąc wcale pewnym, czy widoczna przed nim grań jest ostatnią czy też jedną z wielu. - Nie mógł przecież zakładać, że policja okaże się tak głupia - jak pan to słusznie zauważył -by oskarżyć o morderstwo tych dwóch biednych imigrantów na podstawie tak nikłych przesłanek.

Z szacunku do Fendtsteiga nie wspomniał, że Bobo nie mógł również przewidzieć, że ktoś okaże się tak głupi, by podejrzewać jego, Morrisa.

- Otóż w jednej z szafek na dokumenty... zaraz, niech sobie przypomnę, jak brzmiał ten tytuł... ach tak, „Massimi-na Trevisan”, zupełnie prosto... no więc w jednej z szafek na dokumenty znajduje się, czy też raczej - i tu Morris wziął szczególnie głęboki oddech - podejrzewam, że po sprawdzeniu okaże się, iż znajdowała się teczka z dokumentami dotyczącymi porwania Massiminy. Czy teraz dostrzega pan już, do czego zmierzam?

Fendtsteig nie dostrzegął.

- Jeśli autor obecnego listu domagającego się okupu nie był jednocześnie porywaczem Massiminy - zresztą dlaczego niby porywacz miałby zwracać uwagę policji na popełnioną przez siebie wcześniej zbrodnię, powtarzając ten sam wzór?

- W takim wypadku list musiał zostać napisany przez kogoś, kto miał bezpośredni dostęp do listów sprzed dwóch lat. -W miarę wypowiedzania kolejnych słów Morris sam zaczął dostrzegać zawartą w nich prawdę. - Bobo, jak już wspominałem, trzymał je w teczce w swoim biurze, gdyż to on w imieniu rodziny Trevisan zajmował się tamtą okropną sprawą, ignorując moje rozsądne wskazówki, których próbowałem mu udzielić. Jestem przekonany, że kiedy sprawdzi pan w biurze, znajdzie pan teczkę, ale bez listów. *Bobo potrzebował ich, żeby mieć wzór dla listu, który sam napisał.*

Fendtsteig mierzył go zza okularów lodowatym spojrzeniem. Teraz jednak Morris był przynajmniej pewien, że *carabinieri* nie odnaleźli listów w kieszeni jego płaszcza. Choć jednocześnie to, co przed chwilą powiedział, upewniło go ostatecznie, że odnalazł je ktoś inny.

Z całą pewnością nie był to Bobo.

- A pies? - zapytał Fendtsteig.

Morris już otwierał usta, ale w tym samym momencie Massimina najwyraźniej opuściła go na chwilę. Po co, na litość boską, Bobo miałby zabijać psa?

- A pies? - powtórzył Fendtsteig.

- Przecież Bobo nie mógł ryzykować osobistego włamywania się do biura - uświadomił sobie wreszcie. - Zapłacił komuś, żeby to zrobił, i ostrzegł go przed psem. Może włamania dokonała jego kochanka, nie wiem. Skoro jednak bestia była taka ostra i zajadła, próbowali ją otruć.

Zapanowało przeciągające się milczenie. Dionisio ponownie przemierzał oddział, popychając swój wózek, któryś z pacjentów jęczał cicho, usiłując pogodzić

się ze swoimi okaleczeniami. Wreszcie Fendtsteig podniósł się z miejsca i wyprostował szczupłą sylwetkę, dumnie przyobleczoną w mundur.

Jeszcze raz obdarzył Morrisa zimnym, przenikliwym spojrzeniem.

- Signor Duckvorse, wszystko, co mi pan powiedział, zostanie skrupulatnie sprawdzone. Ostrzegam pana jednak, że nie wierzę ani jednemu słowu pańskiej absurdalnej historii. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej mnie ona przekonuje, że cała sprawa zakończy się postawieniem pana w stan oskarżenia, a następnie skazaniem za zamordowanie szwagra. To tylko kwestia czasu, zanim odpowiednie dowody wpadną w nasze ręce.

Odprowadzając wzrokiem wychodzącego Fendtsteiga, Morris nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ten człowiek prawdopodobnie ma rację. Albo *carabinieri* sami dogrzebią się dowodów, albo on, Morris, będzie musiał podsunąć im jakieś pod nos, żeby raz na zawsze zakończyć sprawę.

Jakie jednak miałyby to być dowody, nie miał na razie pojęcia.

---

## CZĘŚĆ CZWARTA

### 29

Matka zawsze nazywała go swoim pięknym chłopcem. Między innymi za to tak bardzo ją kochał. Nieodmiennie potrafiła sprawić, że czuł się atrakcyjny i godny ludzkiego zachwytu. Uwielbiała go, a on ją. Dla siebie nawzajem zawsze byli najpiękniejsi. Jeśli więc Morris tak dobrze zapamiętał swoje spotkanie z wietrzną ospą, to nie dlatego, że ta przyszedłszy z pewnym opóźnieniem, fatalnie zderzyła się z żalonym okresem dojrzewania, lecz dla pewnej konkretnej chwili, w której schodząc po schodach po maść łagodzącą nieznośne swędzenie, usłyszał głos matki, wybijający się ponad dźwięki telewizora. Matka mówiła do ojca: „Wygląda niczym mały, skrofuliczny potworek”, a w jej kochanym głosie brzmiał śmiech.

Stanął wtedy jak wryty. Nie dosyć, że matka się śmiała, to jeszcze jej śmiech mieszał się z grubym, ordynarnym głosem ojca, który dorzucił w tym momencie: „Taki tydzień lub dwa dobrze mu posłużą. Próżny, mały mięczak”. Na co Matka, ze skwapliwością, której nigdy jej nie wybaczył, odparła: „Masz rację, Ron. Trochę krostek mu nie zaszkodzi”.

Nie zaszkodzi mu! Ze wyglądał jak skrofuliczny potwór! Monstrum! W dodatku Matka zwracała się po imieniu do tego wieprza! Morris dawno już nie słyszał podobnej wulgarności. „Ron”. Co za paskudne imię, o wiele gorsze niż „Morris”. Ale tego tłustego opoja, jego ojca, nie obchodziło to wcale. Był kompletnie niewrażliwy na wszelkie niuanse. Morris zawrócił na schodach i popędził do swojego pokoju, żeby przejrzeć się w lustrze wiszącym na drzwiach szafy. W świetle czterdziestowatowej żarówki, stanowiącej część ojcowskiego udziału w wojnie z Morrisa „nawykiem czytania”, jego twarz prezentowała się niczym pole bitwy między trądzikowymi wypryskami a strupkami ospy. Piękny chłopiec zniknął



bezpowrotnie. Nieodwracalnie. Morris zmusił się do spokoju, do uważnego przyjrzenia się swojej szpetocie, do zaakceptowania jej, choć to ona przecież sprawiła, że po tylu szczęśliwych latach Matka zdradziła go w tak okropny sposób. W dodatku z ojcem! Brzydota, uświadomił sobie, przypatrując się jej oznakom na twarzy - swojej własnej twarzy -nie tylko czyniła człowieka nieatrakcyjnym dla innych i dla samego siebie, lecz także prowokowała otoczenie do sprzymierzania się przeciwko naznaczonej nią osobie.

Kiedy przyglądał się sobie w szpitalnym lustrze w łazience, już po zdjęciu opatrunków, kiedy szokująca prawda zaczęła nabierać konkretnych kształtów, jego pierwszą reakcją nie był gniew, szok, czy nawet zwyczajny żal za utraconą pięknością, lecz przede wszystkim strach, obawa, że sine blizny, chropawa faktura skóry i brak symetrii rysów sprawią, iż teraz los przestanie mu sprzyjać. Czy Paola nie zechce się go teraz pozbyć? Zawsze czuł, że pociąga ją w nim przede wszystkim fizyczna uroda. Czy już nie zaczęła dawać mu do zrozumienia, że go podejrzewa? Wystarczy, że Fendtsteig dostanie choćby ułamek dowodu, a natychmiast zatopi zęby w makabrycznej prawdzie.

A Antonella? Czy nadal będzie tak pełna współczucia?

Czy nie odbierze jego szram jako widocznego przejawu wewnętrznej, duchowej szpetoty? Czy on sam nie odczytywał ich w taki właśnie sposób? (Do pewnego stopnia może, choć z pewnością nie podpisałby się pod czymś równie naiwnym jak neoplatonizm.) A Forbes? Niby czemu miałby go kochać mniej tylko dlatego, że jego cera utraciła dotychczasową nieskazitelność? A jednak Morris czuł, że mógłby, Tak, mógłby z całą pewnością. Nawet Kwame mógłby stać się mniej uległy i rozsądny, zwłaszcza gdyby wyczuł, że po zostało szczury zabierają się do opuszczenia dobrego pokładu Duckwortha.

Przed wszystkim jednak on sam czuł się mniej pewnie, pozbawiony talizmanu, jakim była jego niekwestionowana uroda. Czuł się obrabowany z momentów, kiedy zerkając do lustra ponad czyimś ramieniem albo przeglądając się w witrynie sklepowej czy nawet w szludanej powierzchni stołu, widział, że ma jaśniejszą i bardziej promienną karnację od innych. Wygląda młodziej i zdrowiej niż Marangoni oraz zdecydowanie bardziej atrakcyjnie niż Fendtsteig czy Bobo.

Nigdy już nie wrócą podobne chwile! W zamazanym, splekanym lustrze nędznej szpitalnej łazienki Morris zobaczył teraz mało pociągającego, zupełnie obcego sobie człowieka, z policzkiem niczym patchworkowa narzuta i zdeformowaną małżowiną uszną pod wygoloną czaszką więźnia obozu koncentracyjnego. Uniósł dłoń i delikatnie powiódł palcem po kompletnie pozbawionej czucia skórze. Był to gest kochanka, gest matki. Jego oczy wypełniły się łzami.

- Mimi - zajęczał - Mimi, ty nie zwrócisz się przeciwko mnie, prawda?

Ciągle wpatrzony w lustro, ciągle ze łzami spływającymi po policzkach, pomyślał, że korzyścią, jaką może wyciągnąć ze swojego okaleczenia - wszak doświadczenie nauczyło go, że ze wszystkiego da się wyciągnąć jakąś korzyść (w przeciwnym wypadku nigdy do niczego by nie doszedł, gdyż życie nie ofiarowało mu nic poza kolejnymi niepowodzeniami) - no więc korzyścią z okaleczenia będzie to, że jeszcze bardziej zbliży go ono do Mimi. Podobnie jak to uczyniło więzienie, jak to uczynił szpital. Obecnie potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. W przeciwieństwie do innych, którzy pochlebiali mu, dręczyli go czy oskarżali, Mimi mogła żyć tylko w nim, obojętne, czy urodziwym czy szpetnym. On był tą jedyną osobą, która ją naprawdę pamiętała i szczerze pragnęła zachować w sobie. Ich losy były splecione na wieczność i to w sposób o wiele bardziej doskonały, niż gdyby łączyło ich pospolite małżeństwo.

Morris znalazł się w szpitalu w niedzielę dziesiątego kwietnia. Proces Azedina i Farouka miał się rozpocząć dwudziestego ósmego, tego samego dnia, który w kolejnym liście został określony jako termin złożenia okupu w wysokości miliarda lirów. Policja wbrew naciskom *carabinieri* uznała sprawę z okupem za żałosną mistyfikację i nie zgodziła się na odroczenie terminu rozprawy. Marangoni był przekonany o winie imigrantów, którzy bez wątpienia padną ofiarą włoskiego systemu sprawiedliwości. Prasę takie rozwiązanie satysfakcjonowało, więc nie rozpisywała się specjalnie na temat listów z żądaniem pieniędzy. Mimo to Morris czuł, że na wszelki wypadek powinien opuścić szpital jak najprędzej.

Dionisio wytłumaczył mu jednak, że pacjenci po przeszczepie skóry pozostają na oddziale na dalszą obserwację co najmniej cztery dni po zdjęciu opatrunków. To bardzo ważne zobaczyć, jak operowane miejsca reagują na powietrze.

- W jakim sensie? - zażądał wyjaśnień Morris. ^

Ogarniała go coraz większa niecierpliwość. Pó przymusowej inercji poprzednich tygodni teraz każda sekunda wydawała mu się bezcenna. Musiał, po prostu musiał odkryć, co się stało z jego płaszczem. Nie może stać się przedmiotem spekulacji i podejrzeń.

- Skóra może zrobić się bardzo luźna. Obserwacja jest ważna.

Morris wzruszył ramionami. Potrafił rozpoznać przegraną sprawę.

Był teraz owładnięty desperackim wręcz pragnieniem przekonania się, jak inni zareagują na jego prawdziwie upiorną twarz. Jeśli nic już mu nie pozostało, przynajmniej będzie miał przyjemność osądzenia swoich bliskich i przekonania się, czy mądrze, czy niemądrze obdarzył ich swoim zaufaniem. Zbył Dionisia jakąś błahą opowieścią na temat poprawy komfortu podróżowania linią District Lane, odkąd wprowadzono tam pociągi z drzwiami, które pasażerowie mogli sami otwierać. Odczekał, aż ten idiota opuści oddział, porwał z szafki swoje ubrania, przebrał się szybko w obskurnej toalecie i opuścił szpital dokładnie dziewięćdziesiąt sześć godzin wcześniej, niż ktokolwiek się tego spodziewał.

Świetnie.

Złapał taksówkę, kazał się zawieźć do centrum i usiadł przy jednym ze stolików, czyniących z Piazza Bra wesołą, różnobarwną szachownicę. Kiedy pojawił się kelner, Morris uniósł ku niemu twarz znad gazety, mierząc poziom nerwowej reakcji, którą tamten starał się zamaskować szybkim opuszczeniem powiek i chwilą wahania. Zamówił *aperitivo* i chrupki, po czym zaprezentował swoje pokierszowane przez psa oblicze kwietniowym turystom, spacerującym po nasłonecznionej esplanadzie. Mrużący od światła oczy Niemcy i Japończycy, obejrzawszy przed chwilą eleganckie ruiny areny, zmierzali ku pulsującym życiem kawiarnianym stolikom, wążąc pro i kontra sąsiadujących ze sobą lokali, błękit-

nych stolików, zielonych, czerwonych czy żółtych markiz, bieli, rózu, rajskich wysepek pastelowych cieni i słonecznych plam. Już niemal byli zdecydowani na ten, a nie inny bar, kiedy dostrzegli nagle ogoloną czaszkę Morrisa, i ciemnosine blizny na pozszywanych policzkach. W tym momencie odruchowo cofali się przed czymś, co obrażało ich poczucie estetyki, było niczym widok spastycznego dziecka wpychającego sobie jedzenie do oka. Przechodzący placem ksiądz przyspieszył kroku, a jego prawa ręka mimowolnie podniosła się do piersi, czyniąc znak krzyża. Jakaś wysoka kobieta udawała, że nie ucieka wzrokiem, tylko właśnie dostrzegła coś za plecami okaleczonego mężczyzny. Jedyne mały chłopiec przyglądał mu się otwarcie, aż matka nie odciągnęła go w popłochu.

Morris uśmiechnął się. Uśmiech ten zapewne również wyglądał groteskowo. Wybrał numer Mimi w telefonie komórkowym, kupionym specjalnie na czas pobytu w szpitalu, i powiedział:

- Wiesz, Mimi, stałem się dla ludzi prawdziwym *memento mori*. Jakie to trafne.

Myśl, że jego wygląd mógłby w przyszłości posłużyć szokowaniu innych, nie była wcale taka nieprzyjemna, zwłaszcza kiedy miał już próbki, jak to działa. Czy w końcu nie była to jedna z ról, jaką zawsze pragnął odegrać? Szczególnie przed widownią złożoną z osób w czepku urodzonych jak choćby Paola czy Bobo.

- Wiesz, Mimi, zaczynam się przekonywać, że może to właśnie przeznaczył mi Bóg, kiedy zesłał na mnie tę straszliwą próbę w postaci rozjuszonego psa...

Nacisnął przycisk kończący rozmowę i odruchowo wybrał numer ojca. Ale stary opój jak zwykle gdzieś się włóczył, zresztą z pewnością dawno już zapomniał, że Morris chorował kiedyś na ospę wietrzną. Każde jego wspomnienie, które miało więcej niż tydzień, szybko tonęło zalane alkoholem. Może tak było nawet lepiej? Morris czuł, że ostatnimi czasy zbyt łatwo daje się ponieść pobocznym rozważaniom, kiedy~ powinien się skoncentrować na tym, co najistotniejsze.

Wybrał numer Antonelli i właśnie czekał na połączenie, kiedy po drugiej stronie placu mignął mu Forbes, którego jaskrawy, kwiecisty krawat widoczny był z odległości dobrych stu metrów.

- *Prontol*

Forbesowi towarzyszył jakiś młody mężczyzna, ale chyba żaden z imigrantów, gdyż Morrisowi wydało się, że dostrzega zmierzwioną, orientalną brodę. Dlaczego ten widok nappełnił go takim niepokojem?

- *Sono Morris.*

Antonella mówiła cichym, drżącym głosem, wyraźnie starając się opanować szloch. Coś musiało się wydarzyć. Zerkając w stronę Forbesa i jego dziwnie znajomego brodatego towarzysza, Morris zmusił się do czujności. Jakież ona miała podobny głos do głosu Mimi.

- Dziś wieczorem pewnie trochę się spóźnię - powiedziała. - Wpadnę na krótko, tak że przeczytamy kilka wersetów, nie więcej.

Morris zapewnił ją, że ma się nie martwić. Dziś zniesie nawet przykucie do łóżka, gdyż dowiedział się, że niebawem wychodzi. Z jaką łatwością przyszło mu to kłamstwo. Teraz musi tylko pamiętać, że je wygłosił. Antonella odwiedzi go wieczorem, czyli konieczny jest powrót do szpitala.

- Słuchaj, chciałem cię tylko ostrzec, żebyś w żadnym wypadku nie płaciła okupu.

Antonella milczała. Morris ponownie odniósł wrażenie, że jego szwagierka z czymś się zмага. Kelner przyniósł *gin-gerino* i białe wino z *noccioline*. Morris zakaszłał teatralnie do słuchawki, żeby zagłuszyć wszystko, co tamten ewentualnie mógł powiedzieć. Gdzie, u diaska, podział się Forbes z tym brodaczem? Wykręcanie głowy do tyłu było wyjątkowo bolesne. Morris upił łyk wina.

- Lekarstwo - powiedział i zaraz dodał: - Ja po prostu nie wierzę, żeby tamci naprawdę przetrzymywali Boba. To znaczy... - zawiesił na chwilę głos - wiem tylko tyle, co napisały gazety.

Czekając na odpowiedź Antonelli, upił kolejny łyk *ginge-rino*, po czym podjął:

- Na twoim miejscu nie wyrzucałbym miliarda tak po prostu w błoto.

Forbes i jego towarzysz zawędrowali pewnie do któregoś z barów.

Przypuszczalnie w poszukiwaniu toalety. Antonella milczała. Morris czekał. Wreszcie jego szwagierka przełknęła ślinę i powiedziała cicho:

- Morris, znalazłam listy. Dziś rano.

- Co takiego? - Jego serce zatrzymało się z pewnością na więcej niż jedno uderzenie. - Jakie listy?

Antonella nie potrafiła powstrzymać się już dłużej. Otwarcie płakała do słuchawki.

- On miał romans! To takie okropne! Trzymał listy schowane razem ze zdjęciami z pierwszej komunii.

- Taniu - powiedział Morris - Taniu, jest mi tak bardzo przykro.

Z jaką łatwością jego wargi wypowiedziały to uroczne zdrobnienie.

- *O Dio*, to się ciągnęło przez całe miesiące. Okropność.

- Jakże chciałbym być teraz przy tobie, by cię pocieszyć -wyrwało mu się spontanicznie.

- Morris. - Głos Antonelli załamał się całkowicie. Morris odczekał stosowną chwilę, po czym zaczął ostrożnie:

- Obawiam się, że musisz zgłosić to policji. Wiem, nie będzie to przyjemne, ale tyle przynajmniej jesteś winna tym biednym imigrantom. Zniknięcie Boba może mieć coś wspólnego z tamtą kobietą.

- Tak, wiem.

Nagle zaalarmowała go kolejna myśl.

- Zakładam - zawahał się - zakładam, że z nią już rozmawiałaś. Z tą kobietą, kimkolwiek ona jest. Może byłaby w stanie powiedzieć nam...

- Kiedy ja nie wiem, kim ona jest - zawodziła Antonella. - Listy podpisywała „twoja Bimbetta” albo... albo... - biedna Tonia ledwo wydobywała z siebie słowa - albo „twoja seksowna dziewczynka”.

- A jakieś szczegóły, jakieś odniesienia do miejsca, gdzie...?

- W listach jest mowa wyłącznie o seksie - przerwała Antonella brutalnie. - Są odrażające, są... och... - na moment całkowicie straciła kontrolę nad głosem.

- Tak mi przykro - powtórzył Morris uradowany.

Scenariusz romantycznej ucieczki z kochanką, do tej pory pomijany, zaczynał się bardzo ładnie potwierdzać. Tak naprawdę każdy incydent - czyjeś zniknięcie, ślady szamotaniny - dawał się wytłumaczyć na setki, a nawet tysiące sposobów i wszystkie były równie prawdopodobne. Dlaczego na przykład Bobo nie miałyby uciec ze swoją młodą damą, pozorując porwanie, żeby ukryć wiarołomstwo?

Albo może ktoś ich szantażował? Dlaczego nie? Zmusił ich, aby razem zniknęli.

Do szloch Antonelli dołączyło teraz pociąganie nosem. Morris milczał, uznawszy, że tak najlepiej wyrazi swoje potępienie i dyskretną powściągliwość.

- Jak on mógł mi zrobić coś takiego? Morrees, jak on mógł?

- Pewni ludzie robią takie rzeczy, inni nigdy - oświadczył Morris z głębokim przekonaniem. - Ja bym nie potrafił. Teraz jednak problem w tym, że musisz opowiedzieć o wszystkim policji. To może wpłynąć na proces tamtych biedaków. Naprawdę był dla nich bardzo łaskawy.

- Wiem.

- I nie płac okupu, chyba że będziesz miała stuprocentową pewność, że Bobo żyje.

Jego szwagierka mówiła teraz spokojnym, rzeczowym tonem, najwyraźniej próbując ocalić resztki godności.

- Tym się nie przejmuj. Polecono mi nic ci nie mówić, ale *carabinieri* kazali mi przygotować pieniądze. Zamierzają zastawić pułapkę na tego, kto się po nie zgłosi. Przekazanie okupu ma nastąpić tego samego dnia, kiedy zaczyna się proces, z samego rana. Zaraz później mam iść na policję i złożyć zeznania. Straszne, straszne jest to wszystko. Chcę jak najprędzej mieć to już za sobą i wyjechać.

Morris ledwo otworzył usta, choć właściwie nie miał pojęcia, co zamierza powiedzieć, kiedy zobaczył Forbesa i Stana, tak, właśnie Stana, zmierzających w jego stronę. Szybko zamknął oczy, żeby ich spojrzenia nie skrzyżowały się przypadkiem. Modląc się po cichu, aby go nie rozpoznali z jego nową twarzą, pośpiesznie rzucił Antonelli, że właśnie pojawił się pielęgniarz z zastrzykiem, zobaczą się więc koło siódmej, żeby poczytać Księgę Eklezjastesa, a na razie - *coraggio*<sup>\*101</sup>.

Zdażył jeszcze przerwać połączenie, kiedy rozległ się donośny głos.

- Facet, byłeś na wojnie czy jak?

Morris nigdy nie lubił Stana. A jednak - i była to jedna z tych drobnych perwersji, w jakie obfitowało życie - choć spotykali się rzadko i zawsze w niesprzyjających okolicznościach, Stan najwyraźniej zdawał się lubić Morrisa. Teraz głupi Amerykanin dosłownie rozpływał się z troski. Boże drogi, jak to się stało? Kiedy? Gdzie? Chryste, co za niesamowity pech. Ale nie ma się czym martwić, on przecież też był paskudnie poharatany, kiedy wpadli na siebie na rzym skim dworcu, choć może „stuknęli się” byłoby tu lepszym określeniem, skoro był niemal po pas w gipsie po tym cholernym wypadku...

Zwracając się wyłącznie do Forbesa, Morris powiedział tak chłodno, jak tylko potrafił.

- Nie wiedziałem, że się znacie.

---

<sup>101</sup> \* Odwagi.



Jednocześnie pomyślał, że Stan jest naprawdę głupcem. Przecież okaleczona twarz nigdy nie wyleczy się w podobny sposób co złamana noga. Człowiek mógłby umierać na raka, a ten idiota pocieszałby go opowiastkami o swoim niedawnym bólu zęba.

- Przeprowadziłem ze Stanem rozmowę kwalifikacyjną -odparł Forbes, choć to bynajmniej nie tłumaczyło ich wspólnych spacerów po *plazza*.

Nastąpił moment milczenia pełnego zakłopotania. Spod jakby przykurzonych powiek Forbes zdawał się przyglądać Morrisowi o wiele ostrzej niż kiedyś. A może w ten sposób starał się zamaskować swoją odrazę do jego zniekształconej twarzy? Morris pomyślał z lekkim niepokojem, że kalkulacje co do reakcji ludzi na jego widok trzeba będzie poszerzyć o dodatkowe elementy. Oczywiście przy- padki tak całkowitej niewrażliwości, jaką demonstrował Stan, spokojnie można pominąć.

- Pete zaofiarował mi stanowisko nauczyciela HS w organizowanej przez siebie szkole.

Morris nigdy przedtem nie słyszał, by ktoś mówił o For-besie Pete, nie miał też pojęcia, co może oznaczać skrót HS. Pewnie homoseksualny Stan.

- Stan ma magisterium z historii sztuki. - Forbes mówił takim tonem, jakby za coś przeproszał. Widać było, że staruszek czuje się nieswojo, co prawdopodobnie spowodowane było zniekształconą twarzą Morrisa. Ale niekoniecznie.

- Pomyślałem sobie - ciągnął Forbes, zgoła niepotrzebnie - że dobrze byłoby, aby w szkole dla odmiany zabrzmiał także amerykański głos. Nie ma potrzeby ograniczać się wyłącznie do brytyjskiego, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

W tym momencie Stan położył dłonie na obciążonych tweedową marynarką ramionach Forbesa i z afektacją uściskał starca, a Morrisowi od razu przypomniała się odrażająca filipika na temat rzekomych zalet biseksualizmu, którą usłyszał od Stana kilka lat temu, kiedy samotność skłaniała go do sporadycznych kontak- tów ze środowiskiem jakże nieodpowiedzialnych ekspatriantów. Zręczność, z ja- ką Forbes zdołał ukryć odrazę, którą bez wątpienia musiał odczuwać wobec tej

poufałości, zrobiła na nim naprawdę wielkie wrażenie. Stan z pewnością nie był wart przyjaźni Forbesa. Przy najbliższej sprzyjającej okazji wytłumaczy starszemu, że nie ma potrzeby zatrudniać trzeciorzędnych, lokalnych nauczycieli, żeby zaoszczędzić parę groszy, skoro on, Morris, chętnie sfinansuje wynagrodzenie naprawdę najlepszych pedagogów, przynajmniej przez pierwszy rok działania szkoły, a może nawet i przez dwa.

Podniósł się z miejsca.

- Muszę wracać do szpitala. Dostałem przepustkę na godzinę czy dwie, żeby załatwić kilka spraw... - omal nie powiedział, że na policji - ...dotyczących testamentu Signory.

I Stan, i Forbes obiecali, że go odwiedzą. Może nawet już jutro. Pewnie chcieli w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia, dlatego że sami są cali i zdrowi. Zbierając się do odejścia, Morris zapytał jeszcze:

- A właśnie, pamiętasz może, kto ściągnął ze mnie płaszcz po tym wypadku z psem?

W głębokich zmarszczkach Forbesa nie drgnęła ani jedna drobinka kurzu. Starcze, błękitne oczy spoglądały czysto, fiolki na krawacie prezentowały całą swoją krasę.

- Twój płaszcz?

- W kieszeni miałem portfel - wyjaśnił Morris.

- Właśnie - potwierdził Stan, zupełnie bez sensu, bo przecież nie miał pojęcia o całej sprawie. Czyżby był na prochach?

Forbes potrząsnął głową.

- Pamiętam, że po zastrzeleniu psa Kwame i jeden z *carabinieri* pochylił się nad tobą. Może wtedy zdjęli z ciebie płaszcz. Ale później... - ściągnął wargi, za-

dziwiająco wilgotne w suchej, pergaminowej twarzy. - *Nec scire fas est omnia*<sup>\*102</sup>.

Stan wybuchnął śmiechem.

- Czy on nie jest cudowny z tą łaciną?

Amerykanin ponownie uściskał Forbesa. Morris wybiegł pospiesznie, nie do końca pojmując przyczynę swojego obecnego niepokoju i rozdrażnienia.

---

## 30

---

Dochodziła dwunasta w południe. Krocząc przez olśniewający urodą plac, na którym pod stopami Morrisa rozkładały się porfirowe wachlarze, a ze smakiem ubrane dzieci śmigają na rowerkach, przeciskając się między tłumami turystów, oszołomionych faktem znalezienia się w tak pięknym miejscu, pomyślał nagle, że właściwie najlepszą rzeczą, jaką mógłby zrobić, to pójść do Fendtsteiga i wyznać wszystko. Czym była dla niego wolność, skoro został oszpecony? Stawała się wolnością pogardzanego i traktowanego protekcyjnie. To jego obecna twarz była powodem, dla którego Forbes zastąpił jego przyjaźń przyjaźnią Staną. Czyż nie było tak, Mimi, czyż nie tak? Przyznawać się czy nie?

Ale jego anioł stróż milczał. Nie było sensu wyciągać telefonu. Morris zatrzymał się przy pomniku Wiktora Emanuela. Jak zmienne stały się obecnie jego nastroje! Kierowany nagłym impulsem, zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Zanim się przyzna, zanim ostatecznie postanowi, czy się przyznawać, czy nie, pojedzie

---

<sup>102</sup> \* Nie wolno znać wszystkiego.

najpierw do domu i rozmówi się z Paolą. Zażąda od niej wyjaśnienia, dlaczego udawała, że nie jest w ciąży. Zażąda powiedzenia, ile naprawdę wie. Może nawet powie jej to, czego jeszcze nie wie. Przede wszystkim jednak zażąda deklaracji, czy Paola zamierza go opuścić. Musi wiedzieć, jaka przyszłość go czeka i czy jest sens starać się wymknąć ze szponów policji. Być może u podstaw jego depresji leżał fakt, że obecnie małżeństwo było dla niego takim brzemieniem. Bez Paoli szpital, a nawet więzienie okazały się miejscami w których wreszcie mógł spokojnie odetchnąć.

Ale przecież absurdalne byłoby wyznać wszystko Paoli, a potem zażądać rozwodu, by ożenić się z Antonellą.

Taksówka pokonała krętą drogę do Quinzano, minęła pierwszy z zakrętów tuż za wioską, wreszcie zatrzymała się przed bramą z kutego żelaza. Do reszty zdezorientowany, niebezpiecznie podekscytowany, balansujący między równowagą a szaleństwem, klęską a triumfem Morris wszedł do domu, zdecydowany definitywnie rozmówić się z Paolą, może powiedzieć jej, że zamierza przyznać się do wszystkiego, może uczynić z niej swoją współniczkę, sam jeszcze dokładnie nie wiedział.

- Paola! - zawołał, stając na środku holu, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Skierował się do bawialni, gdzie na solidnym, dębowym stole leżała rozłożona lokalna gazeta, otwarta na stronie z nagłówkiem:

#### KOLEJNE TAJEMNICE W SPRAWIE POSENATA.

Nawet się nie zatrzymał, żeby ją przeczytać. Dni, kiedy przejmował się tym, co pisała prasa, należały już do przeszłości. Obecnie był o wiele mądrzejszy.

Nieco zagubiony rozglądał się przez chwilę po pokoju, na nowo odkrywając jego napelniającą spokojem atmosferę, urok lśniącej podłogi w szachownicę, dostojnych, masywnych mebli, przefiltrowanego słonecznego światła kładącego się na eleganckich powierzchniach, ciemnej zieleni roślin doniczkowych. To właśnie miejsce, pełne konserwatywnego dostojeństwa, wybrał dla siebie, żeby stać się

jego częścią, zbudować w nim swoją osobowość. Jaka szkoda, że aby je zdobyć, musiał uczynić to wszystko, co uczynił.

Machinalnie przeszedł przez pokój i otworzył stary koszyk z przyborami do szycia Signory Trevisan, nadal malowniczo zdobiący półkę nad kominkiem. W środku leżały pocerowane majtki Mimi. Sam je tam włożył, po kilku dniach noszenia ich w kieszeni i dotykania. Teraz wyciągnął je ponownie, podniósł do światła i próbował, nie po raz pierwszy zresztą, wyobrazić sobie wciskające się w nie dojrzałe ciało Mimi. Jak ciemne miała włosy łonowe! Tak cudownie gęste i lśniące!

W pięć minut później, rozciągnięty na starym podwójnym łóżku, w którym zawsze sypiała Mimi, z oczami utkwionymi w wizerunku *Madonna incoronata*, zbliżał się do osiągnięcia orgazmu. Zawdzięczał go mistrzowskim pociągnięciom pędzla Forbesa i parze pocerowanych majtek. Wtedy w holu rozdzwonił się telefon. Ręka Morrisa natychmiast znieruchomiała. Oczywiście podniesienie słuchawki nie wchodziło w grę, ale i tak wiedział, że to znak. Znak od Mimi, która nie życzyła sobie, aby to robił. Nigdy przedtem nie robił *tego*, myśląc o niej. Nie odważyłby się. Przymykając oczy, oddał się zmysłowej torturze zaniechania pieśzcoty, kiedy nieoczekiwanie dobiegł go czyjś głos.

- *Ci dispiace, ma siamo momentaneamente fuori casa...* Przepraszam, ale chwilowo nie ma nas w domu.

Morris zerwał się na nogi, naciągnął spodnie, a majtki Massiminy wepchnął do kieszeni. Rozpoznał głos Paoli, ten fałszywy ton, zniekształcony kiepską elektroniką taniej, automatycznej sekretarki, przez co brzmiący jeszcze bardziej wulgarnie niż zwykle. Przystanął, oddychając głęboko. Automatyczna sekretarka to było coś nowego. Dlaczego mu o tym nie powiedziała? Przeszedł do holu i zaczął nasłuchiwać. Po komunikacie zabrzmiał sygnał, potem lekki trzask.

- Paola? - Chwila ciszy. - Jesteś tam, *signora bella?* - Kolejna przerwa. - Chyba przyjdzie mi poczekać trochę dłużej, *baby*. - Kolejny sygnał i jakieś brzęczenie.

Morris zamarł. Podniósłszy dłoń do ust, mocno przygryzł zębami kłykcie. Na miłość boską. Dopinając pasek spodni, dosłownie sfrunął po schodach i wypadł

na dwór. Wybrał odpowiedni klucz i podniósł wielkie, ciężkie drzwi garażu. Oczywiście nie było ani jego mercedesa, ani lancii Paoli, tak więc do dyspozycji miał tylko starego fiata seicento Signory Trevisan. Wszyscy genetycznielobciami bogactwem zawsze silili się na kretyński snobizm jeżdżenia możliwie najstarszymi gruchotami, jakie istniały. Ale przynajmniej w stacyjce tkwił kluczyk.

- *Fiat lux*\*<sup>103</sup> - mruknął ponuro, sadowiąc się w środku.

Oczywiście samochód nie zapalił. Akumulator padł, podobnie jak jego właścicielka. Musiał więc pchać stare, pordzewiałe pudło przez cały podjazd aż do bramy, a potem szybko wskoczyć do środka, by wprowadzić je w ostry zakręt i w dół stromizny. Dzięki Bogu gruchot ożywił się wreszcie, dosłownie w chwili, kiedy przyszło mu hamować, żeby wyminąć traktor ciągnący przyczepę pełną obornika. Co za kraj! Morris bezlitośnie zmuszał silnik do coraz większych obrotów. Nieważne, czy ktoś zwróci uwagę na pędzący samochód. Podczas jazdy przez centrum okazało się, że połączenie jego nowej twarzy i starego gruchota doskonale zdaje egzamin na zatłoczonych ulicach.

Kiedy w dziesięć minut później pokonywał ostatnie światła, już po drugiej stronie Werony, telefon komórkowy w kieszeni marynarki rozdzwonił się nagle.

- *Pronto, Morris?* - W głosie Forbesa, o ile Morris dobrze rozpoznawał wśród zgrzytów i trzeszczeń wypełniających wnętrze fiata, brzmiało niezwykle napięcie. Nieistotne, i tak nie miał teraz czasu na głupstwa. Nie próbował nawet udawać, że jest z powrotem w szpitalu, tylko z miejsca zapytał, o co chodzi.

Zanim jednak dopuścił Forbesa do głosu, rzucił jeszcze kąśliwie:

- Ze Stana Albertini nigdy nie będzie dobry nauczyciel ani w twojej szkole, ani w żadnej innej. Dziwi mnie, że w ogóle tracisz na niego czas. Zresztą biorąc pod uwagę, ile zainwestowałem w to przedsięwzięcie, byłbym wdzięczny, gdybyś konsultował ze mną swoje decyzje o zatrudnieniu.

---

<sup>103</sup> \* Niech stanie się światłość (gra słów).

Forbes powiedział tylko:

- Słuchaj, Morris, znalazłem samochód. Dosłownie przed chwilą.

Zajęty pokonywaniem zakrętu przy Ponte Florio, Morris nie do końca zrozumiał.

- Zawsze uważałem, że potrzebny ci samochód - przyznał. - Skoro jednak dzwonisz, aby mi powiedzieć, że to ja mam za niego zapłacić, to sądzę, że powinienś pozwolić chłopcom także z niego korzystać, kiedy będą mieli ochotę wypuścić się do miasta.

Trzeba przypomnieć Forbesowi, kto tu jest szefem.

- Ależ Morris, nie. Ja znalazłem *ten* samochód.

- Jaki samochód?

- Posłuchaj. Oprowadzałem Staną po szkole, zupełnie niedawno. Odruchowo otworzyłem na tyłach domu drzwi starej szopy, w której stoi ten zdezelowany traktor.

Morris nawet nie starał się słuchać, tak bardzo zależało mu na przekonaniu się, czy przed numerem szóstym faktycznie parkuje lancia.

- Okazało się, że za traktorem stoi samochód. Myślę, że to auto Boba.

Boba! Morris natychmiast zjechał na pobocze, pamiętając jednak, by przez cały czas trzymać nogę lekko na gazie. W starym gruchocie wszystko trzęsło się i łomotało.

- Jaki kolor, jaka marka? Forbes powiedział mu.

- Czy wspomniałeś o tym Stanowi?

- Skądże. Po prostu za traktorem stał samochód. Nie było powodu tego komentować.

- Ale przecież policja z pewnością przeszukiwała szopę.

- Zaraz na początku, ale potem już nie. Ktoś musiał go tam ukryć później.

Umysł Morrisa pracował teraz na takich obrotach, że on sam z trudem nadażał za swoimi myślami.

- Boję się, że to oznacza winę Azedina i Farouka. Musieli schować samochód w szopie, kiedy tu wrócili. Albo też byli w zмовie z pozostałymi - mówił Forbes.

Jego głos zdawał się jednocześnie domagać potwierdzenia tej hipotezy, i prosić o jej zanegowanie. Morris jednak natychmiast odrzucił tę pozornie wygodną konstrukcję, nie poświęcając jej nawet chwili świadomej uwagi, być może dlatego, że wszystkie na pierwszy rzut oka oczywiste rozwiązania nauczył się traktować jako pułapkę.

- Wręcz przeciwnie - zawyrokował. - Mnie to wygląda na próbę wrobienia ich.

Nastąpiła krótka chwila ciszy na linii, która - z czego doskonale zdawał sobie sprawę - mogła być na podsłuchu. Najosobliwsze w policji było to, że choć jej funkcjonariusze przesłuchiwali człowieka z niezwykle wręcz zapalem, to kiedy przychodziło do czynów, robili naprawdę niewiele. Na przykład nie przeszukali ponownie szopy. Prawdopodobnie w przeciwieństwie do książkowych czy filmowych detektywów biedacy skupiali się przede wszystkim na łatwych przypadkach albo też bardziej niż zniknięcie Boba Posenata interesowało ich własne życie seksualne czy nieudane małżeństwo. Zupełnie rozsądne podejście, jeśli się nad tym zastanowić.

- Ale kto? - zapytał Forbes szeptem. Morris powiedział z naciskiem:

- Jesteś pewien, że nie pamiętasz, kto tamtego ranka ściągnął ze mnie płaszcz? Bo mnie się wydaje, że to musiał być Kwame. - A kiedy Forbes był już o krok od nieuniknionego wyznania, dorzucił pospiesznie: - Na razie ani słowa nikomu, rozumiesz? Pojawię się tak szybko, jak tylko będę mógł.

- *Splendide mendax*<sup>\*104</sup> - wymamrotał Forbes.

---

<sup>104</sup> \*Szlachetne kłamstwa.



- *Ciao* - pożegnał go Morris, myśląc jednocześnie, że nawet gdyby resztę dni przyszło mu spędzić na zbawianiu dusz za kratkami, przecież nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie cieszył się życiem i - aczkolwiek krótko - nie siedział na grzbiecie nieujeżdżonego mustanga.

---

## 31

Na wzgórzach powyżej Montorio drzewka wiśniowe stały w pełnym rozkwicie. Biel kwiatów stanowiła wspaniałe dopełnienie nieco nudnawej, kontynentalnej zieleni, dominującej w pejzażu. Kiedy Morris ostrożnie zamykał drzwi samochodu, ciszę mąciło tylko brzęczenie pszczoł i rechotanie żab zamieszkujących rowy przecinające dolinę.

Kolejne piękne miejsce, pomyślał, z satysfakcją odnotowując, że nawet w najbardziej przełomowych momentach swojego życia nadal potrafi dostrzegać piękno. Oczywiście jej lancia stała przed domem. A więc tak wyglądała prawda.

Nagle sielską ciszę zmaćił warkot rozpoczynającej pracę maszyny. Rozbudowa osiedla wciąż trwała. Świetnie, przynajmniej nikt nie usłyszy jego wejścia.

Kiedy zbliżył się do bramy, dostrzegł, że błyszcząca, nierdzewna stal jednej ze skrzynek na listy przemieniła się w okopconą czerń. W otworze tkwiła świeżo wetknięta biała kartka. Morris wyciągnął ją i przeczytał. Napisane na niej oświadczenie głosiło, że mieszkaniec numeru szóstego nie pasuje do tego domu, podobnie jak osmolona skrzynka na listy nie pasuje do swoich lśniących nowości siostr. Całość kończyła się zawołowaną wprawdzie, mimo to niezbyt mile brzmiącą pogroźką. Piękno otoczenia najwyraźniej wywierało tylko niewielki

---

wpływ na ludzi. Wpychając papier z powrotem do skrzynki, Morris zanotował sobie w pamięci ten fakt, niczym ktoś, kto odkłada na bok fragment układanki, chwilowo nie widząc miejsca, gdzie mógłby go umieścić.

- Już wkrótce - powiedział w nagłym przeblysku intuicji. - Już wkrótce będzie po wszystkim.

I chociaż jego wargi poruszały się, odnosił wrażenie, że to nie on wypowiada te słowa ani nawet nie Mimi, ale ktoś, czy jego głosu słuchali oboje.

Tak, teraz był już naprawdę blisko rozwiązania.

Tuż za ogrodzeniem hałasowała koparka. Morris cicho otworzył bramę, przeszedł ścieżkę i znalazł się pod drzwiami. Jego bystre oko zauważyło kilka szczerb w podobno marmurowych stopniach. Żaden marmur, polerowany piaskowiec i tyle. Ściskając w dłoni klucz, zaczął nasłuchiwać, ale odgłosy z placu budowy zagłuszały wszystkie inne dźwięki. To stanowiło pewien problem, gdyż drzwi otwierały się prosto na pokój frontowy. Skąd miał wiedzieć, czy nie ulokowali się akurat tam?

Ale w końcu był to jego pokój. Nawet jeśli nie robili nic zdrożnego, a tylko dyskutowali kwestie dotyczące funkcjonowania firmy, miał prawo w każdej chwili tam wejść. Do pomieszczenia, w którym jego legalnie poślubiona, spodziewająca się dziecka żona rozmawiała z zatrudnionym przez niego mężczyzną. To Morris go żywił, ubierał i zapewniał mu dach nad głową.

Ale żar, jaki ogarnął całe jego ciało, pot płynący strumyczkiem między pośladkami i drżenie palców towarzyszące wkładaniu klucza do zamka podpowiadały mu, że za drzwiami nie toczy się zwykła rozmowa. Czuł obecność Mimi tuż za sobą i ponownie coś mu szeptało, że jeszcze chwila, a wszystko się zakończy.

W otwartych drzwiach ukazało się idealne zacisze domowe, z meblami stojącymi w równych szeregach niczym nagrobki. Od czasów, kiedy on i Paola wyprowadzili się stąd, pojawiła się tylko jedna nowość, nieduża, drewniana rzeźba przedstawiająca afrykańskiego wojownika, z włócznią w ręku i z absurdalnie wielkim, sterczącym penisem. Na podłodze obok sofy Morris dostrzegł rysę na

jednym z kafelków, powstała po upuszczeniu przez niego cegły, sprzedanej mu przez człowieka, któremu próbował pomóc. Tym razem szkody okazały się o wiele poważniejsze. Nic dziwnego, że jego małżeństwo tak kiepsko funkcjonowało.

Teraz, kiedy jego uszy przyzwyczyły się do hałasu koparki, podchwycił także dźwięki muzyki. Gdzieś z góry. Rozpoznał utwór obmierzłej Sade, przez Paolę ochrzczony „pościelówką”. Wszystko jasne. Nawet telefon, stojący pod wybranym przez jego żonę plakatem z reprodukcją obrazu Gustawa Klimta, miał odłożoną słuchawkę. Doprawdy nie potrzebował już żadnych innych dowodów. Ale odraza i jednocześnie ciekawość były tak wielkie, że nie mógł się powstrzymać, nawet jeśli to było niedorzeczne, nawet jeśli wcześniej tego nie planował.

Ostrożnie zaczął wstępować po spiralnych schodach. Zawahał się, przez chwilę nasłuchiwał, po czym ostrożnie wyminął skrzypiący stopień. Wreszcie jego głowa ukazała się nad podłogą, między wspornikami balustrady. Pierwsze, co zobaczył, to brązowe oczy żony, wpatrujące się prosto w jego własne.

Na środku pokoju, pod czterema świetlikami i tyłem do schodów, a przodem do telewizora stała nowoczesna, niska, czerwona sofa. Nad jej oparciem sterczały nagie, czarne, masywne, nieruchome łopatki i czarna, wełnista głowa. Obok niej, zwrócona w stronę Morrisa, tkwiła na kolanach Paola. Z wstrętnie wykrzywioną twarzą, kołysząc się rytmicznie, szybko zbliżała się do ostatniej stacji erotycznej *via cruris*<sup>\*105</sup>.

Kiedy jej oczy napotkały wzrok męża, nie pojawił się w nich wyraz zaskoczenia ani samą jego obecnością, ani zniekształconą twarzą. Lubieżne spojrzenie Paoli zdawało się go błagać, aby im nie przeszkadzał, przynajmniej nie przez najbliższą chwilę. Morris stał porażony, tuż za nim Mimi i oboje przypatrywali się scenie, którą mógł określić jedynie jako gwałt na swoim małżeństwie. Nigdy jeszcze w swoim życiu Morris nie był tak wstrząśnięty jak w tej chwili, ale jed-

---

<sup>105</sup> \* Drogi krzyżowej.

nocześnie na innym, głębszym poziomie świadomości czuł się naprawdę usatysfakcjonowany i jednocześnie wolny. Teraz nie musiał już się starać. Jego rodzina była martwa.

Sade zawodziła odrażająco. Nad otwartym świetlikiem brzęczała pszczoła. Dziwka o wykrzywionej twarzy wydała jęk rozkoszy. Jej partner pochrząkiwał basowo.

Stając na szczycie schodów, Morris odezwał się:

- Mam nadzieję, że oboje dobrze się bawicie. Paola dyszała ciężko.

Kwame odwrócił głowę i lekko odsunął kobietę na bok.

- Szefie - powiedział. Nie opuścił wzroku ani w żaden sposób nie okazał zawstydzenia. - Myśleliśmy, że ciągle jesteś w szpitalu. Boże, ale masz paskudną twarz.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, wypełniona zawodzeniem Sade o pierwszym romansie Frankie i hałasem koparki, ponownie atakującej wzgórze.

Kwame odwrócił się ku Morrisowi. Jego nagość wciąż skryta była przez sofę. Morris widział tylko potężną klatkę piersiową, z mięśniami lśniącymi od potu. Zawahał się. To oczywiste, że nie istniał żaden sposób jednoczesnego pozbawienia życia dwóch osób, w tym jednej znacznie silniejszej niż on sam, więc teraz zachowywał lodowaty spokój. Ale jego gniew wciąż wzbierał i czuł, że gniew Mimi wzbiera także, brzemienny pragnieniem...

Brzemienny!

Odezwał się.

- Nie miałbym wam tego może aż tak za złe, gdyby Paola nie była w ciąży z moim dzieckiem.

Z moją córką, powinien był powiedzieć. Z twoją reinkarnacją, Mimi.

Odzyskawszy oddech, Paola położyła ramiona na oparciu sofy, tak że jej drobne piersi sterczały teraz między szczupłymi barkami. Przechylając głowę na bok, uśmiechnęła się przebiegle.

- Twoja biedna twarz - powiedziała i zaraz dorzuciła: -Mo, zamiast nabijać sobie głowę bzdurnymi pomysłami, może ściągnąłbyś po prostu ubranie i dołączył do nas, co?

Dochodziła pierwsza trzydzieści. W szpitalu Dionisio pewnie już rozwozi lunch, zastanawiając się, gdzie się podział jego angielski pacjent i kiedy trafi mu się następna okazja do pogawędki na temat londyńskich przedmieść. Czy Fendsteig albo Marangoni będą potrafili dowieść, że opuścił szpital i gdzie się udał? Ale to z całą pewnością był koniec. Paola sięgnęła dna.

- Chodź - powiedziała teraz. Morris wlepił w nią wzrok. Roześmiała się.

- Mo, wiem, że nie wygląda to pięknie, ale w końcu dlaczego nie. Zawsze marzyło mi się ssanko i dymanko jednocześnie. Mo, wyluzuj. Nie rób z życia tragedii.

- Właśnie - poparł Paole Kwame.

Morris miał przed oczami czerwone plamy. Ale jednocześnie na głębszym poziomie świadomości wciąż odczuwał ten niewiarygodny wręcz spokój i jasność umysłu. Teraz było zupełnie inaczej niż w hotelowym pokoju w Rimini albo w willi na Sardynii, kiedy towarzyszyła mu tak niewyobrażalna samotność. Teraz oczami wyobraźni widział słodką, owalną twarz, a nad nią świętą koronę. *La Vergine incoronata*.

- Poza tym wszystko o tobie wiemy, Mo - kusiała Paola. -Kwame opowiedział mi, co się stało. Nie opuścimy cię. Czy mógłbyś oczekiwać od nas większej wierności?

Morris otworzył usta. Przedwcześnie. Mimi jeszcze nie przemówiła.

Paola wyciągnęła ramiona. Kwame zaprezentował w uśmiechu silne, zdrowe zęby.

- *Coraggio*, Mo. Nie wstydź się. W końcu dlaczego mielibyśmy się ograniczać do jednego tylko partnera? Jakież nudne byłoby wtedy nasze życie. Wiem dobrze, że w głębi ducha myślisz tak samo.

- Właśnie - powtórzył Kwame. - Nie zostawimy cię, szefie. Kochamy cię.

Jego czarna skóra znakomicie współgrała z czerwienią sofy. Afrykanin wcale nie wydawał się bardziej zszokowany czy nieswój niż wówczas, kiedy był świadkiem śmierci Boba.

- A więc nie jesteś w ciąży - powiedział Morris.

- Mój ty słodki mizeraku - Paola wciąż wyciągała ramiona. - Chodź, niech ucałuję twoją biedną twarz.

- Ona kłamie - odezwała się Mimi, bardzo głośno i wyraźnie. - Jest w ciąży.

Słyszając ten głos, bez wątpienia należący do Mimi, Morris doznał lekkiego zwrotu głowy. Otaczający go pokój, jego żona, wielki czarny tors, wszystko rozmazało mu się nagle przed oczami, rozplynęło w szarawym świetle. (Czy to Paola, romansująca z Kwamem jeszcze przed śmiercią Boba, była autorką anonimowego telefonu na policję?). Po chwili, kiedy każdy element otoczenia powrócił na swoje miejsce, Morris poczuł się nagle stanowczy i zdecydowany. Teraz działał zgodnie z rozkazami.

- Zejdę na dół i przygotuję drinki - powiedział. - Wy chwilę odetchniecie, a ja uspokoję się trochę. A potem zapłacicie mi za wszystko. Przyjemnością - roześmiał się nienaturalnie.

Wpółprzymknięte oczy Paoli wypełniło radosne, lubieżne wyczekiwanie.

- Czym będziesz chciał, Mo - zapewniła. - Tylko staw się w gotowości.

Podkscytowany, wstrząśnięty, zdeterminowany i przepełniony euforią Morris popędził na dół. Wydawało mu się, że to cudza ręka miesza za niego drinki. Dwie wysokie szklaneczki, wypełnione lodem, trzy cale ginu, trzy cale toni-ku. Po połówce cytryny. Gdzie lextan? Czy aby Paola nie zużyła całego opakowania? Jej środek uspokajający, kiedy czuła się zestresowana. Ona zestresowana!

To dlatego, że go zdradzała! Gdzie ten lexotan? Jest. Za ogromnym słojem lubrykantu, który przywiozła z Anglii. Trzydzieści kropel spływało do szklaneczki z bolesną powolnością.

- Mo, idziesz wreszcie? Tylko nie zmień przypadkiem zdania.

- Nie mogłem znaleźć cytryn - zawołał w odpowiedzi. Dłoń z lexotanem zawiązała nad drugą szklaneczką. Jeszcze tylko napełnić trzecią samym tonikiem, przecześć ściereczką butelki po toniku i wyrzucić je do kosza, wytrzeć uchwyt drzwi lodówki i rękojeść noża, którym kroił cytryny, ustawić szklaneczki na tacy i przecześć je również.

Sade zawodziła „Cherry Pie”, głosem ociekającym pożądaniem i przy akompaniamencie wyrafinowanie brutalnego saksofonu. Z tych właśnie ingrediencji kultury Czarnych wydestylowali swoje afrodyzjaki Europejczycy. Zasluchany Morris przystanął na chwilę na schodach, przymknął oczy i zaczął się modlić.

- Mimi, daj mi siły, abym zdołał przebyć to bagno. To będzie dla dobra wszystkich - dodał jeszcze, mimo zdenerwowania dostrzegając nagle to, co Mimi pozwoliła mu zobaczyć - sens, wręcz konieczność zdarzenia, które miało nastąpić, prostą ścieżkę wiodącą do szczęśliwego zakończenia.

- Mo, *che dolce*. Jesteś naprawdę słodki. - Paola siedziała po turecku na dywanie, paląc papierosa. Pukle włosów muskały szczupłe ramiona, brzuch był jędrny i płaski. W płowej gęstwinie, wyeksponowanej między szeroko rozstawionymi udami, błyskała ciemnoróżowa, obrzmiała szczelina. Jak on mógł się ożenić z takim wyciruchem? Skąd ma teraz zaczerpnąć siły, by spojrzeć na nagiego brudnego czarnucha prosto z ulicy, który nurzał się w niej przed chwilą, wlewał nieczystość i chorobę w łono, w którym rozwijała się jego córeczka.

Morris pochylił się, postawił tacę na podłodze, wziął swojego drinka i usiadł na sofie. Paola także sięgnęła po alkohol. Z prawej strony w polu widzenia Morrisa pojawiło się długie, hebanowe ramię i potężna dłoń, zamykająca się wokół trzeciej szklaneczki. Dopiero teraz Morris zdobył się na odwrócenie głowy. To, co ujrzał, było niczym wizja: wielki tors z mięśniami przeżącymi się pod satynową

skórą, szczupłą talia, a pomiędzy masywnymi, zwartymi udami długi, ciemny penis. Sącząc alkohol, Kwame wybuchnął śmiechem.

- Szefie, to jest o wiele lepsze niż praca. Niech inni pracują.

Morris był niczym w transie. Wydawało mu się, że ponownie widzi - tym razem w negatywie - białą, marmurową statuetkę Apollina, którą razem z Forbesem podziwiali, dotykali i pieścili w Uffizi. „To jedyny sposób, żeby nauczyć się *gratia placendi*” - usłyszał echo słów Forbesa. Tym razem nie było strażnika, który by go powstrzymał. Była tylko Mimi jako świadek.

Bo Mimi objawiła mu się wreszcie. Stała tuż za Kwamem, w strudze słonecznego światła wpadającego przez świetlik w suficie. Długie włosy miała rozpuszczone, a całą jej postać spowijała zwiewna, przezroczysta szata, spod której przezierają piersi - o wiele większe i okrągłej sze niż piersi Paoli - i zawieszony między nimi złoty krucyfiks. Złoty łańcuch ze świętym medalionem, lśniącym na tle ciemnej plamy podbrzusza, opasywał biodra.

...*jako bróg pszenicy obsadzony liliami*, przypomniał sobie Morris biblijny werset.

Chciał zerwać się z sofy, podbiec do niej, ale zjawa podniosła rękę i miękko położyła palec na wargach. Poprzez dźwięki muzyki i warkot koparki Morris usłyszał jej wyraźny szept.

- Baw się, Morrees, baw się dobrze. Ale przez cały czas miej mnie w sercu i w umyśle. Tylko w ten sposób pozostaniesz czysty.

W chwilę później nastąpił szok, kiedy lodowata dłoń spoczęła na jego kroczu. Paola wybuchnęła śmiechem.

- Czy on nie jest piękny, ten nasz Afrykanin? Kwame śmiał się także.

- Pamiętaj, że obiecałeś nas ukarać - mówiła Paola, zabierając się jednocześnie do rozpinania paska jego spodni.

- Zrobię wszystko, co każesz, szefie - zapewnił Kwame. - Naprawdę wszystko.



Kiedy zdejmowali mu zegarek, Morris zauważył, że jest dopiero pięć po drugiej, i dokonał pospiesznych kalkulacji. Właściwie harmonogram nie był aż tak bardzo napięty. Kiedy zimne od ginu wargi żony zbliżyły się do jego blizn, Morris odwrócił wzrok i spojrzał w tę stronę, gdzie tuż za imponująco wyprężonym Kwamem stała Mimi, wpatrująca się w niego intensywnie spod wpół przymkniętych powiek. Wargi miała złożone do pocałunku. Z poczuciem największego poświęcenia Morris wyciągnął rękę i ujął czarną męskość.

W niecałe pięćdziesiąt minut później był już wolny. Tamtych dwoje spało na ogromnym łóżku w pokoju gościnnym, oszołomionych, nasyconych, wyczerpanych. Mimi także odeszła, ale jej rozkazy rozbrzmiewały w jego głowie bardzo wyraźnie, kiedy szybko poruszał się po mieszkaniu, w jednej ręce dzierząc koszulę, którą wycierał odciski palców, a w drugiej pudełko po zapalkach (same zapalki wylądowały w kieszeni spodni) na zbierane trofea: włosy łonowe z łóżka i z sofy, włosy z poduszki, ułamany paznokieć znaleziony w koszu na śmieci w łazience, zużyta prezerwatywę, starannie owiniętą w papier toaletowy i włożoną do pudełka w taki sposób, by nic nie uronić z jej cennej zawartości. Może jeszcze kolczyki? Wrócił do sypialni, gdzie leżeli oboje, ona skulona na jednym boku, on tulący ją do siebie, opiekuńczym, romantycznym gestem; ciemna skóra obok mleczno-białej, mięsiste wargi przyciśnięte do ciemnych loków. Morris odsunął pukiel włosów i zobaczył niewielki diament w płątku ucha. Ale kiedy go dotknął, Paola szarpnęła się, i to dość mocno, a Kwame zaczął szybciej oddychać. Morris wycofał się natychmiast. Nie szkodzi, przy odrobinie szczęścia znajdzie w jej torbie inną parę. O właśnie, kolczyki leżały na podłodze. Wielkie, złote obręcze. Wystarczy jeden. Zużyta chusteczka higieniczna też się przyda. I może jeszcze kilka niedopałków z popielniczki, pobrudzonych jaskrawą, czerwoną szminką.

W tym momencie przyszło mu do głowy, że zanim zajmie się resztą, powinien pozamykać okna i odkręcić gaz. Bóg raczy wiedzieć, ile czasu upłynie, zanim tak duże mieszkanie napełni się gazem. Bóg raczy wiedzieć, jak długo będą spali. Znalazł pręt do zatraskiwania świetlików, pozamykał je starannie, po czym zbiegł na dół, odkręcił wszystkie cztery kurki i jeszcze piekarnik. Kolejne pięć

minut zajęło mu wymycie szklaneczek, przepłukanie dwóch z nich odrobiną ginu z tomkiem i schowanie trzeciej do szafki. Świetnie. Jeszcze tylko powycierać odciski palców, założyć koszulę i schować do kieszeni ostatnie znaleziska: strzęp naskórka podniesiony z podłogi w łazience i wilgotną wkładkę higieniczną. Wreszcie był gotowy do wyjścia - czy aby na pewno? Tak, na pewno. Właśnie przykładając oko do judasza w drzwiach, bez którego żaden podejrzliwy Włoch nie potrafił się obejść, kiedy odezwał się brzęczyk domofonu.

Ktoś stał przy głównej bramie i naciskał przycisk. W ciszę wielkiego mieszkania dźwięk wdarł się tak ostro i brutalnie, że Morris poczuł się bliski ataku serca. Nie mówiąc już o tym, że tamci mogli się pobudzić. A taki był pewien, że Mimi załatwiła wszystko, jak należy. Jak mogła dopuścić, by ktoś pojawił się przed drzwiami dokładnie wtedy, kiedy miał wychodzić? Morris wstrzymał oddech. W przeciągu niecałych trzydziestu sekund jego ciało pokryło się zimnym potem.

Czekał, rozważając gorączkowo, kim mógł być ów tajemniczy intruz. *Marocchino*? Świadkowie Jehowy? Listonosz zwykle przychodził wcześniej. Lokalny *vigile* w sprawie nieuregulowanego miejskiego podatku? Ktoś w związku z tą idiotyczną kwestią praw własności garażu po drugiej stronie ulicy? Czy aby zapłacił za niego? A czy uregulował abonament telewizyjny? Chyba nie. Zapach gazu stawał się coraz bardziej przenikliwy. Jeśli osoba stojąca przy bramie wejdzie do *palazzo* i stanie pod drzwiami, wyczuje go z pewnością.

Znowu brzęczyk. Niewiarygodnie głośny. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, że domofon brzmi aż tak donośnie. Przecież te urządzenia naprawdę nie musiały być aż takie głośne. Nie mógł to też być *marocchino* ani świadkowie Jehowy, gdyż wówczas słyszałby przytłumione dzwonki z pozostałych mieszkań. Ci ludzie zawsze dzwonili do wszystkich drzwi po kolei. Gdyby tak można było zdjąć domofon z widełek, podobnie jak słuchawkę telefonu. Jak on ma teraz wyjść, żeby go nie zobaczył ktoś stojący przy bramie? Od zapachu gazu zaczynało go mdlić. Oczywiście gdyby mieszkał tu nadal, mógłby najpierw wyrzeć przez balkon. Przy odrobinie szczęścia może nikt by go nie zauważył. Teraz jednak ryzyko było zbyt duże.

A jeśli to policja? Albo *carabinieri*! Możliwe, że Forbes domyślił się, że Morris wie już, kto zabrał listy - bo przecież musiał to zrobić Forbes, nikt inny - więc zadzwonił po policjantów, a ci przyjechali natychmiast.

Znowu dzwonek. Morris był bliski paniki. Głowa mu pękała i czuł, że jeszcze chwila, a zwymiotuje. Przez moment pomyślał nawet, że po tych wszystkich upokorzeniach, jakie przeżył, najlepiej byłoby pójść na górę, ułożyć się obok tamtych dwojga i umrzeć. Ponowne dzwonięcie, któremu tym razem towarzyszył odległy głos, wołający:

- *Sporco, negro*, wiemy, że jesteś w domu. Wyjdź i zobacz, jak załatwiliśmy twoją brykę.

Morris odetchnął, jeśli można tak powiedzieć o kimś przebywającym w pomieszczeniu wypełnionym gazem. Oczywiście! To Mimi znalazła sposób, żeby mu o czymś przypomnieć. Wpadł do kuchni, osłaniając twarz przedramieniem, porwał mazak, pobiegł do salonu i zaczął pisać wielkimi, koślawymi literami na białej ścianie.

ŚMIERĆ BRUDNYM CZARNUCHOM, *VIVA LIGA PÓLNOCNA. VENETO PER I VENETI.*

W niecałą minutę później zbiegał po schodach, chciwie łapiąc świeże powietrze. Przy głównych drzwiach *palazzo* przystanął i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał odgłos oddalającego się motocykla. Chuligani pewnie przecięli mu opony w mercedesie albo oblali czymś karoserię. Irytujące, ale z drugiej strony nie mogli mu się lepiej przysłużyć. W każdym razie nie będzie się zatrzymywał, żeby to sprawdzić.

Już otwierał drzwi frontowe, kiedy przypomniał sobie o kluczach. Jakimż on był beznadziejnym amatorem! Jakim bezmyślnym półgłówkiem. Czy przynajmniej swój komplet miał przy sobie? Miał. Popędził z powrotem na górę. Za zamkniętymi drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze nagle usłyszał warczący odkurzacz. Jeśli chodzi o wyciszenie budynku, deweloper oszukał go bezwstydnie. Zasłużył sobie na skandal i obniżkę cen. Przed włożeniem łduczka do zamka Morris wyciągnął koszulę ze spodni i wepchnął jedną połą do ust.

W mieszkaniu powietrze było ciężkie od gazu. Gdzie mogły leżeć jej klucze? Przecież musi upozorować, w jaki sposób rasiści dostali się do środka, żeby odkręcić kurki i wypisać hasła na ścianach. Gdyby wybił szybę, cenny gaz ulotniłby się przez okno. Nie, to musi sprawiać wrażenie, że Paola zostawiła klucze w zamku. Taka nieostrożność nie była do niej niepodobna.

W torebce? Nie przypomniał sobie, aby je tam widział.

Jak długo jeszcze wytrzyma, zanim zwymiotuje? Spiralnymi schodami pobiegł na górę, wpadł prosto do łazienki, wyciągnął koszulę z ust, otworzył na moment okno i głęboko zaczerpnął powietrza.

Niestety, okazało się, że dokładnie naprzeciw okna, na platformie wzniesionego w zadziwiającym tempie rusztowania siedzi robotnik, popijający wino i spoglądający prosto na niego. To po prostu nie było fair. Morris zamknął okno, wrócił do pokoju i zaczął przetrząsać ubrania Paoli, ciśnięte niedbale na kupkę. No i proszę, pas do podwiązek. Całkiem nowy nabytek, teraz nawet jeszcze wilgotny od śliny. Nie czas na takie rozważania. Żakiet, klucze muszą być w kieszeni żakietu.

Wciąż wstrzymując oddech, znalazł żakiet przewieszony przez oparcie krzesła i wyciągnął klucze. Świetnie. I znowu zwyciężyła w nim ciekawość, nie po raz pierwszy zresztą. Zamiast zbiec na dół, wrócił do sypialni, do dwóch nagich ciał spoczywających na ogromnym, nowoczesnym łożu z owalnymi, skórzanymi zagłówkami od Armaniego, za które Paola tak słono zapłaciła. Nawet teraz mógłby się jeszcze wycofać, pomyślał przelotnie. Nie byli jeszcze martwi, nie mogli być. Pochylił się i pocałował blady policzek żony, tuż koło ucha, a potem jeszcze sutek, tak kruchy i delikatny, kiedy Paola spała. Sutek, którego nigdy nie dotknął usteczka jego dziecka.

W niecałą minutę później, wykorzystując całą swoją zimną krew i pocieszając się, że człowiek w mieście staje się niemal niezauważalny, Morris opuszczał *palazzino*. Nie rozglądając się ani na prawo, ani na lewo, poszedł prosto do niewielkiego seicento i wsiadł do środka. Dzięki Bogu, którego dłoń nie przestawała go

osłaniać, stary rupieć zapalił od razu. Morris uśmiechnął się. *Fiat justitia*, jak by to powiedział Forbes.

---

## 32

---

-*Ecco*, a więc znalazł się pan, Meester Morrees! - Dioni-sio szedł przez odział, pchając przed sobą wózek wyładowany lekarstwami. Dochodziła piąta po południu. Morris nie szukał pielęgniarza. To byłoby zbyt oczywiste. Zresztą przedtem musiał jeszcze rozprawić się z Forbesem. Wydusić z niego wyznanie. Wydać kilka poleceń, popartych groźbami i obietnicami. Wypełnione łupami pudełko po zapalkach tkwiło bezpiecznie w kieszeni marynarki w szpitalnej szafce. Niczego nie zaniedbać, niczego nie ryzykować - to było teraz jego motto.

- Szukam pana już od kilku godzin.

- Myślałem, że jesteś po dyżurze - odparł Morris uprzejmie, unosząc wzrok znad Biblii. Zajęty był studiowaniem przypisów w swojej autoryzowanej wersji i jak do tej pory udało mu się odnaleźć trzynaście miejsc, w których występowało słowo „pomsta”, w tym tak wspaniałą frazę, jak ta: *Bo się przyoblókł w sprawiedliwość jak w pancierz, a hełm zbawienia na głowie jego, oblókł się w odzienie pomsty jako w szatę, a odział się zapalczywością jako płaszczem.*

Szczególnie podobały mu się określenia „hełm zbawienia” i „odzienie pomsty”. Pewnie będą dręczyły go teraz złe sny. Mimo narzuconego sobie opanowania, jego umysł wciąż nie potrafił się uwolnić od obrazów degradacji, do której został przymuszony. Chwytał się Mimi, swojej religii, swojego Boga, desperacko usiłując odnaleźć się na nowo.

- Podczas lunchu pana nie było.

Morris wytłumaczył, że poszedł do ogrodu i tam zasnął na ławce. Ma już zopewnowaną twarz (tu uśmiechał się fałszywie) i zdjęte opatrunki, więc opadło z niego całe napięcie. Właściwie nic mu już nie dolega.

- Pojutrze będę mógł wyjść, prawda?

- Jeśli lekarz wyrazi zgodę i jeśli nie dojdzie do infekcji -powiedział Dionisio.

O tej godzinie oddział tętnił gwarem, wszędzie kręcili się przepełnieni niepokojem krewni, sprawdzający, z jakimi potwornościami przyjdzie im od tej pory mieć do czynienia przez długie lata, i udający, że to przecież nic takiego. Pielęgniarski już miał się oddalić ze swoim ładunkiem środków uspokajających, kiedy Morris zatrzymał go jeszcze.

- Jesteś chrześcijaninem, Dionisio?

- *Cattolico* - odparł tamten bez najmniejszego zdziwienia.

- Zastanawiałem się właśnie, czy Pan istotnie rzuca pomstę na czyniących zło? To dość staroświecko brzmiąca koncepcja, ale przecież Biblia tak wyraźnie twierdzi.

- Pomstę? - nie zrozumiał Dionisio.

- Pomstę - tłumaczył Morris cierpliwie. - No wiesz, zemsta, *vendetta*. Jak myślisz, czy Bóg naprawdę robi takie rzeczy?

Groteskowe rysy pielęgniarskiego stężały w namyśle. Przynajmniej miał teraz inny temat do rozważań niż pięciogodzinna nieobecność Morrisa na oddziale. W tak niewielkim mózdzku każdy kolejny problem prawdopodobnie całkowicie wypierał z niego poprzedni.

- Kiedy przyjechałem do Earls Court - zaczął wreszcie Dionisio - mieszkaliśmy u gospodarza, który kazał sobie płacić o wiele, wiele za dużo i nigdy nie naprawił cieknącej toalety ani nie ogrzał porządnie domu. A potem jeszcze powiedział, że wszystkich wyrzuci, bo za dużo nas mieszka.

- Nie miał w sobie żadnej życzliwości - zgodził się Morris, myśląc jednocześnie, iluż to nieudolnym cudzoziemcom ofiarował dach nad głową w Villa Caritas.

- Jeden z naszych chłopców był bardzo religijny - ciągnął Dionisio - i wciąż się modlił, aby stało się coś, co sprawi, że nasz gospodarz zmieni zdanie.

Morris czekał, lekko znudzony.

-I... - tu Dionisio urwał dla lepszego efektu - dokładnie tego samego dnia, kiedy kazał nam się wynosić, wpadł pod autobus.

- Naprawdę? - Ten zbieg okoliczności był nawet interesujący. Pozwalał na chwilę oderwać myśli od innych rozważań. - I co, umarł? - zapytał Morris niecierpliwie.

- Nie - odparł Dionisio - ale nie mógł chodzić. Przez długi czas.

- Och, rozumiem, po wypadku złagodniał i pozwolił wam zostać, czy tak?

- Wcale nie - Dionisio z powagą potrząsnął głową. - Wyrzucił nas mimo wszystko. Czego się pan spodziewał? W Anglii cudzoziemcy w podobnych sytuacjach nie są wcale chronieni. Ale znaleźliśmy sobie mieszkanie w Ammersmith, o wiele przyjemniejsze.

- Czyli mieliście szczęście. - Morris uznał, że opowieści chłopaka brakuje biblijnej jednoznaczności. O wiele bardziej podobała mu się historia Sodomy i Gomory. Nie skomentował tego jednak. - Nawiasem mówiąc, naprawdę chciałbym wyjść już jutro - oznajmił. - Czuję, że powinienem zacząć ponownie mierzyć się ze światem. Czy jest jakaś możliwość...?

- *Primario* robi obchód o dziewiątej - powiedział Dionisio. - To on decyduje, czy skóra jest gotowa.

Dwie godziny później przy łóżku Morrisa siedziała zapłakana Antonella. Przez cały dzień usiłowała skontaktować się z Paolą i nigdzie nie mogła jej znaleźć. Po-

jechała nawet do firmy, ale w biurze nie zastała nikogo. Ledwo tam weszła, natychmiast musiała wyjść, bo wyobraziła sobie, co Bobo prawdopodobnie robił w tym pomieszczeniu. To wszystko jest okropne, policja czytająca tamte listy, wypytująca ją o różne osobiste szczegóły, sprawdzająca numery telefoniczne, na które dzwoniło z mieszkania, usiłująca z niej wydusić, kim mogła być tamta kobieta, i tak dalej. Ona, Antonella, jest naprawdę bardzo zmęczona i jedyne, czego pragnie, to mieć wszystko za sobą. Nieważne, jak to się skończy, dobrze czy źle, byle był już koniec. Zaraz po procesie imigrantów i schwytaniu tego okropnego człowieka domagającego się okupu łapie pierwszy lepszy samolot i wyjeżdża, sama jeszcze nie wie dokąd. Albo może pójdzie do klasztoru. Jako mała dziewczynka zawsze chciała zostać zakonnica i teraz bardzo żałuje, że nie posłuchała głosu powołania. Ale z drugiej strony bardzo pragnęła dziecka i bardzo kochała Boba. A teraz nigdy już nie będzie miała dzieci ani nikogo nie pokocha z powodu krzywdy wyrządzonej jej przez Boba i pozostałych okropności. Jej życie to prawdziwe piekło.

Wsparty o poduszki Morris pomyślał, że Antonella jest naprawdę piękną i wspaniałą kobietą, obdarzoną prawdziwym bogactwem uczuć. Paola nigdy nie płakałaby tak jak ona w tej chwili. Nie obeszkłoby jej wcale, gdyby miał romans. Pewnie byłaby nawet zadowolona. Bez zastanowienia wyciągnął rękę i pogładził szwagierkę po włosach.

- Nie mów „nigdy” - powiedział łagodnie. - „Nigdy” to bardzo długi okres. Jesteś cudowną kobietą, Toni.

Antonella jeszcze mocniej przycisnęła pięści do oczu. Całe jej ciało dygotało.

- I nie wyjeżdżaj - szeptał Morris. - Nie wyjeżdżaj, gdyż ja cię potrzebuję. Kto pomoże mi prowadzić firmę, jeśli ty wyjedziesz? Na Paolę nie można liczyć. Całymi dniami usiłuję się do niej dodzwonić, bez skutku. Mam tyle planów, jak pomóc tym biednym imigrantom, i chciałbym, żebyśmy realizowali je wspólnie. Chciałbym stworzyć dla nich prawdziwe centrum. Żeby nie byli niewolnikami.

Jego palce przesuwają się delikatnie po jej włosach. Antonella nadal kryła twarz w dłoniach, ale już nie drżała. Morris zakończył, raczej nierozsądnie:



- Toniu, wydaje mi się, że cię kocham. Kocham cię już od dawna. Tak bardzo przypominasz mi Massiminę.

Antonella szarpnęła się i popatrzyła na niego ostro zaczerwienionymi od płaczu oczami. Potrząsała głową, a na jej twarzy malowało się wyraźne zakłopotanie.

- Morrees, *sei cosi strano* - szepnęła. - Czasami jesteś taki dziwny.

To już trzecia z siostr wypowiedziała pod jego adresem dokładnie te same słowa. Morris omal nie zemdlął.

- Poczytajmy razem Biblię - wymamrotał.

Kiedy około trzeciej nad ranem obudził się, targany torsjami, na oddziale była policja. Przedtem śniło mu się, że usta ma wypełnione brudem i martwymi ciałami: Paoli, Kwa-mego, Boba i Forbesa. Szarpał się, walczył, wzywał Mimi, wzywał Boga, wreszcie usiadł i wyrzucił z siebie wszystko w strumieniu wymiotów: robaki, jad, żółć, gnój, a nawet kości. Krzyczał, że chce księdza. Oddział rozblysnął nagle światłem tak jaskrawym, że Morrisowi wydawało się, iż to jakaś wizja, że w oślepiającym blasku dostrzega promieniującą sylwetkę Mimi czy nawet samego Chrystusa. W głowie mu wirowało, żołądek wciąż się buntował, ciało pokrywało się na przemian to zimnym, to gorącym potem. Kiedy wreszcie udało mu się odzyskać jasność umysłu, ujrzał najkoszmarniejszy z koszmarów, kościstego Fendtsteiga sunącego ku niemu przez salę, z pielęgniarzem po jednej i *carabiniere* po drugiej stronie. A więc dopadli go w końcu.

Widząc, co się dzieje, pielęgniarz zerwał się do biegu, łapiąc po drodze ręczniki i przybory do mycia. Morris nie przestawał wymiotować. Pielęgniarz pomógł mu wstać z łóżka.

- Miałem sen - wyjęczał Morris między jednym a drugim atakiem torsji. - Moja twarz. Rozszarpywali mi twarz.

Pojawił się młody doktor i łagodnie wyjaśnił, że to prawdopodobnie opóźniona reakcja na wielogodzinną narkozę. Morris został przebrany w czysty szlafrok i zaprowadzony do gabinetu lekarskiego. Fendtsteig szedł za nim krok w krok, nie spuszczać go z oka. Morris zmuszał się do dalszych wymiotów, choć teraz przychodziło mu to z pewnym wysiłkiem. Wreszcie opanował się trochę, upił łyk wody i zwrócił się do *carabiniere* z bladym uśmiechem.

- W czym mogę pomóc?

Fendtsteig pochylił się ku doktorowi i coś tam razem poszeptali. Lekarz wzruszył ramionami.

- Jak się pan czuję? - zapytał.

- Trochę słabo - przyznał Morris. - Ale jeśli *colonnello* ma jakieś pytania, to sądzę...

Posadzili go na kozetce i powiedzieli mu, co zaszło. Dość brutalnie, jak to ocenił w myślach. Nie w taki sposób, w jaki on by to uczynił. Po prostu wywalili mu całą prawdę prosto w twarz. Żona nie żyje. W ramionach czarnego kochanka. Gaz. Rasizm. Nawet cienia wrażliwości. W odpowiedzi Morris zaaplikował im stosowną dawkę niedowierzania, objawiającą się potrząśaniem głową i wytrzeszczaniem oczu, następnie zasypał Fendtsteiga serią gorączkowych, urywanych pytań: Kiedy? Gdzie? Dlaczego? Kto? Czy sprawcy zostali schwytani? Na koniec ukrył w dłoniach pokiereszowaną twarz i zaczął kołysać się łagodnie w przód i w tył. Odczekał tak z dobrą minutę, wreszcie powiedział załamującym się głosem:

- Dłużej już nie mogę, jestem wykończony. To naprawdę zbyt wiele. Dlaczego to wszystko musiało mnie spotkać? Dlaczego wszyscy wokół mnie umierają?

Potrząsnął głową. Nie, nie zidentyfikuje teraz ciała. Nie może, nie jest w stanie. Odmawia. Błaga o środek uspokajający, który pozwoli mu zasnąć. Podniósł się, szedł, chwiejąc się na nogach i potykając. W lustrze nad umywalką zobaczył zimne i pełne czujności oczy Fendtsteiga, obserwujące go bacznie, kiedy zmierzzał w stronę drzwi. Ten człowiek doprawdy nie miał w sobie żadnych ludzkich cech!

Odwrócił się gwałtownie w jego stronę i wykrzyczał z pasją:

- Teraz, kiedy przekonał się pan, kim była moja żona, może zrozumie pan wreszcie, dlaczego spędzałem noce przy zmarłej narzeczonej! Ale tacy jak pan nigdy nie wierzą nikomu, chyba że ktoś ciśnie im prawdę prosto w twarz. Za chwilę pewnie zarzuci mi pan, że własną żonę też zabiłem. I matkę, i ukochaną, i kolegów, i w ogóle każdego, kogo znałem, a kto teraz nie żyje.

Przez twarz *carabiniere* przemknął cień zwątpienia. Wracając na uginających się nogach do sali, Morris przypomniał sobie nagle buteleczkę z lexotanem. Czy aby na pewno odstawił ją na miejsce? Na litość boską, schował ją czy nie? A jeśli stała oskarżycielsko, nieduża i brązowa, na suszarce do naczyń? Nie, Mimi, proszę, nie. Odkrywszy nowe źródło zmartwienia, zaraz zaczął się zadreć, że tak łatwo upada na duchu i traci opanowanie. Tyle było słabych punktów. A jeśli jeszcze tej nocy przeszukają jego szafkę i znajdą złamany paznokieć, martwy naskórek i włosy łonowe? A jeśli przepytają innych pacjentów i odkryją, że wczoraj przez kilka godzin był nieobecny na oddziale? Mogą też przycisnąć Forbesa, a ten z pewnością się załamie, tak samo jak się załamał po telefonie Morrisa. Jak długo jeszcze mógł polegać na swoim artyzmie i prawdziwie prestidigitatorskiej zręczności oraz całkowitym braku wyobraźni ze strony śledzących go i ich pragnieniu - tak, właśnie pragnieniu - by ich oszukać? Przecież tamten Amerykanin z Milwaukee zabił ponad dwadzieścia osób wyłącznie dlatego, że policja nie potrafiła dodać dwóch do dwóch i nie aresztowała go nawet wtedy, kiedy w lodówce odkryła ciała jego ofiar! To było naprawdę wstrząsające! Zgnilizna od samych korzeni. Kiedy nocny pielęgniarz przyniósł mu diazepam, Morris zaczął błagać o najsilniejszą dawkę. Wybłagał ją i potem zasnął snem sprawiedliwego.

Prowadzeni do *Palazzo di Giustizia* Azedine i Farouk prezentowali się dość marnie. Starszy z mężczyzn, noszący dżinsy i czarny kitel, wyglądał niczym typowy przedstawiciel klas uciskanych - postawę miał hardą, ale jednocześnie zrezygnowaną. Ubrany w białą koszulę, przystojny, młody Farouk, z długimi włosami i szczupłą oliwkową twarzą, roztaczał wokół siebie atmosferę elegijnego, prerafaelickiego przygnębienia. Mijając ich na korytarzu, Morris zapragnął przycisnąć obu do piersi i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Muszą tylko trochę poczekać. Najchętniej powiedziałbym im, że Bóg już zatroszczył się o wszystko. Albo Allah, jeśli tak wolą. Jego religijność nie miała przecież w sobie nic z doktrynerstwa. Nie muszą się niczego obawiać. Winny zostanie ukarany, już nawet został, a sprawiedliwość objawiona. *Nieszczęście grzeszników ściga, ale sprawiedliwych Bóg dobrem nagrodzi.* Antonella czytała mu ten tekst nie dalej jak wczoraj, zaraz po pogrzebie. Determinacja, z jaką usiłowała pocieszyć szwagra po jego stracie, niemal zapominając o swojej własnej, stanowiła najlepsze potwierdzenie tych świętych słów.

-Azedine! - zawołał Morris - *Coraggio!*

Ale ci dwaj już zniknęli w drzwiach sali sądowej, a Morris został zaprowadzony do pomieszczenia dla świadków. Mniejsza z tym, odrobina zdenerwowania nie zaszkodzi tym zbrodźcom, przeciwnie, oczyści ich nawet, zreflektował się. Siebie samego oczyścił już dostatecznie, Bóg mu świadkiem.

Oczyszczenie to dobre słowo, myślał, dając się prowadzić zatłoczonymi korytarzami, po których kręcili się dziennikarze, usiłujący złapać go za ramię albo podsunąć mikrofon pod nos. Poczucie, że na nowo odzyskał dziewictwo, było takie odświeżające. Odkąd Paola odeszła, coraz bardziej umacniał się w przeświadczeniu o swojej niewinności. Odrażające upodlenie, któremu musiał poddać się tamtego popołudnia, służyło właśnie uwolnieniu się od występku i nieprawości. Teraz już od tygodnia był biały niczym śnieg. I czuł się z tym doskonale.

Przed pokojem dla świadków czyhali dziennikarze z jakiegoś skandalizującego magazynu, z magnetofonami i ogromnym aparatem fotograficznym. Oczywiście polowali na brudy, w których nurzali się Paola i Kwame. Prasa kochała tego typu sensacje. Morris jasno dał do zrozumienia, że nie będzie z nikim rozmawiał ani

pozował do zdjęć. Odpowie na wszystkie pytania zadane mu na sali sądowej, i na tym koniec. Zasłaniając dłońmi pokiereszowaną twarz, wszedł do strzeżonego pokoju dla świadków.

W środku siedział już Forbes, bardziej zdenerwowany, niż tego wymagała konieczność. Morris zauważył to od razu. Trzech zbitych w grupkę na niskiej ławeczce imigrantów po-szeptywało coś do siebie. Oprócz nich w pokoju czekał jeszcze brygadzysta z butelkowni i trzech pracowników z dziennej zmiany. Drzwi na korytarz zamknęły się i Morris, wreszcie uwolniony od dziennikarzy, przywitał wszystkich serdecznie. Nie zwracając się do nikogo w szczególności, powiedział, że w najbliższym czasie zamierza powiększyć butelkownię, tak aby firma mogła sprostać nowym zamówieniom, głównie z Anglii. Próbował skupić wszystkich wokół siebie zarówno białych, jak i czarnych, dać im poczucie, że konsultuje z nimi swoje decyzje, że stanowią oni dla niego część wielkiej rodziny, której przyszłość leży mu na sercu. Jednak imigranci i Włosi uparcie trzymali się oddzielnie, spoglądając na siebie wrogo i coś szepcząc między sobą. Prawdopodobnie peszyła ich obecność uzbrojonego strażnika, pilnującego drzwi. Morris pomyślał, że gardzi nimi wszystkimi za ich małostkowość i zdumiewający brak hartu ducha. Nawet Forbes, zapytany o postępy prac remontowych w Villa Catullus, odpowiadał monosylabami.

- A może powinniśmy przechrzcić naszą willę na *II Collegio!* Go sądzisz o tym?

Prezentując najbardziej promienny ze swoich uśmiechów, Morris pomyślał, że jego oczy muszą wydawać się teraz jeszcze bardziej błękitne i jaśniejsze, w kontraście ze smutnym pobojobowiskiem, jakim stała się jego twarz (a może to właśnie ona była przyczyną zakłopotania robotników z winiarni? Ciągłe zapominał o takiej możliwości). Nijakie oczy Forbesa poruszyły się niepewnie pod przykurzonymi powiekami. Morris dodał mu otuchy kolejnym uśmiechem, choć uporczywe trzymanie się przez staruszka kwiecistych krawatów powoli zaczynało mu się jawić jako nieznośne zmanierowanie.

Świadkowie siedzieli w wyznaczonym pokoju, podczas gdy Azedine i Farouk byli sądzeni za morderstwo. Brygadzysta z butelkowni palił papierosa, jednak

Morris postanowił nie reagować. Jednego po drugim wzywano imigrantów do złożenia zeznań. Po nich miejscowych robotników. Za każdym razem trwało to nie więcej niż dziesięć minut. Forbes zaczął ubolewać, że wszystko idzie znacznie szybciej, niż oczekiwał, że ani się obejrzą, a Azedine i Farouk zostaną skazani. Może nawet jeszcze dzisiaj. Morris kazał mu się uspokoić. Nawet jeśli ich skaza, później i tak zostaną zwolnieni, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Będzie *amnistia*. We Włoszech tak to właśnie wygląda. W tym kraju nic nie jest *definitivo*. Po prostu Azedine i Farouk spędzą kilka miesięcy w więzieniu, zanim biurokracyjna machina wyciągnie wreszcie odpowiednie wnioski. Ani on sam, ani Forbes nie są winni temu, że tutejsza policja okazała się tak ślamazarna, że nie potrafiła odnaleźć dowodów, które w każdym innym kraju zostałyby odnalezione, zanim ktokolwiek zdążyłby wypowiedzieć słowo „dożywocie”. Obaj zrobili wszystko, co w ich mocy, by wydostać chłopców. Tak naprawdę Forbes wręcz przedobrzył, niepotrzebnie komplikując całą sytuację, bo tak go zauroczył przystojny Arab, zdradzający go, nawiasem mówiąc. *Rodolfo U Rosso*, rzeczywiście. Czy on zwariował? Na takie *dictum* Forbes ukrył twarz w dłoniach i mocno trąc palcami powieki, zaczął lamentować, że niepotrzebnie pakował się w to bagno. Morris spoglądał na niego z wyższością. W końcu to jego czekał krzyżowy ogień pytań, to on przez prawników reprezentujących obronę i *carabinieri* uważany był za alternatywnego kozła ofiarnego. Zerkając na pilnującego drzwi *poliziotto*, ostro przypomniał Forbesowi, że nie wpakował się w żadne bagno. Wręcz przeciwnie, jego obecna sytuacja jest lepsza niż kiedykolwiek. Może zebrać wszystkich głupich chłopczków, do których tak się wyrywa jego serce, pod wspaniale wyremontowanym dachem Villa Catullus i wpajać im mądrości, do których wygłaszania czuje się powołany. Zanim spotkał Morrisa, wiódł nędzny żywot, nie mając nic poza państwową pensyjką, *n'est-ce-pas*, więc lepiej niech o tym nie zapomina. Tak naprawdę Morris doskonale zdawał sobie sprawę, że wystarczy jedna niedyskrecja ze strony staruszka, a będzie skończony, mimo to czuł się tak, jakby to on trzymał w ręku nóż. Wystarczyło wiedzieć, że Forbes był gejem - a Kwame i Paola za życia sugerowali mu to niejednokrotnie - i od razu człowiek tracił do niego cały szacunek. A jakiego bałaganu narobił swoimi listami!

-*Audentes fortuna juvat*\*<sup>106</sup> - mruknął Forbes.

- To już lepiej - odparł Morris i zaraz dodał tonem, który miał przypomnieć, że ich dawna zażyłość przepadła bezpowrotnie: - A co to właściwie oznacza?

- Że masz słuszność - powiedział Forbes, po czym wstał, podszedł do strażnika przy drzwiach i zapytał, czy może skorzystać z *la toilette*.

Po przerwie na lunch w sądzie pojawiła się Antonella. Morris pospieszył ku niej, z wyrazem zafrasowania na twarzy. Uścisnęli się na powitanie.

- *E allora?* - zapytał niecierpliwie. - Złapali ich?

- Nikt się nie pojawił. Czekałam półtorej godziny.

- Może domyślili się zasadzki?

- Nie mam pojęcia, jak mieliby się domyślić. Tylko ja o niej wiedziałam.

Siedzący na ławce w drugim kącie pomieszczenia Forbes ponownie ukrył twarz w dłoniach. Nie miał nawet tyle przyzwoitości, żeby przywitać się z kobietą.

- Mnie się wydaje, że te listy stanowiły zasłonę dymną, mającą odwrócić uwagę od imigrantów. Rzekomi porywacze nigdy nie mieli w swoich rękach Boba - powiedział Morris. - Gdyby było inaczej, przedstawiliby jakieś dowody.

Odpowiedź Antonelli była nawet krzepiąca, choć jednocześnie mniej subtelna, niż by się tego po niej spodziewał.

- Szczerze mówiąc, odkąd cała prawda o Bobie wyszła na jaw, przestałam być z tego powodu nieszczęśliwa.

---

<sup>106</sup> \* Szczęście sprzyja odważnym.

Jej głos przepojony był goryczą. Morris pomyślał, że jeśli chce zaleczyć rany szwagierki, przyjdzie mu w to włożyć wiele wysiłku i dobrej woli.

W tym momencie *poliziotto* wywołał przeciągle nazwisko „Morrees Duckworth”.

Morris wstał z ławki i dał się poprowadzić wykładanymi kamienną posadzką korytarzami do dużej, surowej sali, gdzie na sklepieniu przetrwały fragmenty starych fresków. Z chropowatego tynku wylaniały się twarze i pióra, brzuchy i pośladki, kłębiące się bez ładu i składu, niczym ironiczne *memento* trudności, jakie sprawia spójna rekonstrukcja wydarzeń czy sytuacji. Nędzne, plastikowe krzesła szurały po marmurowej posadzce, w odległym kącie klekotała maszyna do pisania. Współczesna kultura rozpanoszyła się w całej sali, na podobieństwo mizernego kraba pustelnika, który obrał sobie na kryjówkę starą, szlachetną muszlę. Troje sędziów w togach - starszy mężczyzna, przewodniczący składowi, i dwie niepokojąco młode kobiety - zasiadało za stołem. Na ścianie ponad ich głowami, obok zepsutej jarzeniówki i plastikowego krucyfiks, widniał napis *LA LEGGE E UGUALE PER TUTTI*, którego litery stanowczo domagały się odświeżenia.

Morrisowi wskazano krzesło przypominające zwykły kuchenny stołek, przy którym stał mikrofon. Aby jakoś zadośćuczynić temu straszliwemu brakowi ceremonialności, Morris z wielką powagą i zaangażowaniem wypowiedział „przyśięgam”, kiedy sędzia wezwał go do złożenia przysięgi. Usiadłszy, zlustrował po kolei wszystkich protagonistów. Udawanie pewności siebie przyszło mu bez trudu. Naprawdę nie miał się czego obawiać, nie żywił też żadnych uprzedzeń wobec tych dwóch biedaków, siedzących z poszarzałymi twarzami na ławie oskarżonych, każdy z obrońcą u boku.

Tak, potwierdził swoją tożsamość, tak Morris Albert Duckworth, urodzony w Acton, London, Regno Unito, 19 grudnia 1960. Tak, zamieszkały przy Are Zovo 10, Quin-zano, Provincia di Verona. Tak, rozpoznaje obu oskarżonych, choć zna wyłącznie ich imiona. Azedine i Farouk. Obaj są sezonowymi robotnikami w wytwórni win, której jest współwłaścicielem. Obaj mieszkali w hostelu, który zorganizował, starając się pomóc imigrantom, mieszkającym na ulicy, bez szans na



stałą pracę czy dach nad głową. Sam jest do pewnego stopnia imigrantem, więc czuje więź z tymi nieszczęśnikami, usiłującymi rozpocząć nowe życie w obcym sobie środowisku.

Prawdę, którą wygłosił, wynagrodzono szmerem aprobaty, pełnym hipokryzji, typowym dla katolickiej publiczności. To jasne, że nikt z przysłuchujących się rozprawie nigdy nie uczynił nawet najdrobniejszego gestu, żeby pomóc tym biedakom.

To był wstęp, po którym *pubblico ministero* reprezentujący oskarżenie zaczął zadawać pytania. Dotyczyły one bezpośrednio ranka, w którym popełnione zostało przestępstwo. Przypuszczalne przestępstwo. O której godzinie Morris pojawił się w biurze, co tam zastał, ile pieniędzy zginęło z sejfu? Morris odpowiadał bez wahania i zgodnie z prawdą. Opisał wygląd biura: poprzewracane krzesła, ślady krwi na podłodze, rozbity aparat telefoniczny. Powiedział, że wcześniej tego samego ranka dzwonił do niego Forbes z informacją o wyrzuceniu imigrantów z pracy. Przyznał, że dopiero później połączył te dwa fakty, tak bardzo był oszłomiony całą sytuacją, zwłaszcza że nastąpiła ona bezpośrednio po śmierci jego teściowej. Czuł się ogłuszony.

Jak do tej pory, żadne wypowiedziane przez niego słowo nie było krzywoprzysięstwem. Może poza wzmianką, że poczuł silny zapach tytoniu.

Teraz prokurator zapytał, czy między imigrantami a Roberto Posenato wcześniej już istniały konflikty. Jakies incydenty, mogące wywołać w oskarżonych urazę? Morris zawahał się i przygryzł dolną wargę niczym ktoś, komu sumienie nakazuje wypowiedzieć niewygodną prawdę, choć tak naprawdę wolałby milczeć. Starając się nie patrzeć na nikogo, opowiedział o problemie związanym z korzystaniem z toalet: podczas pracy nocnej zmiany były one zamykane na klucz.

- Wśród załogi panował rasizm - powiedział - a niestety Bobo, to znaczy Roberto Posenato, nie robił nic, aby go zwalczyć. Nocnej zmianie, w całości złożonej z imigrantów, zezwolono na korzystanie z toalet dopiero po mojej zdecydowanej interwencji. Muszę tu dodać, że w tamtym czasie nie miałem pojęcia, iż

niektórzy robotnicy oddają się praktykom homoseksualnym. Gdybym o tym wiedział, może również nie byłbym wówczas wolny od uprzedzeń.

- Pan żywi uprzedzenia wobec homoseksualistów? - chciał wiedzieć prokurator.

Po świadku widać było głęboki namysł.

- Ujmijmy to w ten sposób - powiedział w końcu. - Potrafię doskonale zrozumieć, dlaczego Bobo zwolnił tamtych dwóch, przyłapanych na uprawianiu seksu analnego w jego biurze w czasie, w którym powinni byli pracować. Z drugiej strony potrafię też wyobrazić sobie, że obaj oskarżeni, z powodu złego traktowania ich przez białych, rozwinęli w sobie przekonanie, że zostali pokrzywdzeni.

- A więc uważa pan, że zareagowali popełnieniem zbrodni?

- Ależ nie - odparł Morris, zdecydowany żeglować tak ostro pod wiatr, jak to tylko możliwe. - Wcale tak nie uważam. Sądzę jedynie, że taka możliwość jest prawdopodobna. Ci dwaj zostali zwolnieni, wrócili do hostelu, porozmawiali z pozostałymi. To wiemy na pewno. Potem spakowali się i powiedzieli, że wyjeżdżają. Może jednak przyszło im do głowy jeszcze raz apelować do Boba, próbować go nakłonić do zmiany zdania. Wrócili, doszło do awantury i... - Morris wzruszył ramionami, jasno dając do zrozumienia, że takie rozwiązanie uznaje za wysoce nieprzyjemne. Ale całkiem prawdopodobne.

- To wszystko - zwrócił się do sędziów. - Nie mam więcej pytań do świadka.

- *La difesa*\*<sup>107</sup>? - zapytał główny sędzia.

Rozległo się szuranie krzeseł, kiedy jeden z prawników siadał, a drugi wstawał. Najwyraźniej przesłuchanie miał prowadzić tylko jeden z adwokatów. W którymś z tylnych rzędów ktoś wstał, a następnie wysliznął się z sali. Morris spiął się wewnętrznie i pozwolił oczom powędrować w stronę przysłuchujących się rozprawie, żeby sprawdzić, czy wśród czterdziestu czy pięćdziesięciu zgroma-

---

<sup>107</sup> \* Obrona.

dzonych tu osób nie ma przypadkiem kogoś, kto mógłby się okazać prawdziwie niebezpieczny. Na przykład takiego Stana. Nie było go, dzięki Bogu. Ze zdumieniem natomiast zauważył siedzącego na sali staruszek Don Carla, w sutannie i z krucyfiksem. Morris posłał mu krótki, smutny uśmiech, uzyskując w zamian pełne zrozumienia spojrzenie. Potem już całkowicie skupił się na nowym głosie, zwracającym się wprost do niego.

Obrońca był młody, wysoki i przystojny, z rzymskim, wydatnym nosem, wysokim czołem i ciemnymi oczami. To było dość denerwujące, gdyż Morris zawsze pewniej i swobodniej czuł się, mając do czynienia z brzydalami typu Bobo, sprośny Giacomo, wtedy w Rimini, czy Marangoni. Trudno. Adwokat zaczął od pytań o przyjazd Morrisa do Włoch i pierwsze kontakty z rodziną Trevisan. Udzielając odpowiedzi, Morris starał się zachowywać w sposób jak najbardziej ujmujący, mówić dźwięcznym, modulowanym głosem i tak poprawnie, jak tylko potrafił. Jedną z młodych sędzin, tleniona blondynka o twarzy naburmuszonego dziecka, zerknęła na niego z wyraźnym zainteresowaniem, choć przecież był oszpecony. A może właśnie dlatego? Kiedy woźny przysunął mu bliżej mikrofon, Morrisa ogarnęło przyjemne uczucie, że oto znalazł się w centrum powszechnego zainteresowania, a nawet sympatii.

- *Naturalmente* - adwokat przeszedł nagle do ataku - kiedy po raz pierwszy znalazł się pan u Trevisanich, poczęstował ich pan stekiem kłamstw.

Morris milczał, zastanawiając się, czy jego zniekształcone rysy aby na pewno wyrażają pełną obojętności życzliwość. - *Allora?* - ponaglił go adwokat.

- Przepraszam, ale pan nie zadał mi żadnego pytania. Nie mogę odpowiedzieć, skoro o nic pan nie pyta.

- Czy to prawda, że podczas swojej pierwszej wizyty w domu Trevisanich nakłamał im pan na temat swojej pracy, rodziny i sytuacji finansowej?

- Tak - powiedział Morris i zaraz dodał chytrze: - Może być pan pewien, że gdyby to nie było prawdą, natychmiast bym zaprotestował.

Właściwie był niemal zadowolony, że policja nie odnalazła jeszcze samochodu z jego cennym ładunkiem strzępków naskórka i zużytych prezerwatyw, które zawdzięczał Paoli i Kwamemu, gdyż dzięki temu miał teraz możliwość zabłyśnięcia. Oczywiście zbyt ostentacyjne demonstrowanie tego uczucia absolutnie nie wchodziło w grę.

- Z czego można wywnioskować, że pan często ucieka się do kłamstwa.

- Można, choć taki wniosek byłby błędny. Wystarczy. Nie ma potrzeby usprawiedliwiać się zbyt

gorliwie. Poczekaj, aż adwokat zacznie się domagać bliższych wyjaśnień na temat jego motywów i wtedy dopiero mu powie, grzecznie i łagodnie. Zwróci się wtedy w stronę ładniejszej z kobiet za sędziowskim stołem. Już!

- *Signori giudici*<sup>\*108</sup> w omawianym czasie byłem do szaleństwa zakochany w najmłodszej z córek pani domu, Massimi-nie Trevisan. Z całych sił pragnąłem zadowolić jej matkę, tak by pozwoliła nam się spotykać, więc dość głupio, przynajmniej, naopowiadałem jej rzeczy, które - tak mi się wtedy wydawało - pragnęłaby usłyszeć. Byłem wówczas młody i raczej naiwny. Signora Trevisan odkryła prawdę i - co zrozumiałe - odprawiła mnie.

Przystojna sędzina uśmiechnęła się mimowolnie. Morris starał się nie patrzeć w stronę publiczności i nie sprawdzać, jakie wrażenie wywołują słowa, które wypowiada. Ku jego poirytowaniu w tym momencie wtrącił się prokurator, który wstał i oznajmił, że nie wie, czemu miałyby służyć te pytania. Obrona nie powinna pytać o kwestie niezwiązane bezpośrednio z przestępstwem.

Sędzia główny oddalił sprzeciw. To oczywiste, powiedział, że obrona poddaje w wątpliwość wiarygodność jednego z kluczowych świadków i początkowego podejrzanego, osoby, która jako pierwsza pojawiła się na miejscu przestępstwa i zawiadomiła o nim policję. Podobne pytania są całkowicie uzasadnione. Morris

---

<sup>108</sup> \* Panowie sędziowie.

zerknął ku sklepieniu i przypadkiem złowił okiem namalowane na nim pośladki, wyglądające tak, jakby ich właściciel właśnie miał zamiar usiąść. Od razu przywiodło mu to na myśl dość niemiłe skojarzenia. Ale za to w odległym kącie, dokładnie nad głową piszącej zawzięcie maszynistki, z chmur wyłonił się biust godny Mimi (i Antonelli), mlecznobiały, z czekoladowymi sutkami, niestety, z szyją nad nim obciętą raptownie. Morris czekał.

- Czy wie pan, w jaki sposób rodzina zdemaskowała pańskie kłamstwa?

- Nie wiem, sądzę, że sprawdzili którąś z podanych przeze mnie informacji.

- Dla ścisłości, to Roberto Posenato sprawdził, a pan od tamtej pory żywił do niego urazę.

- Nie - odparł Morris - w tym momencie zdecydowanie muszę się sprzeciwić. Nie wiedziałem, kto sprawdził, nigdy też się nad tym nie zastanawiałem. Nie żywiłem ani nie żywię urazy do nikogo. Poza tym zaledwie kilka tygodni później na rodzinę Trevisan spadła tragedia w postaci porwania Massi-miny. Byłoby prawdziwym grubiaństwem pielegnować urazę wobec osób, które spotkało tak straszne nieszczęście.

Jego włoski rozbrzmiewał dziś niezwykle płynnie i potoczyście. Jak do tej pory nie zrobił chyba ani jednego błędu.

- Meester Duckworrth, od momentu zetknięcia z panem rodzinę Trvisan spotkało niewiarygodnie dużo „strasznych nieszczęść” - skwitował adwokat sucho.

Morris zamknął oczy. Teraz musiał przywołać całą swoją samokontrolę, by nie zaprotestować w obliczu takiej drwiny, by utrzymać na twarzy wyraz obojętności. Poczuł, że blizna nad okiem nabrzmięwa i zaczyna pulsować. W końcu odezwał się:

- Tak. Massimina, którą bardzo kochałem, została uprowadzona, a następnie pozbawiona życia. Dwa lata później zmarła jej matka, wiekowa już osoba, i ta śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. Bobo Posenato, mój szwagier, z którym - o czym mogą zaświadczyć księgi Trevisan Wines - z dużym powodzeniem prowadziłem rodzinną firmę, zniknął wkrótce po tym, jak wyrzucił z pracy dwóch

robotników, sądzonych w obecnym procesie. Całkiem niedawno moja żona zmarła w wyniku otrucia gazem, w okolicznościach, nad którymi prasa do dziś nie przestaje się rozwodzić. Padła ofiarą rasistowskiego ataku na jej kochanka, jednego z imigrantów, którym starałem się pomóc. - Urwał. - W tym miejscu chciałbym usprawiedliwić się przed sądem, jeśli nie wydaję się być tak poruszony owymi wydarzeniami, jak należałoby oczekiwać, i nie wyrażam otwarcie swojego bólu. Jednak seria tragicznych zająć z ostatnich kilku miesięcy, włączając w to moje aresztowanie i wypadek, z którego wyszedłem z okaleczoną twarzą, sprawiła, że znajduję się w stanie kompletnego szoku, całkowicie pozbawiony wszelkich uczuć, niepotrafiący normalnie reagować. Jeśli dałem radę przyjść tutaj dzisiaj, to wyłącznie dzięki sporej dawce środków uspokajających.

Nie było to prawdą, ale człowiek powinien umieć też zrezygnować z odrobiny dumy, jeśli miało mu to przynieść określoną korzyść. Poza tym nikt nie będzie mu robił badań krwi na sali sądowej.

Obrońca ponownie zabrał głos.

- Meester Duckworrth, z wymienionego przez pana katalogu wynika, że jeszcze niejedna tajemnica w rodzinie Tre-visan czeka na wyjaśnienie.

- Obawiam się, że trudno byłoby nie zgodzić się z tym stwierdzeniem - przyznał Morris ze smutkiem.

Nastąpiła krótka przerwa w potyczce. Morris uśmiechnął się lekko do sędziów, czekając na odbicie piłeczki.

- Signor Duckworrth - podjął arabski obrońca - zarówno pańska żona Paola, jak i pańska szwagierka Antonella Trevisan zeznały przed policją, że pańskie stosunki z Robertem Posenatem nie należały do najłatwiejszych.

Morris pozostał nieporuszony.

- Między nami zdarzały się nieporozumienia w konkretnych aspektach zarządzania firmą, co zdarza się bardzo często, kiedy nie wiadomo dokładnie, kto jest właściwie szefem. Zawsze dochodzi wówczas do swego rodzaju rywalizacji o pozycję. Ale poza tym nasze stosunki układały się zupełnie poprawnie. Barista z

*pasticceria* w Quinto może potwierdzić, że niejednokrotnie wpadaliśmy tam na pogawędkę przy filiżance cappuccino.

- Meester Duckworth, w dniu, w którym zostało popełnione przestępstwo, z samego rana zmarła pańska teściowa. Pan natychmiast pospieszył do jej domu. Pańska szwagierka zeznała, że przyłapała pana na przetrząsaniu zawartości szuflad. Czy mógłby nam pan wyjaśnić, czego pan właściwie szukał, Meester Duckworth?

Morris poczuł, że uporczywe powtarzanie przez adwokata jego wstrętnego nazwiska zaczyna działać mu na nerwy, za wszelką cenę jednak starał się nie okazywać poirytowania. Już dawno zauważył, że Włosi, nie znając odpowiedniego kontekstu socjolingwistycznego, nie odbierają nazwiska Duckworth jako niemile brzmiącego. Dla Anglika nazwisko typu Chiavagatti też pewnie nic by nie znaczyło. Może to właśnie był jeden z powodów, dla których zdecydował się zamieszkać za granicą?

Westchnął ciężko.

- Muszę przyznać ze wstydem, że szukałem testamentu Signory Trevisan. Jednak z chwilą, kiedy moja szwagierka Antonella pojawiła się w pokoju, uświadomiłem sobie niewłaściwość takiego postępowania.

- A może zechciałby pan wytłumaczyć sądowi, skąd ten pośpiech w poszukiwaniu owego dokumentu?

- Moja żona nalegała, abym odnalazł go jak najprędzej.

- Och, a więc nie szukał go pan dla siebie? Morris zawahał się.

- Jednym z większych błędów, jakie popełniłem w życiu, była nadmierna chęć zadowolenia mojej żony.

- Pańska żona, pozwolę sobie przypomnieć sądowi, była siostrą kobiety, w której jeszcze rok przed zawarciem małżeństwa był pan do szaleństwa zakochany.

Morris zamknął oczy. Po sali sądowej przeszedł wyraźny szmer. Nie podnosząc powiek, Morris zaczął mówić przez zaciśnięte zęby.

- Kiedy zwierzyłem się z tego swojemu psychoanalitykowi, ten wytłumaczył mi, bardzo zresztą wiarygodnie, że tu właśnie tkwi źródło moich problemów. W chęci zadośćuczynienia żonie za fakt, iż jej siostrę darzyłem większym uczuciem. - Urwał na chwilę. - Skoro jednak ta kwestia nie jest ściśle związana z linią pańskiego przesłuchania, wolałbym nie rozwodzić się nad nią publicznie. - Tu głos niemal mu się załamał. - Ostatnie tygodnie przyniosły mi już dość upokorzeń i poniżenia.

Otwierając oczy, specjalnie starał się nie patrzeć na młodą sędzinę, lecz skierował wzrok ku górze, na imponujące piersi na sklepieniu. Przez moment wyobraził sobie zawieszony między nimi krucyfiks. Czasami posiadanie twarzy całej w bliznach nie było wcale takie złe.

- A dlaczego pańskiej żonie tak bardzo zależało na jak najszybszym zapoznaniu się z treścią testamentu, Meester Duckworth? - chciał wiedzieć obrońca.

- Obawiała się, że Signora Trevisan mogła zapisać wszystko jej siostrze i szwagrowi. Moja żona nie była w najlepszych stosunkach z matką - dodał. - Sprzeczały się niemal o wszystko.

- Pan również żywił podobne obawy?

- Do pewnego stopnia owszem - przyznał Morris. - Jednak powtórzę jeszcze raz, że z chwilą kiedy moja szwagierka weszła z płaczem do pokoju, uświadomiłem sobie, że zachowałem się jak nędznik. Poczuję się niczym robak.

- Z pewnością - powiedział adwokat protekcjonalnie. Morris był doskonale świadom, że jego przeciwnik stara

się wykorzystać swoją przewagę, jeśli idzie o fizyczną atrakcyjność, choć to przecież on, Morris, przykuł uwagę ładniejszej z sędzin. Może właśnie z powodu swojej gotowości do przyobleczenia się w wór pokutny i wyznania popełnionych pomyłek?

- Czy znalazł pan testament?

- Nie.



- Jak to?

- Kiedy powiedziałem Antonelli, że szukałem testamentu, wytłumaczyła mi, że dokument znajduje się u Boba.

- Na co pan popędził do szwagra i wdał się z nim w spór. Morris głęboko zaczerpnął powietrza, ponownie demonstrując wszystkim swoje opanowanie.

- Niezupełnie - powiedział. - Najpierw przez dłuższą chwilę pozostałem z Antonella, żeby ją pocieszyć, gdyż zdradzała objawy wielkiego przygnębienia. Potem zatrzymałem się w barze w Quinzano, co - zdaje się - zostało już udowodnione. Wcześniej w tym względzie istniało jakieś nieporozumienie. Chciałem na spokojnie przemyśleć zaistniałą sytuację. Jeszcze później pojechałem do Villa Caritas, tego hostelu, w którym mieszkają imigranci, żeby się dowiedzieć, dlaczego właściwie zostali wyrzuceni z pracy. Rozmawiałem z jednym z nich, niejakim Kwame.

- Który później został znaleziony martwy w łóżku razem z pańską żoną - uzupełnił adwokat.

Z tyłu sali rozległ się czyjś donośny chichot. Morris zacisnął zęby.

- Widzę - powiedział zwracając się bezpośrednio w stronę stołu sędziowskiego - że jeśli idzie o brak wrażliwości, pozostaję daleko w tyle za *avvocato per la difesa*. \*109

Sędzia przewodniczący zauważył nie bez współczucia, że pewien stopień niewrażliwości jest niestety nieunikniony przy próbie wyjaśnienia tak nieprzyjemnej sprawy.

- Musi się pan uzbroić w cierpliwość, Signor Duckworth - skonkludował.

Obrońca usiłował coś powiedzieć, ale Morris wpadł mu w słowo.

---

<sup>109</sup> \* Obrońcą.

- Niech więc będzie mi wolno dokończyć moje wyjaśnienia na temat wydarzeń tamtego poranka - powiedział. - Jak już wspomniałem, najpierw odwiedziłem kilka różnych miejsc i dopiero później udałem się do biura, żeby porozmawiać z Bobo o zwolnionych z pracy i o testamencie.

- I zastał pan biuro w takim stanie, jaki opisał pan później policji, czy tak?

-i obecnie sądowi. Zgadza się.

Adwokat z trzaskiem zamknął swoje notatki, w doprawdy mało przekonującej próbie wywołania dramatycznego efektu.

- Meester Duckworrth, może zechce pan teraz wyjaśnić sądowi, dlaczego wkrótce po tych wydarzeniach został pan aresztowany i zatrzymany na kilka tygodni.

Morris z przekonaniem odegrał rolę kogoś, kto za wszelką cenę postanowił pójść za udzieloną mu przed chwilą radą sędziego. Będzie cierpliwy. Wzniósł oczy i pozwolił im spocząć na wydatnym biuście Mimi na kiepsko odrestaurowanym renesansowym fresku. Skoro malowidła zachowały się zaledwie we fragmentach, nie miało najmniejszego sensu obdarzać ich tak żywymi barwami. W górze żeglowały pośladki, kompletnie oderwane od tułowia, sprawiające wrażenie wyciętych z jednego z tych magazynów, w których tak gustował ojciec. Albo Kwame. Morris odwrócił wzrok od sklepienia, uśmiechnął się nieznacznie i zaczął mówić. Cóż, między policją a *carabinieri* istniała pewna rywalizacja, kto pierwszy złapie sprawcę. On przynajmniej odnosił takie wrażenie. Jej rezultatem było to, że kiedy odmówił zeznań na temat swoich poczynań w noc po przestępstwie, *Colonnello* Fendtsteig aresztował go natychmiast, a kiedy nadal nie chciał zeznawać, twierdząc, że pochłaniały go wyłącznie sprawy prywatne, zatrzymał w areszcie. *Colonnello* jest przekonany, że skoro do drugiej w nocy pozostawał poza domem, miał sposobność pozbycia się, zwłok Boba. Kiedy jednak po kilku tygodniach, jakie przyszło mu spędzić w celi, to, co robił tamtej nocy, wyszło wreszcie na jaw - a wyszło po ujawnieniu przez psychoanalityka, gdyż on sam w życiu by się nie przyznał - Fendtsteig nakazał go zwolnić.

- Jednakże - dodał na zakończenie - powiem jeszcze, gdyż jeśli tego nie zrobię, pan, *Avvocato*, z pewnością to uczyni, iż *Colonnello* Fendtsteig nadal jest przekonany o mojej winie. Powiedział mi wprost, że czeka tylko na znalezienie dowodów, które by ją potwierdziły. W takiej właśnie atmosferze podejrzeń żyję już od wielu tygodni i zapewniam, że jest to niezmiernie frustrujące.

To oświadczenie wywołało oczywiście poruszenie. A więc na tej sali byli jeszcze ludzie, którzy potrafili docenić szczerłość i odwagę. Ale obrońca oskarżonych pozostał niewzruszony. Powiedział tylko:

-A więc może zechce pan objaśnić nam teraz, co pan robił w noc po zniknięciu pańskiego szwagra, Meester Duc-kworrth.

Po raz pierwszy Morris pozwolił sobie, by na jego zniekształconej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. Raptownie odwrócił się w stronę stołu sędziowskiego.

- *Signori giudici*, przecież znana jest wam treść policyjnych raportów. Wiecie, co powiedziałem analitykowi. Wiecie też, że uczyniłem to dopiero wówczas, kiedy zalecił mi to mój spowiednik. Czy naprawdę muszę powtarzać to wszystko publicznie? Czy nie przysługuje mi prawo do milczenia?

Starszy mężczyzna i dwie młode kobiety pochylili ku sobie głowy. Jasny lok spadł na dziecinny policzek. Drobną dłoń odrzuciła go do tyłu, a zalotne oko spoczęło na chwilę na Morrisie.

- Prawo do milczenia dotyczy przede wszystkim informacji mogących obciążyć bezpośrednio pana lub bliskiego członka rodziny - zawyrokował w końcu główny sędzia. - Ten przypadek tutaj nie zachodzi. Odmowa zeznań byłaby więc lekceważeniem sądu. Sąd uważa, że chociażby w celu rozwiania wątpliwości dotyczących pańskiego postępowania, powinien pan przedstawić krótkie oświadczenie na temat miejsca swojego pobytu tamtej nocy. Nie musi się pan wdawać w szczegóły.

Morris szybko wyrzucał z siebie słowa, niczym ktoś, kto jak najszybciej chce mieć wyznanie już za sobą.

- Byłem na cmentarzu, gdzie płakałem przy trumnie zmarłej ukochanej, trumnie wyjętej z rodzinnego grobu w związku z mającym się odbyć następnego dnia pogrzebem teściowej.

Na sali ponownie zawrzało. Morris z uporem wpatrywał się w sklepienie. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że przechodził najgorsze z możliwych upokorzeń. Naprawdę ciężko pracował na swoją wolność.

Kiedy gwar ucichł nieco, adwokat zapytał ze spokojem:

- I oczekuje pan, że w to uwierzemy?

- Jeśli oczekuje pan, że potraktuję to jako pytanie serio, jest pan z pewnością niezwykle impertynencki - ripostował Morris, po czym poprawił się natychmiast. - *Mi scusi*, rozumiem, że wykonuje pan tylko swój zawód, działając na rzecz pańskich klientów, wobec których żywię zresztą pełne współczucie. - Język włoski niemal sam podsuwał mu cudownie pompatyczne frazy. - Obawiam się, że po zaginięciu i śmierci Massiminy popadłem w obsesję. Opętała mnie idea, że zostałem obrabowany z jednego z najcenniejszych doświadczeń w moim życiu. Chwilami czuję się tak, jakbym został przez nią opuszczony. Codziennie rozmawiam z nią w myślach, czuję jej bliskość, wydaje mi się, że ona mną kieruje, że mnie prowadzi. Jej obecność pozwalała mi trwać w związku, którego nie mógłbym nazwać inaczej, jak tylko jałowym małżeństwem.

Po tych słowach popatrzył prosto na prawnika. Wygłaszanie trudnej do przeknięcia prawdy od razu przydawało człowiekowi wiarygodności. Szczerłość w jego głosie była przecież nie do podważenia. Jednocześnie usłyszał wyraźny szept:

- *Morrees, grozie, grazie*. Dziękuję ci za publiczne wyznanie, że kochasz tylko mnie.

Adwokat był wyraźnie poirytowany.

- Meester Duckworrth, pozwolę sobie podsumować fakty w następujący sposób. Nie tylko ci dwaj młodzi ludzie mieli możliwość zamordowania czy też uprowadzenia Si-gnora Posenata. Również pan miał doskonałą sposobność, aby

go zabić, wywieźć ciało jego samochodem, wrócić na miejsce zbrodni, zawiadomić policję, następnego nocy pozbyć się zarówno zwłok, jak i samochodu, a po trzech tygodniach łamania sobie głowy w więzieniu wystąpić z absurdalną historią o szlochaniu nad trumną zmarłej ukochanej.

Sala ponownie zareagowała gwarem, natomiast dwaj oskarżeni mieli wyraźne trudności ze śledzeniem przebiegu rozprawy. Azedine w zdenerwowaniu gryzł palce.

- Jak już wspominałem wcześniej, tak właśnie brzmi teoria *Colonnella Fendtsteiga* - przyznał Morris. - W jaki sposób natomiast miałbym pozbyć się ciała i ukryć samochód, nie posiadając współnika, doprawdy przekracza moje zdolności pojmowania.

Adwokat już zbierał się do zadania kolejnego pytania, ale Morris nie dał sobie przerwać.

- Na obronę *Colonnella Fendtsteiga* trzeba jednak dodać, iż biorąc pod uwagę wybitnie poszlakowy charakter dowodów, czy to przeciwko obu oskarżonym (może poza owym nożem ze śladami krwi), czy też przeciwko mnie samemu, zdumiewające jest, że ta sprawa w ogóle znalazła finał w sądzie. Przy istniejących poszlakach równie prawdopodobna jest trzecia, a nawet czwarta możliwość. Na przykład, że Bobo został uprowadzony czy też pozbawiony życia przez męża kochanki, której tożsamość pozostaje nieznana. Albo też, że sfigował swoje porwanie i uciekł z kochanką. Chcę tu podkreślić, że skoro nie odnaleziono ciała, czy nawet samochodu, kompletnie nie pojmuję, jak ktokolwiek może być sądzony. ..

- Proszę - przerwał mu dobrotliwie sędzia przewodniczący - znalazł się pan tutaj, aby reprezentanci obu oskarżonych mogli pana przesłuchać, a nie by snuć osobiste dywagacje i refleksje.

- *Mi scusi, Signor Giudice.* - Morris był autentycznie skruszony. - Usiłowałem tylko wskazać, iż fakt, że sam muszę się bronić, nie oznacza bynajmniej, że pragnę, by obaj oskarżeni zostali uznani za winnych na podstawie czyjegoś widzimisię.

Adwokat obrony gwałtownie obrócił się do sędziów.

- Wysoki Sądzie, pozwolę sobie przejść do sedna. W moim późniejszym podsumowaniu postaram się wykazać nie tylko kruchość dowodów przeciwko moim klientom, lecz również i to, że jeśli istotnie mamy do czynienia z morderstwem, jest o wiele bardziej prawdopodobne, iż zostało ono popełnione przez Signora Duckwortha, który posiadał zarówno motyw, jak i sposobność. Oczywiście, na co on sam zwrócił tutaj uwagę, niepodobieństwem jest, by działał w pojedynkę. Postaram się wykazać, że pomagał mu wysoki Afrykanin, znany nam wyłącznie z imienia Kwame, który później zginął wraz z żoną Signora Duckwortha, Paola Tre-visan. Signor Duckworth przyznaje, że rozmawiał z nim w tak zwanej Villa Caritas bezpośrednio przed udaniem się do biura. Nie wiemy natomiast, co ów Kwame robił w przeciągu następnych dwóch godzin. Za ledwie w kilka dni po zniknięciu Posenata Signor Duckworth pozwolił młodemu, czarnemu imigrantomu wyprowadzić się z hostelu i zająć jego własne mieszkanie. Uczynił mu także prezent w postaci mercedesa oraz zlecił nadzór administracyjny nad firmą podczas swojego pobytu w więzieniu. Ten krok spowodował bliskie kontakty Afrykanina z żoną Signora Duckwortha, kobietą, której małżeńska niewierność była doskonale znana wszystkim członkom rodziny, a także wielu osobom spoza rodzinnego kręgu. Pragnę tu podkreślić, że poszlaki obciążające Signora Duckwortha są znacznie mocniejsze niż przedstawione przez oskarżenie wobec moich klientów, których wina - jak podejrzewam - polega wyłącznie na tym, iż nie są rasy kaukaskiej. W tej sytuacji zamierzam wnioskować o umorzenie postępowania sądowego i wznowienie śledztwa w celu wyjaśnienia niejasności związanych z osobą obecnego świadka.

W tylnych rzędach natychmiast podniosła się wrzawa. Na Morrisa ten nagły wybuch podziałał druzgocąco, poczuł się tak, jakby potężny odłamek artyleryjskiego pocisku minął go za ledwie o włos. A może nawet nie minął wcale? Żywa czerwień jego blizn pobielała w mgnieniu oka, spoczywające na kolanach dłonie zaczęły dygotać, a lewy kącik ust wykrzywił się gwałtownie w mimowolnym skurczu i opadł ku dołowi.

- Istnieje jeszcze jeden zwracający uwagę fakt - podjął prawnik - fakt, który potwierdzili tu przed sądem pracownicy winiarni, a który w swoim czasie mógł się wydawać pozbawiony znaczenia. Otóż w drugą noc po przestępstwie Afrykanin Kwame pojawił się na nocnej zmianie spóźniony o cztery godziny, przedstawiając żalostną wymówkę, że był na dworze i układał butelki. Tej pracy nigdy nie wykonywano w nocy, gdyż stróżujący pies, spuszczone wówczas z łańcucha, zaatakowałby każdego, kto wyszedłby z budynku. W tej sytuacji należy uznać, że miejsce pobytu owego Kwa-mego tamtej nocy, kiedy Signor Duckworth jakoby szlochał nad szczątkami zmarłej ukochanej, pozostaje nieznane. Mówiąc krótko, ci dwaj mieli wystarczająco dużo czasu, aby pozbyć się zwłok.

To z pewnością było bezpośrednie uderzenie. Cud, że nastąpiło dopiero teraz.

- Mimi - wychrypiał Morris, ale na szczęście jego głos zginął w powszechnym gwarze, czynionym przez publiczność, której wreszcie zaczął się rysować pełen obraz. -Mimi!

Nagle poczuł, że opuszczają go resztki energii. Był skończony, to jasne. Jeśli nie zamierzał przyznawać się od razu, to wyłącznie po to, aby jeszcze przez kilka dni cieszyć się pseudowolnością, poświęcić ją na uporządkowanie papierów i ostatnią wspólną lekturę Biblii z Antonellą.

- Meester Duckworrth - prawnik zwracał się teraz wprost do niego - twierdząc, że między panem a pańskim wspólnikiem doszło do sporu na temat przyszłości firmy i waszego wspólnego dziedzictwa, a wówczas pan go zabił, wykorzystując fakt wyrzucenia z pracy Azedina i Farouka jako przykrywkę morderstwa.

Morris otworzył usta. Nie, nie teraz. Zamknął je na powrót, po czym zamknął jeszcze oczy. Skoro są już tak blisko sedna, będzie milczał, żeby przypadkiem nie wyrwało mu się coś, co go do reszty pograży. Nie będzie odpowiadał, dopóki nie pojawi się przed nim Mimi i nie podyktuje mu, słowo po słowie, co ma mówić. Dopóki nie objawi mu bożej woli. Nawet gdyby miał na to czekać tysiąc lat. Upłynęło trzydzieści sekund. Potem minuta.

- Meester Duckworrth - ponaglił go adwokat - proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Nic. Na sali sądowej zapanowało całkowite milczenie. Wszyscy czekali. Pod zamkniętymi powiekami Morris widział plamy czerwieni, cisza dudniła mu w uszach w rytm pulsu, cała krew zdawała się z niego wypływać, a wraz z krwią resztki świadomości. Czuł, że jest bliski omdlenia. Ktoś w pobliżu zaszurał krzesłem. Z tyłu sali rozległy się czyjeś szepty i słaby szelest przewracanych kartek. Pełną napięcia ciszę przerwał nagły dźwięk otwieranych drzwi i czyichś pospiesznych kroków, brzmiących niczym przynosząca wolność eksplozja.

- *Signor Giudice, Signor Giudice!*

Nękany mdłościami Morris otworzył oczy. Z trudem tylko rozpoznał postać asystenta inspektora Marangoniego, który kroczył pospiesznie przez salę, zmierzając prosto do stołu sędziowskiego. Przyciszonym głosem powiedział coś do sędziów. Nastąpiła szybka wymiana spojrzeń. Sędziowie przywołali do siebie obu prawników. Ludzie na sali zaczęli szeptać, ale sędzia przewodniczący energicznie przywołał ich do porządku. Morris z wolna odzyskiwał świadomość. Kiedy doszedł do siebie, dobiegły go słowa:

- *Signore e signori*, w związku z odkryciem nowych i -zdaje się - decydujących dowodów, sąd ogłasza godzinną przerwę w rozprawie, podczas której prokuratura zadecyduje, czy proces przeciwko oskarżonemu ma być kontynuowany.

Maj na powrót sprowadził na ziemię maki, intensywnie czerwone plamy na zielonym patchworku pól. Jadąc jak co rano do Valpanteny, do swojego biura, Morris przywoływał w pamięci obrazy pointylistów, które jako nastolatek oglądał w National Gallery. Do ojca telefonował już dwukrotnie, raz, żeby zaprosić go na pogrzeb, drugi raz, aby uświadomić go, że spotkało ich jednakowe nieszczęście. Obaj stracili młode żony. Obaj w wyniku nieszczęśliwego wypadku.



Niestety, w przeciwieństwie do Rona, jemu, Morrisowi, nie pozostało na pociechę dziecko, stanowiące żywe wspomnienie utraconej żony.

Przeżył wielkie wzruszenie, gdyż ojciec objawił autentyczną troskę. To podczas ich pierwszej rozmowy. Podczas drugiej potraktował go ze zwykłym lekceważeniem. Ciężar z głowy, teraz Morris powinien przestać płakać nad rozlanym mlekiem, tylko wziąć się w garść i poszukać sobie kogoś innego. Niechże raz wreszcie przestanie się mazgać.

- Ona była w ciąży - zawodził Morris. - Sekcja to wykazała.

- Ja tam po śmierci Alice wcale nie czekałem długo -wpadł mu w słowo ojciec. - Co by komu z tego przyszło, gdybym zachowywał się jak żaloszny, stary głupiec? Nie pomogłoby to ani matce, ani tobie, ani mnie samemu, mam rację?

Morris odwiesił słuchawkę. Pogardzał ojcem za to, że ten nadaremnie przywoływał imię Matki. Jadąc niespiesznie, podziwiał świeżość pejzażu: gęstwiny pędów winorośli, rozpiętych na siatkach i palikach, strzeliste piony cyprysów, migotliwe srebro brzoź (niczym światło na wodzie, jak mu podpowiadało jego oko artysty).

- Wszystko wokół wyrasta na nowo - zwierzył się Mimi do słuchawki telefonu.

- Niczym nasza miłość - odparła. Teraz najczęściej odpowiadała; gdzieś zniknęła jej dawniejsza powściągliwość. - Dokąd się wybierasz, Morri? - z kolei ona zadała mu pytanie.

- Przecież dobrze wiesz, dokąd jadę - roześmiał się. -Ty zawsze wiesz wszystko.

- Wiem, ale lubię pytać i lubię, kiedy mi odpowiadasz.

- To jest fair. - Morris uśmiechnął się i na jeden ryzykowny moment odjął dłoń od kierownicy, żeby przygłodzić jasne, odrastające włosy. Teraz już nie miał zwyczaju zerkać od czasu do czasu do lusterka, tak jak to robił dawniej. - Jadę zobaczyć się z Forbesem - powiedział.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Samochód mijał właśnie brzydkie, przemysłowe zabudowania na obrzeżach Grezza-ny. Obecnie Morris jeździł o wiele wolniej i ostrożniej niż kiedyś. Wreszcie Mimi odezwała się ponownie:

- Morri, nadal uważam, że Forbes jest niebezpieczny. Morris nie mógł się z nią nie zgodzić. Forbes rzeczywiście sprawiał pewien problem.

- On tyle wie - ciągnęła Mimi.

- Ale oddał mi listy - przypomniał jej Morris. - Poza tym on tak naprawdę nie wie, co najwyżej się domyśla. Nie ma pojęcia, że to ja pisałem tamte listy, wie tylko, że miałem je w kieszeni płaszcza. Nie wie, co zrobiłem Paoli i Kwamemu. A tak nawiasem mówiąc, zdaje się, że kiedy leżałem w szpitalu, tych dwoje niemal się ze sobą nie rozstawało. Brakuje mi Kwame - dorzucił po krótkiej chwili.

- Forbes wie - powtórzyła Massimina złowieszczo. W jej głosie brzmiała stanowczość.

Morris próbował zlekceważyć jej obawy.

- Nie wie przecież, że to ja umieściłem w samochodzie włosy łonowe i tę całą resztę, prawda? Wie jedynie, że ukryłem auto na wzgórzach. A do willi musiał je sprowadzić Kwame. Tu nie ma innej opcji. Pewnie planował je przelakie-rować i później sprzedać. Zastanawiam się, jakim cudem policja go nie znalazła. Tak więc hipoteza, że to Kwame zabił Boba, dla Forbesa jest jak najbardziej do przyjęcia, nawet jeśli podejrzewa coś innego. Jest może odrobinę naciągana, ale w gruncie rzeczy logiczna.

- Kocham twój głos - powiedziała Massimina.

Jej własny, w eleganckiej słuchawce telefonicznej brzmiał miękko i łagodnie. Co ciekawsze, kiedy Morris odłożył słuchawkę, rozbrzmiewał nadal. Obecnie telefon był mu potrzebny wyłącznie po to, aby rozpocząć rozmowę.

- Naprawdę? Wciąż? - zapytał.

- Wciąż - potwierdziła. Jej głos wypełniał teraz cały samochód, zupełnie jakby wydobywał się ze wszystkich czterech głośników stereofonicznych.

- Najważniejsze jest to, co ja wiem - podjął Morris. -A wiem, że to on napisał te drugie listy, próbując ocalić Farouka.

- Ale nie potrafisz tego udowodnić. Tymczasem jemu wystarczy szepnąć słówko policji, że tamtego dnia on i Stan widzieli cię na Piazza Bra.

Morris roześmiał się.

- Dzięki Bogu Staną mamy już nieodwracalnie z głowy. Zwolnił, aby przepuścić dziewczynę na rowerze ciągniętym przez chłopaka na motocyklu. To niewiarogodne, ale policja w ogóle nie zwracała uwagi na podobne zachowania na drodze.

- Masz rację - dodał jeszcze. - Pytanie tylko, czy w interesie Forbesa będzie pójść na policję. Przecież to ja finansuję jego wymarzone plany, pokrywam koszty pobytu tych wszystkich chłopców, których pragnął uwieść.

- Jeśli będzie się ciebie bał, może pójść.

- Ale dlaczego miałby się bać?

- Może myśleć, że będziesz usiłował go zabić, bo zbyt dużo wie.

Wlokąc się za traktorem, Morris musiał przyznać, że to jest możliwe.

- Może się też obawiać, że zechcesz go zabić, gdyż jest homoseksualistą. Czasami wygadywałeś przy nim takie rzeczy na temat homoseksualizmu.

- Och, przecież nie zabiłbym go z tego powodu. Nie jestem szalonym seryjnym mordercą.

- Ale tego akurat on nie wie. Kiedy pomyślę o niektórych twoich komentarzach w jego obecności... - Massimina roześmiała się. - Czasami byłam na ciebie taka wściekła. Umierałam z niecierpliwości, żeby ci powiedzieć. Och, Morri, ależ byłeś ślepy.

Morrisowi bardzo spodobał się użyty przez nią zwrot „umierać z niecierpliwości”.

- Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Nie wiem, może z nieśmiałości. Wtedy nie odnalazłam jeszcze mojego prawdziwego głosu.

- Za to teraz zrobiła się z ciebie prawdziwa trajkotka.

- Tak. - Urwała na chwilę. - A może - podjęła, a jej głos brzmiał teraz lekko, niczym unoszony wiatrem - a może nie byłam jeszcze wówczas zdecydowana, czy mam ci wybaczyć, czy nie.

- Ach - Morris poczuł nagły przypływ emocji. - Ale teraz zdecydowałaś już na pewno?

-Tak.

- Jesteś taka słodka, Mimi. Słodka i tak bardzo mi potrzebna.

- Morri.

- Jak myślisz, czy Paola też kiedyś mi wybaczy? - zapytał, przejęty autentyczną troską.

Popęłnił chyba błąd, pytając o to, gdyż Mimi zamilkła na dłuższą chwilę. Mercedes sunął krętą drogą w stronę Villa Caritas. Wreszcie Mimi powiedziała tajemniczo:

- Z miejsca, dokąd poszła Paola, nie dociera do nas ani jedno słowo. Przypomnij sobie, co powiedział Dante: *Lasciate ogni speranza voi che entrate*<sup>\*110</sup>. Nigdy się nie dowiemy, czy Paola wybaczyła ci, czy nie. Musisz o niej zapomnieć.

Morris przyjął naganę. Ostrożnie jechał dalej.

- Ale nadal nie powiedziałaś mi, jak zamierzasz załatwić kwestię Forbesa - przypomniała mu Massimina.

---

<sup>110</sup> \* Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodziście.

- Ponieważ sam jeszcze nie wiem - odparł szczerze. - Co mógłbym zrobić? Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to wyrzucić mu krzywdę. Lubię go, nawet bardzo go lubię. Poza tym jest jeszcze Fendtsteig. Tak naprawdę, powinienem teraz dobrze się przycząić, i to na kilka ładnych lat. Właściwie bardzo mi to odpowiada.

- Za to ja mam pewien pomysł - powiedziała Massimina, głosem nagle bardzo łagodnym i bardzo uwodzicielskim.

- Jaki?

- Nie jestem tylko pewna, czy się zgodzisz.

- Jeśli mi powiesz, zgodzę się na pewno.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. Daj rozkaz, a wykonam go.

- Ale ja nie chcę dawać ci rozkazów. Chcę, abyś to zrobił z własnej woli, ponieważ to jest najlepsze rozwiązanie.

- Dla mnie rozkazem jest każda twoja sugestia - powiedział Morris, coraz bardziej ciekaw jej pomysłu i tego, co przyjdzie mu zrobić.

- Zobacz, jesteś już prawie na miejscu - zwróciła mu uwagę Mimi. Faktycznie samochód właśnie mijał wioskę. -Najlepiej będzie, jeśli zatrzymasz się na chwilę, żebyśmy mogli wszystko dokładnie przedyskutować.

Ależ zmieniła ją śmierć! Ile przybyło jej dojrzałości! Dawna Massimina, słodka, mała dziewczynka, nigdy nie odezwałaby się do niego w podobny sposób.

- Oczywiście.

Posłusznie zjechał na pobocze i zatrzymał się tuż przy kamiennym murze, oplecionym skapanymi w słońcu kaparami. Za murem rozpościerał gałęzie rozłożysty platan. W jednym z konarów tkwiły wbite dwie strzykawki. Idylla nigdzie nie jest doskonała, przemknęło Morrisowi przez głowę, kiedy to zobaczył.

---

- Kochaj się z nim - powiedziała Mimi.

- Co takiego?

- Kochaj się z nim. Z Forbesem. Albo raczej, pozwól mu kochać się z tobą.

Po raz pierwszy w życiu Morris poczuł wściekłość na swojego anioła stróża. Jak Mimi mogła choćby sugerować coś takiego? Jak ona mogła?

- Po pierwsze, jest to całkowicie logiczne. - W głosie Massiminy brzmiał upór, którego nigdy by się po niej nie spodziewał.

-Ale...

- W ten sposób pokazałbyś mu, że w kwestiach homoseksualizmu zacząłeś teraz myśleć tak jak on, więc nie musi się ciebie obawiać tylko dlatego, że jest gejem.

- Ależ Mimi...

- Po drugie, w ten sposób między wami wytworzy się więź i on także nie zrobi ci krzywdy. Ponadto...

Morris, nadal w szoku, oddychał ciężko, usiłując zapanować nad zbuntowanymi nagle wewnętrznymi organami. I nad jednym zewnętrznym także. Choć mercedes był w pełni klimatyzowany, odnosił wrażenie, że w samochodzie zaczyna brakować powietrza.

- Ponadto jest to coś, czego pragniesz już od dawna. To dlatego jesteś teraz taki podniecony.

- Ależ Mimi, to jest wbrew mojej religii, wbrew...

- Święty Paweł także był homoseksualistą, to wiem na pewno. - Kiedy nie przestawał protestować, dodała jeszcze: - Ja cię rozgrzeszę, Morri, wybaczę ci, tak jak ci wybaczyłam, kiedy robiłeś to z Paolą i Kwamem. Pod warunkiem, że będziesz spoglądał przy tym na mnie. Podobnie jak ostatnim razem. - Jej głos brzmiał tak zmysłowo.

- Dobrze - zgodził się słabo.

- Wiesz, dla mnie to również było cudowne - szeptała. -Sposób, w jaki patrzyłeś na mnie, w jaki zwracałeś ku mnie swoją biedną, okaleczoną twarz.

Przez chwilę milczeli oboje. Drogą przejechała staruszka, z trudem naciskająca pedały zdezelowanego roweru. W jednej ręce trzymała potężną torbę wypełnioną zakupami. Potem minęła go cysterna z paliwem. Morris uczynił ostatnią próbę przeciwstawienia się pomysłowi Mimi:

- Posłuchaj, na myśl o tym, co wtedy uczyniłem, nadal ogarnia mnie obrzydzenie. Jeszcze teraz zdarza mi się budzić w nocy i wymiotować.

- Nie trzeba - zapewniła go Mimi. - Naprawdę nie trzeba. Byłeś wtedy taki piękny. - Niemal aksamitnym szeptem dorzuciła: - Tak cię kocham, kiedy jesteś nagi, Morri. Twoje ciało, twoją twarz, kiedy przeżywasz orgazm. Nawet tę zniekształconą. Jest tak wspaniale epicka.

- Ty także byłaś cudowna - odparł. - Taka uduchowiona, taka święta, kiedy trzymałaś w dłoniach krucyfiks.

- A więc uzgodnione - zawyrokowała Mimi. - Kiedy to zrobisz, od razu poczujesz się lepiej. Będiesz znacznie szczęśliwszy. Nawiasem mówiąc, jedynym powodem, który do tej pory cię powstrzymywał, było to, że twój ojciec oskarżał cię o homoseksualizm.

Morris nie wiedział, co mógłby na to odpowiedzieć. Uruchomił stacyjkę. Samochód ponownie znalazł się na drodze. Do przejechania pozostała mu ostatnia mila wśród żyznych pól pełnych młodej kukurydzy i malowniczo udekorowanych opadłymi płatkami z drzewek wiśniowych. Skręcając na podjazd do Villa Caritas, Morris poczuł nagle, że musi zadać Mimi jeszcze jedno pytanie.

- Wiesz, jakie mam plany w stosunku do Antonelli, prawda?

- Oczywiście, Morree.

-I nie masz nic przeciwko temu?

- Ona jest bardzo przygnębiona i samotna - powiedziała Mimi.

Morris nie przestawał naciskać.

- Posłuchaj, Mimi, nie zrobię niczego, jeśli najpierw nie otrzymam twojego błogosławieństwa. Nigdy, obiecuję ci to.

Jednocześnie ogarnęło go podekscytowanie na myśl, że Massimina pozwoli mu to zrobić, że wręcz nakaże mu to zrobić.

- Zawsze trzymaj w sypialni mój portret - szepnął duch. - Obiecaj mi, że ja zawsze będę pierwsza.

- Obiecuję - powiedział. - Obiecuję.

- Jeśli to zrobisz, możesz uprawiać seks, z kim tylko zechcesz. Uwielbiam przyglądać ci się w takich momentach. A ty uwielbiasz patrzeć wtedy na mnie. Przecież wiesz, że tak naprawdę zawsze będziesz kochał się ze mną.

- Zawsze - przyrzekł. - Zawsze, zawsze, zawsze.

- Masturbuj się teraz, Morri - poleciła nagle Massimina, dość apodyktycznym tonem.

- Jak to?

- Chcę, żebyś się masturbował.

- Tak po prostu?

Znajdowali się na rozjeżdżonym przez ciężarówki podjeździe do Villa Caritas. Massimina roześmiała się.

- Po prostu tak. Morri, to jest rozkaz. Zaparkuj między drzewami.

I znowu Morris poczuł się zaszokowany i jednocześnie podniecony takim obrotem sprawy. Massimina zdawała się przejmować rolę, jaką dotychczas w jego życiu pełniła Paola, ale czyniła to w sposób o wiele bardziej słodki i subtelny.

I oto nagle siedziała w samochodzie, tuż za nim. Nie dostrzegał jej co prawda, ale przecież był pewien jej obecności. Duch Mimi. Wnętrze mercedesa wypełniło



się wonią jej perfum. Massimina zaczęła ściągać z siebie sukienkę, odsłaniając te same pocerowane i połatane majtki, które zwykł trzymać pod poduszką. Poczł jej dłoń prowadzącą jego rękę w kierunku suwaka spodni, usłyszał jej głos, wypowiadający biblijne słowa:

- *Miły mój ściągnął rękę swoje dziurą, a wnętrzości moje wzruszyły się we mnie. I wstałam, abym otworzyła miłemu memu, a oto z rąk moich myrra ciekąca na rękojeść zawory.*

Morris zamknął oczy. Dokładnie w tym momencie dobiegł go oschły głos, mówiący:

- *Quod ubique, quod semper, quod ab omnibus..* \*<sup>111</sup> - Obok samochodu stał Forbes, ramię w ramię z młodym Ramizem, i uśmiechał się dobrotliwie.

Jak przemyślnie Mimi zaplanowała to drobne wprowadzenie do wszystkiego, co nieuchronnie musiało nastąpić.

Tego wieczoru jadł kolację z Antonellą w Casa Trevisan. Był to przyjemnie elegancki posiłek, na który stara *donna di servizio* Signory Trevisan przygotowała wyborne *costole di manzo* \*<sup>112</sup> i cały półmisek dymiących *finocchio* \*<sup>113</sup>. Antonella miała na sobie prostą, czarną suknię, ściśniętą w talii paskiem, przez co jej figura upodobniła się do ekstrawaganckiej klepsydry. Poruszała się z gracją wśród antycznych mebli i sztywnych roślin doniczkowych. Jej twarz nadal nosiła ślady niedawnych przeżyć; straszliwa wiedza o zdradzie Boba, o zbrodni siostry, o której nawet nie ważyli się wspominać, i o jej późniejszym losie odbiła się piętnem na jej subtelnej urodzie. Morrisowi szwagierka kojarzyła się z grecką wdową, która przeżyła całą wojnę trojańską i teraz pragnie jedynie zapomnieć.

---

<sup>111</sup> \* W co wierzą wszędzie, zawsze i wszyscy...

<sup>112</sup> \* Kotlety wołowe.

<sup>113</sup> \* Koper wioski (bulwy).

Pokojówka przesuwiała się cicho za ich plecami, podczas gdy oni dyskutowali o interesach, o coraz większych zamówieniach Doorways, o zainteresowaniu produktem ze strony amerykańskiej sieci sklepów z wyrobami alkoholowymi. Niezbędne będzie powiększenie butelkowni, choć wcale nie przyjdzie to łatwo, skoro znowu notuje się wzrost stopy procentowej. Morris planował sprzedać mieszkanie przy Via dei Gelsomini i zainwestować część pieniędzy. Niedawno otrzymał kolejną, bardzo korzystną ofertę od dewelopera.

Antonella oświadczyła, że ona także nosi się z zamiarem sprzedaży mieszkania.

- Czy to oznacza, że chcesz, abym się wyprowadził? -zapytał Morris.

Antonella zaprzeczyła. Casa Trevisan jest wystarczająco duża dla nich obojga. W ten sposób będą mogli zaoszczędzić.

- Ponadto ten dom nie łączy się z żadnymi niedobrymi wspomnieniami - dodała jeszcze. - Ani dla ciebie, ani dla mnie - zakończyła, opuszczając oczy na talerz wypełniony gotowanymi śliwkami ze śmietaną.

Rozmawiali też o polityce. Lokalni działacze, którzy zawsze kryli Boba przed urzędem podatkowym, byli przesłuchiwani w związku z falą skandali korupcyjnych. Rząd chwiał się, szykowała się zmiana prawa wyborczego. Włochy rewolucjonizowały się wyraźnie. Od tej pory trzeba będzie zupełnie inaczej poprowadzić firmę: otwarcie i uczciwie, cały czas mając na względzie kwestię zatrudnienia tych, którzy potrzebują pomocy, zawyrokował Morris.

Antonella zgodziła z nim się całkowicie. Omawiała ze szwagrem wielkość sum przeznaczonych na rozbudowę, rozważała możliwość uzyskania kredytu, sporządzała notatki. Morris był wniebowzięty. Czy kiedykolwiek przedtem spotkał kobietę, z którą mógłby dyskutować na podobne tematy? Czy kiedykolwiek przedtem czuł się do tego stopnia wolny od strachów, uprzedzeń i ciągłych kolizji

---

między oczekiwaniami a rzeczywistością, które charakteryzowały ostatnie, jakże smutne lata jego życia?

Ocierając usta serwetką, Antonella powiedziała nagle:

- Miałam dzisiaj wizytę Fendtsteiga.

Morris zeszywniał. Jeśli na jego twarzy nie ukazał się wyraz przerażenia, zawdzięczał to wyłącznie staremu stróżującemu psu Boba. Śliwka utkwiała mu w przełyku.

- Chciał zwrócić moją uwagę na wszystkie sprzeczności i niewyjaśnione wątki.

Morris omal nie zadławił się serwetką.

- Takie jak? - udało mu się wreszcie wykrztusić. Antonelli najwyraźniej zależało na tym, by osiągnąć ten etap, kiedy będą mogli porozmawiać o wszystkim otwarcie i bez emocji.

- Na przykład, jaki cel miałyby przyświecać Kwamemu, aby zabić Boba, albo jaki motyw miałyby Paola, aby go kryć. Dalej, kto był autorem anonimowego telefonu na policję zaraz po zniknięciu Boba, i wreszcie - tu Antonella zawahała się nieco - kim była ta... ta kobieta, z którą Bobo się spotykał. Fendtsteig najwyraźniej nadal jest przekonany, że w ten czy inny sposób byłś zamieszany we wszystko - zakończyła rzeczowym tonem.

Morris spoglądał na nią ponad stołem, podczas gdy pokojówka zmieniała nakrycia. Antonella smutno uśmiechnęła się do niego nad wspaniałe haftowanym obrusem, na którym stał pojemnik na przyprawy, w formie dwóch niedużych kadełek na wino wspartych na potężnym pniu winorośli, odlany w srebrze przez zręcznych rzemieślników dla samego Non--fortuna-sed-labor.

- Fendtsteig mówi, że jedno zaginięcie, dwa ciała i brak skazanych to za wiele dla niego, by mógł uznać sprawę za zamkniętą.

Morris westchnął. Postanowił pójść jutro do Fendtsteiga, przedyskutować z nim całą sprawę w poszukiwaniu możliwego rozwiązania, przekonać go, że

śledztwo wreszcie należy uznać za definitywnie zakończone i zamknięte. Powiedział o tym Antonelli.

Potem siedzieli razem na niewygodnej sofie ze sztywnym oparciem i czytali fragmenty Apokalipsy. Wreszcie koło dziesiątej trzydzieści zakończyli wieczór niewinnym pocałunkiem przy drzwiach wejściowych.

- Twój biedny policzek - powiedziała Antonella, podnosząc delikatnie palce ku bliznom. - Musisz pewnie czuć się bardzo nieszczęśliwy, że trafiłeś na taką rodzinę jak nasza, w której przydarzyły się te wszystkie okropności.

- Ależ wcale - odparł Morris, a jego błękitne oczy z pewnością dopowiedziały jej resztę: nie czuję się nieszczęśliwy, pod warunkiem, że mam ciebie.

Później leżał na łóżku, wpatrując się w Mimi. Ostatnio polubił, kiedy w sypialni paliły się świece. Ich migocące płomienie przydawały obrazowi życia, kładąc delikatne cienie na twarzy Madonny, wydobywając błyski z jej oczu. Kiedy zadzwonił telefon, szybko zbył rozplywającego się z wdzięczności Forbesa, który, chwala Bogu, zdobył się wreszcie na rozmowę ze Stanem i oznajmienie mu, że dla takiego nauczyciela jak on absolutnie nie ma miejsca w Villa Catullus. Świetnie. Morris usiadł i wsparty o zagłówek zapatrzył się w Mimi, szukając u niej inspiracji. Jeszcze raz zebrał wszystkie fakty, zestawiał ze sobą tę niewiarygodną serię budzących grozę wydarzeń, zdrady, szantażu, idiotyzmów, złośliwości, żądz i dobrych intencji. Ułożył po kolei, po czym wrzucił do kalejdoskopu wyobraźni i zaczął nimi potrząsać, w nadziei, że w końcu ułożą się w jakiś spójny i nagle oczywisty wzór, który będzie mógł zapamiętać i zaprezentować Fendtsteigowi niczym nową teorię względności, wreszcie wyjaśniającą wszystko.

To intensywne ćwiczenie umysłowe wprawiło go w lekki, acz wcale nie niemiły zawrót głowy. Czuł się jak tamtej nocy, kiedy leżał z Mimi na plaży w Ostii i szukał rozwiązania w gwiazdach, albo jak ktoś, kto zabrał się za układankę, zdecydowanie dla niego za trudną, ale przecież z pewnością posiadającą rozwiązanie. W jego przypadku rozwiązanie także musiało istnieć. Gdyby było inaczej, równie dobrze mógłby się poddać od razu.

Pomysł, że Bobo, który uciekł z kochanką, mógłby także być odpowiedzialny za śmierć Paoli i Kwamego, wywołał lekki uśmiech na twarzy Mimi.

A czy porównano może charakter pisma na tamtym *billet-doux*\*<sup>114</sup> z charakterem pisma jego żony? Biorąc pod uwagę, że Paola pisywała tak niewiele, czy mógł zaryzykować stwierdzenie, że rozpoznaje jej pismo?

W pewnych okolicznościach nie było też nierozsądnie założyć, że to właśnie Paola była autorką anonimowego telefonu. Na przykład dowiedziała się o wszystkim od Kwamego bezpośrednio po morderstwie i zatelefonowała na policję, żeby kryć męża. Niestety Morrisowi nigdy nie udało się wydobyć od Marangoniego, czy dzwoniącym był mężczyzna czy kobieta.

Hipoteza, że na policję zadzwonił on sam, w somnambulicznym, postmorderczym transie, który stanowił mieszaninę komizmu i horroru, połączonych ze sobą w niekończącym się korytarzu krzywych luster, jakim był umysł Morrisa Duckwortha, też była inspirująca.

Wreszcie, już nad ranem, zrezygnował z dalszych rozważań. Nigdy nie uda mu się ułożyć wszystkich faktów w spójną całość. Poniósł porażkę. Nie szkodzi. W końcu próba całkowitego zrozumienia własnego życia dla większości ludzi kończyła się właśnie porażką. Nie będzie to większa porażka niż ta, z jaką przyjdzie się borykać Fendtsteigowi przez wiele, wiele lat, jakie go jeszcze czekały. On, Morris, po prostu zaakceptuje to, że jest zwykłym, ułomnym człowiekiem, i od tej pory będzie żył w jedyny sposób, w jaki potrafi, z dnia na dzień, z ręki do ust.

- Z twojej ręki do moich ust - powiedział obrazowi. Świeca zamigotała. Płomień przygasł, po czym rozżarzył się na nowo, poruszył palcami białej dłoni, przytrzymującej błękitną szatę, uniósł kącik ust.

- Morri - wyszeptała Massimina. - Morri.

---

<sup>114</sup> \* Liście miłosnym.

W tym momencie zrozumiał, że to już wszystko. Osiągnął spokój. Doprawdy nie potrzebował niczego więcej.

TLR